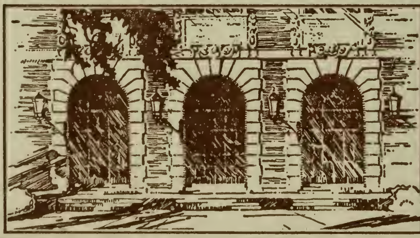


NOWE

OPOWIADANIA HISTORYCZNE.

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

---

	zł. ct.
Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne, 1 tom	3 —
1) Pod pół księżycem. 2) Książe Sarmacji 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknéj kobiety. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.	
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5 60
Bełza. Wanda. Opera w czterech aktach	— 60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w opraw. . . .	2 30
T. I. II, **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. III.—VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII—X. **Zaleski B.** Poezye. Wydanie przejrzane przez autora — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna, Powieść histor. — XIII. — XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra A. Małeckiego. XVII.—XIX. „**El...y**, (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. XX.—XXII. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy.—XXIII. **J. Wybicki**, Pamiętniki.—XXIV.—XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. V. VI. — XXVI. — XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 t. — XXIX — XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne 3 t. — XXXII. — XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. XXXIV. — XXXVII. **Romanowski M.**, Pisma. 4 t. (w druku). — XXXVIII. XXXIX. **Słowacki J.** Listy 2 t. wydanie II znacznie pomnożone.	
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2 40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2 40
— Nad modrym Dudajem. Nowella	2 40
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2 40
El...y. Gałązka heliotropu. Komedya.	— 60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie	2 80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnéj.	2 40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831, wydał T. O. Orzechowski, 2 tomy	4 20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1 20
— Z podróży Oświęcima	1 80
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tomy	3 60
Kubala L. Dr. Szkice historyczne, dwie serye, każda po	3 40
— Jerzy Ossoliński 2 tomy.	
Lemcke K. Estetyka 2 tomy	6 40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4 20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, wstępem objaśnione, przez L. Siemieńskiego.	2 80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825	1 80
Monumenta historiae polonica. Pomniki dziejowe Polski, tom III. Wydanie nakład. Akad. Umiejęt.	12 —
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2 20
Pamiętnik damy polskiéj z XVIII wieku	1 80
Przyborowski W. Rubin wezyrski. Powieść.	1 88
— Księżniczka z Minsterbergu	1 50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy . . .	2 40
Sass Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3 80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2 40
Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta. Opowiadania, 3 tomy z illustracyami.	5 40
Wilkoska P. Na teraz, Powieść.	2 40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli Warszawskiej i na Syberyi	2 60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus.	3 20

(Rolle J. A.)

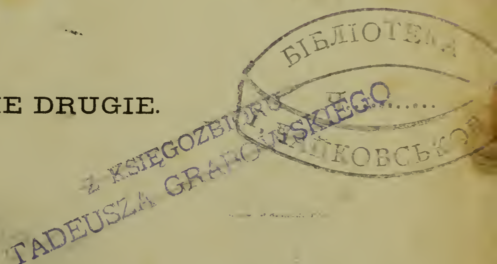
Dr. Antoni J.

S. II.

NOWE
OPOWIADANIA HISTORYCZNE.

Pod krzyżem. — Losy kresowego miasteczka. — Wartabiet. — Zemsta kozacza. — Porwanie króla. — Niedoszłe legiony.

WYDANIE DRUGIE.



LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
PRZY PLACU KATEDRALNYM.
1883.

KRAKÓW. — W DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

POD KRZYŻEM.

I.

Pogrom turecki 1672 r. zagarnął spory Polski obszar. Ziemianie, mieszczaństwo i lud opuszczali ze łzami podbitą prowincyę. Ludek biedny rozbiegł się na wsze strony — ku wschodowi i zachodowi — podczas gdy szlachta i „sławetni“ całym taborem w stronę Lwowa podążyli. Gorętsi bliżej nowych osiadali kresów, nadzieją się krzepiąc, że dziś, jutro, zwycięzcy opuszczą zdobyte placówki i oni znowu pospieszą na Podole, do rozwalonych ognisk, kędy groby ich ojców zostały... A olbrzymią linię graniczną zakreślił zabór pogański! Ciągnęła się ona od południa w górę Dniepru prawie pod Kijów, potem wzdłuż Polesia wołyńskiego na Czarny szlak, biegła ztąd przez pola należące do Mołoczek, Ostropola, Czarnego Ostrowia i Felsztyna, pod Satanów; tutaj szła korytem Zbrucza, kątem tylko ostrym wkraczając w głąb Czerwonogrodzkiego powiatu, i spływała do Dniestru pod Chocim. Weź miły czytelniku mapę, rozpatrz się w niej, a snadno się przekonasz, jaki piękny nabytek kupili Ottomani odrobiną krwi pod Kamieńcem przelanej.

Tryumf ten barbarzyńców w pamięci pokonanych i ich następców zostawił niezatarte wspomnienie, stanowił epokę w dziejach ziem ukrainnych. Odtąd poprzedzający ją okres historyczny, nazywano *ante hosticum*, przed niewolą, jak znowu *post hosticum*, po niewoli, ten, który po niej nastąpił.

Podolska więc ziemia, a wyrażając się stylem administracyjnym, województwo podolskie, faktycznie nie istniało, mały bowiem tylko kawałek pozostał przy Polsce; urzędowo jednak żyło nie bacząc na panujący półksiężyc, miało bowiem swoich przedstawicieli we wszystkich warstwach społeczeństwa...

Ludzie ówcześni nie wyrzekali się tak łatwo przeszłości. Szlachta w ciągu całych 27 lat reprezentowała na sejmach Podole; sejmiki jej odbywały się w Haliczu w tydzień po miejscowych. Na akcie obioru Jana Sobieskiego spotykamy szesnastu delegatów prowincyi już od dwóch lat będącej w posiadaniu muzułmanów. Było to wprawdzie świeżo po zaborze (1674), ale z pociechą dodamy, że tradycya przechowywała się stale, bo i później przy składaniu „suffragiów“ na rzecz Augusta a więc we dwadzieścia kilka lat później, występuje ich więcej, bo 29; a że z dawnych uczestników jeden tylko Stanisław Makowiecki, ów rzewny autor opowieści wierszowanej, mającej za treść wyprawę pod Kamieniec, pozostał, z tego więc wniosek, że tradycya przechodziła z pokolenia w pokolenie, bo między ostatnimi delegatami spotykamy stare rody miejscowe: Zabłockich, Siekierzyńskich, Błockich, Silnickich i Myśliszewskich.

I w senacie krzesła podolskie nie wakowały. Niewola turecka nie przerywa szeregu biskupów, wojewodów, kasztelanów...

Stany chcąc przyjść w pomoc wywłaszczonej szlachcie podolskiej, przeznaczyły 20.000 zł. na roczne jej utrzymanie, z warunkiem, aby korzystali z datku ci tylko, którzy „żadnych *pro tunc* nie mają osiadłości.“ Mały to wprawdzie zasiłek, ale nie należy zapominać, że Rzeczpospolita w onej epoce była bardzo ubogą!

Podole więc jak widzicie żyło; reprezentanci jego w wędrownych namiotach, pośród braci szlachty innych województw, jakby w gościnie, stali pod sztandarem protestacyjnym, upominającym królów i współziemian o rychłe odzyskanie utraconych prowincyj. Piękny to był objaw zaiste! Ci dygnitarze wygnańcy, ci tułacze — to wyobraziciele

żałoby, po bliskim w jasyr zabranym przyjacielu, po uwięzionym, a nie po zmarłym...

Zgon zupełnie inaczej oddziaływa na człowieka. W pierwszej chwili przeraża on, rozpaczą i boleścią wielką napawa, potem następuje uspokojenie, smutny wspominek, rozpamiętywanie przyzwyczajeń i drobnych czynności, z których się życie zmarłego składało – dalej czas swoje robi... I nie raz, po latach wielu, wywołujesz pamięć drogiej ci osoby — i dziwisz się, że nie boli cię jak dawniej jej strata, wyrzucasz sobie obojętność, starasz się uwidocznić przeszłość, aliści nie pochwycona, wymyka ci się z rąk prawie, i nie jesteś w stanie jej ucieleśnić... Umarła na zawsze.

Inne uczucie rodzi się w piersi na wspomnienie o bracie zaprzężonym w jarzmo niewoli; ten twój bliski żyje, tęskni, cierpi; chęć uwolnienia, odszukania zaginionego sen spędza z powiek, pośród długich nocy staje przed tobą widmo jego udręczeń, odczuwasz każdy ból skazańca, każda łza przez niego przelana jak rdza serce twoje przejada...

To też urzędy podolskie, nadawane ludziom w kraju zasłużonym, właśnie w czasie, kiedy ta ziemia podolska spętana była w *łyka* pogańskie, miały głębokie polityczne znaczenie — protestacyi na zewnątrz, ukojenia gorętszych, zagrzewania opieszałych wewnątrz kraju.

Wprawdzie ludzie obojętni, a na takich nie zbywało i wówczas, wyrzekali się rodzinnego kąta, skoro ten przestawał zapewniać im utrzymanie i nie dawał już chleba, ale zacniejsi zapomnieć o nim nie mogli. Z początku czekali cierpiliwie; mijały jednak dnie, miesiące, lata; skromny zapas wyniesiony z pogromu wyczerpywał się nareszcie; więc imali się pracy, przyjmowali urzęda w innych województwach, ale zawsze niepożyci, zawsze manifestanci, na pierwszy okrzyk stawią się do apelu, pod swoją drogą, w złote słońce strojną chorągiew; w mundury wojewódzkie przybrani, na polu elekcyjnem zajmują przynależne sobie stanowisko, piszą się szlachtą podolską, z Litwy, Żmudzi, Wielkopolski, z Prus spływają do kółka podolskiego, często już sobie nieznani, tradycyą tylko połączeni.

Raz jeszcze powtarzamy — urzęda one nadawane jakby *in partibus*, miały wysokie znaczenie, albowiem nicią nierozerwaną łączyły przeszłość z przyszłością...

Duchowieństwo naśladowało obyczaj przez ziemian przyjęty, i to nie tylko łacińskie, ale i zjednoczone i *ritus graeci*. Biskupi nasi mianowali kanoników i prałatów kamienieckich; władyka Szumlański ani na chwilę nie przestawał się nazywać episkopem kamienieckim, a ks. Krakówka, protojerej, choć całych 27 lat przesiedział we Lwowie, zawsze występował w charakterze namiestnika podolskiego. Dało to nawet pochop jednemu z pisarzy należących do przeciwnego obozu, mówić szeroko o tolerancyi religijnej na Podolu za tureckiego panowania, większej niźli za rządów Rzeczypospolitej, sfanatyzowanej i nawskróś jezuickiej... Ale nie dziwimy się temu — nie znał polskiej przeszłości.

Duchowieństwo zakonne także poszło w ślady świeckiego. Z ognia wynosiło przywileje i nadania; przez cały czas niewoli tuliło się w klasztorach małopolskich, przekazując następcom prawa nieulegające przedawnieniu. Już to klasztory i dawniej *ante hosticum* rządziły się, że się tak wyrazimy, instynktem zachowawczym; opuszczając bowiem dane stanowisko, wskutek przyczyn nie od nich zależnych, zawsze na nie przy okolicznościach sprzyjających wracały.

Ciekawy pod tym względem nastręczają przykład dzieje klasztoru Dominikanów w Smotryczku. Założony i uposażony przez Aleksandra Korjatowicza w 1373 r., zgorzał w 127 lat później, a zakonnicy go opuścili. W r. 1579 Mikołaj Potocki, regimentarz królewski, starosta Smotrycki, wzniósł ten kościółek i oddał go w zarząd ks. Ginterowi, kanonikowi Kamienieckiemu — aliści natychmiast stawią się ojcowie ze swoim przywilejem i osiadają przy świątyni... Zabór turecki znowu ich ruguje; po jego usunięciu lat przeszło czterdzieści Smotrycz nie posiadał kościoła, a kiedy jeden z Potockich budować go począł, Dominikanie w tejże chwili stawili się na placówce do nich należącej, z tymże samym przywilejem, i przetrwali aż do r. 1832. Przezdziecki podał nam wierną kopię dokumentu — i słusznie, bo skromny ten

kawał pargaminu, liczący już przeszło pięć stuleci, jest najstarszym zabytkiem piśmiennym na podolskich kresach.

Za duchowieństwem szli mieszczanie. Drobiazg utonął w masie ludności województwa ruskiego, ale Kamieńczanie, szczególnie wychodźcy armeńscy, nie wyrzekli się przeszłości i tęsknoty do miasta, co im takie świetne, godne zazdrości stanowisko zapewniało. Wykolejeni nie mogli utworzyć odrębnej gminy w osadach, kędy na czasowy przystanęli odpoczynek, ale się bractwem w jedno wiązali kółko. Cudowny wizerunek, ozdoba ich kościoła, wyniesiony z niewoli, był widomym punktem, około którego ześrodkowały się ich tradycye i ubiegłych czasów wspomnienia...

Już to dzieje „cudownych obrazów“ na kresach naszych, są cennem źródłem dla dziejopisarza. Dużo tu barw i drobnych szczegółów wybornie cechujących daną epokę zaczerpnąć można. Wizerunki Bogarodzicy przeważnie tutaj jak i w całej Polsce szczególną czcią otaczano. Trzy z nich zasłynęły szeroko po kraju, a każdy osobno w jednej warstwie ludności większe niźli w innych znajdował uznanie. Do Latyczowskiej zbiegało się duchowieństwo, przed Tyneńską biło czołem rycerstwo, u stóp ormiańskiej Kamienieckiej grupował się stan mieszczański. Każdy z tych obrazków ma swoją historyę.

Wizerunek Matki Boskiej Latyczowskiej przynieśli ojcowie kaznodziejskiego zakonu. Był on wierną kopią owej *Sancta Maria majoris Domini*, Dominikanom na Ruś przez papieża z błogosławieństwem danej. Starosta Latyczowski, Jan Potocki, jako nowator, zabronił mnichom wstępu do murów zameczka, więc po za jego ścianami w dwóch skromnych przytulili się chatach. Miało to miejsce na początku XVII w.; daty, na których zbywa opowieściom o cudach obrazu, łatwo się odnaleść dadzą. Potocki umarł pod Smoleńskiem w 1611 r., żona jego Elżbieta z Kamienieckich, gorliwa katoliczka, sprzyjała mnichom, miała ich w swojej opiece, a dopomagał jej w tem Rewera Potocki, synowiec i spadkobierca po bezdzietnym nieboszczyku, „który wyrzekł się sam wirtembergskich błędów i w Paniowcach, miejsce,

kędy niegdyś akademia heretycka była, w stajnię zamienił", jak woła zachwycony Niesiecki.

Może niechęć ku Jezuitom, którzy „nowatorom" dokuczali, rozbudziła w sercu Pilawitów tę szczególniejszą dla białych mnichów sympatyę; może uznanie ich zasług cywilizacyi na najbardziej ku dziczy wysuniętych posterunkach: dość jednak, że od tej chwili nawrócenia Rewery, Potoccy biorą w opiekę Dominikanów, i tak ich krzewią na Rusi, taką szczodrobliwością wszystkie ich konwenty osypują, że w końcu owe wzajemne stosunki dają początek legendzie, której główną sentencyę ojcowie zakonu przekazali potomności, zdobiąc nią frontony swych kościołów. Nad klasztorną furtą kamienieckiej mnichów siedziby, olbrzymia tablica ciosowa, obok innych pochwał Pilawitów, zawierała następującą wróżbę wyrzeźbioną jeszcze w 1712 r.: „Dom Potockich tyle trwać będzie, jak długo istnieją zgromadzenia OO. Dominikanów" (*Familia domus Potociana quam diu familia Dominicana quando*).

Kosztem ich i staraniem stanął kościół i klasztor Latyczowski, a w nim znalazł schronienie wizerunek Matki Boskiej, już wówczas słynny łaskami, jakie zlewał na wiernych... Niebawem jednak powstała zawierucha kozacka, „kupy swawolne" zalały kraj cały, pod ich toporem najwięcej padło zakonników, a nienawiść do białych mnichów pośród „hultajstwa" tak była ogromna, że jednym niemal podmuchem wszystkie ich klasztory ukrainne zrabowane i zniszczone zostały. Wizerunek święty uratowany i przeniesiony w r. 1648 do Lwowa, gdzie umieścili go rozbitkowie w kościele Bożego Ciała, a ztąd ledwie w 74 lat poźniej wrócił na kresy: „W roku 1722 na wizytę do Latyczowa przybył ks. Jacek Snopkowski prowincyał Dominikanów z Kamieńca. Na usilne prośby pobożnych Podolan, zalecił obraz ze Lwowa przenieść i na to dzień 2 lipca — uroczystość Nawiedzenia Maryi Panny — naznaczył. Prezydentem tego aktu przeora kamienieckiego mianował. Posłano do Lwowa po obraz prywatnie, złożono go w bliskiej wsi dzie-

dzicznej hetmana Sieniawskiego — Kopaczówce. Hetman dodał mu konwój honorowy".

Wizerunek Bogarodzicy Tyneńskiej sięga połowy XVI wieku a zasłynął razem z osadą. Początek obydwu okryty tajemnicą, tradycya ubrała go w nimbus świętości, cudowne szaty zarzuciła na barki Matki Syna Bożego, wprzódy nim kościół je usankcyonował. Miliony ludu chrześciańskiego poklękało przed skromnym obrazkiem, niosąc mu swoje skargi, prośby i ofiary; łacinnicy, dyzunici, wyznawcy wschodniego obrządku, Ormianie katolicy, Ormianie gregoryanie, Polacy, Rusini, Rossyanie, Multańczycy, Serbowie, francuscy emigranci — wszystko to w ciągu trzywiekowej wędrówki przesuwało się przed stopniami ołtarza, na którym obrazek święty spoczywał; „heretycy, nowatorowie, szyzmatycy, poturmacy, frankmasoni", jak mówią kroniki klasztorne, wyrzekali się wobec niego błędów, a duchowieństwo miejscowe skrzętnie spisywało te dzieje, prowadząc ścisły sumaryusz nawróceń i spowiedzi publicznych.

Ale nad tym tłumem płynącym dla oddania cześci „cudownej orędowniczce" górował stan rycerski, owi zapaśnicy kresowi, zabiegali także często tutaj na chwilę modlitwy! Wszystkie znane w kraju nazwiska spotkałeś u ołtarza tyneńskiego. Tarnowscy, Zamojscy, Potoccy, Żółkiewski, Czarnecki, Kalinowski, Sobieski, Sieniawski, Czartoryscy... A i cudzoziemscy wodzowie, tak powszedni u nas goście w zeszłym stuleciu, może powodowani ciekawością zwiedzali świątynię, jak Münich, ks. Daszkow, Golicyn, Rumianców, ks. Repnin w czasie swego poselstwa do Turek itd...

Ale „inkursya" kozacka nie oszczędziła i tego kąta. Tatarzy plądrujący wraz z gromadami chłopstwa ukrainnego, zrabowali świątynię, „od których obraz Maryi Panny, jak pisze ówczesny kronikarz, pałaszem nad lewem okiem cięty, ołtarze potłuczone, odarte i sprofanowane." Działo się to w 1655 r., a w kilka miesięcy potem (25 stycznia 1656), wizerunek cudowny przeniesiono do Kamieńca, jak świadczy o tem dokument „od prześwietnej kapituły kamienieckiej na przechowanie obrazu Najśw. Panny Maryi Tyneńskiej

przed inkursyą, z zapewnieniem powrotu onego z mobiliami JW. Krystynie z Potoka Humieckiej z pierwszego małżeństwa, a z powtórnego Zamiechowskiej.“

Turcy po okupacyi Kamieńca, wyrzucili wszystkie obrazy na ulicę, po których tryumfatorowie mieli wkroczyć do miasta. Izabela Humiecka, żona chorążego podolskiego, syna wyżej wspomnianej Krystyny, poległego w czasie szturmu warowni, uratowała cudowny wizerunek z niewoli. Unosi się Kochowski nad tym jej czynem — „chciała, mówi on, obraz ów złożyć na wóz, niż tam pomieścić dzieci swoje, one drogie węzły miłości małżeńskiej.“ Ks. Andrzej z mianem proboszcza Tyneńskiego, został stróżem jego we Lwowie, a złożone przy nim „mobilia i kosztowności kościelne“, wciągnięto do akt grodzkich w Przemyślu.

Dopiero po uspokojeniu buntów Palejowych w roku 1717, powrócił wizerunek „opiekunki kresowej“ na Podole, pod osłoną rycerstwa polskiego, na którego czele stał Stefan Humiecki, wojewoda podolski, a ówczesny Tynny posiadacz... I stało się snać zadość wewnętrznej, duchownej ówczesnego społeczeństwa potrzebie, bo ludność gromadnie zaczęła cudowne miejsce odwiedzać; były lata, w których w dzień uroczystości, w dzień festynu dorocznego (2 lipca) po 42.000 osób do komunii przystępowało; po czterech nawet i sześciu kapłanów pełniło tu nieustanną służbę. Zbiegowiska podobne w jakiejś miejscowości przyczyniają się zwykle do jej rozrostu, podniesienia handlu i t. d. Tutaj było inaczej; osada się nie powiększyła, jarmarki dopiero na początku dzisiejszego wieku ustanowione, upadły; widocznie ludzi gromadziła tylko gorąca wiara, tylko nabożeństwo.

Wizerunek Matki Boskiej Ormiańskiej w Kamieńcu dziwnym losom ulegał, a wędrówki jego szczegółowo opowiedziane, sporąby księgę zapełniły. Słynął on już w Krymie w X stuleciu, na Podole przynieśli go pierwsi koloniści w XIII wieku, jeszcze za rządów tatarskich. Pierwotnie umieszczony w kościółku pod wezwaniem Maryi, do dziś jako cerkiew egzystującym, a starszym od polskiego Kamieńca.

Bogaty kupiec miejscowy, przybysz z pięknej Armenii, Sinan, zbudował nową wspaniałą świątynię dla „cudownej panienki“; wolę zaś swoją uwiecznił w dokumencie mającym wszelkie cechy wschodniej krasy i prostoty zarazem: „Ja Sinan, syn Chotlu-beja, potwierdzam to pismo. Świadczę się przed Bogiem, przed św. Grzegorzem Illuminatorem i przed rządcą tej oto dyecezyi, która ma być utworzoną, dziś zaś wobec księdza Jana, arcybiskupa wszystkiej Rusi i ziemi Wołoskiej, ten bowiem w obecnym czasie jest duchownym naczelnikiem naszym i wyżej wzmiankowanej ziemi. Dałem obietnicę zbudowania świątyni pod wezwaniem św. Mikołaja cudotwórcy, dzisiaj przy boskiej pomocy ukończyłem ją zupełnie, i ofiaruję ją Bogu, św. Grzegorzowi Eczmiadzińskiemu Illuminatorowi i rządcy dyec. tej prowincyi. Czynię ją niezależną od władzy świeckiej: nikt nie ma prawa władać tym przybytkiem Pańskim — ani ja, ani dom mój, ani synowie moi, ani pokrewni moi, jak bliscy, tak i dalecy. Jeżeli się kto odważy zagarnąć świątynię, ma być poczytywany za kłamcę i gwałciciela prawa, we wszystkich sądach poddany będzie karze, jak przez świeckich, tak i duchownych sędziów wymierzonej, ściągnie na siebie klątwę Boga, św. apostołów i patryarchów. Wyjątek tylko jeden: jeżeli który z synów moich, albo krewnych moich, zostanie kapłanem i będzie wyznawać naukę św. Grzegorza Illuminatora i uznawać nad sobą władzę patryarchy Eczmiadzińskiego, temu tylko niech kościół część pewną z swoich dochodów udziela, żadnych innych wpływów mieć on nie powinien. Świadkiem tego com wyżej powiedział, jest Bóg i ludzie przy tem pisaniu obecni. Dokument ten ułożony 847 r. ery armeńskiej (1398), marca 25 dnia, spisany ręką dyakona Filipa, w obecności samego arcybiskupa.“ Wspaniały ofiarodawca złożył nadto w nowo wzniesionym kościele mszał kosztownie pisany, w Krymie w mieście Sorchat (Sudak) w r. 1349, do dziś przechowywany w archiwum świątyni...

Otóż drobni owi, a cisi prostaczkowie ewanieliczni, bili czołem przed „cudowną panienką“ w ciemne a skromne szaty przybraną; znosili jej cząstkę zysków i plonów zdo-

bytych. Prócz zwykłych ofiar ze srebra, złota i kosztownych kamieni, znaków wdzięczności za zdobytą miłość, odzyskane zdrowie, chowanie się potomstwa, wota w formie serc płomieniem gorejących, rąk, nóg, kolebek, niemowląt wykutych ze srebra, (podczas gdy w Tynnej na wskróś szlacheckiej wota te wyobrażały konie, kopie, miecze, tarcze i t. d.) prócz ofiar i *ex-votów* tych liczonych na dziesiątki pudów, skarbiec ormiański posiadał jeszcze bogate dywany, materye złociste a jaskrawe, pasy lite, kosztowne naczynia brązowe, perły uryańskie, łańcuchy misterne, wyroby z bursztynu i koralu, szaty bogate, portrety osób świadczących kościołowi w ciężkie ze srebra ramy wprawione... słowem tysiące drobnostek, służących do ozdoby ludzi i ich mieszkań.

Skarbiec ów był poniekąd arką wychodźców, więc oprócz ksiąg regestrowych i handlowych, rachunków funduszu bractw najrozmaitszych, testamentów i zapisów, zawierał najdroższe dla nich klejnoty — bo nadania i przywileje królewskie, listy hetmanów i senatorów miejscowych, świadczące o wierności wychodźców i t. d. W taki to sposób wytłumaczyć tylko można uratowanie z rozbicia owych pargaminów, które dość poważną dziś jeszcze reprezentują cyfrę. Wiedzieć bowiem należy, że Turcy łakomi byli na wszelkie papiery i stawili je na pierwszem po kosztownościach miejscu.

Halil basza, po otrzymaniu *emiru* na gubernatorstwo podolskie, poprzedziwszy wjazd sułtana do Kamieńca, żądał przedewszystkiem złożenia na ręce nowej władzy skarbów, tak kościelnych jak publicznych i prywatnych, okrom tego wszystkich dokumentów, aktów, nadań, przywilejów, słowem „fermanów“ upadłego rządu. Wizyty biskupie, księgi kapitulne, akta grodzkie ściągnął Basza natychmiast i do Carogrodu wysłał; ziemskie zaś, których przewóz za morze zbyt wielkiego wymagał kosztu, opieczętował i wartę przy nich postawił. Następcy Halila baszy pilnowali ich, jak oka własnego. Podczas szturmu miasta (1687) przez królewicza Jakóba Sobieskiego, dachy, pod któremi złożone były „papiery polskie“ ciągle polewano; a po ewakuacyi Kamieńca jedno,

co zastali komisarze królewscy w należytym porządku — to archiwum z aktami ziemskiemi.

Jakiż to przykład dla ludów cywilizowanych! Warto żeby pamiętały, że i od barbarzyńców czegoś nauczyć się można...

II.

Ottomani wkraczający do nas jako zwycięzcy reprezentowali wyłącznie stan rycerski — kohorty militarne nie nadające się do kolonizacyi. Trudno było władzom tureckim namówić wyznawców koranu, aby się z rodzinami z nad Bosforu przenosili na nowe kresy i zaludniali podbite prowincye. Rozpieszczeni, w rolnictwie niezamiłowani wcale, z musu tylko i to bardzo nielicznie osiedli w paszałykacie podolskim. Inne plemiona słowiańskie na półwyspie Bałkańskim zamieszkałe, znały dobrze muzułmańskich władców, w komplanacye więc żadne wchodzić z nimi nie chciały. A że nowym zdobywcom szło o utrzymanie bądź co bądź *statu quo* w prowincyach zagarnionych, że wiele im na tem zależało, by pustką nie stały, rozglądać się przeto zaczęli w około, szukając ochotników, coby za pewne zostawione im swobody zgodzili się na przyjęcie poddaństwa Jego Sułtańskiej Mości.

Z ludnością polską nie było co o tem traktować, wszystka, jak jeden mąż podniosła się do wędrówki w głąb Rzeczypospolitej. Rusini stanowili gmin, nie mieli reprezentantów wydatniejszych na Podolu, sympatye ich ciężyły ku Ukrainie, ku Doroszeńce, zanadto marzyli o swobodzie, aby się mogli poddać bezwarunkowo absolutnym rządom przybyszów. Nie protestując więc, nie opuszczając kraju, usuwali się z przed oczu wielkorządców, w step, na równiny albo

do lasów otaczających brzegi jarów podolskich. Tam już ani krzyż, ani półksiężyc nie znajdował miru; władza spoczywała w ręku silniejszego, społeczność pchnięta została na ostatni szczebel zwierzęcej, przedhistorycznej walki o byt! Zdobycze pługa polskiego runęły, skoro pług ten przestał żyzne pola w gęste bruzdy krajać; zapanowała na nich pustka, a nieliczni mieszkańcy nie krępowani prawem, bydlęcym instynktom puścili wodze.

Ztąd to, z tych lesistych jarów, wychyla się nowa kasta ludzi, raczej „bestyi dzikich“; jak ich słusznie nazywali nasi poprzednicy, a reprezentantami kasty owej byli *Poturmak* i *Lipek.* Z nimi, nawet taki nieprzebierający w środkach rząd, jak ottomański, nie mógł wchodzić w żadne umowy. Zostawały więc tylko miasta Kamieniec, Mohylew, Bar, Międzyboż, Jagielnica, Raszków, Szarogród. Ludność ich, stanowiąca warstwę pośrednią, składała się przeważnie z wychodźców armeńskich... Znowu więc zetknąć się przychodziło biednym kolonistom z Ottomanami, od których prześladowani, dawniej już musieli uciekać, tradycyonalne o nich przechowując wspomnienie, choć się ono zatarło z czasem pod wpływem stosunków handlowych, tak częstych i tak korzystnych; teraz po upadku warowni kresowej oko w oko stawali wobec nieprzyjaźnego wroga. Nie małe było zdziwienie wychodźców, kiedy ich Halil basza zawezwał przed swoje oblicze i zapowiedział, że Najjaśniejszy Cesarz turecki zapewnia ludziom dobrej woli opiekę i bezpieczeństwo, pozwala trudnić się handlem po dawnemu, we wszystkiem się do władz świeżo utworzonych odwoływać, i nadanych przez upadły rząd przywilejów nie cofa. Turcy, dodał gubernator, walczą tylko z Polską, wójtostwo więc polskie zwinięte, ale magistraty ormiański i ruski funkcyonować mają wedle z dawna przyjętego obyczaju.

Zdumienie, powtarzamy, było ogromne. Szło jeszcze o pozwolenie nabożeństwa, i na to zgoda nastąpiła, z warunkiem uprzątnienia dzwonów. Prawowierni wyznawcy Allacha dźwięku dzwonów nie znoszą, rozpędza on bowiem

i płoszy duchy zmarłych Muzułmanów, unoszących się w powietrzu nad pozostałymi braćmi na tym płaczu padole...

Zdjęcie dzwonów dało do myślenia. Czy tylko na tem poprzestaną zaborcy? Koloniści podzielili się na dwa stronnictwa; liczniejsi, szczerzy łacinnicy, fanatycy jak wszyscy nowo nawróceni, nie zapominajmy bowiem, że unia ormiańska dopiero przed sześciu laty i to w Kamieńcu, przez arcybiskupa lwowskiego ks. Torosiewicza, doprowadzona została do skutku — na żadne nie przystali ustępstwa, a nie chcąc sobie narażać potężnego nieprzyjaciela, powoli wynieśli się do Stanisławowa.

Zostali tylko Ormianie do kultu gregoryańskiego należący, ci dzwonów się wyrzekli, kupując tem sobie prawo obywatelstwa. Ztąd ich chwilowa przewaga, zawsze na korzyść Polski zużytkowana; trzeba bowiem oddać sprawiedliwość kolonistom, że wiernymi pozostali sprawie na kresach zwalczonej — i to aż do zaparcia się, aż do ofiary!

System szpiegostwa wcale nie wchodził w rachuby rządów polskich. „Dostać języka“, znaczyło w czasie pochodu wyszukać człowieka, z siłami przeciwnika obeznanego a tak dalece to dostawanie uważano za niechrześcijańskie, że obowiązek łapania podobnie potrzebnych ludzi ciężył na lekkich chorągwiach tatarskich, które już dla tego wchodziły nawet w skład zaciągów prywatnych. Ani tynfa nie wydawał skarb Rzeczypospolitej na utrzymanie osób, mających donosić dygnitarzom pogranicznym o ruchach wojsk nieprzyjacielskich. Zasada była słuszna; szpieg kupny, jako przedajny, łatwo się mógł przerzucić na stronę przeciwnika, składać fałszywe raporta — a ztąd zdrada i często nieobliczone straty. Szpiegiem uczciwym mógł być człowiek bezinteresowny, szczerze przywiązany do sprawy, której służył...

Dla tego to Sobieski Krzysztofowicza przebywającego w Kamieńcu dla pewnej subtelnej „missyi“, zawsze nazywał prawdziwym Rzeczypospolitej synem, a swoim szczerym niezmiennym przyjacielem. Dla tego w opowiadaniu niniejszem podnosimy zasługi na tem polu kolonistów armeńskich, podejmowali się oni bowiem posłannictwa z dobrej i nie-

przymuszonej woli, własnym groszem, własną spokojnością, własnem życiem szafując... Polska była ich przybraną ojczyzną, to też dla niej wszystka ofiarność, służba na najbardziej zagrożonem stanowisku była obowiązkiem.

Że nie przesadzamy — na to pełno w ówczesnych zapiskach dowodów. „Ormianie, wzmiankuje pewien obywatel Zwaniecki, lubo nie wszyscy, przecież są życzliwi chrześcianom i Turków wyrozumiawszy, naszych przestrzegają“. To znowu aż z Białogrodu pisze przyjaciel Polski: „Szpiegów do Kamieńca wysyłać nie potrzeba, bo jednego w Jagielnicy dostano, a drugiego w Kamieńcu pojmano i obydwóch odesłano do Porty... Raczej zkąd inąd woleliśmy zasięgnąć wiadomości“. Pokazało się, że wysłańcy owi byli Ormianie; starszy z nich uduszony, młodszy „Szenderowski wydrwił się, bo się pobisurmanił i poszedł do wezyra, gdzie mu wielką kupę Turcy nasypali pieniędzy“.

Wprawdzie raporta te częstokroć nosiły cechę przesądu i ciemnoty, ale jeżeli zawierały dobrą dla Rzeczypospolitej przepowiednię, wówczas i ludzie rozumni nie cofali się przed ich powtarzaniem. Tak np. kasztelan czernichowski, ów mężny Gabryel Silnicki, w liście z maja 1673 r. powtarza między innemi nowinami, otrzymaną od swojego korespondenta z Kamieńca: „Krym konsternowany, i cały Wschód, że sam Pan Bóg chrześcianom dobre znaki i *omina* pokazuje; bo przez ośm dni dzwon w cerkwi św. Zofiej w Konstantynopolu, od Juliana cesarza niegdy greckiego *sumptuose* wystawionej, od Porty zaś na meczet obróconej, był słyszany. Czem Turcy, widząc to *miraculum* i dzwonienie, strwożeni z cerkwi pouciekali; przeto teraz ta cerkiew zamkniona jest i żaden do niej nie chodzi, a pogaństwo *ruinam sui Imperii ominatur*“.

Ciekawe też są ostrożności, jakie zachowywali ci skromni a użyteczni ludzie. W jednym z listów „do pewnej osoby“ z Kamieńca, przepełnionym wieściami najrozmaitszemi i zagrzewającemi do walki z wrogami chrześciaństwa, na końcu taki dopisek spotykamy: „Proszę WMPana, abyście przezornie postępowali z mojemi listami; bo wielka nie-

ostrożność pana Czerniechowskiego mało mnie nie zgubiła. Gorliwość moja chciała, by wszystko WMPanom na karcie donieść, ale nie mam komu zaufać. Pachota o mało mnie nie zjadł; wziął dziewięć złotych i listy przez kilka dni zatrzymał do pana Silnickiego, które z wielkim moim frasunkiem rekuperowałem, a pieniądze w amnestyą puściłem *ad feliciora tempora*. Jednak jeśli WM. chcecie mieć odemnie wiadomości, wyślijcie obrotnego chłopa, o czem ąby i on nie wiedział, że tam jest listek do mnie, mówiąc mu, że nie mam ani masła, ani kurcząt, ani jajek, które u nas nie drogie; a ja bych też WMPana obesłał owocem tureckim; a ja też *pariter respondebo*".

Drobnostki to, powiecie, i nie przeczymy temu; ale ile to odwagi potrzeba było, by z placówki nieprzyjacielskiej takie słać wieści do kraju! Nie daremnie ówcześni Kamieńczanie mawiali o swoich: „na włosku jego żywot był", bo też istotnie co chwila pod groźbą szubienicy zostawał...

Zbieramy te szczegóły, pyłki dziejowe, by uwydatnić chwilę daną, by przekonać, że i pod półksiężycem wysoko a jawnie, jako godło zwycięztwa wzniesionym, znajdowała się gromadka ludzi, w ramionach krzyża ukryta, pragnąca zabiegami swemi zapewnić mu zwycięztwo... I kto wie, gdyby tych prostaczków słuchano, gdyby się żółwim krokiem nie zbierano do odwetu, możeby i Kamieniec i Podole i Ukraina nie zaznała tak długiej niewoli!

Już ubodzy owi „denuncyatorowie" szlachetni, rozumieli to niczem nieusprawiedliwione ociąganie się Rzeczypospolitej, skarżą się bowiem na to nieustannie. Oto jeden z wielu dowodów: „Dla Boga! *iterum atque iterum* przestrzegam, bo tam WMościom nikt nie da znać, ani oczy patrząc, ani pióro moje nie osycha, na wielką ospałość korony polskiej... Nie o co pana Boga proszą Turcy, jeno żeby za miesiąc do kupy Polacy się nie zeszli; co *sufficit* im... Mówią, że trzeba chleba czekać. Azaż to nie chleb był w Wołoszech, który już do Kamieńca wjechał? Było kilkakroć stotysięcy *osmaczek*, i to był chleb żołnierza polskiego... Cesarz kazał się Multanom i Wołochom gotować, aby na

pięć lat chleba do Kamieńca wieźli, i bardzo się byli Turcy zdesperowali, kiedy na wiosnę przy małym chlebie byli; teraz w nich dusza ożyła, że patrzą na napełnione kościoły chlebem i sucharami. Czekamy chleba, a kto inny z sierpem idzie, który niedojrzałe kłosy pożżyna".

Ale dość dowodów, boimy się, czyśmy i tak nie znudzili czytelnika. Należy pamiętać, że każdy z dygnitarzy bliżej kresów uwijających się, miewał po kilku wysłańców, którzy mu tureckie nowiny komunikowali. Zwykle wiadomości szły z Kamieńca do Buczacza, Tarnopola, Jarosławia albo Stanisławowa: ztamtąd je kuryerem wysyłano do Lwowa, do pana Żywerta postmagistra, albo p. Łąckiego, miejscowego komendanta, a ci je podług zlecenia, albo w jedno miejsce, albo w licznych odpisach, jeżeli depesza była zbyt ważną, do kilku wyprawiali dygnitarzy.

Największą liczbę tych korespondencyj odbiera Jan Sobieski, jeszcze jako hetman w. kor., miał na ten cel własną pocztę w Żółkwi. Wiadomości od kresów były pożądane, rozbiegały się po wszystkiej koronie, stanowiąc pewnego rodzaju gazetkę. Sobieski zasilał niemi już ówczesnego podkanclerzego biskupa Andrzeja Olszowskiego. Ale i inni wysyłali na „przeszpiegi do Turecczyzny", a w rzędzie ich szczególnie Tarło sandomirski, Jan Potocki bracławski, i Jędrzej Potocki kijowski, wojewodowie, a przed nimi prym trzymał wspomniany po kilkakroć kasztelan czernichowski, Gabryel Silnicki, gaduła i wcale do polityki nie stworzony, przyjmował co mu przyniesiono, byle dużo tego było, byle pomyślne dla Rzeczypospolitej...

W tych codziennych stosunkach z wrogami zawsze występują Ormianie w roli rozjemców między nowymi władcami a pozostałą garstką rozbitków polskich, którzy nie mogli jeszcze opuścić i Podola i jego zbisurmanionej stolicy, a zanadto ufając firmanowi sułtańskiemu, który „rok swobody" zostawiał zwyciężonym, znaleźli się z nowym rządem w kolizyi. Oni to bronili swoich polskich przyjaciół od palcatów, często od stryczka; szczególną opieką otaczali zakładników lwowskich, przeszło dwa lata trzymanych w Kamieńcu,

za pośrednictwem ich uwolnili się mieszczanie polscy od sypania wałów, zamiatania bram miejskich, wypędzania psów z warowni i t. d.

Turcy nie odznaczali się wcale łagodnością, rządy ich zaraz po cofnięciu się Mahometa IV do Carogrodu, wystąpiły z całą grozą. Przymusowi kolonizatorowie muzułmańscy, zwabieni obietnicami, przybywali na kresy niechętnie, ale raz stanąwszy na ziemi podolskiej i to z gołemi rękami, przypuszczali, że mają prawo za tyle kłopotów i trudów odpoczywać na laurach, a tu bez pracy trudno było o kawałek chleba. Nadchodziła dżdżysta jesień, ceny na zboże podniosły się znacznie; „w Kamieńcu, pisze korespondent lwowski, *osmaczka* zboża po 10 lewów, a wiązka drzewa za parę lewów; zgoła im już poczyna dokuczać, a po sto osób jest w jednej chałupie, bo tak ludno tam“... Więc dalejże wydzierać od pozostałych Ormian przywileje, dobytek, domy.

Ztąd lament między nimi, udali się do gubernatora, ale Halil basza czem innem w ową chwilę miał głowę zaprzątniętą. Spodziewał się odwetu, wojna unosiła się w powietrzu, wiedział, że Rzeczpospolita nie dozwoli Turkom spokojnie posiadać kawała ziemi wydartego; jął więc fortyfikować miasto, załogę jego powiększył. Przybył mu do pomocy Murtasy basza, a kiedy jeszcze baszowie Hussejm i Selim pokładli się z wojskiem pod Chocimem, wówczas warownia kresowa wyglądała jak skład prowiantu i rynsztunku wojskowego. Place zawalono stosami amunicyi, w dziedzińcach spokojnych mieszkańców porozstawiano armaty i moździerze, francuzcy inżynierowie sprowadzeni przez rząd ottomański, rozporządzali się w mieście zanadto arbitralnie. Ormianie się przekonali, że niepodobna dłużej utrzymać się im w Kamieńcu, zdobywcy zaczęli ich głośno o stosunki z Polską pomawiać, powypędzano ich z domostw drewnianych. „Załoga domy i budynki pali i *funditus* rujnuje“, woła mieszczanin w wielkim żalu. Zwycięzcy osłonili krok ten pozorem konieczności strategicznéj, właściwie zaś brak opału przynaglił ich do tego, zima bowiem w styczniu 1673 r. szczególną się surowością odznaczała. Został jeszcze sławe-

tnym dość zyskowny przywilej handlowania trunkami, ale i tego ich pozbawiono; „miodu, piwa i gorzałki szynkować zakazano, a to z okazyi dwóch Jańczarów, którzy popiwszy się, nawzajem sztyletami się pozabijali“.

I to jeszcze znieśli cierpliwie. Doświadczenie nauczyło wiele, wszakże cała ich przeszłość historyczna upłynęła jakby na stanowisku straconem. Z początku trochę sławy, a potem długi szereg zawodów i ucisku; pośredniczenie między cywilizacyą a barbarzyństwem, a przytem prowadzenie wymianowego handlu — to było jedyne ich zadanie. Przyzwyczaili się więc do zmienności losu, znosili biedę wytrwale, ustępowali wówczas dopiero z placu, kiedy podnoszono rękę na ich przekonania religijne.

Mówiliśmy wyżej, że Muzułmanie postrącali dzwony z świątyń kamienieckich, potem krzyże, jako widome znaki przybytku Boga chrześciańskiego. „Dzwon wielki stoi u fary na cmentarzu, także ormiańskie i ruskie dzwony z krzyżami pozdejmowano z kościołów. Siła się dzieje despektów duchownym w rynku“ — pisze korespondent ze Zwańca. Ale nie tu jeszcze koniec. „Z kościołów ormiańskich i ruskich kazano srebra okazać dla inwentacyi; Ormianie 200 lewków okupili rewizyą, sami jednak inwentarz podać mają“.

I to koloniści znieśli z pokorą. Zaborcy wszakże na tem nie przestali. Przy kościółku Zwiastowania Maryi Panny, mieszkały „dewotki nacyi ormiańskiej“, osiadłe od bardzo dawna w Kamieńcu. Ksiądz Barącz ze ścisłością archeologiczną ubiór, a ze znajomością dziejową opisał ich regułę; były to tercyarki, „wykonywały śluby czystości, z pracy rąk się utrzymywały i żyły podług reguły św. Bazylego“. Turcy niechętnie patrzyli na zgromadzenie pobożnych niewiast, tembardziej, że w klasztorze ich ogniskowały się nieprzyjaźne zdobywcom żywioły, gdyż „prowizorowie kościelni“ a opiekunowie panien sprzyjali wygnanej ztąd dawnej władzy.

Halil basza wezwał proboszcza ormiańskiego, księdza Macieja, i nakazał surowo, aby zakonnice nie chodziły po ulicach, gdyż stroje ich niezwykłe drażnią ludność muzułmańską. Ksiądz się cofnął w milczeniu z przed oblicza wezyra

kresowego, i zaniósł do klasztoru rozkaz, któremu łatwo było zadosyć uczynić, pobożne bowiem niewiasty w nadzwyczajnych tylko okolicznościach wychylały się po za kratę...

W kilkanaście dni znowu wylękłego kapłana pociągnięto do komendatury.

— Twoje kobiety — wołał gubernator — chodzą w szatach niezwykłych?

Ks. Maciej na znak twierdzenia pochylił głowę.

— Zamknięte są pod strażą sług twoich?

— Sługi ich moje nie pilnują, zamknięte zaś są dobrowolnie, bo tak im religia nakazuje.

— Chrześcianin jesteś? — pytał dalej wielkorządca.

Księżyna roztworzył szeroko czarne oczy, nie rozumiejąc o co rzecz idzie.

— Chrześcianin jesteś, wiem o tem — ciągnął basza, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Bóg chrześciański nie pozwala wam trzymać haremów... Zostań wyznawcą koranu, a wówczas każdy wierny uszanuje twój odalik, teraz nie masz do niego prawa; rozpędź więc kobiety, szaty poodbieraj...

— Ależ to klasztor — ośmielił się wyszeptać zgnębiony rozkazem biedny proboszcz — to nie moje żony...

- Klasztor! nie twoje żony! Wiem ja dobrze! Sam się u ciebie rozporządzę.

Ksiądz Maciej jak opętany wyleciał od baszy; ledwie jednak furtę klasztorną przekroczył, aliści wpadł za nim aga na czele Jańczarów, zebrane w klasztorze niewiasty rozpędził; a nawet szukał pośród nich młodych i urodziwych, lecz opłacony dobrze doniósł Halilowi, że widziane przez niego w ormiańskiej „modlitewni“ kobiety, wszystkie są albo stare, albo szpetne.

Gwałtowny ten wyskok tureckiej administracyi ostatecznie zniechęcił kolonistów. Najwięksi optymiści zwątpili w szczerość jej przyrzeczeń danych przed rokiem, i powstała w kółku ich myśl zbiorowego wysiedlenia — naturalnie do Polski! Wystylizowano prośbę do Carogrodu, a Padyszach na wysiedlenie pozwolił, nie do Rzeczypospolitej jednak,

ale w głąb jego posiadłości. I to było znośniejszem od pobytu w Kamieńcu brudnym, niespokojnym, przeludnionym. Łatwo przyszło „do akordu“ z gubernatorem, za 1500 lewkowych dał im straż przyzwoitą ze spahów, „cedułę“ na prawo korzystania z wozów wołoskich i kilkadziesiąt wielbłądów, które podolskiego nie znosiły powietrza.

Rzesza z 600 osób złożona wyruszyła na południe...

Smutne i zbiedzone były twarze kolonistów wracających znowu pod berło sułtańskie. W Kamieńcu przynajmniej nadzieja im przyświecała, mogli się spodziewać prędzej albo później powrotu polskiego rządu, który ich prawdziwie macierzyńską otulił miłością... a tam? czekał ich ucisk, samowola, choć pewnie mniejsza od zaznanej w ostatnich chwilach. Ubogo wyglądał tabor dobrowolnych wygnańców, choć w skład jego wchodzili przedniejsi obywatele i *ante hosticum* wcale majętni handlarze, jak Seferowie, Butahowicze, Wartanowicze, Misyrowicze, Awakowicze i inni. Znajdowało się w nim 14 panien dewotek, które wiozły w głębokiej tajemnicy wizerunek Maryi Ormiańskiej, chcąc między barbarzyńcami znaleźć dla niej kątek spokojny.

W taborze wlókł się i mały dwunastoletni chłopiec Stefan Agopso, syn mieszczanina kamienieckiego, sierota od niedawna zupełny. Matka go odumarła w niemowlęctwie, ojciec podczas szturmu miasta, ratując własne palące się domostwo, zginął w jego płomieniach. Malec snać nie pojmował ciężaru sieroctwa i całej grozy wygnania, bo wesoły i uśmiechnięty wdrapał się między dwa garby wielbłąda i jął patrzeć spokojnie na niknące za horyzontem baszty zamku kamienieckiego. Zwrócił jego uwagę chwilowo rzewliwy i głośny płacz wędrujących współbraci, ale już i z płaczem miał się czas oswoić, bo radośnej twarzy od dawna nie widział.

A dzień sierpniowy pięknie się światu uśmiechał, słońce złociło ziemię, lasy szumiały w oddali w zieloną strojne sukienkę, pola tylko wyglądały smutno, zasiewów nigdzie nie dojrzałeś, burzany tylko ogromne bujnie po nich rosły...

Ody (pułki) tatarskie, małemi oddziałami porozmieszczane wzdłuż drogi do Chocima wiodącej, urozmaicały krajobraz.

Na trakcie ruchu było nie mało. Skrzypiące maże wołoskie z piskiem leniwo sunęły ku miastu wiozące zboże, długie szeregi wołów ciągnęły olbrzymie *kartany* przeznaczone do bronienia zdobytej twierdzy, czasem przemknął z *komunikiem* w kłębach pyłu ledwo dojrzany poważny oficer ottomański, tatarski, albo turecki *ułah* przeleciał, snuli się też i Lipkowie, nieustannie próbując, ażali się im nie uda urwać jakiej zdobyczy z taboru wędrowców. Straż ich ciągle odpędzała, następowały kłótnie, bójki, krzyki, potem nawoływano do porządku i karawana zatrzymana znowu ruszać się zaczynała...

Wszystko to Stefana bawiło, choć wcale nowem nie było dla niego; już bowiem ojciec go nieraz zabierał z sobą, wędrując na Wschód daleki, po owe słynne towary, mające taki pokup w Polsce. Chłopiec przyzwyczaił się do niewygód podróży, nauczył się w niej po turecku i po tatarsku, więc teraz mógł być wygnańcom pomocnym. W całej tej rzeszy miał jednę tylko pokrewną sobie osobę, starą ciotkę Rypsymę, dewotkę, pod jej też bezpośrednią opieką zostawał. Pilnował sprzętów klasztornych, przez dwa dźwiganych wielbłądy, i na jednym z nich, pośród mnóstwa pakunków i węzełków siedział, dziwiąc się głośnemu zawodzeniu kobiet, smutkowi starszych kupców, równie jak ruchowi panującemu na szlaku, pięknym niebiosom rozpiętym nad ziemią i tej ziemi tak malowniczo pogiętej w pagórki, ubranej w drzewa i rozległe pola...

Gdzie wędrował? po co jechał? czy kiedy tu powróci?.. To go wcale nie obchodziło... Zostawił on po za sobą wspomnienie strasznych płomieni, utkwiła mu w pamięci wyciągnięta, zwęglona i poczerniała postać, ktoś z obecnych nazwał ją ojca jego imieniem, serce się wówczas chłopcu od żalu ścisnęło, usta wykrzywił płacz, ale razem i trwoga go ogarnęła, stał nieporuszony długo, długo... potem nieznany mu stary człowiek zbliżył się do niego, spytał o na-

zwisko, pochwycił na ręce i poniósł do klasztoru panien dewotek...

Tam ukryto chłopca w lamusiku, karmiono skąpo, nie pozwolono ruszać się z miejsca, nawet robotę miał sobie wyznaczoną — „zabawny był strzępieniem starych szmat na flejtuszki“, jak sam opowiada. Czasem dolatywał go huk wstrząsający całym budynkiem, potem łoskot, pękanie, krzyki, a pośród tego hałasu grzmiały działa, jęczały dzwony...

Naraz wszystko się uspokoiło, lament tylko niewieści ciszę przerywał, zapanowała długa noc, oświecona jaskrawą łuną pożaru, bijącego od zamku, dym ścielący się po ziemi przedostał się do miasta, tamował oddech, wygryzał oczy, sierota opuszczony płakać począł, nikt go jedaak nie słyszał...

Spłakany, zasnął nareszcie, a nad ranem obudziła go wrzaskliwa muzyka. Dłużej już wytrzymać nie mógł, wychylił się z lamusu... nie ma nikogo, przedostał się na dziedziniec, otworzył sztucznie zamkniętą furtkę, ocknął się na ulicy, aż tu go spotkał jeden z seniorów kościelnych, pogroził, zabrał z sobą i do ciotki zaprowadził... I nic nie widział, i dostał admonicyą i na dobitkę w celi go zatrzymano... Dopiero teraz, po roku tego więzienia, wyprowadzono go za miasto, nic więc dziwnego, że twarz mu się śmiała wesoło; że duże, czarne pojętne oczy, ciekawie na wszystko patrzyły...

Tabor tymczasem posuwał się dalej; było trochę trudności u *saksyju* przez rzekę naprzeciw zamku chocimskiego rzuconego, Turcy niechętnie prywatnym osobom przebywać go pozwalali, bo służył im tylko do celów wojennych. Na nocleg wytknięto wygnańcom pochyłą płaszczyznę, na której to Sobieski w kilka miesięcy podniósł koronę polską, kupując ją świetnem zwycięstwem.

Trzeba było zadosyć uczynić pewnym formalnościom i do miasta się udać. Załogą stali w niem Ottomani *„praesidium* z Derybaltą, złym człowiekiem; pieszych ledwie 400 nowo w Stambule zaciągniętych, młodych, niećwiczonych, a konnych sto“. Za to po za warownią, zastępy Hussejma

baszy, wynoszące do 19.000 żołnierzy, jako awangarda wielkiej armii, leżały szerokim obozem, którego namioty bielały aż na krawędzi Tarabanów, wioski położonej nad Dniestrem. Chocim utracił cechy multańskiego miasta. Po zdobyciu Kamieńca zwycięzcy przekształcili go na turecką placówkę, a oto jak nam maluje ówczesny stan jego jeden z korespondentów: „Zamek chocimski, który zawsze był w dyspozycyi hospodarów wołoskich, gdzie też była rezydencya Burkułaba, *depositorium* panów wołoskich i schronienie obywatelów chocimskich podczas trwogi; do tego cerkiew piękną, malowaną, z funduszem codziennego nabożeństwa, teraz odebrano Wołochom i 200 Jańczarów osadzono, dzwony w cerkwi i klepadło zabrano, malowanie tamże psować zaczęto, i już się ta pewnie w meczet obróci. Hospodar okupując swoją mizerną rezydencyę w Chocimiu, aby mógł do Jass odjechać, 3.000 talerów gubernatorowi kamienieckiemu dać musiał. Burkułab chocimski nie stoi za atamana, i codziennie od Turków przechodzących despekty i obuchy ponosi. Owo zgoła owa obfita ziemia wołoska, miodem i mlekiem opływająca, obróci się w pustynię i przyłączona być musi pod baszę kamienieckiego".

Butachowicz uproszony od wygnańców, podążył do miasta, wziął też z sobą młodego Stefanka, który tu po raz pierwszy w roli zaimprowizowanego dragomana wystąpił. Mały tłumacz wywiązał się należycie z zadania, choć Ormianie nie wiele wskórali. Wozów im nie dano, a że zresztą fermanowi baszy kamienieckiego nie miano nic do zarzucenia, Derybałta więc nie zatrzymał wygnańców, kazał im tylko w dalszym pochodzie obejść miasto wzdłuż północnej i zachodniej jego krawędzi, o ile można najdalej od obozu tureckiego.

Ze świtaniem wyruszyli w step. Na drugim noclegu, wedle umowy pożegnali ich spahowie, pożegnał i aga dowódca, hojnie udarowany; błogosławieństwo proroka rzucił on tułaczom na drogę, potem konia ku Kamieńcowi skierował i jadąc stępo, zamyślał się nad fatalnością, która zmusza kolonistów wędrować z północy na południe, kiedy tego

wcale nie pragną, a jego pcha ku północy, kiedy oddałby pół życia, by drugą połowę spędzić spokojnie nad Bosforem błękitnym.

Szary, cichy, gwiaździsty wieczor otulił step Urzyjski muszlinowym mgły rąbkiem, ognie taboru zabłysły, czaty złożone ze spokojnych obywateli wysunęły się na wytknięte stanowiska, a w środku tak zaimprowizowanej osady, na przewróconej maży, kosztownym „kilimkiem“ perskim okrytej, stanął skromny wizerunek Matki Chrystusowej a opiekunki wędrowców! Miasto rzęsistego i jarzącego świec szeregu uboga lampka olejna oświecała ciemne rysy Bogarodzicy.

Po skończonych nieszporach, uklękly przed nią smutne zakonnice, odmawiając modlitwy wieczorne, a ks. Maciej, proboszcz obozowy, przy migającem światetku skrzętnie dzieje dnia całego w raptularzu zapisywał, zamykał rachunek wydanego haraczu i „przymusowych darów“, myśląc z trwogą, ażali starczy środków na doprowadzenie tej rzeszy do cichego portu.

Znużeni podróżni do snu się układli, zmieniając się kolejno przed ołtarzem. „Nieustanną adoracyą“ zdobywano wiarę w pomyślność tej bez wytkniętego celu podróży... Szli na południe? Do jakiego właściwie miejsca? Nie wiedzieli wcale! Ona wskaże! — myśleli, zwracając się z nabożeństwem i ufnością w stronę wizerunku świętego.

III.

Leniwo posuwała się naprzód karawana. Cały miesiąc spędziła na stepie, trzymając się zdala od głównego szlaku tatarskiego, biegnącego wzdłuż Dniestru, znaczonego wysokiemi kopcami. Traktem tym wytkniętym przez rabusiów, a znanym w dziejach naszych pod nazwą „wołoskiego“, płynęły teraz zbrojne zastępy Ottomanów, żądne nowej walki; butnie, huczno spieszyły one pod Chocim pewne zwycięstwa; toż przecie tak niedawno i tak srodze upokorzyli Rzeczpospolitą...

Koloniści nieraz pośród nocy słyszeli głuchy tentent bawołów ciągnących ciężkie działa oblężnicze, owe *bałgemusy* i *kartany*, tak straszny ziejące ogień, a wówczas dalej odbiegali od szlaku, i nie rozniecali już ognisk śród nocy, zachowując się cicho i ostrożnie. To też bez żadnego ważniejszego wypadku dotarli do brzegów morza Czarnego, kilku tylko ludzi utraciwszy w podróży. Tutaj na trzech wynajętych okrętach powędrowali dalej. Jeden okręt po kilkudniowej burzy zatonął, i nikt z obecnych na nim nie uratował życia; dwa zaś inne przybiły szczęśliwie do wybrzeża tureckiego w Zysopolu.

Biedni tułacze zastali miasto wyludnione, bo morowe powietrze panujące tu przed rokiem wystraszyło mieszkańców; kto nie umarł — uciekł; a Padyszach nie pozwolił przybyszom wkraczać w głąb kraju. Tutaj więc zimę prze-

pędzili i dopiero wiosną 1674 r. przenieśli się do Macedonii, gdzie już odetchnęli swobodniej. Nawet kościółek udało się im zbudować, a w nim umieścili cudowny wizerunek Matki Boskiej, wywieziony z Kamieńca.

Liczba kolonistów zmniejszyła się do połowy. Nie dorachowano się zatoniętych, wielu dokonało żywota w Zysopolu dla braku pokarmów zdrowych, lub z tęsknoty do kraju. Nowa osada liczyła 300 przeszło osób, samorząd gminny miała swój własny, jak niegdyś na Podolu, a więc wójtów, radnych, mężów zaufania i seniorów. Handel zakwitnął szeroko, przybysze w prędkim czasie umieli zjednać sobie szacunek nawet u Muzułmanów...

Niedostawało jednego — wesołości i swobody. Piękny kraj nie nęcił, wygody życia nie miały powabu, korzyści handlowe nie zadowalniały, bo oczy ciągle zwracały się na północ daleką, ku biednej Polsce, pasującej się z potężnym wrogiem chrześciaństwa... Kolonia nowa pomimo zapowiedzi świetnej przyszłości wyludniać się zaczęła. Poważni kupcy nielicznemi gromadkami wynosili się pokryjomu, dążąc do tej drugiej ojczyzny, którą bodaj czy nie goręcej ukochali od pierwszej. Toż przecie już wówczas większość ich nie znała rodzinnego języka, posługując się tylko polskim wyłącznie.

I panny dewotki, wziąwszy obraz cudowny z sobą, podążyły z powrotem, a młody Stefan służył im za dragomana. Szczęśliwie dostały się do Bukaresztu, gdzie ich hospodarowa przeszło pół roku zatrudniała robotą; szyły wyprawę dla młodej księżniczki. Dopiero w 1676 r. dotarły do Stanisławowa, a ztamtąd zaproszone przez arcybiskupa lwowskiego ks. Torosowicza do stolicy Rusi Czerwonej, osiadły w budynku klasztornym, położonym na cmentarzu ormiańskim, jako Benedyktynki. Do zgromadzenia weszło tylko sześć panien kamienieckich, pięć umarło na tułactwie, trzy zaś, jako nieznające ormiańskiego języka, na dewocyi pozostały...

W liczbie ostatnich znajdowała się i Rypsyma, ciotka Stefana. Wyrostek do życia wędrownego przyzwyczajony,

a teraz wyrzucony na bruk, nie wiedział co ma robić z sobą, liczył już wprawdzie lat 16, ale handlu nie lubił, a obowiązki względem ciotki przykuwały go do miejsca. Na szczęście spotkał we Lwowie znajomego z Kamieńca.

Chocimirski, poważny mieszczanin, trzymający się z waszecia, opuścił warownię kresową zaraz po pogromie. Posiadał tam dworek wcale pokaźny, na rubieży rynku ormiańskiego, prawie naprzeciw Karmelitów na Skałce, a w nim czuł się szczęśliwym. Bóg odmówił mu jednej pociechy — nie chowały się Chocimirskiemu dzieci; ofiary, modlitwy, wędrówki do miejsc cudownych nic nie pomagały...

Po opuszczeniu Kamieńca, już we Lwowie, urodziła mu się córka, matka wprawdzie niewygody podróży przepłaciła życiem, ale sierota się chowała. Chocimirski przygnębiony wdowieństwem, nie pomału się ucieszył spotkawszy na ulicy Stefanka i Rypsymę. Obie strony rychło się porozumiały, on potrzebował opiekunki dla swojej Małgosi, i to koniecznie Kamienczanki, któraby w nią wpoiła miłość do tego kąta, stara zaś dewotka, wraz z siostrzeńcem potrzebowali dachu. Chocimirski już się we Lwowie w domek zaopatrzył, miał przytem trochę grosza, który rozdany na uczciwą prowizyę, zapewnił skromne utrzymanie, więc łatwo przyszło do ugody.

Zamieszkali razem, a poczciwy mieszczanin „do narodu polskiego kamienieckiego“ należący, dawnych sąsiadów, a dziś tułaczy wziął pod swoją opiekę. Wkrótce do tego kółka przyłączył się gość nowy, z dalekiej wracający wędrówki, a był nim Kasper Butahowicz, postać znakomita, przynajmniej podniesiona do tej godności przez wielce zasłużonego historyografa Ormian polskich. Znajdował się on w liczbie wychodźców do Turcyi, długo się błąkał po Bałkanie macedońskim, stróżując wizerunkowi cudownej Maryi ormiańskiej. Po przybyciu do Lwowa, uregulował w 1682 roku interesa Kamieńczanów i został prowizorem bractwa wygnańców.

Słynął jako mowca i orator pośród swoich, on to witał Jana III, kiedy król zjechał do Lwowa, a w tej górnolotnej

oracyi nie zapomniał o Podolu: „Stanęła — wołał — łuna ottomańska w locie swym, zaćmiła do czasu grubą ellipsis umbrą, jasno-świetną ozdobę słońca podolskiego!...“

W cichym więc Chocimirskiego dworku odżyły dawne tradycye, i marzono tam o Kamieńcu, jak gdyby o kochance... Butachowicz stawił się co wieczora, mordował tysiące Turków, przynosił pomyślne wiadomości od kresów — głód, mór, trwoga, nadprzyrodzone zjawiska, w jego przekonaniu sprzysięgły się na nieprzyjaciół krzyża.

Obaj wygnańcy przy lampce miodu puszczając wodzę fantazyi, rozprawiali zawzięcie o nowem urządzeniu miasta i o wypędzeniu zeń żydów, bo wiedzieli że synowie Izraela gospodarowali teraz na dobre w starym grodzie Korjatowego syna. Młoda dziewczyna słuchała tych pełnych entuzyazmu opowieści, pod których wpływem warownia kresowa rosła w jej wyobraźni, równała się rajowi utraconemu, kędy słońce jaśniej świeci, ptaszki wdzięczniej śpiewają, ludzie lepsi, świat inny...

Ojciec malował wygody pozostawionego dworku, otoczonego gęstych lip wiankiem, lip jedynych w całem mieście, otulających ganek, co ciekawie wybiegał na ulicę. I snuł na jawie obrazki z przeszłości, jako z wieczora po odsygnowaniu na *Anioł Pański* zbierali się poważni konsulowie miejscy, zasiadali na przestronnych ławach ganeczku, gwarząc spokojnie, pod tarczą i opieką murów niezwyciężonej, niezdobytej warowni, mrok zapadał coraz głębszy, drzewa dziwnie miłą woń wydawały, szepcząc jakby modlitwę.

Butahowicz o wspaniałej świątyni św. Mikołaja rozprawiał, ubranej w werandy wschodnie i krużganki kamienne, o przedziwnej strukturze ratusza ormiańskiego, o jego ścianach upstrzonych sentencyami czerwono pisanemi, o szarych, prawie czarnych belkach dębowych, podpierających pułap, z wyrzeźbioną na nich poważną datą, sięgającą XIV stulecia. Stefan Agopso z lubością się w tę opowieść wsłuchiwał; zmęczony całodzienną pracą w sklepie Butahowicza, gdzie zajmował poważne miejsce starszego dozorcy, rwał się do innego świata... Duszno mu było śród kramów ciasnych

i ciemnych... Mała córka Chocimirskiego, wychowana prawie na jego ręku, bawiła go szczebiotaniem, przynosił jej słodkie pierniki, zabawki z miasta, ztąd powstał pewien stosunek serdeczny, a starzy nawet przyjaciele kojarzyli tę parę w rzadkich chwilach dobrego humoru, myśląc, że przy nich, kiedyś, później, ale koniecznie nie gdzie indziej, tylko w Kamieńcu polsko-ormiańskim, dokonają szczęśliwie żywota.

Los jednak zrządził inaczej.

Powiedzieliśmy wyżej, że młody Stefan rwał się do świata — to też zadrgało mu serce wielką radością, kiedy się dowiedział, że świeżo sprowadzeni do Lwowa Trynitarze wybierają się z pierwszą do Kamieńca redempcyą.

Miało to miejsce w 1688 roku.

Udział w niej brał O. Michał *a Sancta Maria*, Hiszpan, właściwy redemptor i towarzysz jego X. Michał *a Sancta Trinitate*, ów nowicyusz Ormianin, mówiący doskonale sześciu językami wschodniemi. Tak go nazywa Szajnocha, Helleniusz, wreszcie tak go tytułują i wizyty miejscowe, kiedy według ks. Barącza miał to być ks. Zacharyasz Michalewicz, Kamieńczanin, który po zdobyciu warowni przeniósł się do Lwowa.

Stefan przyjął udział w redempcyi jako tłómacz, sam się wprosił do tej niebezpiecznej wędrówki. Na wielkiej radzie w domku Chocimirskiego dano mu na to pozwolenie, a stary mieszczanin polecił wysłańcowi opatrzeć siedzibę jego kamieniecką. Nie wiedział biedak, że drewniane domostwo dawno poszło na opał, lipy tylko trafem ocalawszy, rozrosły się konarzysto, a wyznawcy Allacha pośród znojnego lata pod ich dobroczynnym cieniem odpoczywać lubili. Butahowicz także dał handlowe zlecenia, ciotka Rypsyma kazała pokłonić się grobom, szesnastoletnia Małgorzata żegnała z żalem przyjaciela i jedynego towarzysza zabaw niewinnych...

Uboga gromadka z czterech ludzi złożona, po cichej rannej mszy, wyruszyła ze Lwowa 15 stycznia na kresy. Wędrówka to była niezwykła, pierwsza tego rodzaju w tych stronach! Zakonnicy z krzyżem na piersiach, z kaletą skro-

mnie naładowaną — (mieli z sobą zaledwie 4000 złotych) — szli do barbarzyńców, aby uwolnić braci jęczących w niewoli. Podróżni bez przygody stanęli w Janowie pod Trębowlą, zkąd wypadało dać znać Baszy kamienieckiemu i o przybyciu i o zamiarach.

Użyty za pośrednika janowski mieszczanin Ksornit, chciał skorzystać z okoliczności, pieniądze zamyślał zabrać sobie a mnichów z kwitkiem odprawić; straszył więc ojców wielkiemi niebezpieczeństwy, przeszkodami trudnemi do zwalczenia i misyę wykupna wspaniałomyślnie przyjmował na własne barki. Nie dali się jednak pielgrzymi w pole wyprowadzić, i cichaczem, wśród mroźnego ranka wyjechali z Janowa. Dwa razy nocowali na stepie, bo gospód i wiosek po drodze nie było, a piękna ziemia podolska stała pustką. I polska granica od Turek bezludnie się prezentowała, posterunki tylko wojskowe, owe kresowe czaty, mieściły się w naprędce skleconych i ostrokołowych budynkach. Zbywało na ochotnikach do kolonizacyi w tej stronie, z powodu ciągłych napadów i niepokojów; Trębowla była ostatnią placówką, ostatnim punktem zabezpieczającym jakie takie schronienie.

Podróżni jechali przez Kopyczyńce, gdzie właśnie była granica paszałykatu podolskiego, potem przez Uciatyń, leżący w gruzach, stepem 8-milowym. Po dziwnie męczącej wędrówce, zostali dnia 2 lutego przez Ruską bramę wpuszczeni do Kamieńca; w zamku jednak ze względów politycznych pokazać się im nie pozwolono. Lud miejski patrzył ze zdziwieniem niemałem na niezwykłych gości. Radosna wieść między chrześcianami trzymanymi w niewoli rozbiegła się, że papież przysyła kapłanów opatrzonych pieniędzmi, by ich z więzów oswobodzili; muzułmanie zaś zatrwożyli się nie pomału.

— Chyba to czarnoksiężnicy być muszą — szeptano dokoła — z pieniędzmi i bez eskorty, bezbronni dostali się do Kamieńca, nie „awizując się“ gubernatorowi...

Stał się popłoch w mieście. Basza z tego powodu kazał przybyłych aresztować; ale na szczęście znalazł się po-

między domownikami baszy uczciwy Turek, marszałek jego dworu, który nietylko przejednał pana, lecz owszem ułatwił zakonnikom jak najspieszniejsze dokonanie zamiaru.

O zmierzchu dnia jeszcze tego samego, pobożni pielgrzymi mając przy sobie dworzanina Baszy i młodego Agę, zbisurmanionego Rusina, ale łagodnego zresztą człowieka, udali się do rozmaitych domostw, kędy niewolnicy byli trzymani.

Serce ich rwało się z bólu na widok nędzy, w jakiej jeńców zastali, na myśl, że z tej rzeszy ledwie dziesiątą część wykupić będą w stanie! Handlarze tureccy trzymali się z początku zgodnie i stawili ceny wysokie. Młoda kobieta z dziecięciem najwyżej była ceniona, bo 1000 zł., mężczyźni do pracy zdolni po 800, starzy i schorowani po 300, niewiasty leciwe opuszczano najtaniej, bo 200 złotych.

Przy pośrednictwie wszakże owego usłużnego Turka, ceny zostały zniżone w części, ledwie jednak ośm osób uwolniono z jassyru. Kupcy widząc, że się zakonnicy zabierają do powrotu, jeszcze łagodniejsze stawili kondycye, ale na nieszczęście grosza zabrakło pielgrzymom, prosili jednak o cierpliwość, łagodne z pozostałymi braćmi obchodzenie się, zapewniając, że wkrótce powrócą, a wtedy zapewne większym zasiłkiem rozporządzać będą.

Z radosnem sercem, pod eskortą kilkudziesięciu spahów wyruszyli redemptorowie z Kamieńca, w towarzystwie uszczęśliwionych więźniów, oswobodzonych z niewoli!

Stefan Agopso został w kresowej warowni. Zręczny Ormianin umiał się podobać wielkorządcy i jego dworowi, i basza zrobił mu świetną propozycyę. Właśnie brakło mu dragomana, więc na tę posadę młodzieńca zapraszał, pocieszając nadzieją, że niebawem gdy się tylko odznaczy, podniesie go do godności tłumacza Porty ottomańskiej. To już zaszczyt nie lada!

— Z wielkiej przychylności do tego oto miasta królewskiego — pisał nasz Stefan do jednego z swoich przyjaciół: „zostałem w usługach baszyńskich, nie wyrzekając się

wiary ojców moich, by tem chrześcianom w niewoli srogiej jęczącym pomocnym być i użytecznym".

Redemptorowie wrócili z wykupionymi jeńcami do Lwowa, gdzie witano ich uroczyście. W tłumie licznych widzów znajdowali się i nasi znajomi. Chocimirski i Butahowicz.

— No, proszę waszeci — odezwał się pierwszy — a toć nasz Stefanek został na dobre między bisurmanami; żal mi tylko Małgosi, bo tęskni za nim dziewczę.

— Wróci on wróci — odrzekł Butahowicz — niech mu tylko pięty dobrze wypalcatują! Wróci — dodał zapalając się — ale nie będzie on ze mną już gadał, o nie będzie!.. Zachciało mu się dostojeństw, służby u niewiernych... Wielka mi figura — dragoman jakiegoś tam obszarpańca, maleńkiego wezyra! Nicpoń, powiadam wam, rozwłóczył się po świecie, handlu nie lubi, nic z niego już nie będzie!

Kiedy starzy przyjaciele gderali na Stefana, on tymczasem rozglądał się pilnie po Kamieńcu... Jakże wiele w nim zmian się dopatrzył! Zamek jeszcze utrzymany jako tako, przeciwnie nawet opatrzony lepiej przez Turków, którzy połączyli go z miastem za pośrednictwem wysokiego kamiennego mostu, ale też za to właściwy gród w gruzach prawie leżał! *Belouardów* wprawdzie było w nim pełno, bo aż pięć dźwignęli nowi zdobywcy, ale za to bastyony nad przepaścią rzucone, powiązane ścianami z chrustu gliną lepionego, robiły wrażenie kurnika.

Ulice od lat kilkunastu nie brukowane, wiecznie puste; *karawan-seraj* na polskim rozwielmożnił się rynku, cztery wspaniałe chrześciańskie świątynie na meczety zamienione, odarte, brudne; w przedsionkach ich gnieździło się trędowate żebractwo. U Franciszkanów — skład efektów wojskowych, u św. Katarzyny także; wspaniały kościół Jezuitów przerobiony na stajnię, a w niej kilkanaście zbiedzonych wielbłądów i kilka ladajakich wierzchowców; inne domy Boże z kamienia stawiane leżały w gruzach, bez dachów, okien, drzwi, straszną pustką świeciły śród zimy, dając przytułek psów gromadom... Latem przynajmniej ubierał wdzię-

cznie te ruiny kwiat żółty pnący się po murach, z gotowością bratnią ochraniał nagie i poszarpane ich boki, ale zimą mury smutne były i ponure...

Wszystkie zaś drewniane cerkwie poszły już dawno na opał. Klasztor Karmelitów zrujnowany, a na miejscu jego wznosił się rondel armatni, ostrzeliwający most nowy, w klasztorku Dominikanek gospodarowali Janczarowie stojący w mieście załogą. Jeden tylko budynek wznieśli bisurmanie — skromny meczet około Lackiej bramy, przeznaczony dla Lipków, w załomach Smotrycza osiadłych...

Młody dragoman niewielu zastał pobratymców w mieście. „Zlachceni" wychodźcy ormiańscy nie znosili duszącej atmosfery nowego rządu, ale przybyli do Kamieńca koloniści na rok, na dwa lata przed jego zdobyciem, łatwo się zgodzili z nowym rzeczy porządkiem. Kilkudziesięciu z ich grona, przetrwało cały ciąg 27-letniej niewoli, dając się najspokojniej odzierać wszystkim baszom kolejno po sobie następującym. Starszyzna garnizonowa była liczna, ale niepokaźna, a na jej czele stał gubernator, udarowany tytułem w. wezyra, to znaczyło, że stanowisko, które zajmował, było dość ważnem, zwłaszcza że należał do niego i Chocim i wszystkie *praesidia* podolskie.

Audyencye dawał wezyr zwykle cudzoziemcom w bastyonie świeżo na Skałce wzniesionym i wówczas występował z pewnym przepychem, sadowił się na kosztownym dywanie, otoczony drabantami — *iczoglanami*, strażą honorową, zawsze przy boku mając jednego z porządniejszych dygnitarzy, dragomana i *adczerysa* czyli pisarza. Kawał placu między rondlem a franciszkańskiemi ruinami, pokryty zabudowaniami oparkanionemi, stanowił prywatne baszy mieszkanie, podzielone jak zwykle na dwie połowy. Większą zajmowały żony, mniejszą *salamlik*. Była to izba obszerna, dość niska, ubrana w maty i sofy, składające się z twardych i niewygodnych materaców, obciągniętych kilimkiem jaskrawym.

Tutaj gubernator odbierał wizyty podkomendnych, sądził sprawy ważniejsze, odbywał narady, dawał posłuchanie

licznym szpiegom, dobijał targu o dostarczane mu z Rusi kobiety, oglądał pokaźniejsze, przeznaczone na *bakczysz* dla wyższych urzędników dywanu itp. Zastępcą wezyra był komendant, *janczar-aga*, który miał jeszcze pod sobą trzech młodszych baszów. Na czele duchowieństwa stał *Mufty*, który wespół z komendantem stanowił radę przyboczną wezyra. *Kijaja* pilnował skarbu, w suterenach sklepionych przy placu ormiańskim umieszczonego; *kady* czyli sędzia na ratuszu polskim zasiadał.

Okopisko przy sułtańskiej *dżamii* najporządniej się jeszcze prezentowało. Wody nigdzie, w całem mieście, jak za dawnych, dobrych polskich czasów; jedna fontanna około meczetu Halila baszy szemrała, tu też prawowierni schodzili się na ablucye.

Po ulicach zwykle pustych, snuły się rządko odarte postacie zbójeckich Lipków, podejrzanych żydów, nadto głodnych psów gromady. Wypędzano ich nieraz z miasta, ale umiały zawsze powracać do niego, nie nagabywane przez Turków. Ruchu w ogóle i życia w mieście nic — jakby wymarło... Czausz, ułłah, jeniec prowadzony na *questię* — oto wszystko; ale i to wywoływało zbiegowisko próżniaków.

Kamieniec tak ludny w pierwszych dwóch latach okupacyi, teraz stał pustką; koloniści tureccy nie znosili klimatu tutejszego, dziesiątkowały ich gorączki i febry, wymierali całemi domami. Wszczęła się ztąd emigracya tak gwałtowna, że władze chcąc ją zatrzymać, kazały wartom bram miejskich pilnować, a wówczas przybysze ze skał się rzucali. I dywan się rychło przekonał, że nie wiele zyskał na zdobyciu Kamieńca, owszem skarb musiał ponosić znaczne koszta na jego utrzymanie. Podole nie płaciło podatku. Ukraina tem mniej...

Umieli zdobywcy wszystko zburzyć i nic natomiast nie budowali. Polityka ich czynna, aspiracye zaborcze słabły z rokiem każdym. Nowy dragoman, ów nasz znajomy Stefan, bo tak go odtąd w urzędowych papierach mianowano, trafił na epokę przechodową, najniewdzięczniejszą dla ludzi szu-

kających doli, choćby dlatego, że trwała ona od lat kilkunastu a przeciągnąć się mogła także zbyt długo...

Odczarował się on już po kilku dniach pobytu w mieście, ale cofnąć się nie mógł, klamka zapadła — wejść w służbę ówczesnego dygnitarza tureckiego, było to jedno — co zostać niewolnikiem; ucieczka tylko salwowała od przyjętych obowiązków. Opatrzył się zapóźno, wypadało czekać lepszych czasów, dogodniejszej chwili...

Czekać jednak długo na nie musiał — bo aż do karłowickiego przymierza...

IV.

Wieść o zwrocie Podola i Kamieńca napełniła weselem serca wszystkiej Rzeczypospolitej mieszkańców.

Działo się to w r. 1699.

Traktat podpisany 26 stycznia „na uroczysku Karłowiec nazwanem, w Syrmii, między Peterwardynem a Salakamem“. Nim jednak przyszło do jego ratyfikacyi między Rzecząpospolitą a Turcyą, sporo upłynęło czasu. Komisarze nasi, przeznaczeni „do kommutacyi Wołoch i odebrania Kamieńca“, stawili się w całym komplecie, w terminie oznaczonym we Lwowie, u Stanisława Jabłonowskiego, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego, „któremu superintendencya tej komisyi była zalecona“.

Zjazd odbył się pierwszego marca, a kasztelan hojnie podejmował gości, i niejeden antałek wina wysuszono na intencyę przyszłej ewakuacyi Kamieńca, że jednak „ablegat królewski“, Stanisław Mateusz Rzewuski, nie stanął jeszcze podówczas na miejscu swojego przeznaczenia, t. j. w Carogrodzie, Jabłonowski więc odroczył zjazd i zaprosił komisarzy uprzejmie dopiero na 15 maja pod Okopy św. Trójcy, gdzie chorągwie polskie, regimenta piesze i artylerya koronne oczekiwać miały na ich przybycie.

Okopy św. Trójcy, albo blokada Kamieńca podolskiego, powstały w ciągu sześciu tygodni. Stanisław Jabłonowski dogadzając Janowi III., wzniósł rzeczoną warownię i to prawie

własnym kosztem, aby przeszkodzić dowozowi żywności do Kamieńca, oddalonego ztąd o trzy mile niewielkie. Wyznać potrzeba, że do dziś pozostałe ruiny (dodamy z wdzięcznością, przez teraźniejszego posiadacza w porządku utrzymywane) imponująco wyglądają, choć krwawy dramat odegrany w nich za czasów barskiej konfederacyi, wiele ujął im z dawnej świetności.

Warowienka ta leży na pochyłej płaszczyźnie; jądro jej składały cztery ogromne, powiązane murem, okopane fosami, o mostach zwodzonych i licznych strzelnicach. Południowo-wschodnią stronę zabezpieczały skaliste brzegi Dniestru i strome urwiska Zbrucza, które to rzeki spływają się z sobą pod ścianami warowni, północną zaś i zachodnią olbrzymie wały, w niektórych miejscach podwójne, usypane przez polskich żołnierzy. Obecnie na nich rośnie las już spory, gleba poruszona przystępniejszą staje się wegetacyi; drzewka małe pod ochroną ziemnej zasłony bujnie a rychło w górę strzeliły...

Placówka owa strażnicza nad całą panowała okolicą. Na prawo od niej wznosiła się groźna Chocimska warownia, o jaskrawych, czerwonych ścianach, strzelająca w niebo licznemi minaretami. Leżała ona o miedzę, oddzielona Dniestrem i sporą płaszczyzną, po dwakroć uzacnioną naszemi zwycięstwy. Przed nią Zwaniec z poczerniałym zameczkiem Lanckorońskich na górze, a za nim, bliżej ku Braże, zieleniały nasypiska ziemne — to szańce, w których Tarnowski, Zamojski, Żółkiewski w czasie utrudzających wędrówek po kresach odpoczywali. Ztamtąd ku wschodowi wije się droga prowadząca do Kamieńca.

Żołnierz więc stojący na baszcie Okopów widział znaczną część kraju przed sobą; dwie warownie, dwie przez stary Tyras przeprawy, nadto główny szlak, po którym szły transporty żywności dla Kamieńca. Nie należy bowiem zapominać, że dwudziestokilkoletnie gospodarstwo ottomańskie na kresach zamieniło żyzną ziemię podolską w step nieurodzajny, że dla wykarmienia wojska stojącego garnizonem

w miasteczkach podolskich, prowiant z Multan i Wołoszczyzny ściągano. Główne zapasy szły przez Chocim.

Po wzniesieniu Okopów, nieprzyjaciel musiał się wyrzec tej drogi, partyzanckie bowiem oddziały nasze sprzątały wszystko doraźnie; eskorta padała pod strzałami, o niewolniku mowy nie było, a woźnice, zazwyczaj chrześcianie, uważali siebie za szczęśliwych, jeżeli się im z duszą ujść udało. To też z czasem nieprzyjaciel inną drogę wytknął. przez Uście nad Dniestrem położone, znacznie niżej od Zwańca. Gdy jednak małe transporta łatwo wpadały w ręce polskie, gdyż czaty i tutaj stawiono, wówczas rząd Padyszacha umyślił wielkie wysyłać tabory, otaczane całą armią strażniczą, tak, że zdobycie ich równało się wygranej bitwie. Po jednej z takich utarczek szczęśliwym zwycięzcom polskim dostało się przeszło 4.000 wozów, złożone zaś na nich towary i prowianty, oceniono na 1,000.000 złotych ówczesnych.

Otóż w maju 1699 r. gwarno było na polach otaczających Okopy. Szerokiem półkolem ku Dniestrowi zwróconem, bielały namioty pieszych regimentów; konne chorągwie na polanie po za warownią się rozłożyły, a tuż pod opieką jej wałów zatoczono działa oblężnicze, przeznaczone dla ufortyfikowania Kamieńca.

Komendant zameczka, jenerał Bartsch, protoplasta Barszczów późniejszych, zacierał ręce z radości, krzątał się i uwijał energicznie, tu bowiem na kresach robił on honory gospodarza domu, a pomagali mu w tem młodzi podkomendni, majorowie artyleryi koronnej, Anglik Archibald Glower, i Polak Mikołaj Rojecki, słynni z zasług, jakie potem przy dźwiganiu Kamieńca z gruzów położyli. Komisarze zaproszeni zostali do warowni, a wojewoda kijowski natychmiast przedwstępne kroki rozpoczął.

Lud jednak uprzedził i wojsko i komisarzy. Jeszcze w lutym, kiedy zaledwie śniegi z pól zeszły, posunął z ubogim dobytkiem na Podole, co w ciągu tylu lat odpoczywało, i z pieśnią nadziei jął chodzić około roli. Na nieszczęście rabusie tatarscy dowiedziawszy się o tem, podnieśli się z Budziaku i lotem błyskawicy puścili *czambuł* po świeżo zalu-

dnionej krainie! Płacz wielki i popłoch ztąd powstał niemały; większość dostała się w łyka, mniejszość rozbiegła się, a tak kolonizacya pięknie poczęta, w samym zawiązku zwichniętą została.

Sędziwy generał podolski bolał nad tem pierwszem niepowodzeniem, pisał, protestował, ale nie spuszczał z uwagi głównego celu przybycia, owej misyi zaszczytnej, która go w tę stronę ściągnęła. To też zaraz 5 maja wysłał do Kachrymana-baszy i wezyra kamienieckiego, urzędową wiadomość, jako czeka pod Okopami, na zwrócenie mu podolskiego województwa, wraz z jego stolicą obronną. Podobnej treści *awizy* poszły do hospodara wołoskiego Antyochyusza i do „hetmana na ziemi mołdawskiej“ Bohdana Lupuły.

Basza ociągać się począł; odpowiedział, że wprawdzie już słyszał o fermanie, ale go jeszcze nie otrzymał, hospodar zaś w grzecznej odezwie donosił, że ferman na jego ręce był wysłany, że go wyekspedyował podług adresu, ale „ludzie pewnego pana polskiego przeszkodzili wtenczas podaniu tej wiadomości do Kamieńca; kiedy napadłszy według zwyczaju zbójeckiego ludzi hospodarskich przestraszyli i ledwie dwóch tylko z fermanem nazad do mnie zdrowych powróciło“. Dodawał w końcu, że po raz wtóry zakomunikuje Kachrymanowi *emir* sułtański, ale basza ruszyć się nie może, bo potrzebuje „kół ogromnych, lin grubych do wyprowadzenia harmat“, że to wszystko za Dunajem może być tylko przygotowanem, i wraz z bawołami lada chwila nadciągnie.

Skarżył się więc hetmanowi pan wojewoda kijowski, a sędziwy hetman pchnął od siebie posłańca p. Paparę do Seraskiera, uwiadamiając go, „jako Turcy nie dotrzymują traktatów, wolę Tatarom dają i z pogranicznej warowni wynióść nie chcą“. Pisanie hetmańskie poskutkowało. Zaraz przyszła wiadomość z Konstantynopola, że Gaffy Gerej z rozkazu Padyszacha zwróci pobranych w jasyr kmieci i za kilka dni z nimi stanie pod Chocimem. Komisarze wydelegowali od siebie p. Dzieduszyckiego, i starostę stężyckiego Tarłę na ich przyjęcie. Ci po przybyciu na miejsce zastali Kapidżi

baszę, który na Budziak woził ferman sułtański, a zaraz potem i część jassyru przybyła z Tatarami.

Nastąpiły długie i nużące układy, szło o „cedułę“, w którejby wyraźnie stało, jako rabusie wszystkich pobranych jeńców wracają, podczas kiedy ich ledwie mniejszą oddawano połowę i to tylko wiekowych mężczyzn, trochę starych kobiet, dzieci zaś i urodziwych dziewek ani na lekarstwo. Gdy na to p. Dzieduszycki nie przystał, zaczęli barbarzyńcy mówić o wymianie jeńców, ale tatarskich niewolników wówczas w Polsce nie było; aż w końcu pieniędzmi przełamano upór.

Wojska polskie poczęły się posuwać w głąb zaboru tureckiego, a w czerwcu stanęły obozem pod Zwańcem. Ale tu wszczęły się nowe zabiegi i pertraktacye. Ablegat pisał do wojewody kijowskiego z Adryanopola z prośbą, aby oględnie koncentrował siłę zbrojną, by nie powiększał liczby żołnierzy nad tę, jaką komendant turecki w Kamieńcu posiada, to jest nad tysiąc rożnej broni dla obsadzenia okolicy miasta i drugie tyle na załogę w warowni, w przeciwnym bowiem wypadku Kachryman wezyr ma rozkaz zawezwania ordy do pomocy. W końcu dodawał w swym liście poseł, że „zostawienia dział przez Turków żadna albo mała nadzieja. Wymówił się cesarz muftym i duchowieństwem, że się zgodzić na to nie mogli, bo to przeciwko Alkoranowi jest i wyraźnym kanonom, ale pono bardziej z obawy pospólstwa, które na to szemra“.

Nastawał sejm. Rwali się komisarze do Warszawy, składając się własnemi interesami, i pojechali w końcu wszyscy, prócz trzech dobro publiczne mających na celu, a mianowicie Marcina Kątskiego, Franciszka Dzieduszyckiego i Stefana Humieckiego. Zbierał się do Warszawy i sędziwy hetman wielki, ale go prosił generał artyleryi, aby się z miejsca nie ruszał.

— „Sejmy — mówił pan generał — co dwie lecie w Polsce przypadające stawają, i rwą się bez obrazy świata, odbierać zaś prowincye, wprowadzać w meczety nowego

Boga — dzieło to wieków i rzadko praktykowana rzecz pod słońcem!“

Ale nie na tem koniec utrapień. Dyplomacya polska niedbale się spisała, traktat nienależycie ratyfikowano, albowiem brakło na nim podpisu prymasa i kanclerza koronnego. Nowy tedy kłopot.

Ablegat wysyła swego sekretarza, Strutyńskiego, angielska ambasada w Carogrodzie toż samo robi; obaj urzędnicy z kolei wizytują obu hospodarów, Kachrymana baszę w Kamieńcu, komisarzy w obozie pod Zwańcem, hetmana we Lwowie, króla w Warszawie, nareszcie prymasa, który ich zaopatruje w listy do Regis Effendiego, do Maurokordata sekretarza Porty, nawet do baszy kamienieckiego, nazywając go przyjacielem i „wielce mości panem bratem“.

Prymas tłómaczy, że brak podpisu nie jest skutkiem złych intencyi, „nie ma w sobie innej przyczyny, jeno tę, że się ostatnie *solennitates* dla wielkiego posła zatrzymywały, którym już jest deklarowany p. hrabia Leszczyński, wojewoda łęczycki generał wielkopolski“. Wiemy, że świetne to poselstwo, wyruszyło dopiero w 1700 r., że swoją wspaniałością i przepychem prześcignęło wszystkie inne; i może jeden wjazd ks. Repnina do Carogrodu, jako ambasadora rosyjskiego, dorównać mu potrafił. Tam upadająca Rzeczpospolita blaskiem chciała omamić, okryć słabe strony; tu państwo młode, dobijające się uznania w Europie, bogactwem zaimponować pragnęło...

Ale to nie należy do opowiadania.

Snadno się już czytelnik przekonał, jakie trudności mieli komisarze nasi do zwalczenia; a jednak to jeszcze nie wszystko! Po za czynnością dyplomatyczną, po za koniecznością tłómaczenia się z każdego kroku przed królem, przed hetmanem, przed senatem, przed stanami Rzeczypospolitej. zostawały jeszcze najtrudniejsze rokowania z baszą kamienieckim!

Wypadało go po prostu kupić, w przeciwnym bowiem razie stawićby nie omieszkał trudności i rzecz przewlecby się była mogła na lata całe. Dobrze kupić! — ale zkąd wziąć

pieniędzy? Skarb ubogi dać ich nie mógł. Otóż trzech ludzi stanęło z ofiarną gotowością w tej ciężkiej przygodzie. Warto, abyśmy ich nazwiska podali. Pierwsze miejsce co do zasługi należy się sędziwemu hetmanowi Jabłonowskiemu, który żywił własnym kosztem żołnierzy czekających na ewakuacyę i lud powrócony z jasyru. Na drugiem miejscu stawiamy ówczesnych wojewodów kijowskiego i podolskiego, którzy z własnej szkatuły ofiarowali fundusz znaczny na skaptowanie Kachrymana baszy. Już to przyznać potrzeba, że zajaśnieli oni blaskiem cnoty iście obywatelskiej...

Kątski przybywał na kresy z ustaloną sławą zdolnego artylerzysty. Dzieduszycki zasłużone także nosił nazwisko, ale obaj tu dopiero, w czasie tych narad i umów z muzułmanami, największą się sławą okryli. Senatorowie to starej daty, z dobrych jeszcze złotych Rzeczypospolitej czasów, bez szemrania i skargi wytrwali do końca na stanowisku.

Nareszcie nadbiegła wieść radośna! Kachryman basza zamyślał o opuszczeniu twierdzy, tylko dwóch miesięcy czasu potrzebował dla zupełnego jej uprzątnienia. Świadkowie urzędownie od Porty przeznaczeni dla asystowania temu aktowi, już się także ze swoich podnoszą legowisk. Hospodar wołoski Antiochij w końcu lipca stanął nad Dniestrem, naprzeciw wsi Sokoła, o czem zaraz uwiadomił komisarzy prosząc, aby pamiętali o przyzwoitem utrzymaniu jak jego osoby, tak też i jego licznego z 200 przeszło ludzi złożonego orszaku. Śmiech z tego powodu był wielki! Toż komisarze swoim kosztem pełnili tę mozolną służbę; ale nie było rady, więc p. Turkuł, rotmistrz Jego Królewskiej Mości, otrzymał rozkaz, by ściągniętemi z Wołoch prowiantami zasilał hospodara.

Pod koniec lipca i drugi delegat Porty, Ibrahim basza na Nikopolu, zbliżył się do Zwańca, a wojewoda kijowski, chcąc uniknąć nieprzyjemnego starcia między wojskami, zwinął swój obóz i znowu się pod Okopy cofnął. Komisarze ciągle słali gońców do przybyłych dygnitarzy z komplementami, dziękując za pośpiech... Zabawne to, nieprawdaż? Trzy miesiące w polu na nich czekać musieli, ale co po-

cząć było? Dostojnicy tureccy żart w żywe oczy rzucony przyjęli za dobrą monetę, tembardziej, że ją Polacy poparli hojnym podarunkiem.

Natomiast wezyr komendant, zawsze się jeszcze odgrażał i srożył, ale więcej już dla formy, i aby nie wzbudzić podejrzenia u swoich.

— Chcą mnie pozbawić wezyratu? — wołał — niech więc na swoich karkach wynoszą wszystką amunicyę i działa do Jego Sułtańskiej Mości należące!

Jakoż zażądał 2.000 wozów dla przetransportowania ciężarów, choć do dywanu przedtem pisał, że potrzebuje najmniej 4.000. Wojewoda kijowski bardzo grzecznie odpowiedział, że to jest przeciwnem traktatom, że nie uważałby na nie, gdyby mógł dogodzić wymaganiom wezyra, ale absolutnie nie może, bo ostatnim *czambułem* Tatarowie zabrali resztę ludzi i bydła.

Posłańca, który wiózł to pisanie, przyjął basza uroczyście. I mufty i janczar-aga byli przytomni audyencyi. „Srodze łbami kiwali; milcząc patrzyli to na siebie, to znowu w papier przetłómaczony przez dragomana“, w końcu wezyr podniósł palec prawej ręki, uderzył nim w czoło i rzekł powolnie:

— Oj ci ludzie Lechistanu, rozumni — rozumni!

I z tem gońca wyprawił. W bramie jednak zabiegł gońcowi drogę nasz Stefanek Ormianin i szepnął ukradkiem:

— Kachryman basza kazał powiedzieć p. wojewodzie: Niech dadzą co bądź — bo tak potrzeba dla ułagodzenia gminu.

Dzieduszycki, którego włości niedaleko leżały, zaniechawszy robót w polu, sprowadził 80 poszóstnych wozów z silnym zaprzęgiem, które miały posłużyć do przewożenia efektów wojskowych z Kamieńca nad brzeg Dniestru. Kazał nadto kilkanaście statków na rzece zbudować i 800 beczek na prochy ofiarował — byle się prędzej pozbyć nieproszonych gości.

Nasz Stefan Agopso, skromny dragoman baszy, jako pośrednik, niemałe usługi oddał komisarzom, a nie pragnął

za to żadnej nagrody, prosił tylko, aby go wyswobodził pan wojewoda z rąk Kachrymana, co mu też solennie przyrzekł generał artyleryi koronnej. Odtąd sprawa ewakuacyi weszła na tory właściwe; powtórzyła się tu prawda stara jak świat, że częstokroć drogi mniejsze prędzej prowadzą do celu, niźli szeroko utarte gościńce.

Wezyr kamieniecki po raz wtóry przez Stefana skaptowany, mając sobie przyrzeczoną niewielką sumą na *niezabudysz*, to jest po ukończenia dzieła, nie poprzestawał już teraz na urzędowych odezwach, ale obok nich przesyłał ustne przez swego dragomana zlecenia. Doniósł, że Ibrahim basza na Nikopolu przyprowadził wielką moc bawołów do zaprzęgu i ludzi do konwoju garnizonu kamienieckiego. Potem się przyznał do otrzymanego fermanu; wreszcie zapewnił, że skoro sekretarze angielski i polski wracając z Warszawy, nawiedzą go, zaraz potem przystąpi do ewakuacyi. Sekretarze nadjechali niebawem do obozu, a dnia 2 września już byli na posłuchaniu u Kachrymana w Kamieńcu. Biedny Strutyński acz ciężko chory prezentował się komendantowi, ale po audyencyi stracił przytomność, został w mieście i długo potem jeszcze chorował.

Jednocześnie wyznaczył Kątski delegatów do ewakuacyi fortec wołoskich. Do Soczawy i Niemca pojechał Józef Fredro, wojewodzic podolski, do Sorok rotmistrz Marcin Kalinowski. Przydano im w asystencyi kilka chorągwi, oberstlejtnanta artyleryi Brześciańskiego i kilkadziesiąt wozów armatnich pod ochroną rajtaryi z rozkazem, by ztamtąd działa i amunicyę pościągano.

Już dnia 5 września ruszono ciężkie działa wałowe tak zwane *bełgemesy*, które na drugi dzień przeszły za Dniestr. Z tą nowiną, jako z najpociesznięjszym *musztułukiem*, przysłał komendant gońca, obiecując nadto za dwa najdalej tygodnie oczyścić zupełnie warownię.

V.

Zbliżał się dzień dawno oczekiwany — Kamieniec lada chwila miał przejść pod opiekę krzyża, zostać na nowo przedmurzem Chrześciaństwa, przytułkiem wiernych mu w ciągu długiej niewoli kolonistów. Jednocześnie z miastem, powracała do Korony perła pierwszej wielkości — ów spichlerz Europy, piękne Podole z ziemiami ukrainnemi.

Społeczność polska niecierpliwie wyglądała tej chwili. Wszystkie oczy zbiegły znowu na dalekie kresy; mówiono o nich wszędzie, kościół święcił powrót dziękczynnem nabożeństwem, komisarzów którzy w całym komplecie zjechali na stanowiska, zarzucono listami, czekając rychło li z Kamieńca już a nie z obozu pod Okopami pożądana odpowiedź nadejdzie.

Nie mniej skwapliwie ruszać się zaczęła szlachta podolska, duchowieństwo, lud i mieszczanie kamienieccy. Wkrótce przybysze ci sporym rozłożyli się obozem pod warownią św. Trójcy. Obóz ten dziwny widok przedstawiał, bo mięszaninę ubiorów, wieku, stanów; byli reprezentowani wielcy i mali, młodzi i starzy. Dworno zjeżdżali jedni, inni o kiju pielgrzymim dążyli. Kolas, wozów, wózków, kałamaszek do tysiąca dochodziło. Jedni w wygodnych namiotach pamiętających dobre czasy wyprawy wiedeńskiej, inni pod skromną szmatą płótna rozpiętą nad wózkiem, tulili się z całą rodziną. A wszyscy jak jeden człowiek — byli to Podolanie.

Między kmiecą rzeszą najwięcej dostrzegano starców. Tęsknem okiem witali oni równiny rozciągające się za Zbruczem i Dniestrem; wiedzieli dobrze, że czeka ich wiele trudu, że wypadnie wytknąć nowe drogi, robić nowe pomiary, budować nowe wioski; ale już będą u siebie i nikt ich *proczanami* zwać odtąd nie będzie, mianem przybłędy i włóczęgi nie znieważy...

Mieszczanie nieśli stare przywileje -- spodziewali się nowych. Szlachcie uśmiechały się prace ziemiańskie na bujnej i złotodajnej a wypoczętej glebie. Między nią najprzód przyszło do porządku i do nawiązania dawnych stosunków. Wojewoda podolski wezwał stan rycerski na ostatni sejmik mający się odbyć w Okopach i już 18 września przystąpiono do obioru pisarza ziemskiego. Pośród stawiących się do apelu ziemian nie wielu się znalazło takich, którzy pamiętali początek tureckiej niewoli; ledwie ich kilku liczono, a na ich czele stali Marcin Bogusz z Ziemblic, regimentarz podolski, mały, niepokaźny staruszek, o przenikliwem spojrzeniu, wieczny wróg „obrzydłego półksiężyca“, i p. Nikodem Żaboklicki, kasztelan a potem wojewoda podolski.

Duchowieństwo reprezentowane było przez dwóch wyższych dygnitarzy, ks. Jana Dłużewskiego, biskupa Gracyonopolitańskiego, upoważnionego do rekoncyliacyi świątyń katolickich i ks. Józefa Szumlańskiego, episkopa lwowskiego. Na czele zakonników stał patryarcha, bo przeszło 80-letni Jezuita ks. Jerzy Szornel. Kapłan ten w młodości przybył do miasta, przywdział sukienkę zakonną, a za rządów tureckich, zostawszy w niem jako proboszcz, niósł posługę wiernym przez całe dwa lata, nie bacząc na upokorzenia i na „palcaty“ nawet, aż go w końcu wypędzili zdobywcy. Teraz wracał do ruin, aby w nich żywot złożyć. Apostoł prawdziwy, cichy, pokorny, pełen słodyczy, mieszkał czasowo w namiocie p. Bogusza, łączyła ich bowiem przyjaźń dawna, obaj wreszcie byli kroniką chodzącą.

Stawili się nadto w obozie polskim OO. Franciszkanie Dominikanie i skromny Trynitarz Ormianin, znany nam z pierwszej redempcyi ks. Michał. W zanadrzu habitu ukry-

wał on ubogie dary dwóch patrycyuszów kamienieckich, mianowicie Chocimirskiego i Butahowicza. Pierwszy umierając przekazał Trynitarzom, gdyby ci kiedy na kresach osiąść mieli, swój dworek ubogi, z warunkiem, żeby drzewa jego ręką sadzone uszanowali — „gdy nawet i niewierni — dodaje ofiarodawca — w cieniu ich upodobali sobie.“ Opiekę nad Małgorzatą przelał ojciec na dobrych ludzi, czyniąc ją panią posiadłości lwowskiej i wszystkich mobiliów. Butahowicz legł w grobie już po traktacie karłowickim, kiedy to współbracia jego zamieszkali w stolicy województwa ruskiego zbierali się z powrotem na kresy. Ks. Michał zamykał oczy pobożnemu Ormianinowi, i dostał od niego 500 złotych na budowę przyszłego klasztoru trynitarskiego. Sławetny długo pasował się ze śmiercią, pragnął dostać się na brzegi Smotrycza, nieprzytomny marzył o „słońcu podolskiem“, majaczył o „łunie ottomańskiej“ ustępującej miejsca krzyżowi... Tak to dawniejsi ludzie gorąco tę skałę miłowali!

Na czele garstki Ormian znajdowali się trzej kapłani, Asłanowicz i Faruchowicz kapelani bractwa kamienieckiego, którzy stawili się, aby upatrzeć w mieście stósowne miejsce dla przyzwoitego umieszczenia cudownego obrazu Maryi orędowniczki kolonistów, a towarzyszył im ks. Romuald Boghdanowicz, który to opisał uroczystą chwilę ewakuacyi Kamieńca i reconcyliacyi miejscowych kościołów.

Obóz, jakby pepiniera przyszłych Podola mieszkańców liczył i kobiet nie mało, bo gdzież się u nas bez nich obeszło? Wszędzie one spieszyły, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Przywlokły się do Okopów cztery Dominikanki leciwe; wszystkie wykonały śluby zakonne jeszcze *ante hosticum*, a wygnane z Kamieńca, długo się tułały w Rzeczypospolitej, aż ich król Jan III przytulił w Żółkwi. Dobrze im tu było pod opieką pobożnego króla, ale tęskniły do dawnej siedziby, więc na pierwszą wieść ewakuacyi opuściły cichą Żołkiew. Biedaczki osiadły w Kamieńcu w zrujnowanym klasztorze przy bramie ruskiej, i pomarły w wielkim niedostatku,

Obok mniszek znajdowały się matki, żony, córki ziemian i mieszczan. Między niemi była i znana nam już Mał-

gorzata Chocimirska, niegdyś towarzyszka Stefanka, posażna panna, ojciec jej bowiem spory fundusz zostawił. Nie chciała jednak wyjść za mąż, chyba pod warunkiem, że z przyszłym swoim połączy się dozgonną przysięgą w jednym z kamienieckich kościołów, a nie gdzieindziej. Przybyła do obozu pod św. Trójcą w towarzystwie ubogiej rodziny ormiańskiej; może marzyła o płochym Stefanie, którego spotkać tutaj miała nadzieję. I nie zawiodła się, dragoman bowiem, jakby w *ułłaka* przedzierżgnięty, nieustannie się uwijał między Kamieńcem a rezydencyą komisarzy polskich; a że gościem był pożądanym, więc go i mieszczanie i duchowieństwo ciągnęło do namiotów, by zasięgnąć pewnych nowin. Otóż wracając raz od ks. Michała Tryn'tarza, spotkał Małgorzatę, przypomniał się jej znajomości... i nastąpiło zbliżenie serdeczne, przypomniały się chwile pierwszej młodości.

Ożywienie i wesołość panowały w całym taborze, jedynym w swoim rodzaju, jedynym w dziejach naszych. Oto reprezentanci najrozmaitszych warstw społeczeństwa polskiego czekali na granicy sporej prowincyi, by im ją oddali zaborcy. Kraj cały, przedmiot tej nowej, doraźnej kolonizacyi, już stał pustką, zwycięzcy ściągnęli zewsząd załogi, w Kamieńcu tylko i w jego okolicy mrowiła się gromada, która właśnie miała ustąpić miejsca szczęśliwym przybyszom.

Wesoło więc powtarzamy i gwarno było w polskim taborze. Przecudna panowała pogoda wrześniowa, jaką tylko Podole pochwalić się może, dnie były ciepłe, noce bezksiężycowe ale ciche. Zaledwie z brzaskiem ranka mgły wzbiły się w górę — już życie, śmiechy, radość brzmiały do koła; wszystkie oczy biegły za Dniestr na płaszczyznę, po której wiła się droga prowadząca do kresowej warowni. Po drodze tej ciągnęły długie wozów szeregi o olbrzymich kołach, zaprzężone czarnemi bawołami, a na nich najprzeróżniejsze narzędzia ówczesnej sztuki puszkarskiej. Tętent i dzikie nawoływanie napełniały całą równinę, przedzierały się przez Zbrucz do podolskiego obozu — i zawsze były powodem niewysłowionej uciechy.

Potem rozległ się głos dzwonków, to kapłani na mszę obozową zapraszali. Farę reprezentował namiot rozpięty w warowni, inne kościoły kamienieckie w polu, pośród wiernych miały swoje ołtarze i wszyscy zanosili jednocześnie modły do Boga o rychłe dostanie się do portu, a tym portem był właśnie Kamieniec. Po nabożeństwie przedniejsi obywatele udawali się do Okopów, dla zasiągnienia wiadomości, dzień upływał, na rozprawach o przyszłej kraju kolonizacyi.

Przybysze znudzeni trzymiesięcznem oczekiwaniem pod gołem niebem, zaczęli się bawić sprzedażą, a nawet co dziwniejsza — procesami o niezajęte jeszcze uroczyska i pustkowia...

Ormianie broniący swoich przywilejów, ze zgrozą widzieli sporą żydów gromadę, zaglądającą do Okopów. Synowie Izraela robili zabiegi u wojewody kijowskiego, aby im pozwolił osiąść w Kamieńcu, a choć urzędownie nie mógł dać afirmatywy generał, obiecał przynajmniej patrzeć na wszystko przez szpary. Ormianie zatrwożeni wyraźną preponderancyą Izraelitów, nie będąc jeszcze posiadaczami miasta, już protesta pisali; pisali je i później więcej niźli przez pół wieku!

Ziemianie przemyśliwali o rychłem zaludnieniu pustek, jakie im z prawa należały, bo cóż znaczy ziemia choćby najżyźniejsza przy braku rąk do jej uprawy niezbędnych? Więc kmieci zaczęto ściągać, kmieci przedewszystkiem i jak najwięcej. A tu pierwszą dobrowolną kolonizacyę spłoszyli Tatarzy, a w obozie znajdowało się włościan zbyt mało. Możniejsi panowie wyprawili posłańców w Sanockie, zapraszając na Podole; drobiazg zaś jednowioskowy rzucił się na drogę licytacyi, aby tę garstkę chłopstwa przyciągnąć na swoją stronę. Kto da więcej przywileju, swobody nowym osadcom? I zaczęto na „słobody“ zapraszać.

Z początku robiono to skrycie, ale potem jeden z braci szlachty nie uląkł się jawności; użył środka, który potem na wszystkiej Ukrainie prawo obywatelstwa pozyskał. Oto na tyce obok obozu wzniesionej zawiesił tablicę zawierającą nazwę wioski, wypisaną rozpalonem żelazem; pod żerdzią

ulokował się faktor żydek i stary hajduk z gorzałką i chlebem. Hajduk wołał nieustannie: „zapraszamy do takiej to a takiej włości na słobodę.“ Lud się gromadził, przypatrywał, dziwował, rozważał, że może to i dobrze będzie skorzystać z łaski pańskiej. Między szlachtą powstał szmer wielki na nowatora i rzucono się do komisarzy z lamentem, ale komisarze odpowiedzieli, że to nie ubliża instytucyom Rzeczypospolitej, że zebrani w obozie włościanie mają prawo osiadać na Podolu, gdzie się im podoba.

Na drugi dzień już piętnaście wiech z tablicami wystąpiło, na trzeci dwadzieścia, na czwarty tyle, ilu szlachty posiadaczy. Jeden przed drugim szedł na wybiegi w kwestyi *słobody*. Naturalnie, że dało to powód do wielkich nadużyć i było jedną z przyczyn owych zaburzeń kmiecych tak częstych w pierwszej połowie XVIII wieku. Lud bałamucony przenosił się z miejsca na miejsce, tracił przywiązanie do swego kąta; Podole w taki sposób robiło uszczerbek Rusi Czerwonej, Wołyń Podolowi. Czem dalej prowincya leżała od ognisk cywilizacyi, czem bliżej ku Dnieprowi i Zaporożu, tem *słobody* były większe i dłuższe. Wszędzie jednak używano tych sposobów, jakie pod Okopami po raz pierwszy zaczęto praktykować...

Nad rankiem 18 września wojska polskie mające komisarzy na czele, podniosły się z pod warowni św. Trójcy, bo ewakuacyą wyznaczył basza na d. 22 tegoż mtesiąca — i to już nieodwołalnie. Rycerstwo nasze musiało szerokie zakreślać koło, dążyło do stolicy województwa od strony Nowosiółki, trakt zwaniecki zostawiając Turkom. Oddział kawaleryi narodowej czuwał zdala, żeby Ottomani nie próbowali powrotu na Podole i w tym tylko wypadku obowiązany był zbrojnie wystąpić, w każdym innym ordynans hetmański surowo zalecał, by się wojsko zachowało spokojnie, wcale się nie wdając z bisurmanami...

Po ustawionym na prędce przez inżynierów moście przekroczyli Polacy Zbrucz. Pierwszy to raz z obopólnego obu stron pozwolenia wstępowali na ziemię, tak obficie zlaną krwią polską.

Głośny okrzyk, a potem rzewna pieśń *Bogarodzico*... była początkiem tej uroczystości...

A teraz zostawmy na chwilę wojowników naszych, i powiedzmy — co się w tym czasie działo w Kamieńcu? Mamy kilka relacyi z tej epoki, przekazali nam opowieść o niej stolnik Humiecki, dragoman turecki Stefan Ormianin i ks. Romuald Boghdanowicz.

Otóż mieszkańcy Kamieńca nie jednakowo przyjęli groźną o jego opuszczeniu wiadomość. Turcy i Lipkowie na przedmieściach osiedli, z oburzeniem wysłuchali komendanta, który w obecności swojej kazał otczytać ferman sułtański. Nieliczny zastęp chrześcian ucieszył się niepomału; ucieszyli się i kupcy muzułmańscy, przeświadczeni, że handel z niewiernymi synami Lechistanu pójdzie im lepiej, jak z najwierniejszymi wyznawcami Allacha — to też potem wojewoda kijowski oceniając tę ich życzliwość, nie wchodząc wcale w jej pobudki, trzech przedniejszych muzułmanów Hadżi-Mustafę, Deli-Mustafę i Kara-Hasana w mieście zostawił i swobodę handlu zapewnił im przywilejem. Inni ich współbracia narzekali głośno.

Kędyż pójdziemy? — wołali — ojcowie nasi tutaj pomarli, myśmy tu światło dzienne ujrzeli; przyrośliśmy do tych miejsc, ojczyzny naszej przybranej nie znamy!

I istotnie wielu Lipków nie mówiło inaczej jak po polsku, nie rozumiejąc zgoła mowy tureckiej, ni tatarskiej... Ale dla nich nie było miejsca w Rzeczypospolitej, nie było też przebaczenia. Na Budziak, albo na szubienicę!..

Mołłowie, hadżowie i ulemowie stali po stronie niechętnych. Oporni uradzili, że jeżeli już wyjść będą musieli, wówczas chrześcian z sobą zabiorą, ale rezydenci polscy zaprotestowali przeciw temu. Następnie chciano palić i rujnować miasto, ale janczarowie rozpędzili swawolne muzułmańskie kupy, w rozkazie bowiem sułtana wyraźnie było powiedziano, aby warownia i miasto nie ucierpiały w czasie ewakuacyi. Widząc to spiskowcy, umyślili udusić Kachrymana baszę. Uprzedzony wezyr prosił wojewody o przysłanie kilkudziesięciu rajtaryi, ale ten „odmówił, żeby ztąd

nie była okazya do większego zaburzenia". Komendant więc ukrył się w bezpiecznem miejscu, ulemowie splądrowali jego rezydencyę, wdarli się nawet do haremu i przestraszeni w końcu cofnęli się sami widząc, że nic poradzić nie zdołają.

Na drugi dzień Kachryman wystąpił groźnie. Otoczony zastępem dworzan, udał się na zamek i kazał wywozić działa... Żołnierze stali nieporuszeni, jakby nie słyszeli rozkazu, wówczas basza, nie tracąc fantazyi, usiadł na pierwszą armatę i zawołał:

— „Mnie wywoźcie, kiedy dział nie chcecie!"

Pierwsze lody przełamane — transporta ruszyły.

Szło jeszcze o „odwołanie" meczetu, „obwołanego" przez cesarza Mahometa IV. Zebrała się starszyzna do bożnicy umieszczonej w farnym kościele, a po stosownej modlitwie, mołłowie dostali się pod strop sklepienia, by odwiązać zawieszoną tam chorągiew. W chwili, kiedy spuszczano ją na pawiment pięknie usłany, płacz był tak wielki w świątyni, jakiego dotąd starzy ludzie nie pamiętają; niewierni szaty darli na sobie, na twarz padali, duchowni zaś okrywając sztandar pocałunkami, zawinęli go w kosztowną materyę i z dzikim śpiewem wynieśli z świątyni. Odtąd mołła nie zapraszał już z wierzchołka dżamii wyznawców Allaha na modlitwę...

Nareszcie „wezyr, wyprzątnąwszy do najmniejszego gwoździa bateryе i magazyny kamienieckie, zaprosił listownie komisarzy", do odebrania fortecy.

Działo się to 22 września, w dzień ś. Mateusza, we wtorek „na rozdniewaniu". Pogoda dziwnie sprzyjała, powietrze jakby wiosenne, ciepłe, łagodne; drzewa i krzewy po raz wtóry okrywały się kwiatem. Ludzie w tem dobry *omen* widzieli.

Dzisiejsze podzamcze pustką w onym czasie stało. Była to spora płaszczyzna, na której odbywał się ów akt pamiętny. Wojska polskie wkroczyły na plac od strony Zińkowiec. Na czele ich szło 200 rajtaryi, świetnie przybranej, za nią komisarze z licznym pocztem dworzan, który wraz z woluntaryuszami przeszło 600 osób wynosił. Na skrzydłach jechało

po 400 lekkiej kawaleryi a pochód zamykało 2000 piechoty, eskortującej 16 dział wałowych.

Plac od zachodu zapełniony już był ludem ottomańskim, bielały na nim namioty Lipków, smutno przypatrujących się uroczystości; obok nich kilkadziesiąt wielbłądów dźwigało haremy przedniejszych dygnitarzy, otoczonych strażą złożoną z czarnych rzezańców, a tuż pod samym nowym zamkiem stały dwa imponujące orszaki Ibrahima baszy na Nikopolu i hospodara wołoskiego, jaskrawo a barwnie postrojone.

W chwili kiedy komisarze na plac wkraczali, rozwarły się bramy warowni i wyjechało z niej czterystu konnych Turków i Lipków, za nimi zaś Kahryman basza, wezyr kamieniecki „na dropiatym dość błahym koniu", mając obok siebie hospodara i swego nikopolskiego kolegę. Dwunastu pajuków z janczarkami otaczało starszyznę, a za nimi ze 100 jeźdźców z wrzaskliwą muzyką na czele. Janczarowie w liczbie 500 już dawniej pomknęli prosto przez Tatarzyska na trakt zwaniecki do Chocimia.

Oba orszaki stanęły na strzał armatni od siebie oddalone. Wówczas nastąpiła wymiana rezydentów. Tureccy z obozu polskiego pospieszyli do swoich, kiedy jednocześnie polscy do naszej zbliżyli się rajtaryi.

To był pierwszy akt uroczystości.

Starszyzna turecka posunęła zwolna ku *szajwanowi* rozpiętemu na placu, a mającemu dwa na przestrzał otwory. Świtę jej składali janczar-aga czyli komendant właściwy, *adszerys* czyli sekretarz, dwóch dragomanów i kilku służby dla trzymania koni. Z drugiej strony komisarze polscy zbliżali się w całym komplecie ku temuż namiotowi. Ceremoniał wymagał, by obie strony jednocześnie znalazły się u obu otworów *szajwanu*, aby jednocześnie się sobie pokłoniły, jednocześnie weszły do wnętrza.

Wszystko to punktualnie wykonano. Dygnitarze tureccy zasiedli pod jedną ścianą, polscy według starszeństwa naprzeciw nich zajęli miejsca.

Wojewoda kijowski pierwszy zabrał głos:

— Cokolwiek dotychczas się działo między obojgiem państwem, to wszystko pożądany pokój osłodził i umorzył, teraz nic nie zostaje, tylko to wszystko, na czem wieczne przymierze ufundowane, przywieść do skutku. Z naszej strony wypełnione *religiose* wszystkie kondycye, z waszej zaś, jaka jest ochota i łatwość do wykonania, wyglądamy i świadkami być chcemy.

Na to Kachryman odpowiedział:

— Z gniewu Boskiego było to, żeśmy dotychczas krew własną, jako nieprzyjaciele z obu stron wylewali, z łaski jego zaś jest to, że dziś po przyjacielsku przystępujemy do siebie i pokój traktatem umówiony, skutkiem samym zatwierdzamy.

Umilkł Turek po tej oracyi, snać do przemawiania nie był przywykły, a może go poruszyło to rozstanie się z warownią, w której był panem nieograniczonym.

Skinął na służbę, i w tejże chwili wniesiono kawę „cykulat, sorbetów, wódek perfumowanych“ i rozmaitych wonności.

Basza pokrzepiwszy się, tak dalej mówił:

— Przestrzegam Waszmość panów, żyjcie w dobrej przyjaźni z panem naszym, zaczepek nie czyńcie jak przedtem, bo inaczej wiemy takie miejsca w Kamieńcu, iż za kilka godzin możemy być w nim.

Nic mu na to nie odpowiedziano.

Milczenie trwało kilka minut. Kachryman jakby czekał, ażali który z obecnych nie zabierze głosu.

Wówczas Ibrahim nikopolski, kiwając poważnie głową rzekł:

— Pan Bóg rozkazuje, byśmy wam Kamieniec oddali.

Wojewoda kijowski odrzekł mu na to:

— A nam rozkazuje, byśmy go wam odebrali.

Wezyr skinął na *adszerysa* — który wystąpił na środek i wygłosił rozkaz sułtana wydany na imię janczar-agi, aby klucze od warowni wręczył komisarzom polskim.

Po skończeniu lektury, janczar-aga wziął ferman z rąk sekretarza, przyjatrzył mu się pilnie, złożył i schował w zanadrze, potem podniósł z ziemi skórzaną sakwę, wydobył z niej dwa olbrzymie klucze — od miasta i zamku, i doręczył generałowi podolskiemu, jako komendantowi twierdzy pogranicznej.

Chwilę już tylko czasu zabrała zamiana „ceduł", któremi Turcy kwitowali Rzeczpospolitą z odebranych fortec wołoskich, Polacy zaś z odebranego Kamieńca, Podola i wszystkiej Ukrainy. Gdy uroczystość się skończyła, darował Kątski Kachrymanowi kosztowny pierścień przy pożegnaniu, janczar aga także otrzymał upominek.

Członkowie obu orszaków dosiedli koni i przy okrzykach rozjechali się w przeciwne strony. Namiot baszyński sprzątniono w oka mgnieniu. Tabor zwolna się zaczął poruszać; najprzód starszyzna, potem wielbłądy z haremami, potem ubogie a skrzypiące Lipków maże. Wszystko to przedefilowało przed czołem wojska polskiego, i znikło za górą, jak sen, jak długa, bo 27 lat trwająca zmora...

Lipkowie z złorzeczeniem ruszali do pochodu, żony ich wyły „jak wilczyce"... Na ten głos, stary pan regimentarz Bohusz przybrany w czerwoną, sobolami podbitą ferezyę, na dzielnym koniu, w poczcie komisarzy stojący dotąd spokojnie, wybiegł po za szeregi rajtaryi i długo patrzył na ciągnący się w oddali tabor. W oczach jego ogień błyskał, podniósł szablę, wycie to bowiem przypomniało rycerzowi tyloletnią, zaszczytną a ciężką na kresach służbę... Tak wyły „tatarskie szczenięta", kiedy je w ogień rzucano, tak wyły żony Lipków, stojąc pod szubienicami, na których w konwulsyach konania dogorywali ich mężowie. I staremu bojownikowi przypomniała się ta przeszłość niadawna, smutna, straszna...

Wozy nikły za górą, jeden po drugim jakby zapadały w przepaść. Bohusz spojrzał po za siebie; tam w niemem skupieniu stało wojsko polskie, a komisarze pośród niego zebrani obnażyli głowy, krótką a cichą modlitwą dziękując Bogu za wielką łaskę. Spojrzał w inną stronę; przed nim

leżał zamek, pogrążony w ciszy i wyłaniający się z mgły rannej...

Stary żołnierz schował szablę do pochwy, a na ustach jego zagościł uśmiech, w oczach łza zabłysła, pochylił głowę, krzyż święty nakreślił na piersi i z cicha wyszeptał:

— Pozwól teraz panie odejść słudze twemu!

Koń jakby zrozumiał wolę jeźdźca, zwrócił w stronę gdzie stała starszyzna. Mieszkańcy taboru polskiego już się przedarli przez piechotę, cisnęli się do generała artyleryi koronnej i pana wojewody podolskiego, ściskając ich nogi, dziękując a błogosławiąc. Jednocześnie prawie i nowi goście przybyli — byli to jeńcy tureccy. Basza odjeżdżając kilku więźniów wojewodzie darował, i Ormianina Stefana, tłómacza swego uwolnił od usług, aby w Kamieńcu zostawał. Radość wielka była z tego powodu, i nie potrzebujemy dodawać, że nasz Stefan Agopso został natychmiast podniesiony do godności dragomana Rzeczypospolitej, z rezydencyą w pogranicznej warowni. Rozpoczął on szereg tych skromnych a użytecznych urzędników, z których ostatni za dni już naszych schodził do grobu...

Musimy jeszcze sprostować legendę, urosłą w chwili ewakuacyi Kamieńca, a powtórzoną przez Przezdzieckiego w jego znakomitych opowiadaniach. Utrzymuje ta legenda, jakoby basza turecki opuszczając zamek, chciał prochy podpalić i niemi twierdzę wysadzić w powietrze, ale Marcin Kątski w porę pochwycił lont zapalony i tem warownię od zagłady uchronił. Że tak nie było, łatwo się czytelnik przekonał z opowiadania naszego. Ale czyż to umniejsza zasługi komisarzy polskich, czyż to umniejsza poświęcenie ludzi, co nie szczędzili trudu, zdrowia, grosza, by sprawę tak ważną doprowadzić do skutku? Sama prawda dziejowa tej chwili zanadto jest piękną, abyśmy dla jej okraszenia mieli u legendy zapożyczać fałszywego blasku...

Ks. Boghdanowicz mówi o tem inaczej: „Na pożegnaniu basza kamieniecki przestrzegał naszych, aby pilnie przetrząsali, jeżeli kędy czego nie podłożono; jakoż byli ostrożni

w tem i poznajdowali po piecach, kaflach prochy kupami, także i w kominach między cegłami".

Ale i to było przypuszczeniem tylko, Humiecki bowiem w swojej relacyi utrzymuje, że prosił baszę kamienieckiego, aby przed opuszczeniem warowni, kazał zamknąć obie bramy miejskie, a zostawił tylko zamkową. Po oddaleniu się Turków, nikogo nie wpuszczono do miasta z obawy tumultu i łupieztwa „albo też dla suspicyi prochów zasadzonych"; weszła tylko piechota z jenerałem Koszkielem, komendantem na czele. Rozstawiono warty, pozaciągano armaty a przydani inżynierowie z minierami mieli polecenie opatrzeć wszystkie miejsca porządnie, ażali się nie okaże niebezpieczeństwo.

Tak upłynął pierwszy dzień *post hosticum* w warowni kresowej. Tylko głuche kroki żołnierzy i nawoływania rozstawionych czat brzmiały na jej ulicach, z mieszkańców jeszcze ogołoconych.

VI.

Najprzód szło o nawiązanie zerwanych z Rzecząpospolitą stosunków: wypadało połączyć nicią administracyjną prowincyę z królestwem. Łatwo to przyszło. Dygnitarze koronni, mianowani dla Podola, stawili się na wezwanie; duchowieństwo jak świeckie tak i zakonne także nie omieszkało przybyć, szlachta na sejmiku w Okopach uorganizowała się na prędce, mieszczanie to samo uskutecznić zamyślali natychmiast po wkroczeniu do miasta. Tabor podolski, jakeśmy wyżej powiedzieli, składał się z reprezentantów wszystkich warstw społecznych; szło tylko o postawienie mechanizmu administracyjnego w takich warunkach, w jakich się znajdował przed zaborem, a raz nakręcony, funkcyonować mógł dalej, żadnych bowiem zmian, żadnych reform w ciągu tego okresu nie przeprowadzono w Polsce.

Ale przedewszystkiem cześć Bogu, przywrócenie panowania krzyża; więc „rekoncyliacya“ świątyń stała na pierwszym planie. Cztery tylko kościoły nadawały się do tego, dwa łacińskie i dwa do wschodniego należące obrządku. Katedra do pierwszeństwa miała prawo.

Meczety mahometańskie łatwo się uprzątnęły; *dżamia* czyli minaret przytulony do frontonu fary, z półksiężycem na szczycie, nietknięty pozostał. Tak chciała umowa między obu wojującemi stronami, aby jednak i słowa dotrzymać i nie ubliżyć zwyczajowi, ks. Suffragan przyozdobił ją posą-

giem drewnianym, wyobrażającym Bogarodzicę, ubraną w nimbus gwiaździsty. Wiózł on już z sobą tę statuę i natychmiast ją ustawiono na minarecie, jakby zstępującą z półksiężyca muzułmańskiego, który drobnemi depcze stopami.

Dziedziniec kościelny, przez długie lata używany jako cmentarz ottomański, okryty był pomnikami, które zaraz poniszczyli nowi przybysze; albowiem, jak się wyraża źródło współczesne „rekoncyliacya bez exhumacyi trupów pogańskich być nie mogła“; więc najprzód usunięto zabytki pogaństwa, a potem przystąpiono do wyrzucania kości. Oddawano tylko piękne za nadobne. Tak samo postąpili Turcy z popiołami naszych przodków.

Całe długie trzy dnie niepokojono nieboszczyków, jednocześnie rzemieślnicy wznosili ołtarz wielki, zaciągali sygnaturkę, a wierni znosili wizerunki świętych, aby choć trochę nagie przyozdobić ściany.

W piątek nastąpił akt uroczysty otwarcia świątyni. Celebrował biskup gracyanopolitański, asystowało mu czterech kanoników, sześciu wikaryuszów, kapłani ormiańscy i reprezentanci wszystkich klasztorów egzystujących *ante hosticum* w Kamieńcu. Na uroczystość zjechali komisarze z licznym orszakiem, świątecznie przystrojonym, i szlachta w barwach województwa. Pospólstwo zbiegło się na dziedziniec kościelny, słuchając z rozrzewnieniem dzwonka wzywającego na nabożeństwo.

Zatknięto olbrzymią chorągiew czerwoną na znak tryumfu — i odtąd co roku w ciągu przeszło półtora wieku, sztandar ten krwawy powiewał z wierzchołka świątyni w rocznicę rekoncyliacyi! Rycerstwo zgromadzone przed wielkim ołtarzem, w czasie czytania ewanielii dobyło szabel na znak gotowości walczenia za wiarę praojców; zamiast organów przygrywała kapela nadworna pana wojewody, księża uformowali chór... słowem powaga i uroczystość przy ubóstwie była wielka!

Suplikacye do łez wszystkich rozczuliły, a ksiądz biskup stósownem przemówieniem rozrzewnił do reszty słuchaczy. Sam płakał malując przeszłą niedolę tej oto świątyni,

a jakby proroczym owiany duchem przepowiadał jej niejedną jeszcze ciężką chwilę w przyszłości:

— Pasterze opuszczą progi twoje, i długie lata czekać będziesz na ich powrót osierocona, a wszakże macierzą kościołów podolskich być nie przestaniesz, jako nią byłaś przez tę dobę niewoli ciężkiej i niesłychanej!...

Po skończonem nabożeństwie rozpoczął biskup trzykrotną procesyę wokoło kościoła. Ozwały się gromowe salwy z dział, a wszystek garnizon potrzykroć dał ognia z ręcznej broni... „Podczas rekoncyliacyi stała się, pisze ks. Boghdanowicz, rzecz zadziwiająca, *res stupenda evenit*... Za pokropieniem pierwszem wodą święconą jednego kąta kościelnego, jabłoń, która tam pod murem wyrosła była, zakwitła przez połowę, a gdy trzeci raz obszedł kościół ksiądz suffragan, w dziwny sposób wszystka rozkwitła, jakby ją mlekiem polano, w oczach wszystkich, z wielkiem podziwieniem, bo przez te lata, jak Turcy w Kamieńcu byli, żadnego kwiatu nie wydawała, a raczej oschła stała; jako świadczą Ormianie, którzy przez wszystek czas w Kamieńcu zostawali...“

Ludzie ówcześni w cuda wierzyli — a przecie powtórne zakwitnienie jabłoni w jesieni jest tak zwyczajnem na Podolu!... Bez okrasy się nie obeszło; nigdy nie kwitła, bo niewolę czuła, mówił ludek pobożny. Bądź co bądź długo się tradycya o cudownem drzewku przechowała, a miało ono wyrastać w tem miejscu, gdzie w pół wieku potem ks. biskup Dembowski wzniósł kaplicę, pod wezwaniem Przenajświętszego Sakramentu.

Po skończonej uroczystości, wyniesiono *Sanctissimum* z kościoła, i kilkudziesięciu ziemian podolskich zebrało się na sejmik w świątyni. Narady, którym przewodniczył pan Marcin Bogusz trwały krótko; rezultatem ich było wyprawienie legacyi do króla „suplikującą za potrzebami miasta tego stołecznego, aby dobrotliwością swoją utulił naprzód, proszących w przedsionku kapłanów, a potem fortecę z dział i amunicyi obnażoną udarował niemi, jako mocny w tem Pan, *potens in his Dominus*.“

Następnie komisarze uważając swoją misyę za spełnioną, złożyli władzę w ręce Marcina Kątskiego, jako generała podolskiego i komendanta twierdzy pogranicznej. Później okazała się potrzeba uformowania innego komitetu, który lat kilka funkcyonował w obrębie samego miasta. Powstał on w 1700 r. i trwał do zgonu jenerała artyleryi koronnej... ale czynności jego nié wchodzą w zakres niniejszego opowiadania.

OO. Dominikanie zastali klasztor w ruinie, kościół jednak choć brudny i odarty, nie był pozbawiony dachu, drzwi i okien. Ściany jego na szaro otynkowane, czyniły smutne wrażenie, a całą ozdobę kościoła stanowiła ambona, przytulona do wielkiego ołtarza, a dziwnie kunsztowną odznaczająca się rzeźbą. Składało ją kilka kamieni ciosowych, wejście było lekkiem zaopatrzone sklepieniem, na którem znajdował się napis z koranu, kilkanaście schodów prowadziło na platformę, otoczoną misterną i lekką baryerą — istną koronką z kamienia. Ormianie utrzymywali, że był to ulubiony meczet Halila baszy, że ambona jego kosztem z nad Bosforu sprowadzona została.

Wielkorządca przywiózł ze sobą na kresy swoją ulubioną córkę, piękną Fatymę; dziewczynie nie posłużyła na północ wędrówka, zwiędła jak kwiat podcięty, nim ojciec domyślał się niebezpieczeństwa. Zwłoki jej w dziedzińcu klasztornym złożono; obok pomnika fontanna szemrała skargę żałosną, a stroskany starzec często tu przychodził, umiłowawszy sobie cichy zakątek pośród gwarliwego i przepełnionego żołdactwem miasta. Ztąd i meczet zyskał jego względy, przyozdobił go amboną, z której *mołła* odmawiał głośno modlitwy.

Cisza, zmrok wiecznie panujący w świątyni, nadawał się do tęsknego smutku tureckiego dygnitarza. Po zgonie baszy pozostałą kazalnicę ojcowie świętego Dominika przechowali na wieczną rzeczy pamiątkę... Jakiś barbarzyńca wysmarował ją farbą olejną — ale to już za naszych dobrych czasów, w wieku postępu i cywilizacyi.

Kościół uprzątnięty czekał na rekoncyliacyę. Ks. biskup dokonał jej 26 września wobec licznie zgromadzonej publiczności. Komisarze i tutaj byli w całym komplecie. Właśnie przed zaczęciem mszy św. i przed *Te Deum laudamus*, ks. Frykacz, Jezuita, jak widać ze wszystkiego, człowiek ciekawy, zwiedzał ruiny miejskie, a z kolei zajrzał do opuszczonego haremu Kachrymana baszy.

Odalik stał pustką, ale jeszcze zapach rozlanych wonności wypełniał małe komnaty, w których jak w złotych klatkach przemieszkiwały piękne niewolnice, żony tureckiego dygnitarza. Ściany nosiły na sobie połysk malowania, z sufitów zwieszały się strzępy odartych materyi, zapomniany drobny pantofelek walał się na podłodze, może z celem zostawiony, choć właścicielka jego nie przypuszczała, że spocznie na nim oko nie rycerskiego młodziana, ale surowe księdza Jezuity spojrzenie... Do okna zaglądały pnące się na pół zwiędłe powoje, smutna bladolistna brzoza, przybysz na tej skale niezwykły, o zwieszonych jakby płaczących gałązkach, szemrała niezrozumiałą dla zakonnika piosenkę; cicho tu było, samotnie, ale ruina nie tak biła w oczy...

Ks. Frykacz, systematycznie opatrzył wszystkie kąty *odaliku*, potem dostał się do ogródka, i w nim „natrafił na rozkwitłą różę, z której dwie centifolie bardzo piękne zerwawszy, do kościoła przyniósłszy suffraganowi ofiarował“. Ksiądz biskup właśnie dążył na kazalnicę, stanął więc na niej z bukietem róż w ręku i w przemówieniu swojem do zebranych świetną przyszłość zapowiadał miastu.

— Dobrą jest wróżbą — mówił — gdy roślina kwiatem się okrywa w tak późnej roku porze; więc jak te róże, które tu widzicie, tak samo rozwinie się za panowania Jego Królewskiej Mości i wiara rzymsko-katolicka i potęga Rzeczypospolitej w Kamieńcu Podolskim; natura bowiem sama na tę myśl naprowadza „wiosnę w jesieni pokazawszy“...

I znów na znak radości strzelano z dział i ręcznej broni, a wieczorem zamiast nawoływania mołły, zabrzmiał hejnał z minaretu, rozpłynął się w powietrzu i zginął w skalistych

załomach Smotrycza, a echo go podchwyciło unosząc korytem rzeki daleko, aż ku Dniestrowi...

Na drugi dzień, w niedzielę, po ukończonej sumie, ks. Michał Trynitarz, błogosławił parze nowożeńców. Oblubieńcem był nasz Stefan Agospo, panną młodą Małgorzata Chocimirska. Nie obeszło się i tu bez przemówienia; mnich zagrzewał wiernych do ofiar, do odbudowania miasta zachęcał, a wróci ono do dawnego znaczenia, potęgi i bogactwa. Słówko o klasztorach wtrącił na końcu, a tak rzewnie odmalował pierwszą swoją redempcyę odbytą przed jedenastu laty, że pan wojewoda kijowski, z mocy sobie udzielonej, Trynitarzom oddał meczet turecki przy Lackiej bramie wzniesiony, Dominikanom zabudowania haremowe Kachrymana baszy, Karmelitom zaś wytknął plac w koło dworku pana Marcina Bogusza.

Wieczorem nowożeńcy wystąpili z skromną ucztą w uprzątniętym na ten cel ratuszu ormiańskim. Wszystek lud zbiegł się na pierwszą pośród ruin zabawę; strojów kosztownych nie dostrzegłeś, naczyń bogatych brakło, opony obozowe okrywały ściany, a skromne kilimki ławy zastawione do koła — ale ochota i wesołość były wielkie. Wielce się przyczyniła do uroczystości obecność dygnitarzy, pośród gości znajdowali się bowiem pan generał artyleryi koronnej, pan wojewoda podolski, stolnik Humiecki i jenerał Koszkiel komendant.

Sławetni pili zdrowie senatorów, ci zaś odwzajemniając się, komplementami osypali pannę młodą, sławiąc jej długoletnią wierność dla wybranego i dla tego oto miasta... Stefan Agospo, nazwany Agopsowiczem, zajął w księgach ślubnych, pierwsze *post hosticum* miejsce i był protoplastą rodziny, która się dobrze zasłużyła krajowi.

I znowu życie w Kamieńcu weszło na dawniejsze tory; stara jednak strażnica nie odzyskała przeszłej świetności... Urok niezwyciężonej utraciła. Ale i dzieje inną popłynęły koleją; wróg dawny przyjacielem został, otwierał odtąd na ścieżaj podwoje znękanym tułaczom polskim, ilekroć we

własnej ziemi nie znajdując bezpiecznego schronienia, kołatali doń z prośbą o gościnność...

Dawne urazy poszły w niepamięć, z walk tych wiekowych wyrodziła się sympatya i pewna życzliwość... Wonny to kwiat rzucony ręką sąsiada na świeżo usypaną mogiłę, to też niekłamaną wdzięczność w sercach polskich dlań przechowywano...

Szlaki kresowe porosły trawą, mogiły tylko wskazują, kędy one leżały; step urzyjski mrowi się ludem. W Kamieńcu, jako dawne, widome pamiątki tych czasów zostały *dżamia*, ambona Halila baszy, most turecki, na pół zrujnowane *belouardy* i lipy ręką Chocimirskiego przed dwoma przeszło wiekami sadzone, a zdobiące fronton potrynitarskiego kościółka...

Czołem przed niemi, przechodniu! bo oto już kilkanaście pokoleń szukało wytchnienia w cieniu ich rozłożystych konarów!...

ŹRÓDŁA DO OPOWIADANIA

pod tytułem:

„POD KRZYŻEM."

Relacya komissyi in Anno 1699 circa evacuationem Kamieńca odprawioney... uczyniona przez JW. Imci Pana Stefana z Rycht na Sokolcu Humnickiego, Wojewodę Podolskiego, na Seymie Walnym Grodzieńskim in Anno 1718. (Egzemplarz, z którego korzystałem, nie ma karty tytułowej).

Grabowski — *Ojczyste spominki.* Kraków, 1845 r. szczególnie II. od str. 197.

Kraszewski — *Okruszyny*, Tom II.; opowiadanie pod napisem: *Wspomnienie ks. Trynitarzy.*

Szajnocha — *Szkice historyczne.* Lwów 1857 r., II., rozprawa p. t. *OO. Trynitarze.*

Hellenijusz — *Kilka rysów i pamiątek.* Poznań 1860; rozdział p. t. *Latyczów na Podolu.*

Sadok Barącz — *Żywoty sławnych Ormian w Polśce.* Lwów 1856 r.

Archiw Juho-Zapadnoj Rossii. Część I., Tom IV. Kijów 1871, str. 122 i dalsze.

Przeździecki — *Podole, Wołyń i Ukraina.* Wilno 1841 r. T. II., str. 136 i dalsze.

J. R. — *Tymna na Podolu.* Kalendarz Jaworskiego, Warszawa 1867, str. 72.

Miscelanea ks. Romualda Boghdanowicza z lat 1698 do 1701, rękopis in 4to minori, własność biblioteki Kórnickiej w W. Ks. Poznańskiem.

Oryginalny przywilej *Sinona Chothi-beja* (własność prywatna): pargamin niewielki, formatu dużej ćwiartki, pisany

po armeńsku (język książkowy); zaczyna się od znaku krzyża św. opatrzonego trzema kropkami, na końcu każdego ramienia; pośrodku dobrze zakonserwowanego dokumentu herb od ręki zrobiony, wypełniający szerokością trzy wiersze (2, 3 i 4 — głowa wołu); u dołu pargaminu sznurek czerwony wełniany, na swobodnym końcu sznurka kawałek grubego szafirowego sukna, upstrzonego resztkami masy (miejsce dla pieczęci). Przekład dokonany przez Emina, profesora wschodnich języków w Łazarewskim Instytucie w Moskwie 1873 r., — z rosyjskiego podane tłómaczenie zrobione przez autora.

Wizyty Trynitarskiego kościoła p. t. *Dyecezyi Podolsko-Kamienieckiej*, *kościół z klasztorem zakonny Xięży Trynitarzów w m. Kamieńcu* z. l. 1787, 1824 i 1839 rękop. folio.

Wizyty Ormiańskiego kościoła św. Mikołaja z r. 1804 rękopis, folio.

Stefana Agopso dragomana — *listy*, *zapisy*, *fundacye*, *ważniejsze wypadki* od 1700 do 1730 r., wiązka starych papierów udzielona mi przez Dra Czajkowskiego.

ŁOSY KRESOWEGO MIASTECZKA

OPOWIADANIE Z PRZESZŁOŚCI.

I.

Nie masz piękniejszego zakątka na Podolu, jak pas jego wązki położony nad Dniestrem. Ciągnie się on od Zwańca do Uszycy, wynosi nie więcej nad mil dziesięć, a tak obfity w historyczne wspomnienia, jak żaden może na kresach. W IX. już stuleciu wzmiankują o nim dzieje; ze zmierzchu przedhistorycznej epoki wychyla się tu owa wielka Scytya z osadami Tywerców, wzdłuż Tyrasu rozrzuconemi. Majestatycznie się toczy wspaniała rzeka w głębokiej kotlinie, tuląc u boków liczne strumienie, górzyste jej brzegi przerzynające. Od strony Ponizia jeży się ona szaremi skałami, groźnie wzniesionemi nad powierzchnią wody; od strony multańskiej płaszczyzna bieży ku morzu, wiatr ztamtąd przynosi skwar południa, woń stepów bujnie kwitnących o wiośnie, nim je spalą doszczętnie czerwcowego słońca promienie.

Zakątek ten pokrajany w głębokie jary, przed wiekami olbrzymie zalegały puszcze. Na górnych płaszczyznach królował dąb rozłożysty; w rozstępach skalistych, zawiane z dala, a przytulone w szczelinach nasiona, powoli ale wytrwale kiełkując, podnosiły się ku niebu. Tutaj to rozmaitość była ogromna — i wonna lipa, i drżąca osika, i klon o delikatnych i nieledwie przezroczystych listkach, i biała brzózka wdzięcznie potrząsająca gałązkami, tęskna grabina, krzepki brzost, szumiący jasion... a w około na krawędziach prze-

paści, jakby broniąc przystępu do tego zaczarowanego świata, słały się krzaki zdradliwej tarniny; z wiosną mleczny kwiat dzikich jagód, latem krasne wiśnie, w jesieni krwawe korale kaliny, różowe gwiazdki „wilczego łyka“, czarne grona bzu dzikiego — pięknie ubarwiały rozstępy skał, zielonym i aksamitnym mchem otulonych... Zwierza wszędzie pełno, wody dostatek; wreszcie Tyras, jako przyrodzona granica od sąsiadów broniąca, a w końcu, jako główny szlak komunikacyjny... Wszystko to razem wzięte, zachęcało do osiadania na tej ziemi. To też nad brzegami rzeczułek wpadających do Dniestru, na płaszczyznach w jego kotlinie leżących, najwięcej śladów pobytu ludzi: znajdujemy do dzisiaj stacye krzemienne, do epoki kamiennej należące; nasypiska ziemne, owe „horodyszcza“ co krok prawie sterczą, a najpiękniejsze okazy okrzosków, siekierek i młotków, tu właśnie odkrywa archeologia...

A i pierwotne dzieje Ponizia, zapisane u ruskich kronikarzy, przeważnieześrodkowują się nad Tyrasem. Wszystkie kolonie ciężyły ku rzece, i albo nad jej brzegami rozpinały swoje wędrowne namioty, albo obok wpadających do niej strumieni. I kiedy na płaszczyznach jeszcze głucha zalega cisza, a kronikarz dalekiej przeszłości nie może pochwycić dźwięku z wymykającej się jego posłuchom tradycyi, tutaj życie wre pełnią siły, ludzie trzebią puszcze, na świeżych zrębach zabudowują się raźno a ochotnie.

Jak tylko wiara Chrystusowa przedarła się w te strony, nowi jej wyznawcy szukali ustronia, aby w niem przemarzyć samotnie, długie na modlitwie lata; skrzepnąć na duchu wprzódy, było zadaniem ówczesnych propagatorów cudownej doktryny, która u stóp krzyża czerpiąc światło, nierzadko do męczeństwa prowadziła...

Najodpowiedniejszą pod tym względem miejscowością dla ascety, była okolica, której kreślimy topografię. — Tu początek owych pustelni, owych *skitów*, rżniętych w miękkim nadbrzeżnym kamieniu! Pustelnik musiał być zawsze trochę poetą, trochę idealistą, dla niemej kontemplacyi poświęcał przyjemności doczesnego życia, ztąd też, wybierał taki

zakątek, którył odpowiadał jego pojęciom o pięknie. I istotnie, nic poetyczniejszego, jak owe mieszkania bogobojnych samotników nad Dniestrem, w epoce wprowadzenia wiary chrześciańskiej! Dostać się do nich mogłeś wązką niedojrzaną ścieżką; sklepiona w skale wykuta izba stanowiła cały przybytek, wnijście jej zakrywały zwieszające się drzew gałęzie, u stóp płowy Dniestr, za nim otwarta płaszczyzna, a nad tem wszystkiem pogodne niebo podolskie!

Z czasem, w sąsiedztwie „skitów“ osiadali ludzie, a gdy ich sporo napłynęło, wówczas obok pustelni na górze, stawał przybytek pański. Asceta znajdował naśladowców, wiązał ich w pobożne stowarzyszenie, które z kolei dawało początek klasztorowi. Pełno ich już tutaj w XI i XII stuleciu, monastery czerńców ruskich ledwie o miedzę leżą od siebie. Krzyż, godło cywilizacyi, wznosi się na skałach nadbrzeżnych, znaczy sobą szlaki, kędy wędruje obyczaj wschodni i światło byzantyńskiej mądrości. Promienie jej z dwóch stron przeciwnych spływają na Ponizie: od Kijowa kroczą po wschodniej granicy, od Carogrodu po zachodniej; od południa wędrują na północ. U wierzchowin Dniestru nowa łacińska cywilizacya stawi im tamę i oddziaływa na plemiona tutaj osiadłe. Halicz i Kijów pod rozmaitemi rozwijają się wpływami; w ostatnim absolutyzm, opierający się na *Czarnych Kłobukach*, pewnego rodzaju pretoryanach pierwiastkowej Rusi; w Haliczu możnowładztwo, „bojarszczyzna“ na główny plan występuje...

A na Poniziu w tej epoce oba wpływy mięszają się z sobą. Niektóre osady w skutek wyjątkowych warunków nabierają więcej od innych swoich sąsiadek rozgłosu, a do takich należą: Uszyca i Bakota nad Dniestrem, Smotrycz i Kamieniec nad Smotryczem, Skała nad Zbruczem, Sokolec nad Pubujanką i Dźwinogród nad Dźwiniaczką. Wszystkie one prawie sąsiadują ze sobą; od Uszycy najwięcej wysuniętej na południe, do Skały najbardziej na północ leżącej, dwa dni jazdy wystarczało aż nadto... A dobrze wcześniej przed przybyciem Batuchana (1240) są to zameczki obronne, dzielnice książątek walczących z sobą, nie dość silnych, aby

działać samodzielnie, ale tylko swoją przyjaźnią przychylających szalę przewagi na stronę Halickiej albo Kijowskiej Rusi... Tatarzy niszczą tu szczątki wschodniej cywilizacyi, i więcej niźli pięć ćwierci wieku panują bezkarnie na Poniziu, aż ich Korjatowicze ostatecznie wypędzają...

Z Litwą i Podole do korony polskiej przechodzi. Poczyna się nowy okres dla tej prowincyi, okres światła czerpanego z zachodu. A że spuścizna, po dawnych władcach nijaka, więc kraj pod wpływem nowych prądów rozwija się, zakwita, wcale nie tęskniąc za przeszłością, która mu zostawiła w spadku kilka tylko nazwisk miejscowości, kilka świeżych kolonii armeńskich — nic nadto. Korjatowicze wierni tradycyi odbudowali zamki ruskie, ale tchnąć w nich dawnego ducha nie mogli. Ówczesność miała własne korzyści na względzie — miasta odpowiadające jej potrzebom, jak n. p. Kamieniec, stara się podnieść, inne spycha do rzędu osad ubogich, jak Bahota, kędy Niemirowie nieprzyjaźni Rzeczypospolitej trzymali się czas krótki, jak Dźwinogród, Skała, Sokolec, których zameczki rozsypały się w gruzy już w końcu XIV stulecia. O odbudowaniu Uszycy nawet nie pomyślano; okres jej świetności zamyka epoka tatarskiego na Podolu panowania.

Drogi komunikacyjne z czasem w inną zwróciły się stronę. Niebezpieczne sąsiedztwo rabusiów, którzy wzdłuż Urzyjskich stepów, szlakiem wołoskim spływały do Polski, korzystając z licznych brodów Dniestrowych, oddziaływało niekorzystnie na szerzenie się kolonizacyi na pobrzeżu starego Tyrasu. Dawne książęce rezydencye zostały nędznemi, zapomnianemi wioseczkami, podobne one były do chodaczkowego szlachcica, przymierającego głodem, na skrzyni wypełnionej dowodami świetnego antenatów rodu...

Wiek XIV i XV nie nadają się do zaludnienia pustek ukrainnych. Podole omdlałe w objęciach niewoli tatarskiej potrzebowało wzmódz się na siłach. Resztki starych nieprzejednanych ruskich bojarów gasną w tym okresie doszczętnie. Jedni, jak książęta Ryńscy, schodzą do grobu bezpotomnie, inni usuwają się zupełnie z pola walki (Fed'ko Ostrogski,

Dowgirdowie, Niemirowie); inni nakoniec przyjmują łaciński obrządek i na wskróś polszczeją... Do rzędu ostatnich należą Buczaccy, których tu pełno w tej epoce. Na biskupim tronie kamienieckim zasiada jeden, starostów kamienieckich aż trzech tego nazwiska, a rotmistrzów broniących kresów, zapędzających się aż nad Czarne morze, co nie miara!

Ku końcowi XV stulecia, po zamknięciu z Litwą rachunków, prąd kolonizacyjny znacznie się wzmaga. Zamojscy na trzebieży puszcz nad Kiełbaśną rzuconych, budują zameczek Szarym grodem go zowiąc, a w koło niego, cały pęk wiosek, słobod, futorów powstaje. Pretfic zaludnia obszary Barskiego starostwa. Odrowąż ze Sprowy — Satanowszczyznę i Zińkowickie lasy, Kierdeje — stepy Orynińskie, Jazłowieccy — Jazłowiec i ziemie należące do ogromnego Chmielnickiego starostwa, Świerszczowie — Husiatyn z przyległościami, Nowodworscy — Czarny Ostrów i Bendrychów, Włodkowie — Proskurowskie moczary i trzęsawiska itd.

W XVI stuleciu nowe rodziny spływają na kresy, dosługują się wysokiego tonu, a potem i w całej Rzeczypospolitej znaczenia. Lanckorońscy na starostwie Skalskiem zdobywają i senatorstwa i majątek; Sieniawscy poczynając od skromnego Balina, przychodzą z czasem do posiadania Międzyborzczyzny (do 50.000 osadników), Kalinowscy w Zwanieckim zameczku milionową zgartują fortunę; Potoccy zaś na generalstwie podolskiem, poświęceniem, zabiegliwością, pracą, oszczędnością i rozumnem gospodarstwem, odrazu wznoszą się na wyżyny, stają na równi z pierwszemi w kraju rodzinami, a nawet prześcigają je niebawem...

Potoccy występują w dziejach nagle. Maciej z Potoka, chorąży krakowski († 1510) jest protoplastą rodu, syn jego Jakób, uczy sztuki wojennej ostatniego Jagiellona, a wnuk Macieja już regimentarzuje w koronie i jest generałem podolskim. I w tem więc zasługa Potockich, że mitologii nie domięszali do swojego drzewa genealogicznego. Daleko jest zaszczytniej podnieść się na wyżyny i na nich w ciągu kilku wieków się trzymać, niźli z prawa rodu tylko stać w górze...

Bądź jak bądź, Potoccy sumiennie prowadzili na Podolu, jak swoje tak i koronne gospodarstwo, zawsze uwzględniając potrzeby miejscowe. Dawniej w tej Jagiellońskiej epoce, szlachta nie przeprowadzała linii demarkacyjnej między własnością Rzeczypospolitej a osobistą rodową spuścizną; tak dobrze poświęcała ostatni grosz, kiedy kraj tego wymagał, jak w razie potrzeby żyła kosztem tego kraju, który pomny na zasługi, oddawał jej ów chleb dla sumiennych pracowników przeznaczony. Odblask tego patryarchalnego stosunku, już po wygaśnięciu krwi Jagiellońskiej długo jeszcze przyświecał Polsce, nie dając przystępu sobkostwu i nadużyciom.

Potoccy po Włodku osiedli na generalstwie. Siedmiu Pilawitów z kolei piastowało ten zaszczytny urząd obrońców kresowych. Ze starościńskiego krzesła dostawali się oni do senatu, jedenastu kasztelanowało, a z nich czterech w Kamieńcu, 17 wojewodów liczył dom ów rozrosły, a w początkach prawie wszyscy (ośmiu) w Bracławszczyźnie przewodzą, to jest tam, gdzie niepokój największy, gdzie z szablą stać trzeba na rubieży państwa. Potem hetmanią, na kresach wciąż „leżą", zarzewie buntów kozackich gaszą, tatarskie czambuły rozpędzają, w łyka bez szemrania idą, w jasyrze tureckim najpiękniejsze lata trawią, głowę za kraj dają w ofierze... słowem nie szczędzą mienia, zdrowia, życia dla ojczyzny!

A jakby zawdzięczając ziemi podolskiej za wzrost i pomyślność, w szczególnej ją mieli opiece. Ulegli i oni prądowi kolonizacyjnemu, ale i w tym względzie dobro Rzeczypospolitej stawali po nad własny interes. Ku końcowi XVI i na początku XVII stulecia, ziemianie nasi po zaludnieniu wnętrza prowincyi kresowych, idąc za popędem Koniecpolskich w stepy posunęli dalekie. Chęć posiadania znacznych obszarów popchnęła Sieniawskich ku puszczom wzdłuż czarnego szlaku leżącym. Kalinowski z pod Kamieńca przeniósł się na starostwo winnickie, więc w Bracławszczyznę, tam dopiero otrzymał w darze ów skromny upominek humański, dla objechania granic którego, potrzeba było dni

kilka na rączym koniu cwałować! Interes osobisty parł ich na te żyzne równiny. Potoccy z własną łączyli i kraju korzyści. Oto rozejrzawszy się w około Kamieńca, przekonali się, że spory kawał ziemi, tuż w jego okolicy pustką stoi; że Podniestrze, poczynając od Zwańca aż do Uszycy, i pobrzeże Smotrycza, od grodu Korjatowego aż do jego ujścia nie zaludnione... Dlaczego? bo przypierają do granic wołoskich, a wzdłuż tych ostatnich bieży szlak tatarski dogodny dla dziczy, bo wskazówką jego prąd starego Tyrasu, a gdzie się od brzegu oddala, tam liczne mogiły sterczące rzędem zmylenie drogi niepodobnem czynią. Przez Dniestr łatwo się dostać na podolską stronę, od Raszkowa bowiem do Uścia Smotryczańskiego, więc na przestrzeni tylko mil dwudziestu pięciu, liczono aż siedm brodów. Strażnik kresowy czuwał wprawdzie w okolicy Uszycy, ale luki graniczne nie obsadzone wojskiem, stały dla rabusiów otworem. Już Jan Potocki, prawnuk Macieja, owego protoplasty Pilawitów a drugi generał podolski, wyrobił sobie u Stanów pozwolenie objęcia w posiadanie pustkowia. Łatwo to przyszło, nikt się o nie nie kusił, toć jeszcze Stefan Batory, na początku panowania, nadał zasłużonemu Beugerowi uroczysko Kotłubejów, położone w tej stronie, p. Beuger jednak nie znalazł ludzi gotowych do osiadania na gruntach acz żyznych, ale narażonych bezpośrednio na napady tatarskie.

Potoccy poradzili sobie inaczej. Najprzód dwa grody do ich należące juryzdykcyi zabezpieczyli. Kamieniec i Latyczów ufortyfikowane należycie ich staraniem zostały. Potem szła kolonizacya wybrzeży Smotrycza do Uścia, żeby jednak osadnikom w razie niebezpieczeństwa zapewnić schronienie, wypadało budować zameczki, więc i zameczki pobudowali. Nad Smotryczem stanęły Paniowce, umodelowane na wzór Kamieńca, istne cacko rzucone na skale. Doglądał tu robót Schommberg biegły w sztuce wojennej i puszkarskiej, poprzednik Vaubana w nauce fortyfikacyi. Zameczek ten był ulubioną rezydencyą Jana Potockiego (1555—1611). Pilawici ciągnęli dalej dzieło osadnictwa wzdłuż Dniestru, a że pas ziemi darowanej był długi i wąski, więc dla jej obrony

stanął drugi zameczek na wysokiej gorze — Kitajgród, oblany wodami Tarnawy, wyglądał on imponująco pośród otaczającej go puszczy... Dziś te jary szare i nagie, wówczas były lasem okryte. Potoccy tu zjeżdżali często na łowy, bo zwierza wszelkiego podostatkiem się w tych kniejach gnieździło, dzikie sarny, i odyńce, i wilków całe gromady. Wreszcie na południowym krańcu świeżego nabytku, wyrosły nad Dniestrem fortyfikacye Studzienicy, jakby wałem obronnym ogromnemi otoczone górami. I zaraz lud kmiecy mrowić się zaczął na pograniczu, tak że w końcu XVI wieku liczono już tutaj 40 wiosek i 3 miasteczka. Dobrze bo się żyło na ziemiach Potockich! Przywilejów sporo, robocizny nic prawie, wszelka przytem ochrona i obrona od drapieżnego najeźdcy. Oprócz bowiem trzech zameczków, tulących w czasie najazdów lud w murach swoich bez żadnego za to wynagrodzenia, tuż pod bokiem leżał Kamieniec, kędy przyjmowano mieszkańców *extra muros* osiadłych, z warunkiem, aby prowiant przynosili ze sobą. Nadto strażnik kresowy, poniżej Studzienicy przebywający, za pomocą pewnych znaków jak n. p. beczek smolnych na kurhanach, wiech owijanych słomą, „dzwonów królewskich“, wart na wieżach cerkwi nadbrzeżnych i t. p. ostrzegał o niebezpieczeństwie; a tak w niespełna godzinę lud na przestrzeni kilkunastu mil zamieszkały uprzedzony o najeździe, miał czas się schronić pod opiekę ochronnych murów, i czekać tam spokojnie, aż nawała przepłynie. A kiedy i to nie wystarczało, kiedy napady stawały się zbyt częste, dotkliwe i nagłe, wówczas za namową Potockich, ochotnicy polscy jęli się przedostawać na brzeg multański Dniestru i na szlaku wołoskim robili zasadzki na nieproszonych gości. Zwykle, w początkach przynajmniej, brali udział w tej wyprawie kmiecie i szlachta uboga pierwsi w razie pomyślnych łowów zdobywali sobie indygenat — a był to jakby chrzest z miecza, drudzy czasem i na senatorskie dostawali się krzesła...

Ów Jan Potocki jeszcze jedną zaletą nad spółczesnymi górował. Oto odznaczał się tolerancyą... Tak samo żonie pozwalał opiekować się Dominikanami Latyczowskimi, jak

ludowi wznosić liczne cerkwie, do wschodniego należące obrządku; sam zaś „zarażony nowatorstwem“ zbudował w Paniowcach kaplicę luterską, otworzył drukarnię, odbijał w niej rozprawy teologiczne, założył nawet akademię kalwińską... Wątpimy jednak czy wielu miał zwolenników; szlachta bowiem nasza była ciemna, trochę za dzika, trochę schłopiała w tych nieustannych zapasach z nieprzyjacielem podstępnym a nieprzebierającym w środkach. I to rodzaj brawury! Mieć z jednej strony Jezuitów kamienieckich — o niewielką milkę — z drugiej szlak wołoski, o dwie milki; być przyjacielem i powiernikiem fanatycznego Zygmunta III, i pomimo to wszystko bawić się jeszcze w teologię „heretycką“, propagować nowatorstwo! Prawda, że cały ciężar moralnej odpowiedzialności przyjmował na siebie pastor, naczelnik miejscowego zboru Wawrzyniec Małachowicz, domownik generała podolskiego. On to ochrzcił zameczek z łacińska *Paniovia*, a na nielicznych drukach, dziś należących do osobliwości bibliograficznych, miejsce ich odbicia nazwano *Senapaniowce*, potem przerobione stosowniej na wyższe i niższe, dziś „wyżne i niżne...“ A ważyły tu jako powód do pobłażliwości, także zasługi żony, bolejącej nad odszczepieństwem męża i gorąco szerzeniu katolicyzmu oddanej... Nigdy ta pobożna niewiasta do Paniowic nie zaglądała, składając się obawą Tatarów, choć według spółczesnych, Małachowicz, exksiądz katolicki, straszniejszym dla niej był od rabusiów...

Potoccy więc, jak widzimy, z nawiązką wypłacili ziemi podolskiej za to, że do wyniesienia im dopomogła... A smutna przyszłość, jaka spotkała zaludnione przez nich pustynie, była wynikiem nieszczęść krajowych, które od chwili wstąpienia na tron Władysława IV, jak pioruny z jasnego nieba, nieustannie na tę prowincyę spadały.

II.

Wcześniej od innych Studzienica uległa smutnemu losowi. Parę chwil z jej dziejów opowiedzieć tu chcemy. Dokładniej daty urodzin rzeczonej osady nie podała nam historya. Najstarszy zabytek piśmienny przechował się tam, gdzieby się najmniej można tego spodziewać — oto na miejscowem cmentarzysku żydowskiem znajduje się kilka starych pomników, a na pomnikach nazwiska zmarłych i daty ich zgonu z r. 1570 — więc trzy stulecia temu. W całej jednak świetności wychyla się miasteczko z pomroki historycznej dopiero na początku XVII stulecia. A co tu życia i ruchu! Dziś z obecnej nędzy i ruin domyśleć się nawet tego nie można! Miasto leżało na niewielkiej płaszczyznie, przytykającej od południa do Dniestru jakby się w falach jego kąpało; niewielka rzeczułka Studziennicą zwana obejmowała je dokoła. Skąpym strumieniem biegnie rzeczka ta z borów sąsiednich i nie dochodząc do osady dzieli się na dwie odnogi. Góry zewsząd otulają kolonię, od zachodu największa Monastyrska zwana, od południa Grochowa, od wschodu Biała. Trzy te olbrzymy z pokrajanemi bokami, z potrzaskanych głazów ułożone, nagie, smutne, dziwnie odbijają od całego krajobrazu, jakby swym kontrastem dopełniały go, jakby koniecznemi były do uwydatnienia jego piękności. Stopy miasteczka obmywa wspaniała rzeka, wzdłuż niej wąziutką wstęgą usiadły chaty wieśniacze, w gęstych

sadach ukryte; prąd wiatrów północnych nie dochodzi tu wcale, rozbija się o górę opiekuńczą; ztąd klimat łagodny, lato nie znojne, zima krótka, a wegetacya rozkoszna. Śliwki tutejsze posiadają sławę nie małą, a winograd hoduje się i dojrzewa bez wielkich zachodów; pierwsze na brzegu Dniestru i na licznych jego ostrowach, do kląbów pośród wody rzuconych podobne, ostatnie na pochyłościach górskich... Multany za rzeką wychylają się jak rąbek skalisty, okryty lasem, samotny, opuszczony, jednak ludzie tu dawniej mieszkać musieli, dowodem tego cmentarzyska żydowskie... Istotnie przed wiekiem, leżało tu miasteczko Otaki, ale wojna i mór wypędziły ztąd ludzi na zawsze.

Studzienica wspaniale na początku XVII w. wyglądała. Miasto składało się z „bazaru“ ubranego w poważne kamienice, o cienistych wedle wschodniego obyczaju werandach, o małych zakratowanych okienkach. Pośród długiego, a stosunkowo wązkiego rynku stał ratusz, mieszczący w sobie składy handlowe. Z jednej jego strony wznosiła się grecka cerkiewka, z drugiej ormiański kościółek; wszystko dokoła ochraniał wysoki mur, ubrany w strzelnice, z bastyonami po czterech rogach, mieszczącymi w sobie „armatę“ i spory zapas „municyi.“ Dwie bramy prowadziły do miasta — były to także baszty obronne, przy których straż zawsze czuwała, a zapatrując się na Kamieniec nadano im nazwy — jedna od północy była ruską, druga od wschodu ormiańską. Wycieczka łącząca miasto z zamkiem, albo obronnem mieszkaniem dziedzica, tytułowała się polską, a stanowił ją most rzucony przez rzeczkę, o wysokich ścianach ze strzelnicami i pokryciem ziemnem. Na zamku mieszkał podstarości, dowódca milicyi, składającej się z regimentu piechoty imienia Potockich, miał nadto pod sobą 16 puszkarzy, należących do cechu kamienieckiego... Podstarości, albo gubernator reprezentował władzę najwyższą. Mieszczanie własne posiadali sądy; w ważniejszech sprawach rozstrzygał rzecz zastępca dziedzica, w najważniejszych decydował generał podolski — do niego szła apelacya. W obrębie zamku znajdowała się cerkiew św. Michała.

Na górze zaś monasterskiej klasztor ruskich mnichów, skromny, ubogi, maleńki ledwie sześć czerńców liczył, ale słynął z cudownego obrazu Matki Boskiej, do której zbiegał się lud okoliczny. Podnosiła w oczach gminu znaczenie tego miejsca obecność na takiej wyżynie źródła „żywej wody“ w najdłuższe i najtęższe mrozy nie zamarzającej, co pobożni prostaczkowie przypisywali opiece cudownego obrazu, i ztąd utrzymywano, że woda ma własności uzdrawiające. W buteleczkach jak Poczajowską, roznosili ją wierni po całej Rusi. Monaster stanowił zarazem strażnicę, dzień i noc na jego wieży czuwali ludzie, rozpatrując się w stepie Urzyjskim, za Otakami bowiem biegł ów dobrze znany szlak wołoski. A i Białą górę zużytkował troskliwy właściciel na korzyść miejscowej gminy. W kredowych jej pokładach, pośród gęstych acz karłowatych zarośli, mieszkali niegdyś zakonnicy. Celki po nich pozostałe, kazał Potocki połączyć, wykopać obszerną, ciągnącą się w głąb góry pieczarę, która mogła służyć jako schronienie dla ludu w czasie napadu nieprzyjacielskiego. Podobne schowki i dziś jeszcze często na Podolu spotkać można; ówcześni ziemianie dbali bardzo o należyte ich utrzymanie. Zwykle dwie, trzy okoliczne wioski miały prawo korzystania z kryjówki, o czem nawet w aktach przy nabyciu i sprzedaży robiono wzmiankę, a majątek posiadający je zyskiwał na wartości. Pieczara w Studziennickiej górze mogła wedle podania pomieścić 15.000 osób (cyfra według nas bardzo przesadzona). Rzączyński zwiedzał ją w zeszłym wieku i zalicza do największych na Podniestrzu. Z czasem jednak lud przestał korzystać z tych schowków, bo rabusie umieli je zawsze odnaleść.

Miasteczko słynęło handlem. Odbywała się tu wymiana towarów tak zwanych wschodnich na miejscowe. Ku potrzebie mieszkańców zarzecznych istniały dwa spore statki przewozowe; pierwszy funkcyonował około Białej góry, drugi za miastem przy Chłopowem uroczysku. Naprzeciw przystani wznosiły się gospody; przedniejsza dla kupców i *reżeszów* multańskich, inna podlejsza, dla gminu. Obok ostatniej ciągnęły się pływające młyny, a mąka z nich

posiadała sławę; posiadała ją i gorzałka pędzona w miasteczku, posiadały ją wreszcie kobiety tutejsze, odznaczające się niepospolitą urodą.

Już to Podniestrze zawsze słynęło z krasnych niewiast. Nigdzie ich tyle, co w tej okolicy nie było. Ziemie ukrainne, poczynając od XVI w. zasilały haremy carogrodzkie i krymskie. Ciemne a śniade Czerkieski, nigdy w ciało nie porastające, wyszły z mody, blondynki słowiańskie prym nad niemi trzymały... Dla chańskich odalików szukano branek nad Dnieprem, cały kontyngens żon Girejowych — to szczere Rusinki, za to dla sułtanów najponętniejszemi były piękności z nad Dniestru. Uderzająca też była, powtarzamy raz jeszcze, uroda kobiet tutejszych, nawet do najpodlejszego gminu należących — słuszne, o regularnych rysach twarzy, ciało przy tem kształtne, ruchy harmonijne, włos płowy, miękki, gęsty a długi, oczy jasne — i nie błękitne i nie zielone, coś pośredniego między szafirem a szmaragdem, z świetnym jednak blaskiem; biła z nich swawola kotki i łzawa rzewność sarneczki.

Opis przytoczony podajemy na wiarę nieznanego autora *Raptularza*, biegłego postrzegacza. Zmodyfikowaliśmy go trochę, uzupełniając dział estetyczny, a wykluczając cały do dziedziny anatomii należący. Kalotechnika bowiem owego przybysza ze Wschodu, Ormianina, naiwna, a czasem aż do nieprzyzwoitości lubieżna...

I wychodźcy armeńscy mieli swoją kolonię w Studzienicy. Kamieniec ją zasilał nowymi wysłańcami, kult gregoryański między nimi przeważał. Naturalnie, że handel wschodni w ich ręku zostawał. Dwa razy do roku (w maju i w końcu września), powracały karawany ze Stambułu; na suto objuczonych wielbłądach wprowadzono towary do miasta — i wówczas były to dnie wielkiej uroczystości, bo w oczekiwaniu przybycia kupców zbiegał się lud okoliczny, stawili się zwykle handlarze z dalekich miast i miasteczek, z Baru, Winnicy, świeżo podnoszącego się Szarogrodu, z Chocimia, Soczawy, Czerniejowiec; ba nawet patrycyusze kamienieccy, niby dla zasięgnięcia języka, niby przypadkiem zaglądali

tutaj, z boku patrzyli na wyładowywane produkta, ażali nie dojrzą jakiejś nowostki, którąby łatwo było jako taką i na większym rozprzedać rynku. Grecy handlowali bakaliami i trunkami, szczególnie wołoskie wina umieli spieniężać korzystnie.

Pełno tu było gospod, a lud w nich zebrany przy szklance odurzającego napoju wesoło gwarzył i zapominał o jutrze. Studzienica liczyła już kilka firm poważnych, robiących znaczne obroty, bo na setki tysięcy złotych. Tak np. wyrażając się terminem tegoczesnym, jeden z tutejszych kupców armeńskich był nadwornym dostawcą hospodara wołoskiego, a co ważniejsza, samemu panu wojewodzie bracławskiemu, ówczesnemu dziedzicowi, mógł trafić do gustu, choć wybredny to pan był, szczególnie we wszystkiem, co się dotyczyło rynsztunku na konia wierzchowego. Koloniści, jak wszędzie, tak i tutaj zagarnęli władzę miejską w swoje ręce, z grona ich zawsze wybierano wójta. „Piśmienny“ — t. j. posiadający kunszt pisania — dygnitarz taki, bywał zwykle bardzo użytecznym, a w razie ucisku i do samego dziedzica mógł z liter suplikę na papierze „wykomponować“... A wiadomo, jak drażliwymi byli ci wychodźcy armeńscy, jak lada drobnostka dawała im pochop do lamentu i składania skarg aż u stopni tronu! A że i żydzi w Studzienicy jednocześnie zamieszkiwali, jak świadczy o tem stare cmentarzysko do dziś w mieście egzystujące, można więc wnosić, że się bez częstych poswarek, i pozwów, i molestacyi nie obyło pewnie; dwa te szczepy reprezentowały u nas Montekich i Kapuletych kresowych, walczących o palmę pierwszeństwa...

Powtarzało się to samo w Kamieńcu, choć tam Armeńczycy mieli górę nad Izraelem, pozbawionym prawa osiadania w mieście; (ale, dodamy nawiasem, prawo to wymijał on, zdobywając sobie względy u komendantów), powtarzało się to w Mohylowie, Raszkowie, Stanisławowie, Barze, Zwańcu, gdzie oba nienawistne sobie żywioły, jednakiemi uposażone były przywilejami. I dziwna rzecz, owi zajadli żydów nieprzyjaciele trzymali się tak długo, jak długo zachowali

swoją odrębność narodową, raz spolszczeni ustępowali pola, gromadząc się w większych miastach, gdzie patrycyat miejski stał na równi z klejnotem szlacheckim — a wiadomo, że Ormianie wzdychali do tego zaszczytu!

I wójt więc studzienicki wysoko się nosił, tytułowali go burmistrzem sławetni koledzy, sam nawet podstarości, faworowany przez pana generała podolskiego i dziedzica miasteczka, z respektem był dla Ormianina nie małym. Jedni utrzymywali, że estymował nie osobę, ale jej suto złotem wypchaną kieszeń, według zdania innych, przynętą dlań była piękna jedynaczka, córka burmistrza osładzająca starcowi wdowieństwo samotne. Rypsymą ją zwano; a kiedy w święto uroczyste szła do kościoła, gmin prosty zapatrywał się na nią, jak w obraz cudowny. Ojciec ją przyodziewał w ciężkie a kosztowne materye, tkane złotemi nitkami, a w jaskrawe barwy bogate, co przy czarnym połyskliwym włosie, a białej i nad podziw delikatnej twarzy jeszcze ją więcej piękną i wspaniałą czyniło. Ławnicy kamienieccy robili zabiegi o rękę dziewczyny dla swoich synów; nawet najbogatszy kupiec z kresowej warowni Asłan dobijał się tego zaszczytu; ojciec nie obiecywał i nie przyrzekał... Chyba czekał na „burkułaba“ Chocimskiego, woła wspomniany wyżej autor raptularza, bo od niego to zapożyczyliśmy szczegółów do odmalowania tej legendowej postaci, owej królowej kresów, burmistrzówny studzienickiej; on to dosadnie opisał żałośnemi słowy nieszczęsną dolę, jaka spotkała miasteczko i jego w dostatki opływających mieszkańców.

A nieszczęsna była zaiste ta dola.

Jeszcze nie pomarli ludzie wzrost osady pamiętający, a już się straszna nad nią gromadziła burza. Zasłynęła zbyt głośno dobrobytem — aby go miała w spokoju używać. Turcya korzystając z chwili, kiedy Władysław IV zabawiał się wojną na północy, umyśliła zagarnąć Podole. Powszechnie utrzymywano, że Abazy-basza, ulubieniec padyszacha, był twórcą projektu i sprawcą tego nieszczęścia. Dnia 19 października 1633 r. stanął on nad Dniestrem, na czele 50.000 ludzi. Stanisław Koniecpolski, niedawno mianowany

hetmanem w. koron. wybiegł na jego spotkanie na czele garstki rycerstwa polskiego: „Zwąchawszy zdradę turecką, mając sobie rządy królestwa w niebytności króla zlecone, szlachtę częścią prośbą, częścią obietnicami, częścią nadzieją łupów, do oręża zwołał na obronę ojczyzny.“ Okopał się pod Kamieńcem. Do dziś sterczące kurhany obok gościńca prowadzącego do Humieniec, jeszcze zupełnie pługiem nie zaorane — to właśnie szańce wzniesione podówczas... Do stanowczej jednak walki nie przyszło, podjazdowe tylko utarczki trwały dni kilka.

Pan hetman miał tajemną konferencyę z wodzem tureckim w polu szczerem wśród nocy. Na czele nielicznych pocztów zjechali się obaj. Wyrzucał mu hetman to nieuczciwe najście, przypominając wodzowi niewiernych jego słowiańskie pochodzenie. Wódz ten bowiem istotnie był niegdyś skromnem kmiecem pacholęciem z nad Dniestru rodem. Imię Iwaszki, Iwasia na Awaza w końcu na Abazę przerobili niewierni. Czy go zmiękczyły wyrzuty p. hetmana? Wątpimy bardzo... „Gruby ten odszczepieniec“, jak go Twardowski nazywa, dawno już z serca wyplenił wspomnienie przeszłości, nie drgało mu ono na widok klęsk i krwi, którą hojnie, jako przedajny najemnik szafował. Był sam przed tem jeńcem Halil baszy.

„Miał brańca na galerze, który wiele razy
Pływał z nim po Egeo, imieniem Abazy.
Rodem Rusnak, Włoszy mu Jazzo swoje dali,
A naszy po ruskoju Iwaszkiem go zwali!“

Upokorzony niepowodzeniem wódz turecki, posunął z odwrotem w stronę Uścia Smotryczańskiego i postanowił zemścić się na spokojnych mieszkańcach Podniestrza. Paniowiec nie odważył się oblęgać, miał bowiem wojska polskie na karku, ale po za niemi już wszystko niszczył po drodze. Przekroczywszy Dniestr, chwilę wypoczął około wału Trajana, potem się puścił szlakiem wołoskim; sioła podolskie pustką stały, lud wcześnie ostrzeżony, uchodził z duszą w głąb kraju. Mieszkańcy tylko Studzienicy zbyt zaufali

murom warowni, może liczyli na odsiecz Kamieńca, oddalonego o sześć mil niewielkich. Zamknęli się w zamku i miasteczku gotowi wytrwać do ostatka. Już ku wieczorowi 24 października, pokazały się na przeciwnym brzegu zastępy tureckie. Abazy zakwaterował w Otokach, a wojska jego przeszły bród natychmiast. Strażnik z wieży klasztoru na Monasterskiej górze wzniesionego, po raz ostatni jękiem dzwonu ostrzegł o niebezpieczeństwie i padł na stanowisku przeszyty strzałą pohańca...

Miasto przeludnione, zamek także pełen pospólstwa, wszystko czekało w groźnem milczeniu na przybyszów. Nie słyszałeś narzekań, nie było o poddaniu mowy. Wysłannik od Abazy zachęcający do niego, powitany został kulami. Rozpoczęli więc szturm Turcy — siła ich poległa w fosach mury otaczających. Walka trwała trzy dni całe, Abazy-basza, coraz nowe wysyłał zastępy — nic to nie pomagało. Miał wszystką ludność przeciw sobie: walczyły kobiety, starcy sędziwi, pomagały im dzieci; rzucano kamienie na idących do szturmu, zbyt blisko podchodzących oblewano wrzątkiem, rozgrzaną smołą... co kto miał pod ręką, tem godził w napastnika... Nareszcie siły się wyczerpywały, a odsieczy znikąd nie widać. Przeszło tysiąc trupów niewiernych, wypełniających rowy, niepogrzebanych, zatruwało powietrze, liczba obrońców zmniejszała się także. A kiedy Ottomani na własnych karkach wnieśli działa na sąsiednie góry, kiedy ich kule wpadające do miasta, wznieciły pożar w kilku miejscach, wówczas już oblężeni stracili nadzieję. Opór słabł z każdą chwilą, gmin nie zachęcany do boju opuścił ręce.

Wróg skorzystał z tego upadku na duchu i opanował miasto. Zemsta zmiotła je w okamgnieniu! Pod wściekłem uderzeniem rozszalałych namiętności rozpadły się mury, domy chłonął ogień, kosztowniejsze sprzęty zabierali rabusie, kto życie wyniósł, nie uniknął jasyru. Ale i tu plon był nie obfity. Z 15.000 mieszkańców ledwie kilkuset dostało się do niewoli, a w ich liczbie i piękna Rypsyma, córka wójta Studzienickiego...

Mściwy nieprzyjaciel nie zostawił kamienia na kamieniu; trzy dni szturmował, drugich trzy dni palił i rozwalał kresową srażnicę... kupa gruzów, dymiące się zgliszcza, wyjących psów gromady, stające do walki z wilkami na niedojedzonych trupach, oto co na miejscu, kędy niegdyś stała Studzienica, zastały wylękłe czaty, wysłane przez hetmana z pod Kamieńca... Ani jednego żywego człowieka, który by im dzieje katastrofy opowiedział! Miasteczka bronili chłopi, bronili mieszczanie, szlachty tam nie było, ztąd z takiem lekceważeniem wspominają ówczesne zapiski o tej klęsce... Gdybyż choć jeden herbowny głowę swoję pośród gminu położył, zaraz by go Hektorem nazwali współbracia, a Niesiecki wciągnął do pocztu męczenników; cała Polska szlachecka, wszerz i wzdłuż brzmiałaby jego nazwiskiem, spółherbowni doszukiwaliby się krewieństwa z poległym. Taki to był obyczaj u nas...

Podobnemu jak Studzienica losowi uległ i Kalusz nad Dniestrem. Żurkowski, biograf Tomasza Zamojskiego, o klęsce ostatniej osady nie wspomina, losy zaś pierwszej tak opisuje: „Turcy do miasteczka Studenicy 24 października przystąpiwszy trzy dni ustawicznie szturmując *tandem* dobyli, spustoszyli, wysiekli, z wielką jednak ludu swego pogańskiego utratą.“ Ostroróg w swoim dyaryuszu, na usprawiedliwienie rycerstwa polskiego, zebranego pod Kamieńcem, dodaje, że się ono dowiedziało o katastrofie zapóźno, więc jej uprzedzić nie mogło. Bo choć nieprzyjaciel odszedł z konfuzyą, „ale wydawać się z fortelu i gonić go nie dopuszczała *salus Reipublicae*, która w tem tu wojsku *consistit*. Nazajutrz nieprzyjaciel uczynił wymiot i znowu od hospodarów posłów wyprawił, a nawet i sam list do pana hetmana pisał, *incitando* do pokoju, a tymczasem ruszywszy się z obozu, obległ majętność IMP. wojewody bracławskiego, Studzienicy i Kalus“ i t. d.

Po tych zwycięstwach wyruszył Abazy-basza do Carogrodu. O losie więźniów zabranych w miasteczku i jego okolicy może wiedzieć chcecie? Szajnocha powołując się na Bobowskiego, opisuje wjazd ich tryumfalny do tureckiej

stolicy. Było to, według słów jego, „nader wspaniałe widowisko jasyru z Lechistanu.“ Chłopi przedzierżgnięci w bejów, kobiety z gminu na córki szlacheckie. Albrycht Radziwiłł rzecz zbywa krótką wzmianką w swoich pamiętnikach: „Wiedząc (Abazy-basza) o manierze dworu tureckiego, podarunkami to sprawił, że jego wymówka (dla czego nie zdobył Podola) wdzięcznie była przyjęta. Więźniów niektórych podłej i wiejskiej kondycyi, po wsiach zabranych, cesarzowi ofiarował, których cesarz pościnać kazał. Darował też cesarzowi jednę pannę polską, w niewolę zabraną. Pięknie ją przybrawszy twierdził, jako być miała hetmańską córką.“ Czy w rzędzie głów brańców podolskich, spadłych u stopni tronu sułtańskiego, znajdowała się i osiwiała głowa biednego burmistrza studzienickiego i młodego podstarościego — tego powiedzieć nie potrafimy. Raptularz, z którego korzystamy, objaśnia tylko dosadnie, kto była owa polska dziewica? „A tak, mówi on, udawszy wójtownę Studzienicką za córkę hetmańską, choć jako żywo pan hetman córki nie miał nigdy, ofiarował ją cesarzowi Imci tureckiemu; wdzięcznie przez pana przyjęta ona udana hetmanówna, do haremu i do łask jego przypuszczona została.“

Czy piękna Rypsyma, pamiętna przybranej ojczyzny, serce swego władcy i króla zmiękczyła na niedolę współbraci? O tem dzieje nie wspominają.

III.

Studzienica leżała w gruzach, jednak niedługo. Dziedzic jej ówczesny, Stanisław Rewera Potocki, spadkobierca po stryju bezdzietnym, zaczął znowu krzątać się około nowej kolonizacyi. Stany sejmujące w r. 1635 zapisały chlubne świadectwo w konstytucyach o waleczności miasteczka: „Nowo osiadłe miasteczko Studzienica W. Stanisława Potockiego, w. bracławskiego, przez nieprzyjaciela ogniem spustoszone i *funditus* zniesione; iż i naonczas przy expugnacyi swej tak potężnemu nieprzyjacielowi *fortiter restitit*, jakoż wielu nieprzyjaciół pod tym miasteczkiem, przez kilka dni dobywając go, zginęło; a teraz znowu gruntowną municyę zaczyna; przetoż chcąc obywatelów tamecznych w zamysłach ich przychęcić, za pozwoleniem Stanów koronnych i W. X. L. onych od wszelkich poborów, czopowego, podymnego, czwartego grosza, myta pieniężnego i inszych wszelkich, jakimkolwiek sposobem nazwanych podatków, od daty tej konstytucyi, do lat ośmiu zupełnych wolnymi czynimy“...

Piękny nagrobek poległym, a trwalszy od wszelkich lapidarnych dowodów pamięci... Uczczenie przeszłości i dla przyszłości zachęta! A i wojewoda nadanemi od siebie przywilejami ściągnął liczny poczet osadników. Do Ormian i Greków przybyli kupcy wołoscy. Jarmarki studzienickie zasłynęły szeroko. Kolonia w okamgnieniu odbudowana, urosła do rozmiarów dawniejszych. Wojny Chmielnickiego nie tknęły

tego zakątka, zwycięzkie watażki zastępy nie zapuszczały się w jary uszyckie.

I znowu sporo upłynęło czasu. Dawna niedola zaczęła przechodzić w tradycyę; ledwie kilku starych ludzi pamiętało całą grozę napadu Abazy-baszy, kiedy Ottomani powtórnie zalegli całe Podole. Mieszkańcy Studzienicy już się nie ukrywali po za murami warowni. Stary ich dobrodziej, pan hetman, spoczywał w grobie († 1667), syn jego Andrzej, wojewoda kijowski i chorąży koronny, uganiał ciągle za nieprzyjacielem, nie miał czasu myśleć o swoich włościach, wreszcie stracił wiarę w możność utrzymania kolonizacyi na Podniestrzu. Lud się rozbiegł ze Studzienicy na wieść o zbliżeniu się Turków. Straszne to były hordy, liczące setki tysięcy; o miedzę tylko wędrowały, rzeka oddzielała pohańców; szczęk, hałas, nawoływanie, dzikie okrzyki dolatywały aż do miasteczka, spędzając sen z powiek patrycyuszów miejscowych. Drobny oddziałek Lipków zabieżał w tę stronę, ściągnął podatek z krwi to jest z dziewcząt urodziwych i grosza, i pomknął wyżej brzegiem Dniestrowym...

Niewola turecka zastała w Studzienicy pustkę — zostawiła ruinę. Zaranie XVIII stulecia oświeca nad Tyrasem zawieruchę spowodowaną przez Kozaków Palejowych. A i miasteczko obsypane dobrodziejstwami przez Potockich, będące ich własnością, bierze udział w buntach. Studzienica i Mohylów mają swego pułkownika Skorycza, a ten z kolei liczy pod sobą całą zgraję łupieżców, stojących na czele małych oddziałów jak Midopakę, Grzegorza Bunczucznego, Axentego Sotnika, Dabiżę, Derikalikę i Małokickiego. A nad Skoryczem i nad nimi wszystkimi przewodzi szczęśliwy osadnik z Niemirowa Biłocki, Szpakiem przezwany. Ten ostatni zdobył sobie smutną sławę wielkiego opryszka. I przyznać potrzeba, że był to jeden z najśmielszych watażków. Pół Kozaka a pół zdziczałego szlachcica, nieprzebaczający jak Tatar, a przebiegły jak chłop ukrainny, przelatywał on na czele swego oddziału wzdłuż i poprzek całe Podole i Bracławszczyznę; gościniec na którym najwięcej hulał, w okolicy Porohów, na nizinach Dniestrowych, do dziś szlakiem

Szpaka przezwany, ciągnie się pod Bałtę, najeżony szeregiem kurhanów, kędy według podania spoczęły ofiary morderczej zemsty tego rozbójnika... Zakrawa to na przesadę, a wszakże człowiek żyjący w podaniach ludu prawie lat już 170 (dokazywał tu od 1702—1710), musiał się krwawo w jego zarysować pamięci. On to, poczynając od Jahorlika w górę, całe Podniestrze zbuntował „i gwałtem przyniewolił aż po sam Kitajgród", on jeden do murów Kamieńca docierał i słał listy do ówczesnego komendanta p. Koszkiela, z upomnieniem, aby ludu nie prześladował... Generał się wielce oburzył; Niemiec, nie znał kresowych zwyczajów, zamiast się puścić z oddziałem niewielkim i znieść hajdamakę, tytułującego się „pułkownikiem Jego Królewskiej Mości", odesłał posłańca bez odpowiedzi, a list Szpaka wciągnął do ksiąg grodzkich. Biłocki tymczasem pojmanych jeńców przedawał Tatarom w Dubosarach. Z początku figurowali na rynku jako produkt handlu tylko synowie Izraela, trzy młode dziewice żydowskie z Jampola poszły bardzo wysoko, dostał za nie Kozak aż cały tysiąc lewkowych. Kiedy żydów nie stało, wówczas przyszła kolej na łaciników, w końcu prowadził w łyka swoich jednowierców... Lud szemrał, przeklinał, ale nie miał odwagi podnieść ręki na zbrodniarza, bo siłą i nieustraszonością umiał on zaimponować ciemnemu gminowi...

Wreszcie miarka się przebrała, szlachta uderzyła w lament, a na jej wołania przybył na Podole Sieniawski, i wzmocniony oddziałami Potockich, Lubomirskich, Wiśniowieckich zaczął miasteczka z rąk zbuntowanej czerni odbierać. Wówczas Szpak przerzucił się na multańską stronę i zabrał ze sobą mieszkańców wybrzeży podolskich (1703). Studzienica, Uszyca, Łojowce, Kalusz, Zwan, Jaryszów, Lodowa, Kozłów, Mohylów znowu pustką stanęły. Szlachta zagrożona brakiem robotnika, zjechawszy na sejmik kamieniecki, wydelegowała z grona swego dwóch ziemianów, Poplińskiego i Wasilkowskiego z grzecznem pisaniem do hospodara Konstantego Duki, prosząc o zwrot zbiegów. W liczbie skarg istotnie uzasadnionych, malujących jaskrawo ówczesny

stan kraju, nie przepomniano o pięciu wołach JW. wojewody kijowskiego i generała podolskiego, zabranych przez opryszków, choć o nich godziło się przemilczeć w obec tak wielkiej kwestyi wyludnienia, tylko co poczynających się zagospodarowywać kresów. Hospodar zbył posłów grzecznemi obietnicami... Włościanie nie myśleli powracać i doprawdy nie mieli po co, pozostałym bowiem wcale nie było wesoło. Abazin, dowódzca kozacki w Ładyżynie poszedł na pal, innych wplatano w koło, Kozacy z bronią w ręku pojmani dawali głowę pod miecz katowski, gminowi obcinano uszy — „szelmowano“ według powszechnego terminu, przez tenże gmin przyjętego. „Nabrano tam, mówi Otwinowski, w niewolę wiele tysięcy chłopstwa, ale ich nie wycinano, nie chcąc sobie wsi pustoszyć panowie, tylko ich kazano „znakować“, urzynano każdemu lewe ucho, poznakowano ich tak na 70.000.“

Przypuszczamy, że Otwinowski podał liczbę zanadto dużą, zawsze atoli po tem wszystkiem nie powinniśmy się dziwić, że gmin nie bardzo nas miłował, widząc, że miłosierdzie nasze nie jest wynikiem litości i przebaczenia, ale konieczności rąk zdolnych do pracy... Takie molestacye szlachty powtarzały się nieraz i potem. W 1734 r. dokazywali u nas Sawka, Niedźwiedź i Czosnyczenko, 10.000 chłopstwa zbuntowanego plądrowało w okolicy Baru, Deraźni, Wońkowiec, potem „ta ukraińska szarańcza“ zapadła w jary dniestrzańskie i rabowała od Raszkowa do Uścia Smotryczańskiego. Ówczesny wojewoda Podolski p. Stefan Humiecki, wykurzył ztamtąd hołotę, zdała mu się na łaskę i niełaskę i miał już przystąpić do egzekucyi, ale szlachta go oskoczyła z prośbą, aby winnych jej oddał, bo potrzebni... Była o znakowaniu mowa, ale się na to p. wojewoda nie zgodził, a że miękkiego był serca, więc wolno puścił hultajów, dziedzicom już zostawując prawo chłosty. Sypały się też kije na grzbiety nieposłusznych, ale w obec kar zwykłych w tej epoce, w obec pala, koła, ćwiartowania, szubienicy, poprzedzanych „konfesatą“, owe „plagi nieodwołalne“ były pewnego rodzaju wspaniałomyślnością... Już daleko

groźniéj poczęto postępować z uczestnikami rzezi humańskiej. Nie przeczymy, że zbrodnia była wielką, straszną, że łuna pożaru objęła spory kawał najżyźniejszego kraju, zlewając go obficie krwią polską; rozumiemy nawet całą surowość doraźnego sądu, w okresie samego wybuchu — życie za życie! Leży to w naturze ludzkiej, choćby najwznioślejszemi zasadami przejętej... Dla Stefana Czarneckiego naprzykład mamy jeszcze okoliczności łagodzące. Ta straszna postać kresowca, oświecona czerwoną łuną palącej się Buszy (1654), roznamiętniona oporem chłopstwa, ten mąż wojny, spokojnie nizający różaniec, kiedy jego zastępy zwycięzkie wycinają w pień gmin nieposłuszny — to żołnierz XVII stulecia, wyobraziciel epoki, która wypisała na sztandarze sentencyę następującą: „grozą trzeba poskramiać rebelizantów.“ Ależ on walczył lat tyle z tem chłopstwem, próbował wszelkich środków, aby ująć rozkiełznanych i rozswawolonych... a dopiero w końcu życia siekł i palił!...

W sto lat później na tych ukrainnych polach powtarzała się nowa egzekucya, ale już po wojnie skończonej. Na czele jej stał człowiek, do walki ze wzburzonem hultajstwem nie skory... Przywódzcy musieli dać głowę, jako zadośćuczynienie za zbrodnie, ale szeregowcy?... I szeregowców podciągnięto pod jednakie z tamtymi prawa rygoru. Straszny ów Józef, regimentarz, dokazywał w Kodni; spędzono tam tłum ogromny, ani jednego wszakże ze starszyzny pośród niego nie było. Podczas egzekucyi zasiadał pan regimentarz na wygodnem krześle nad fosą, z niezamąconym spokojem palił fajkę i liczył głowy, które oprawca po odcięciu rzucał do jamy na ten cel przeznaczonej... A głów tych dużo być musiało, kiedy do dzisiaj stanowią one okazały kurhan, prędzej resztki jakiegoś ziemnego nasypiska przypominający, niźli zwyczajną mogiłę.... Był on przytomnym egzekucyi w ciągu dni kilku, to jest tak długo, jak długo ona trwała. Tłum przeznaczony na ścięcie, wściekły z głodu i trwogi, wył oczekując na chwilę kaźni, a w tłumie tym byli starcy, dzieci, kobiety nawet. Oprawcy się zmieniali, miecze katowskie na chłopskich szczerbiły się karkach, ale rozkazu nie

cofano, więc robota szła dalej. Wiele tam ludzi padło? Kto zgadnie? Pierwszą setkę jeszcze wciągnięto do spisu, z drugą już było trudniej, przy trzeciej pióro wypadało z ręki nienawykłej do prowadzenia rachunku. Nasi podają liczbę ściętych na 1000—2000 najwięcej, pisarze przeciwnego obozu do 4000 ją podnoszą; i jedna i druga cyfra nieprawdziwa, pierwsza za mała, druga za wielka. Ale się przecie raz już egzekucya skończyła. W kilka miesięcy potem, ziemianin, mieszkaniec jednego z województw nie objętych płomieniem buntu, wyrzucał panu regimentarzowi powolność... Czy żartował z niego w żywe oczy? Pan regimentarz wszakże przyjął to za dobrą monetę, jął się tłumaczyć, przekonywać, że podziela zdanie niepardonującego szlachcica, ale musiał uledz prośbom panów braci, którzy go oblęgali w obozie, molestując, by wstrzymał wymiar sprawiedliwości, bo robotnika wkrótce nie stanie, i oni sami, oni herbowni, do korony i szabli stworzeni, będą za pługiem chodzić musieli... Więc dobrze, basta; winniejszych jednak na postrach potomności licowano... To już wyższy od owego „znakowania“ stopień kalectwa, tu tylko jedno ucho odpowiadało, a tam ręka i noga! Miłosierdzie jednak okazał i tu pan regimentarz, nie na jednej połowie tułowia dokonywał operacyi, nie chciał bowiem z delikwenta, jeźli ten zostanie przy życiu, robić połowicznego człowieka; więc krzyżową sztuką: jeżeli szła pod topór prawa ręka, to już potem lewa noga ulegała odcięciu i *vice versa*. Grozą przejmuje ten obraz, a jednak przesady w nim ani na włos... Czyż potem się jeszcze dziwić można, że „ci młodsi bracia nasi“, owi „kmiotkowie“ w idyllach rozmarzonych postępowców opiewani jako uosobienie patryarchalnej prostoty i przywiązania, przy lada zręczności pokazywali zęby „jako dzikie bestye“, a noża się imali za każdym podszeptem z rozkoszą i radością. Toż przy ostatnim rachunku, prawnukowie tych policowanych, prawnukom tych srogich i nieubłaganych ziemian, z krwią zimną, mózg dłutem z pod czaszki wydłubywali!

Wiadomo, że i Drewicz używał licowania, robił on te eksperymenta na pojmanych konfederatach... Ciekawą jest

rzeczą, kto z nich był pierwszym? Po bezstronnem atoli zbadaniu rzeczy, zestawieniu dat, ze smutkiem wyznać przychodzi, że honor wynalazku leży po stronie p. regimentarza, ale że go stósował bez zastrzeżenia sobie przywileju, więc nic dziwnego, że tak prędko i tak chętnego znalazł naśladowcę...

Przyznać jednak należy, że ogół oburzony był postępowaniem w Kodni. Czartoryscy, Zamoyski, Lubomirscy, sam nawet Franciszek Salezy Potocki, który najwięcej podczas tej zawieruchy ucierpiał materyalnie, nieraz się z tem odzywali. Branicki, łowczy kor., na 700 egzekucyach poprzestał pod Serbami... i z tej liczby tłomaczenie składał królowi, zwalając ją na szlachtę. „Wszyscy sąsiedzi, pisał, obywatele, żydzi przybiegają do mnie, jeden radzi, aby ich ćwiartować, drugi palić, na pal bić, wieszać bez pardonu i t. d. *Tolle, crucifige!* Wolno im perswaduję, że część tych hultajów każę egzekwować, część do miast, fortec, do burków, do roboty porozsyłać, ale wszyscy insygują na nich... jak mogę menażuję umysły...“ Mogło to istotnie w pierwszej chwili mieć miejsce, ale potem się opinie zmieniły; może wreszcie pan łowczy koronny pisał tak do króla, aby się przed nim ze zbytniej surowości wytłumaczyć, zwalając ją na szlachtę, a Poniatowski wiele szlachcie przebaczał, dogadzał nawet, przypuszczał bowiem, że tem ją wstrzyma od wiązania się z konfederacyą...

Ale odbiegliśmy daleko, chcąc wykazać stosunek ziemian ukrainnych do gminu. Cofamy się więc znowu do dziejów Studzienicy i do początku XVIII stulecia.

W 1704 Palej poszedł na wygnanie. Car Piotr wysłał go na Syberyą. Ale to nie poskromiło ludu, nawyknienie wiele znaczy. Panowie zaczęli znosić nie w porę „słobody“. Mazepa po Paleju dowódzca kozacki, nie myślał wcale o uspokojeniu Rzeczypospolitej. Szpak dowiedziawszy się o usposobieniu hetmana kozackiego, podniósł się z Wołoszczyzny na czele 600 ludzi, przepłynął Dniestr pod Studzie-

nicą; gmin się w koło niego kupić zaczął, a opryszek wytchnąwszy chwilę, posunął w stronę Niemirowa, wszystko paląc po drodze — „siła porobił ludziom szkody i ruiny“. Mazepa nadał mu pułkownikostwo (Bracławskie?), jak znowu innemu opryszkowi na miejsce Skorycza wyniesionemu, Sawie, polecił dowództwo Mohylowa i całego Podniestrza. Straszne rabunki towarzyszyły w 1707 r. przechodom „Mazepińców“ pod Lwów, Zamość, Dubno i Mińsk; szlachta narzekała na nie ustawicznie w grodach... skarżyć się już tylko umiała! Wielcy bohaterowie niedawnej przeszłości, karłom w spadku zostawili ziemię krwią ich oblaną. Karlęta to nie orły, więc w płacz i protestacye po grodach, zamiast z szablą choćby zginąć pośród wzburzonego motłochu!

Dopiero w 1713 r. objęli Polacy znowu w posiadanie ziemie ukrainne. Uczynni sąsiedzi oczyścili kresy, ale w jakimże opłakanym stanie powracała ta perła do korony? „Podczas piętnastoletniej wojny w Polsce, mówi Otwinowski, tysiącami takich wsi mogłeś rachować, że tylko niebo i ziemia została.“ To też Zamoyscy, Lubomirscy, niedawni nabywcy olbrzymiej po Koniecpolskich fortuny, Sieniawscy, Rzewuscy, ściągać zaczęli nowych osadników z Sanockiego, z Przemyśla, nawet z Krakowskiego. Powstawały parafie szczerze katolickie do dziś przechowujące swoją religijną odrębność, jak n. p. Gródek, Proskurowskie i Latyczowskie starostwa, Międzyborczyzna, Szarogród z przyległościami itd.

Potoccy jednak już nie idą w te ślady. W dobrach ich wzdłuż Dniestru ciągnących się od Uścia za Mohylów, ludność zbuntowana, a teraz przejednana pozornie, osiada leniwo. Sam dziedzic, wnuk Rewery, a syn Andrzeja, Józef, hetm. w. kor., stronnik Leszczyńskiego, długie lata przepędza po za krajem, nie ma czasu myśleć nawet o dobrobycie swoich kmieci. Za to komisarze korzystają z nieobecności właściciela, powstaje nowa kasta ludzi, oficyalistów domu Potockich, którzy się rychło dorabiają fortuny, a ich wnukowie w hrabiowskie się stroją korony. Szorstko musieli ci nowo kreowani panowie jeszcze na początku niniejszego stu-

lecia wyglądać, kiedy ich często chłostano satyrą; czytaliśmy jednę z nich, przez jakiegoś mecenasa z Lublina napisaną do oficerów pułku Trzecieskiego, z samych Podolanów złożonego; dwa wiersze utkwiły nam w pamięci, więc je powtarzamy ku zbudowaniu potomków, nie chcących się nawet domyślać pochodzenia swojego:

Uczyliście się tej etyki
Na Podolu pasąc byki.

Wkrótce po zgonie hetmana wielk. Józefa Potockiego († 1752), wnuka jego Anna, wojewodzianka poznańska, wnosi w posagu innemu Potockiemu, Franciszkowi Salezemu, późniejszemu wojewodzie kijowskiemu, dobra naddniestrzańskie. Zostają więc one zawsze w posiadaniu Pilawitów, tylko z jednej linii Łańcuckiej, do drugiej, Tulczyńskiej, przechodzą. Nie wszystkie jednak — klucz tylko Mohylowski i Gruszecki, bo Paniowiecki i Studzienicki wcześniej jeszcze zostały przedane: pierwszy nabył jenerał Starzyński, drugi starosta Uszycki, pan Stanisław Sadowski.

P. Sadowski nabywając klucz Studzienicki (około 1760 roku) nie był jeszcze starostą Uszyckim, został nim bowiem dopiero na sejmie 1773—1775 r. Jest to drobnostka, ale bronić się od zarzutu pobieżnej znajomości dziejów miejscowych musimy. Klucz rzeczony, liczył około 1000 dusz do pańszczyzny obowiązanych, i składał się z miasteczka i czterech wiosek, mianowicie Kruszanówki, Nefedowiec, Patryniec i Rohoźnej. Pan Starosta, myślał szczerze o podniesieniu miasteczka, zamku wprawdzie nie budował, murami go nie zabezpieczał, ale wyrabiał przywileje na jarmarki, kupcom pomagał do osiedlenia, dając im grunt darmo, a sklepy za nic nieznaczącą opłatę. W Studzienicy stał załogą niewielki oddziałek, chorągiew lekka z 40—50 ludzi złożona, której zadaniem było pilnowanie luki granicznej. Czambuły tatarskie ustały, Turczyn zaniechał swych wypraw olbrzymich, nosił się nawet z sympatyami do słabej Rzeczypospolitej, na odparcie więc prostych rabusiów, owych Lipków chocimskich, załoga podobna aż nadto wystarczała.

Sam dziedzic nie mieszkał w majątku, niewiele nawet o nim wiemy, zresztą nie obchodzi nas wcale. Inni ludzie biorą udział w wypadkach, które tu jeszcze opowiedzieć chcemy, a że opowieść ta ma stosunek z dziejami miasteczka, nie weźmie więc nam za złe czytelnik, że ją w możebnem podamy streszczeniu.

1763 + aug. 5
1768 konfed. Barska

IV.

Działo się to w r. 1768, w epoce konfederacyi barskiej. Była jesień pogodna i piękna — jak to zawsze prawie bywa na Podolu. Turcya gotowała się do wojny z Rosyą; konfederaci wyparci z kraju, zajmowali wyczekujące na stepach Chocimskich stanowisko, założywszy główne obozy w Oknicy, Nelipowcach, Nowosielicy, to jest rozciągając się linią dość długą, wynoszącą około 26 mil polskich, tak że podjazdy ich z jednej strony niepokoiły Mohylów, z drugiej daleko sięgały na Pokucie.

Podole zostawało w ręku regalistów, połączonych z alianckiemi wojskami. Oddziały zostające pod dowództwem Franciszka Branickiego, wówczas łowczego koronnego, wypełniały luki graniczne nad Dniestrem, poczynając od Zwańca aż pod Bałtę, Apraksin zaś, podkomendny Kretecznikowa, rozstawił swoje komendy w Białocerkwi, Smile, Winnicy, Berszadzie, nadto na Dniestrze od Zwańca do Zaleszczyk.

Podpułkownik Wołkow na czele ruchomego oddziału uwijał się ciągle po kraju, rewidował wszystkie lasy i wsie, z zastrzeżeniem, by na cztery mile nie zbliżał się do granicy tureckiej. Wspólnie z nim plątało się trochę wojska polskiego, z główną kwaterą w Dunajowcach, oddalonych o pół dnia drogi od Dniestru. Oto w kilku słowach strategiczne warunki obu stron wojujących.

Każda wojna jest nieszczęściem, ale nieszczęściem nad nieszczęściami jest wojna domowa, a właśnie w chwili, którą

opisujemy, wrzała ona tutaj. Oba przeciwne obozy, nieledwie w oczy sobie zaglądające, były na wskróś polskie. Ale jeżeli sztandar republikański powiewał na dzikich stepach, wyparty z ziemi rodzinnej, a w kraju regaliści trzymali prym, to jeszcze nie dowodzi, by w szeregach tych ostatnich nie było ludzi, szczerze oddanych nowo powstałemu związkowi.

Nie przestaniemy utrzymywać, że konfederaci barscy nie mieli racyi bytu, że związek był swawolą szlachecką, przeżytą i spróchniałą formą bez ducha, bez programu, z wielkiem lekceważeniem poczętą; że na innej drodze przystało ówczesnej Polsce dobijać się uspokojenia i rdzennych przeobrażeń, mogących jej zapewnić lepsze losy w przyszłości.

Zawsze atoli w tych niewłaściwych porywach było dużo ducha gorącego, dużo pięknego poświęcenia, dużo brawury, która w późniejszych czasach owej walki „po wszech ziemiach i po wszech wodach“, szeroko rozsławiła imię polskie. Nieprzejednani owi „politycy serca“ mieli do późna swoich następców, swoich zwolenników, pięknie choć nie bardzo rozumnie pojmujących obowiązki poświęcenia...

Za to regaliści, a raczej pan łowczy koronny, przywódzca ich na Podolu, robi smutne wrażenie najemnika. Tak walczył za królewską sprawę teraz, jak przedtem pod sztandarem królewicza saskiego, jak potem gotów był usługi ofiarować Francyi, jak w końcu złożył je u stóp ks. Potiemkina. Nie bolały go nieszczęścia dotykające ziemię rodzinną, rozporządzał się w niej jak w podbitej prowincyi, za często używał grozy „konsystencyi wojskowej“, ściągał furaże drogą przymusu, dociskał, nie ufał otaczającym, bo rozumiał aż nadto dobrze, że go powszechność należycie ocenia!

Jeszcze gdyby sam na czele hufców występował, ale jako żywo, było inaczej... Należał on do rzędu ludzi nieporównanej odwagi, tego mu zaprzeczyć nie można, a jednak tutaj niepokoił się, ilekroć nie miał za plecami alianckiej pomocy. Tak było pod Barem, tak było nad Dniestrem, tak było potem w Krakowskiem, słowem wszędzie, gdzie walczył przeciw konfederatom. Jednemu tylko oboźnemu, jego

staraniem przedzierżgniętemu na regimentarza partyi ukraińskiej, panu Józefowi Stępkowskiemu ufał, ale bo ten aż nadto mu składał dowodów przywiązania i wierności...

Łatwo więc potem zrozumie każdy, dla czego większość mieszkańców Podola sprzyjała republikanom. Kobiety bezwarunkowo były im oddane. Synowie, mężowie, bracia i inni jeszcze bliscy walczyli pod sztandarem barskim, a początkowy kontyngens związkowy stanowił miejscowy drobiazg szlachecki, od pługa, od zagonu w mierności chowany, ciemny, niedyskutujący, do rabunku skłonny.

Obie strony, pod tym ostatnim względem nic sobie nie miały do wyrzucenia. Pierwsza kładąc rękę na cudzą własność, dopuszczała się gwałtu, ale ją nieraz tłómaczyła konieczność; ostatnia ubierała ten gwałt w sukienkę prawa i kontrybucyi. Tamtej jednak powszechność łacniej przebaczała. Wykolejeni na tułaczce, bronili religii i starych swobód... tej nierządnej, a w oczach ówczesnych zacofańców kresowych niepokalanej przeszłości.

Dużo się da o tych rabunkach konfederatów *pro* i *contra* powiedzieć. Nadużycia miały miejsce, ale też często i rzezimieszkowie wiążąc się w bandy, pod rzekomym sztandarem związkowym, prowadzili wojnę na własną rękę... Tacy mianowicie musieli się dać we znaki czułemu śpiewakowi *Lindory* i *Filona*, a on za to odmalował wszystkich zbyt czarno...

Powiedzieliśmy wyżej, że kobiety sprzyjały konfederatom. I nie mogło być inaczej. Polityka serca jest polityką niewiast, a walka bohaterska protestacyjna, mimowoli obudza sympatyą. Romantyzm w praktyce, w życiu powszedniem, uprzedził na lat wiele romantyzm w poezyi... W tej ostatniej kobieta zeszłego stulecia, występowała w osłonie sielanki, z czułą nutą, w pasterskim stroju, na łąkach kobierzystych, wiecznie kwitnących, w gaju wiecznie zielonym, oświeconym wiecznie jasnemi promieniami słońca...

Ta jednak sztuczna Arkadya nudziła ją, szukała więc niebezpieczeństwa—a Barskie rozruchy nastręczały tego sporo. Panie polskie jeździły wprawdzie często do obozu pana łowczego koronnego, do Dunajowiec, ale jeszcze częściej prze-

mykały się za Dniestr, aby biednym tułaczom osłodzić chwilę wygnania. Nie romans, nie miłość wyłączna gnała je na step, ale współczucie, może nawet chęć zaznania przygód romantycznych...

Pani generałowa ziem podolskich, ks. Adamowa Czartoryska, odwiedzająca harem baszy chocimskiego w r. 1782, nie była pierwszą Polką, zapuszczającą się w paszałykat Urzyjski — w obozie nelipowieckim gościły często i pani Stadnicka, i Lubońska, i Axamitowska, i Wereszczatyńska... choć ich mężowie do regalistów się zaliczali.

Po stronie kobiet była poniekąd słuszność...

Pomimo bowiem zarzutów ciężących na Barszczyźnie, nie można nie przyznać, że wodzowie jej, w początkach szczególnie, to perły pierwszej wielkości. Zważmy na szali ich poświęcenie, nie podług miarki dzisiejszej, ale podług skali ówczesnej, choć także samolubnej, ale przecież skorej do ofiarności.

Czyż nie wygodniej było ks. Krasińskiemu siedzieć na tronie biskupim w Kamieńcu i uległością a zabiegami zdobywać zaszczyty, wyższe stopnie i intratne opactwa, niźli się tułać po dzikim stepie, do swojej dyecezyi zaglądać ukradkiem i to tylko w niewłaściwym stroju „hajduka“, a potem wałęsać się przez długie lata po Europie?...

A Joachim Potocki, podczaszy litewski, przecie jako posiadacz licznych włości, w pięknie zagospodarowanej Morafie mógł się bawić w statystę, opędzając się gorącemi odezwami, nic nie kosztującemi, od wszelkiej ofiary...

A ciż Pułascy, ojciec, starzec zgrzybiały, spracowany, zdobył już sobie i stanowisko i znaczny majątek, i dzierżaw dożywotnich i starostw niemało... Ludzie w jego wieku szukają spokoju, a on rzucił wszystko, aby w więzach tureckich zakończyć; co więcej, trzech synów, młodzieniaszków, dał w ofierze krajowi... Nic mu już więcej nie zostawało do ofiarowania na ołtarzu zagrożonej Rzeczypospolitej... Średni z tych synów Kazimierz, to w swoim rodzaju bohater — poświęcenie bez granic, odwaga do zapamiętałości, niesforność, chęć przewodzenia; ale w tem jego zasługa, jak

słusznie utrzymuje Bartoszewicz, że „wytrwał do ostatka wierny swojej sprawie. Inni z wygnania godzili się z nowym porządkiem. Pułaski tego nie zrobił. Miał wolę i charakter, był w nim duch Katona. Upadająca forma rządowa nie mogła piękniejszego wydać kwiatu“.

Najruchliwsza, najgwarniejsza gromadka związkowych, zakwaterowała w Nelipowcach o miedzę od Studzienicy. Dość było na łodzi przepłynąć Dniestr, podnieść się na brzeg wzgórzysty, przebiedz szlak wołoski, mający już teraz tylko historyczne znaczenie, a z mogiły obok niego sterczącej, dojrzeć mogłeś na płaszczyźnie niezwykły ruch w tej stronie.

Kilkanaście chat składało całą osadę. Chaty zdradzały budowę doraźną, pierwotną. Szara glina na chróściane ściany narzucona zabezpieczała od zimna i słoty, jak równie i dach stożkowaty, okryty mierżwą, z pośród której wyglądał komin nie arcysztucznej konstrukcyi — okienka małe, drzwi jako tako sklecone — otóż i wszystko. Nigdzie ogrodzenia, drzewiny choćby najskromniejszej i takiej niewybrednej jak wierzba.

Pewnie ostatni posługacz kościelny w całej dyecezyi podolskiej nie zgodziłby się osiąść pod tak skromną strzechą, a cóż dopiero mówić o oficyalistach klucza Morafowskiego, w bardzo wdzięcznie wyglądających i świeżo pobudowanych domkach zamieszkałych?... A jednak tylko starszyzna, tylko wybrańcy związkowi byli chwilowymi posiadaczami tych niewybrednych rezydencyi — szeregowcy zaś pod gołem niebem, w namiotach, szałaszach, pod rozpiętemi szmatami płótna. Pomimo to — było tu wesoło, hulaszczo, rygoru mało, nieporządek wielki a ruchu nad miarę!

Dziwimy się zaprawdę, dla czego żaden z malarzy naszych nie odtworzy w rysunku tego stepowego obozu z pod Nelipowic... Wdzięczny to temat, na płótnie może prześlicznie wyglądać. Nędzne chaty, barwiste stroje konfederatów, buta staroszlachecka, jeszcze nie skruszona zawadami, wkoło pełno różnoplemiennej gawiedzi, a nad tem wszystkiem łagodne niebo jesienne, w około zaś step zielony, równy, ginący na skraju horyzontu... Powtarzamy raz jeszcze, obo-

zowisko konfederatów w Nelipowcach to przedmiot dla dziejowego malarza... Pan podczaszy litewski stał we wsi kwaterą, na czele 200 ludzi — to było jądro nie dawno rozprószonych sił związkowych. W jednej pokaźniejszej chacie rozkwaterował się ks. biskup Krasiński, prędzej do kresowego rycerza, niźli do kapłana podobny. Strój jego skromny składał się z opończy narzuconej na barki, z pod której wyglądał krótki kożuszek, wąsy i broda najeżone ale wyraz twarzy pogodny i pełen otuchy. Biskupowi asystował kapelan, do którego należało mieć co rana mszę w kaplicy, umieszczonej pod namiotem, ustrojonej w sporą chorągiew z wizerunkiem Maryi. Był to zarazem i sztandar, poświęcony przez ks. Marka i uratowany z Baru. Co dnia, o brzasku, ściany płócienne namiotu unoszono w górę, dawał się słyszeć „hejnał“ na trąbce, potem dzwonek — i żołnierstwo spieszyło tłumnie, oblęgało na klęczkach kaplicę, modląc się z gorącą wiarą. Potem następowała musztra, której zwykle doglądał sam pan podczaszy, aspirował bowiem już wtedy do regimentarstwa. Miał on minę statysty, wyglądał z pańska pośród tej rzeszy, składającej się z szlachty, Mołdawanów, Lipków, Cyganów, a nawet Żydków, pełniących tu służbę szpiegów i liwerantów.

Nie opodal od osady rozłożyło się inne obozowisko braci Pułaskich. Tu już rozmaitość strojów biła w oczy, nie widziałeś dwóch ludzi jednako przybranych pośród tej gromady z 300 osób złożonej. Starosta zezuliniecki niedawno przedarł się z Berdyczowa, bracia go powitali radośnie, ojca nie zastał, wyjechał do Benderu, do baszy na naradę, nie wiedziano jeszcze o jego smutnym losie...

Nelipowce reprezentowały wydział dyplomatyczny generalności. Kręcili się tu ajenci francuscy z Carogrodu, ochotnicy węgierscy, starszyzna związkowa, Giżyccy, Barczewski, Dzierżek, Makowiecki; mamy dowody, że i Wessel z Podgórza się zgłaszał i Dzierżanowski tu zaglądał kilka razy szukając szczęścia. Byli nawet wysłannicy z Drezna a i basza chocimski często odwiedzał ks. biskupa.

Za to znowu obóz starościców wareckich stanowił jakby siłę zbrojną konfederycyi. We wsi mołdawskiej bawiono się w korespondencye, wysyłano kuryerów, odbierano depesze, nawet gazety; tutaj zaś, w polu, gdyby nie potrzeba furażowania, stosunek zda się z całym by zerwano światem; panowała tylko gorąca żądza walki...

Turcya już się sposobiła do wojny, a związkowi dla ułatwienia jej ciężkiego początku, zobowiązali się opanować linię strategiczną wzdłuż Dniestru, to jest z brzegu podolskiego spędzić placówki królewszczan, zająć luki graniczne, umocnić je należycie — a potem, kto wie? może się i Kamieniec uda skaptować?... Turcy napierali się Kamieńca, wiele zań obiecywali, napierał się go i ks. Repnin w Warszawie; zawsze więc jeszcze i podówczas, warownię kresową za punkt bardzo ważny poczytywano.

Głównem tedy zadaniem chwili było wkroczenie na Podniestrze podolskie... Ale jak to uskutecznić? zkąd rozpocząć? Od pierwszego kroku zależało późniejsze powodzenie. Żołnierz po zwycięztwie nabiera otuchy, śmielszym się staje, przegrana zaś przygnębia w nim ducha. Starszyzna bawiła się w plany i projekta, a gorętsza połowa, mająca na czele starostę augustowskiego Franciszka Pułaskiego bez planu zamyślała uskutecznić pierwszą wycieczkę.

Wypadek szczęśliwy przyspieszył rozwiązanie zadania.

Przed miesiącem jeszcze, przybył do obozu młody ochotnik pan Falborg. Nazwisko wprawdzie nosił cudzoziemskie, ale że się rodził na Podolu, że jeszcze ojciec jego dobił się indygenatu — więc z krwi i kości był tubylcem. Chodził on małemi dzierżawami, i właśnie w okolicy Studzienicy trzymał podówczas Gorajówkę, nie wielki folwark należący do starostwa uszyckiego.

Lubił gospodarstwo rolne, ale lubił i wojenkę. Rzemiosło rycerskie było mu po sercu, obojętnym widzem walki nie mógł zostać — i nic dziwnego, liczył lat dwadzieścia kilka zaledwie. Z Baru rodem, posiadał tam nawet i kamieniczkę i stosunki krewieństwa; regaliści zrujnowali mu domek — otóż i słuszny rankor do królewszczan.

Opatrzywszy zrujnowane w miasteczku domostwo, już po jego szturmie, wrócił na chwilę do Gorajówki, aby pokończyć rachunki, zebrać trochę grosza i potem za Dniestr, do malkontentów — wszak i sam był nim w gruncie!

Ale nie tylko rachunki ciągnęły pana Falborga do chaty dzierżawcy, i sercowe pobudki w tę go kierowały stronę. W Studzienicy, jakeśmy to wyżej już rzekli, dziedzic nie mieszkał, postawił więc z ramienia swego komisarza, a komisarzem tym był leciwy wdowiec, pan Kalasanty Korzenicki, daleki powinowaty pana starosty, człek nieubogi, bywały, butny, oglądający się na opinię swego chlebodawcy; a że pan Sadowski był regalistą — więc i pan Korzenicki gardłował za królem, trochę za głośno, po ekonomsku, z fanatyzmem właściwym ciemnocie...

Komisarz miał córkę, hożą pannę Petronelę, która na szczęście czy nieszczęście ojca, nie podzielała jego politycznych przekonań. Nie płynęło to wcale z własnej jej inicyatywy - broń Boże! — panienka w politykę się nie wdawała, ale pan Falborg trzymał z konfederatami, więc i ona z nimi trzymała. Czytelnik bowiem już się łatwo domyślił, że pokaźny gorajowiecki dzierżawca wpadł w oko młodej komisarzównej. Ojciec nic nie miał przeciw tym stosunkom, rad by, nawet widzieć Falborga swoim zięciem, toć także herbowny — a że nie z antenatów — to jeszcze nie wielka krzywda dla niego, więc powtarzamy, rad go był widzieć zięciem, ale... Tem właśnie a l e, była niezgoda przekonań!

Młodzieniec wrócił z Baru. Jął opowiadać szeroko o nieszczęściach, jakie na kraj spłynęły z przybyciem wojsk królewskich, za któremi ciągnęły długim ogonem alianckie zastępy. Pan Korzenicki słuchał relacyi, sapał gniewnie, w końcu wybuchnął, ale nie na królewszczan.

— Ej, dałbyś waść pokój tym bredniom, tu nie król winien, nie pan łowczy koronny, bo to prawdziwy bohater — ale buntownicy...

— Co! — zawołał dzierżawca — a godziż się tak nazywać p. podczaszycu, rycerzy Panny Maryi, toć sami nieprzyjaciele malkontentów w nich a nie buntowników widzą...

I zaczął się dyalog popierany zanadto dosadnemi sentencyami, abyśmy tu je powtarzać mogli. Panna Petronela uciekła do alkierza, serduszko jej pukało z przerażenia — przeczuwała nieszczęście...

Nareszcie rozmowa się urwała. Pierwszy ustąpił pan Falborg. Przyznał się, że zamyśla przystąpić do związku — wyruszając wszakże w pole, radby wiedzieć, ażali po powrocie z wojny, wolno mu będzie w jego gościnne progi zawitać i starać się o względy panny Petroneli?...

— Nie oddam córki za rebelizanta! — zawołał komimisarz i wyleciał z pokoju.

Nie pozostawało więc nic paniczowi, jak wynieść się z miasteczka, a potem i z dzierżawy. Szczęście widocznie sprzyjało jego zamiarom, nie potrzebował bowiem długo szukać konfederatów; godzina drogi oddzielała Studzienicę od ich obozu. I stanął też tam zbrojno z Węgrzynkiem Iwasiem, także wielkiego animuszu kawalerem.

Czy się kochankowie widywali z sobą? Pewnie że tak — choć pan Korzenicki zabronił najsurowiej córce wszelkich z malkontentem stosunków.

Gdyby komisarz był przezorniejszym, snadno by się przekonał, że jego pociecha, nie dla niego jest tylko pociechą, że zbiega o zmierzchu do rzeki, siada do oczekującej na nią łodzi, kierowanej przez zręcznego Iwasia, że na przeciwnym brzegu, w zaroślach wita ją panicz, bardzo do gorajowieckiego dzierżawcy podobny.

Idylla ta wszakże kresowa, z okrasą romantyzmu, na idylli by się tylko skończyła, gdyby nie nowe ale... które zmusiło kochanków do większej przezorności i energiczniejszego działania...

V.

Pan łowczy koronny pomyślał o wzmocnieniu luk pogranicznych, by utrudnić konfederatom stosunki z krajem. Studzienica była jednym z najwięcej zagrożonych posterunków; pod samem miasteczkiem znajdował się bród, a po wylewach świętojańskich stawał się tak płytkim, że jak to mówią, nie zamoczywszy nawet nóg, można się było wzdłuż niego przedostać na brzeg przeciwny, a nie daleko od tego brzegu leżały Nelipowce.

Odkomenderowany więc został na tak zagrożoną placówkę pan chorąży Montusz, na czele kilkudziesięciu ludzi, z pułku Jego Królewskiej Mości. Pan Montusz był to już kawaler niemłody, pełen pretensyi, z prostego „gemejna“, po dwudziestu latach służby w warowni kamienieckiej zdobył sobie szlify oficerskie, ślepo słuchał rozkazów p. Witta, któremu zawdzięczał swoją karyerę, ale nosa darł do góry. Toż i komendantura mogła go nie minąć, wszak i Witte był tylko mieszczaninem, jeszcze nawet nienobilitowanym podówczas, wszak i on długo wędrował po szczeblach i wysługiwać się musiał, nim został pierwszą osobą w garnizonie, generałem posiadającym zaufanie Jego Królewskiej Mości....

Huczno, przy odgłosie trąb i śpiewów, zjechał p. Montusz w jar studzieniecki, zdemonstrował wszystką okolicę, przyjął z powagą raport od podoficera, swego poprzednika na forwachcie, zlustrował warty, potem zajechał do przygo-

wanej w miasteczku kwatery i otrzepawszy ubranie z pyłu, udał się do pana komisarza.

Buteleczka, przy niej gawęda — i języki się rozwiązały. Pan Korzenicki i oficer zarówno nienawidzili konfederatów, obydwaj tylko króla czcili bezwarunkowo. Panna Petronela słuchając ich rozmowy i pogróżek, ledwie dosiedzieć mogła na miejscu, złorzeczenia bowiem ucztujących kłuły ją w samo serduszko. Ale jakże się zaniepokoiła, kiedy w dni kilkanaście później, pan Montusz zaczął ją ścigać przeszywającemi spojrzeniami, potem się ze szczególnych afektów spowiadać, dodając, że jako żołnierz szczerym jest, i nie umie posługiwać się jedwabnemi słówkami.

Panna myślała, że odpędzi konkurenta obojętnością — gdzie tam!

Upłynęło znowu trochę czasu.

Komisarzówna siedziała w alkowie marząc o młodym swoim rycerzu, nie zwracając wcale uwagi na rozmowę, jaką prowadził jej ojciec z niemiłym chorążym w izbie sąsiedniej. Treść jej umiała na pamięć. Pan Montusz w postawie bohaterskiej, opowiadał, jak gromić będzie konfederatów, jak się da we znaki panu podczaszemu litewskiemu, Krasińskiego do niewoli złapie, za co mu pewnie pan łowczy koronny wyrobi szarżę na kapitana...

— Ależ to osoba duchowna, co więcej pasterz nasz, senator! — mitygował go pan Korzenicki, mający już dobrze w czubku.

— Dobra mi osoba duchowna! — wołał chorąży — ksiądz, to w sutannie, przy ołtarzu. Biskup winien mieć należną prezencyę, pastorał, infułę; ale biskup przebrany za Lipka, uganiający na koniu jak kozak — to nie dygnitarz kościelny, ale buntownik, więc sznurami go i do kozy.

— Ej chorąży kochany, jeno się odgrażacie...

— Niechno wpadnie mi w łapę, zobaczycie panie podczaszycu że nie pofolguję! Już i tak *mala nota* cięży na tej tu luce granicznej... Przecie i pan łowczy wie i pan Witt wie dobrze, jak się znalazł podoficer tutejszy a mój poprzednik...

— Cóż znowu zrobił tak strasznego? — pytał pan Korzenicki.

— Wykroczył przeciw artykułom wojskowym! — zawołał z ogniem chorąży. — Biskup w jego oczach przejeżdżał Dniestr, a on zamiast imać buntownika, jeszcze mu konia przez bród przeprowadził i rękę ucałował i przykląkł, kiedy go ksiądz żegnał na podziękę krzyżem świętym...

— Jakże miał postąpić inaczej? Toć składał się tem, że mu nie dano ordynansu, jak ma się zachować w tak niezwykłym wypadku...

— Ale ja mam ordynans — biskupa nie biskupa, podczaszego nie podczaszego, sznurem okręcić i do fortecy odstawić... I jak mi Bóg miły — nie odstąpię na włos od tego...

Pan Korzenicki, dobrze już rozmarzony trunkiem, dodawał chorążemu ferworu. Naraz nastąpiły pocałunki, ciche szepty, potem brzęk szkła — znać się kieliszkami „stukali.“

Dziewczę mimowoli zaczęło nasłuchiwać.

— Bierz ją, bierz moją jedynaczkę, pozwalam i błogosławię! — powtarzał w błogiem uniesieniu podczaszyc.

— Splendor ten — zaczął patetycznie chorąży — potrafię należycie ocenić...

Komisarzówna skamieniała z gniewu i przerażenia. Najprzód uderzyła w płacz. Potem nagle otarła oczy, które niezwykłym ogniem zabłysły, i ścisnąwszy drobną dłoń podniosła ją w stronę, kędy ściskali się biesiadnicy...

— A nie doczekasz tego — wyszeptała.

I tejże nocy łódź mknęła po cichej fali Dniestrowej.

W łodzi siedziała postać niewieścia okryta kapturkiem. Jasny promień księżyca zaglądał w jej modre oczy, widział, jak na brzegu przeciwnym, błądziła długo, czekając na przybycie kochanka. Schadzka trwała chwilkę tylko, echo podchwyciło z niej ciche szepty i pożegnalne pocałunki...

A pan Montusz, upojony trunkiem, otulony pierzyną, słodko marzył o rozkoszach małżeńskiego *in spe* pożycia.

Biedny pan Montusz!

Miało to miejsce w końcu sierpnia.

W parę tygodni potem pisał Branicki do króla:

— Dnia 8 września obóz Jchmość pp. związkowych pomknąwszy się w górę i komenda moja w Studzienicy będąca pomknęła się i wzięła posterunek w Sokole, zostawiwszy w Studzienicy chorążego Montusza i szesnastu ludzi od pułków W. K. Mości. Tejże nocy, dwóch panów Pułaskich, to jest starosta augustowski i ten co był w Berdyczowie zabrany, wykradłszy się we 300 koni z swego obozu w nocy, przeszedłszy w bród Dniestr, uderzyli na Studzienicę, chorążego Montusza, który się nie bardzo strzegł, postrzelili, dwóch Towarzystwa wzięli i 13 koni. Miasteczko *funditus* zrabowali...

A wszystkiemu winna była panna Petronela!

W opowieści Falborga, ułożonej prawie we 22 lata później, sekret tego napadu, sprężyny które go wywołały, dokładnie wyjaśnione. Panna Petronela brała udział w sprzysiężeniu uknutem na spokojność chorążego.

Żydek, sowicie opłacony, wysłany został z Nelipowiec do Dunajowiec, gdzie, jak wiadomo, Branicki stał główną kwaterą, z uwiadomieniem, że malkontenci mają zamiar zrobić wycieczkę na brzeg podolski i ubiedz Sokół, wieś wyżej od Uścia Smotryczańskiego położoną. Branicki złapał się na plotkę i ściągnął posterunki z Studzienicy i Babszyna, dla zabezpieczenia Sokoła.

Konfederatom w to graj!

Komisarzówna uwiadomiła Falborga o tem szczęśliwem zdarzeniu; i kiedy konfederaci rozprawiali się z drobnym Montusza forpocztem, a sam chorąży stawiący się ostro, dostał szablą po ramieniu, kochanek tymczasem za Lipka przebrany wpadł do rezydencyi pana komisarza i pochwycił wylękłą panienkę, pocałunkami okrywając bladą dziewczęcia twarzyczkę...

Pan Korzenicki po tej katastrofie przeniósł się do Kamieńca, i rad opowiadał braciom szlachcie o groźnym szturmie do Studzienicy, i o zagonie tatarskim, i o porwaniu w jasyr jedynaczki; zrozumieć tylko nie mógł zbytniej rabusia czułości...

Szczęśliwe zajęcie Studzienicy stało się hasłem do zagarnięcia wszystkich nad Dniestrem placówek. Nie upłynęło trzy miesiące, a Jampol, Mohylów, Jaryczów, Uszyca, Sokoł, Babszyn, Zwaniec i Okopy św. Trójcy, przeszły w ręce związkowych.

Branicki aż żółtaczki dostał. Nie pomogły nawet hojne darunki, naturalnie kosztem skarbu publicznego, baszom chocimskim ofiarowane. Jeden dostał „zegarek z repetycyami, tabakierkę złotą, dwie wazy srebrne z dużemi blatami“, a jego poprzednik udający się do Carogrodu „kaftyer srebrny i lichtarzy par ośm.“ Opłaceni jednocześnie i Janczar Aga i Kichaja... Ale to nie wstrzymało tryumfalnego pochodu konfederatów, dygnitarze bowiem brali otwarcie i z zapewnieniami wdzięczności podarki, a potajemnie wspierali Barszczan, bo taki był rozkaz Dywanu.

Pan Montusz wrócił do Kamieńca. „Lizał“ się z ran długo, karyera jego wojskowa była zwichnięta. Został chorążym do zgonu; jako chorąży był złożon na wieczny spoczynek w końcu 1779 r., małżeńskich związków nie zawierał. Księgi pogrzebowe obok dnia zejścia tego niefortunnego dowódcy studzienickiego, umieściły dodatek określający stan nieboszczyka: „kawaler.“

Falborg ślubował wierność swojej pięknej bogdance w Nelipowcach. Ks. Hankiewicz, proboszcz zwaniecki, agent dyplomatyczny biskupa Krasińskiego, wrócił właśnie z Carogrodu, a zatrzymać się mógł przynajmniej tak długo, aby nowożeńcom pobłogosławić za indultem pasterza, który „ze względu na usługi, przez młodą parę Rzeczypospolitej oddane“, pomijając zwykłe formalności, na udzielenie Sakramentu dał pozwolenie...

Niezwykły to był widok w obozie polskim — i jedyny... Drużbowali pp. starościcowie wareccy, Franciszek i Kazimierz Pułascy przy asystencyi licznie zebranego wojska. Czy były drużki?... o tem nigdzie wzmianki. Młoda mężatka udała się natychmiast do Lwowa i tam całą przesiedziała zawieruchę.

Falborg wycofał się powoli z szeregów około 1770 r., bił się krótko na Podgórzu, potem wrócił do Baru, opatrzył stare po rodzicach domostwo, sprowadził żonę i jej ojca, który przebaczył jedynaczce, i wówczas się dopiero dowiedział, kto był tym rabusiem Lipkiem podczas napadu na Studzienicę.

Po burzy spokój zawitał pod ubogą strzechę. Stary p. Korzenicki ustąpił coś z przekonań, Falborg, gorący zwolennik konfederacyi, także zmoderował swój zapał, kobieta z rószczką oliwną stanęła między zaściankowymi doktrynerami, a pod jej czarownem skinieniem szermierze gotowi do walki, składali broń; zgoda wracała, za co słodkim uśmiechem nagradzała męża, pieszczotą rozbrajała ojca...

I szczęśliwi byli — ale nie długo. Petronela w rychle osierociła rozmiłowanego w niej małżonka, to też wiernym jej pamięci przez lat dwadzieścia pozostał. Dopiero na starość „zrobił głupstwo“, jak się sam w listach przyznaje; ożenił się *de noviter* z młodą, ładną a ubogą dziewczyną, i tak jej dokuczał ten zazdrośnik i sknera, że biedaczka uciekła z domu, a że nie miała rodzeństwa, więc udała się pod opiekę pana Mytka Wereszczatyńskiego, sędziwego i poważanego w okolicy obywatela.

Pan Mytko wziął sprawę pokrzywdzonej do serca, w odezwie do plenipotenta (bo zapomnieliśmy dodać, że p. Falborg rzucił się na drogę prywatnej adwokatury od dawna), obok admonicyj surowych i o „boćkowskim“ umieścił wyraźną wzmiankę. Falborg zagrożony, dotknięty z najdrażliwszej strony, bo i „kobierca“, bał się i posadą zyskowną mógł utracić, napisał do groźnego swego pryncypała cały szereg listów pełnych submisyi i pokory, tłómacząc się z zarzutów i dodaje w końcu, że tylko kapłan mógłby przyczynę nieustannej waśni odnaleźć, rzecz polubownie rozstrzygnąć i pożądaną zgodę przywrócić.

Tym zaś kapłanem rozjemcą został ksiądz Marek Jandałowicz, karmelita, znakomity promotor konfederacyi barskiej. Falborg należał do związku barskiego, pobożny więc

mnich uważał niejako za obowiązek, wdać się w tę sprawę, dla której nawet umyślnie zjechał do Baru.

Czytaliśmy dwie kartki przez księdza Marka napisane, mające za treść domowe poswarki małżonków. Zawiłe, ciemne, niezrozumiałe, dowodzą tylko, że natchniony staruszek zbyt rzadko z piórem miał do czynienia...

Dalszego przebiegu tych nieporozumień nie podajemy, nie zajmą one czytelnika, jak i nas nie rozciekawiły. Szło nam o co innego; szukaliśmy właściwego nazwiska ks. Marka i doszukaliśmy się go. Chcieliśmy bliżej poznać zagadkową postać pana Mytka Wereszczatyńskiego, ostatniego na kresach wyobraziciela swawoli Łaszczowej.

Historya Falborga, dostała nam się, jak to mówią — „z przełaju“, niespodzianie. Drobny to aktor w dziejach konfederacyi Barskiej na Podolu, więc i miejsce skromne zajął w niniejszem opowiadaniu. Mały człowiek, ale ocierał się na początku zawodu o takich ludzi, jak bracia Pułascy, na końcu zaś jego, o takie osobistości, jak ks. Marek, jak pan Mytko, ów z krwi i z kości uparty barszczanin, *usque ad finem* wypowiadający posłuszeństwo nowemu porządkowi rzeczy...

Według jego przekonania, dzieje Rzeczypospolitej stanęły na chwili podpisania aktu związkowego w Michałowcach pod Barem. Zmieniało się wszystko do koła, kraj się szamotał w mękach konania, ludzie starzy kładli się do grobów, nowi wyruszali na tułaczkę, odgłos trąbki bojowej przerywał nawet ciszę w barskiej panującą puszczy...

On tego nie widział, nie słyszał, nie manifestował się, ale i nie uznawał zmian ówczesnych. I tak przeżył lat trzydzieści jeszcze, zostawując spadkobiercom, nie w prostej linii, bo potomstwa nie miał, spory majątek i przeszło 500 pozwów, nierozpieczętowanych nawet do dzisiaj!...

Wracając do dziejów Studzienicy dodamy tutaj, że bratobójcza walka podkopała byt materyalny miasteczka, ostatecznie wszakże przyczyniła się do upadku osady morowa zaraza, panująca tu w r. 1770. Wiemy, że związkowi opuścili Podole z wiosną 1769 r. Alianckie wojska gospodarowały w prowincyach kresowych, za niemi szedł w ślady

i mór i głód. Pierwszy zolbrzymiał w starej Korjatowej dzielnicy! W uściskach swoich zdusił kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, ramiona rozwarł szeroko, strachem napełnił całą polską społeczność, tak że dziś jeszcze, teraz jeszcze, po upływie wieku, czytając zapiski ówczesne, dostrzegasz w nich trwogi do obłędu dochodzącej...

A straszneż bo były to czasy! „Jak zgubnym był mór w prowincyach Rusi roku 1770 i 1771, w świeżej ma się pamięci. Zaleszczyki i Żółkiew prawie w pustynię zamienione. Międzybórz 6000, Zasław 4000, a Dubno 8000 ludzi utraciło. Państwo Gródek na Podolu 13 wsi zapowietrzonych liczyło, a miasto Bar z pobliskiemi wsiami 12,000 zmarłych naznacza.“ Kamieniec z osadami, poniżej niego nad Smotryczem i Dniestrem położonemi, liczył 30,000 zmarłych. „Cały zaś Wołyń, Podole i województwo Bracławskie, ciężkim morem przyciśnione, straty 200.000 mieszkańców podają.“

Zaraza wybuchła w Mohylowie 8 sierpnia 1770 roku. Lotem błyskawicy objęła całe Podniestrze — ziemię Kamieniecką i powiat Latyczowski, a trwała do 2 lutego 1771 r. Miejscowe księgi kościelne zamykają na dniu wybuchu choroby rachunek i w ciągu półrocza następnego, nie ma w nich zapisanego ani jednego zgonu, ani jednego chrztu, ani jednego ślubu. Nowy regestr zaczyna się z poskromieniem moru: w Hamienieckich z końcem stycznia (28), w Dunajowieckich i Kitajgrodzkich w lutym. Tyneńskie księgi kościelne pod tym względem stanowią wyjątek; urywają zapisywanie pogrzebów 13 sierpnia, cały wrzesień pustką świeci „*vacat*“, a już od października zgony idą, ale ryczałtowo, bez nazwisk osób zmarłych; mór tu jednak w całej potędze występuje 2 listopada. „Z Jass i Chocimia sprowadzenie bolnych (chorych) do Tynnej kilkuset z dżumą i plejzerowanych Moskalów, i w samym pałacu, i w karczmach i na wsi złożonych — Lazaret. Zaraza Tyneńskiej gromady „*et gravis pestilentia.*“ Śmierć przechadza się po ulicach ludnej wioski, wyprząta na raz kilka, kilkanaście domów, zmarłych jednak chowają — i to już wiele znaczy — w lesie, w pasiece, w polu, nigdy na cmentarzu. „W pałacu pańskim *ubi* lazaret,

codziennie *sepultura* za ogrodem na pastwisku, których dotąd *circiter* 70 pogrzebiono mizernie, bo tychże trupów mnóstwo psy dobywały i kości roznosiły po wsi.“ Wszystkich zgonów w ciągu półrocza 1770 r. podają księgi 208, kiedy zwykle liczono ich w parafii od 20 do 30. Od 24 czerwca do 24 sierpnia nie masz chrztu ani jednego. Tak było w Tynnej, liczącej przy kościele sześciu księży, na stosunkowo małą cyfrę parafian.

Ale w innych miejscowościach daleko już gorzej.

Rozprzężenie ogromne, bo zaiste straszne to były chwile. Kto mógł — uciekał! W miastach pustki — sklepy pozamykane, domy na ścieżaj otwarte, na ulicach walały się rzeczy drogie, przedmioty zbytku, i nikt na nie nie zwracał uwagi, bo myśl o rychłej śmierci przerażała. Ludzie padali jakby piorunem rażeni na placach i drogach, trupów nie podnoszono wcale, gniły, a nawet ptactwo drapieżne je omijało... W początkach choć słabe oznaki porządku postrzegać się dawały, księża pełnili swoją powinność, chirurgowie z pomocą spieszyli... ale jedni i drudzy padli na stanowisku, a naśladowców nowych brakło; wylękły kler ratował się ucieczką do Lwowa, sromotnie opuszczając pobojowisko i owieczki. Jednego tylko ks. Marcina Radoszewskiego nieulękłość i poświęcenie zapisały wizyty! Dzwony umilkły, nabożeństwo zawieszone. Pozostała garstka ludu snująca się pośród stosów ciał na pół zgniłych, powodowana instynktem zachowawczym wynosiła się do lasów, aby tam zgon znaleźć; krzyżów bowiem pełno z datą 1770 r. dziś jeszcze odszukuje wędrowiec w jarach podolskich... I cisza grobowa zaległa okolicę, przekleństwo nad nią ciężyło, owa śmierć czarna, straszne wspomnienie XIV w. wędrowało po kraju, a pod jej uściskami rwały się stosunki krwi, ducha, stowarzyszeń. Umierający konał samotnie, wszystko go odbiegło przed zgonem, bo strach moru był większym nad związki rodzinne i serdeczne...

Zaraza szczególnie była dla mieszkańców Studzienicy nieubłaganą. Czy występowała jako kara za walkę bratobójczą, przed rokiem tutaj stoczoną? Czy może skutki tej

walki — bieda i ruina, czyniły dla niej przystęp łatwiejszym? A musiała ona rozpiąć swą szatę żałobną nad osadą wzmiankowaną, bo ta już ku końcowi 1770 r. pustką stała zupełną. Resztki mieszkańców wróciły dopiero w marcu 1771 roku, ale życia dawnego nie przynieśli ze sobą. Otaki, przedmieście na przeciwnym brzegu Dniestru, nie zaludniły się zgoła do dzisiaj, spore tylko cmentarzysko żydowskie wskazuje, kędy dawniej się znajdowały.

W Studzienicy rozsiedli się Izraelici. Przybysze poniszczyli resztki pamiątek, mury poszły na nędzne domostwa, zostało tylko to, co ziemia utuliła dobroczynną szatą, i kiedyś za wieków kilka chyba je odnajdzie oskard ciekawego archeologa!

Tu koniec dziejów miasteczka.

Położone po za ruchem tegoczesnym, zapomniane, coraz skromniejsze, coraz uboższe szaty przybiera... Życie społeczne popchnięte na nowe tory, szuka równin dla dróg swoich, jary omija w pochodzie, a ludzie tak szybko gonią po tych nowych gościńcach cywilizacyi, że nie staje im nawet czasu na odwiedzenie miejsca, kędy stała ich pierwotna kolebka, zkąd praojcowie znani historycznie podnieśli się na życie trudu i znoju.

ŹRÓDŁA.

Szajnocha. *Szkice historyczne* 111, 106—130.
Pamiętniki *Albr. Stanisł. X. Radziwiłła* 1, 170, 181.
Twardowski. *Przeważna legacya* J. O. X. K. Zbarazkiego do Sułtana Mustafy, 214.
Żurkowski. *Żywot Tomasza Zamojskiego,* 149.
Pamiętniki o Koniecpolskich, 270.
Marczyński. *Statystyka gubernii Podolskiej,* 1, 268.
Dr. L. Gumplowicz. *Konfederacya Barska,* s. 100 i dalsze.
Archiw Juho-zapadnoj Rossii, Cz. III, tom II. Akty o Kozakach s. 452—701.
Zameczki podolskie na kresach, Bar, 115—133.
Rocznik Tow. przyjaciół nauk Warszawskiego XI, 55 i dalsze.
Szpitale, służba zdrowia, choroby panujące nagminnie w dawnem województwie podolskiem, od początku XV w. (Dwutygodnik hygieny publicz. Kraków 1872, Nr. 18).
Księgi pogrzebów i chrztów kamienieckiego katedralnego kościoła, nadto parafialnych, kitajgrodzkiego, dunajowieckiego i tyneńskiego (rękopis).
Archiwum Mytka Wereszczatyńskiego — wiązka starych papierów udzielonych mi przez Dra Władysława Rudnickiego.
Listy z XVII i XVIII stulecia — rękopis in folio p. t. *Raptularz*

WARTABIET.

OPOWIADANIE Z DZIEJÓW ORMIAN POLSKICH.

I.

Kamieniec to Eczmiadzyn polski, najgościnniejsze przytulisko wychodźców armeńskich. Do połowy XVII wieku jest on niejako stolicą ich kolonii, rozsypanych po całym południowym obszarze Rzeczypospolitej. Wszyscy nowi przybysze zatrzymują się w kresowej warowni, uczą się tu obyczaju polskiego, mowy naszej i dopiero z tym wiedzy zasobem śmiało już w głąb kraju wkraczają. To też propagatorowie unii ormiańskiej, chcąc ją należycie przeprowadzić i zadać ostatni cios błędom, które się wkradły do kościoła, musieli zjeżdżać aż do Kamieńca, księgi służące do nabożeństwa poprawiać, a zdobywszy przyrzeczenie mieszkańców, że od poprawek tych nie odstąpią, sprawę unii uważali za dokonaną...

Ormianie poprzedzili przybycie Polaków w te strony. Polska Kazimierzowa, obejmując księstwo Halickie w posiadanie, zastała tu już spore zastępy wychodźców armeńskich. Pierwszy ich napływ na Ruś sięga drugiej połowy XI w., kiedy jeden z Syldżukidów wtargnął do wielkiej Armenii i zburzył ową bajeczną stolicę, Annikahak nad Alparczajem położony, liczący 100.000 domów i 1000 kościołów. Wówczas rycerstwo ormiańskie w sile 20.000 ludzi przeniosło się do Krymu, a ztamtąd zaproszone na Ruś przez księcia Teodora Dymitrowicza. Obowiązkiem jego było bronić kniazia od Połowców, z czasem brać ono zaczęło udział w walkach między krewniakami i braćmi, panującymi na zdrobniałych

dzielnicach. Rycerze ormiańscy nazywali się „krzyżakami“, ztąd i później potomkowie krzyżaków stanowili arystokracyą pośród wychodźców...

Z laty rozpłynęli się oni po Kijowszczyźnie, Poniziu i Rusi Czerwonej. Ordy Batukanowe, zmiatające w tryumfalnym pochodzie wszystkie rody książęce aż po dzielnicę Halicką, rozpędzają jednocześnie i słowiańskich mieszkańców podbitych prowincyi. Nowi wielkorządcy, Baskakowie, mają pod sobą niezliczone koczownicze osady tatarskie i stałe armeńskie kolonie, a jako zabytek tych ciężkich czasów, tej smutnej epoki XIII stulecia, przetrwała do dziś nazwa dwóch wiosek położonych pod Kamieńcem (Ormiany i Ormianki), w których pierwiastkowo mieszkali armeńscy przybysze. Utrzymywali oni na obszernych równinach żyznej podolskiej ziemi, ujętej odpryskami gór Miodoborskich, spore stada i co za tem idzie, ciągnęli z nich zyski niemałe, bo wątpimy czy pracowali około roli. Ale ówcześni władcy, pozazdrościli bogactw skrzętnym poddanym; synowie hańscy rozpięli tu swoje koczownicze namioty. Wówczas Ormianie wynieśli się z dwóch wyżej wspomnianych wiosek, nad Smotrycz, na skałę, kędy wznosił się niegdyś ruski Kamieniec, teraz pustką stojący. Tutaj zbudowali kościołek pod wezwaniem N. Maryi (dziś cerkiewka św. Mikołaja), obok którego zaczęła się gromadzić gmina, rządząca się prawami własnemi, a handel był jej głównem zadaniem.

Po ruskim więc Kamieńcu, powstał Kamieniec tatarsko-ormiański (od 1240—1373 r.), nim litewskim na krótką został chwilę, bo już za Jagiełły w polskie przeszedł ręce.

Tatarowie wypierani przez Korjatowiczów, pustkę zostawili po sobie. Koczowiska pohańców leniwo ale statecznie posuwały się ku południowi, pustosząc kraj zupełnie. Ponizie znowu stepem bezludnym zostało, Ormianie tylko nie ruszyli się z miejsca. Godzą się z nowym rzeczy porządkiem, uczą się języka ruskiego i litewskiego, a tatarski służy im do nabożeństwa. Pierwsze liturgiczne księgi, używane na Podolu, po tatarsku były pisane, jak się o tem i dzisiaj jeszcze przekonać można —mszały kamienieckie mogą posłużyć za dowód...

Na okres ten przypada nowe wychodźtwo, spowodowane upadkiem Armenii mniejszej w Cylicyi, w 1374 roku. Według Baszkianiego czterdzieści tysięcy ludu znowu na Ruś wkroczyło, ale był to już gmin, *plebs* prosty, a nie szlachta, który zaciągnął się pod sztandar w. księcia Witołda i wszedł w skład pocztów Korjatowych. Spotykamy ich chorągwie pod Grunwaldem, pod Warną, a nawet pod Wiedniem walczą halabardnicy ormiańscy... Większość wszakże stopniowo opuszcza służbę wojskową, i staje się z kolei pepinierą księży, kramarzy i dragomanów...

Nowi ci przybysze najchętniej osiadają w Kamieńcu, a i dawniejsi „krzyżacy“ opuszczają miejsca pierwiastkowej kolonizacyi, wytrwale posuwają się od południo-wschodu na południo-zachód, tak dalece, że w XVII wieku już tylko jeden kościołek posiadają w Kijowie, drugi w Włodzimierzu, trzeci w Łucku — i to bez parafian. Za to na Podniestrzu i w ogóle w kotlinie tej rzeki pełno ich spotkać można. Raszków, Mohylów, Studzienica, Bar, Zwaniec, Horodenka, Śniatyn, Brzeżany, Stanisławów, Złoczów, Jazłowiec, liczą pośród mieszczan nie mało reprezentantów przybyłych z Armenii. Najwięcej wysuniętą placówką ich ku północy jest Zamość, poważną gminę stanowią we Lwowie, najpoważniejszą atoli, innym narodowościom imponującą — w Kamieńcu. Dość powiedzieć, że posiadali tu klasztor mniszek, cztery kościoły, a jeden z nich nosił nazwę katedralnego, biskup zaś lwowski obowiązany był co pół roku zjeżdżać na kresy i przebywać pośród wiernych całych sześć miesięcy.

Ale nie od razu przyszło do tego.

Idyliczny książę „hospodar“ ziemi podolskiej, znany w dziejach pod nazwą Jerzego Korjatowicza, po oczyszczeniu Ponizia z Tatarów, pragnąc zaludnić pustką stojący Kamieniec, zjechał tu na czele nielicznej drużyny, i jął zapraszać okolicznych mieszkańców do osadnictwa, gwarantując im wielkie swobody. Przywilej dany na zamku kamienieckim dnia 7 listopada 1374 r. podpisało okrom samego władcy kilku jeszcze świadków, mianowicie trzech wojewodów, kamieniecki, smotrycki i czerwonogrodzki, nadto dwóch „słusz-

nych“ obywateli miejscowych, Hołodnia i Wasko Kobiac. Przypuszczamy, że ten Kobiac był reprezentantem Ormian, których książę litewski już zastał na osadnictwie w grodzie na stolicę księstwa przeznaczonym; a opieramy nasze przypuszczenia na tej zasadzie, że Waśkowie jeszcze w XVII wieku piastowali w Kamieńcu wysoką godność pretorów nacyi ormiańskiej.

Nowy władca wcale nie myślał o własnych korzyściach, pełną garścią rozsypywał dobrodziejstwa i za to żądał tylko... miłości! Oto naprzykład mówi w przywileju zamykającym tę pełną łask skarbnicę: „Wójt z mieszczany mają mnie kniaziowi sprzyjać a być wiernie sprawiedliwi.“ Toż byliby uosobieniem czarnej niewdzięczności, gdyby się po tem wszystkiem na sprzyjanie zdobyć nie potrafili! Wszak to tak nie wiele?...

Wychodźcy ormiańscy zawsze się odwoływali do przywileju Korjatowicza, choć w nim nie ma o nich wzmianki, chyba, że osobny sobie zdobyli, ale ten wśród zawieruchy dziejowej zaginął. Bądź jak bądź we wszystkich późniejszych suplikach do nowych władców pewien nacisk kładli na „nadania“ pierwszego księcia podolskiego, i prosili o ich potwierdzenie... Królowie zaś polscy, ze skwapliwością dobrych ojców, spieszyli zadość uczynić suplikom wychodźców. Władysław Jagiełło uczynił początek, a po nim każdy z kolei zasiadając na tronie, brał w opiekę Ormian. Mówiliśmy już dawniej, że dyplomataryusz przybyszów stanowi dość poważny foliant.

I stało się, że tułacze hojniej niż wierni poddani udarowani zostali — to też łatwo przyszło im w końcu zespolić się z miejscową ludnością. Jeden z pisarzy rosyjskich utrzymuje, że Rzeczpospolita posiadała wysoko rozwiniętą zdolność asymilowania, wchłaniania, przyswajania sobie narodowości, i jako dowód przytacza dzieje Tatarów, którzy Polakami zostali. I Ormianie mogą tu służyć za niemniej pouczający przykład. Nam się zdaje, że to dobrowolne zespolenie było wynikiem instytucyi krajowych, owych swobód, zapewnionych wszystkim ludom szukającym przytułku w pro-

wincyach do korony polskiej należących... Znaczyła tu niemało i wyższość cywilizacyi...

Rzeczpospolita, może niesamowiednie, krzywdę sobie wyrządzała temi względami dla cudzoziemców. Rządząc się w obec nich polityką serca, słabła sama rozpływając się w ofiarności i miłosierdziu... Tak dawała dużo, że w końcu zubożała do szczętu. Mówiąc innemi słowy: Polska udzielając przybyszom przywilejów, tem już samem miejscowy stan średni krzywdziła, podnosiła rękę na własnych poddanych do klasy mieszczańskiej należących. Jednocześnie prawie napływali do nas od zachodu handlarze Niemcy i handlarze Żydzi; od wschodu handlarze Grecy i handlarze Ormianie; jak tamci tak i ci opanowali wszystkie nasze miasta i miasteczka. Nieporadność słowiańska nie mogła wytrzymać współzawodnictwa z przybyszami, tem bardziej, że przybysze związani spółką, gminą, bractwem „safianickiem“, kahałem, mieli nad tubylcami przewagę, a uzbrojeni przywilejem w końcu tłumili handel domorodny... Najprzód więc kupiectwo polskie i ruskie albo ginęło w walce niesławnej, albo wyrzekłszy się łokcia i kwarty, na innem polu szukało powodzenia...

Na tak przygotowanej widowni zaczęli się ścierać z sobą przybysze. W północno-zachodniej części Polski Żydzi wodzili się za bary z Niemcami, w południowo-zachodniej z Ormianami. Synowie Armenii przez długich kilka wieków zostawali w ciągłej walce z synami Izraela. Pokonani, w jednym tylko Kamieńcu znaleźli bezpieczny przytułek, tu bowiem prawo nie pozwalało osiadać Izraelitom. Ale kiedy to prawo w końcu przełamane zostało w XVIII wieku, a z drugiej strony kiedy suma „nadań“ udzielonych wychodźcom armeńskim, poczynając od skromnego kupczenia koźliną, aż do prawa sprzedaży wschodnich towarów, od pieczętowania lakiem czerwonym, aż do noszenia broni u boku, wyczerpała całą skarbnicę możliwych łask i zaszczytów — wówczas spanoszeni „Armenianie“ sięgnęli po najwyższą nagrodę — po szlachectwo, a zdobywszy herb, wyprzedawali resztki pozostałości sklepowych i grosz su-

miennie zapracowany rzucali w ziemię, stawali się rolnikami...

W okolicy Kamieńca, w promieniu mil kilku i więcej, nie masz rodziny szlacheckiej, w której żyłach, czy to po mieczu, a najczęściej po kądzieli nie płynęłaby krew ormiańska... Oni wszakże najdłużej walczyli z Żydami, najdłużej trzymali się na wyłomie; po ich dopiero ustąpieniu cały handel na obszarze wszystkiej Polski przeszedł w ręce Izraelitów. W większych miastach jeszcze trochę tuliło się chrześciańskiego kupiectwa, ale w mniejszych ustąpić ono musiało przed nawałnicą, z żarłocznością i uporem szarańczy rzucającą się na zyski kramarskie... Wołochowie, Grecy, Muzułmanie, trzymający niegdyś na kresach ogromne składy win, bakalii, skór i futer, umknęli z placu bez protestu nawet...

Powtarzamy raz jeszcze, gościnność polska zabiła stan średni... Przyniosła nam w zysku kilka tysięcy zlaszonych przybyszów, w rezultacie zaś ostatecznym — straty nieobliczone... Izraelici ogarnęli wszystkie warstwy społeczne, wyzyskiwali lud i drobną szlachtę, zdobywali sobie łaski możnowładców i panujących... i zawsze zostawali niejako państwem w państwie...

Wyznać atoli należy, że z tych czworakiego rodzaju przybyszów, mieszkańcy Armenii najwdzięczniejszymi się okazali dla swojej przybranej ojczyzny. Ciepłem sercem umieli odczuć jej potrzeby, nie żałowali pracy, nie żałowali mienia i krwi nawet dla jej szczęścia i pomyślności...

Rozumne gospodarstwo skoncetrowało w ręku Ormian wszystkie prawie kapitały, będące w obiegu na południowo-zachodnich kresach Rzeczypospolitej. Firmy ich zasłynęły szerokó z uczciwości i doboru wyprzedawanych towarów, tak dalece, że już w instruktarzach celnych od początku XVII w. towary te noszą nazwę „ormiańskich“. A jaka tu rozmaitość produktów i to najcenniejszych! Wyliczmy ważniejsze: „Kobierce jedwabne ze złotem, sołockie, tatarskie, dywańskie, mielibasze; kilimy adziamskie, tureckie, perskie, miśnickie, tureckie proste, sielemickie, tapczamy, kiecze,

dygdyki, derhy, pasy; kołdry sakieskie, stambolskie, angorskie; imurlachy, muchajery, machrany, chustki, zawoje, bawełnice, rzędy, szable, wsiędzenia różne". Futer także sporo: „rysie, baranki, kożuchy, czapragi". Ze skór „safian turecki, żółty, czerwony, brunatny, nadto saja, anskot, bagazya różnej farby, capa zielona, czerwona, błękitna, szara; koce, derki, łuki tureckie, łubia, strzały, rzędy, siodła, koncerze, pałasze, noże, jedwabne mieszki". Z mydeł „greckie, tureckie, chałabyjskie, rureckie" i t. d.

Archeologia starająca się w wnętrzach ziemi doszukać widomych znaków, podług których wnioskować by mogła o przedhistorycznej przeszłości przodków, powinnaby oskardem wiedzy rozcinać zagadnienia w starych księgach umieszczone... Połowa wyszczególnionych tu nazw jest dla nas niezrozumiałą, a przecie nadawano je produktom bardzo rozpowszechnionym w XV, XVI i XVII stuleciach... Przez Kamieniec dostawały się one do Lwowa, Zamościa, Warszawy, Wilna, Kijowa, zkąd w głąb Rossyi do Moskwy je transportowano.

Handel taki dużego wymagał kapitału, niemałej odwagi i znajomości warunków miejscowych. Inkursye kozackie, czambuły tatarskie, dżuma tak często panująca na Wschodzie, rewolucye pałacowe w Stambule, zmiany wyższych urzędników Dywanu, wszystko to oddziaływało na podnoszenie się albo spadanie kursów...

Kupcy jednak kamienieccy, szczególnie w pierwszej połowie XVII w., byli należycie obeznani z potrzebami chwili; wiadomości posiadali pewne, pieniędzy nie mało, a i ryzykować rozumnie umieli — nie zdziwicie się tedy, kiedy wam powiem, że wielbłądzie karawany hurtowników w kresowej warowni osiadłych, wędrujące po stepie Urzyjskim, na miliony ówczesnych talarów lewkowych były cenione; transport zresztą towarów na mniejszą sumę dla wielkich kosztów nie opłacał się wcale. Kupcy często po lat parę spędzali w tej podróży do Carogrodu. Zdobywszy „ferman", który im zapewniał bezpieczeństwo, wędrowali krajem zostającym pod berłem Jego Sułtańskiej Mości,

wkraczając dopiero w Zwańcu w granice Rzeczypospolitej, choć niżej od tego miejsca posiadała Polska kilka komor celnych „od strony Wołoch“, rzuconych Dniestrem, jak Czaczanłyk (Czyczelnik dzisiejszy), Kamienica, Raszków, Mohylów, Jaruga, Serebrya i Jaryszów.

Mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego handlarze dążąc z południa, w najpółnocniejszej dopiero komorze przekraczali granicę polską? Dlaczego wolili iść stepem pustym, niźli krajem mniej więcej zaludnionym, w którym pewne prawa obywatelstwa posiadali! Odpowiedź jednak na to dość łatwa, bo w kraju, choć pustym, „ferman“ ochraniał ich od rabusiów; basza odpowiadał nieledwie głową za bezpieczeństwo, podczas gdy z wkroczeniem w obręb Rzeczypospolitej, nakaz sułtański tracił znacznie dla *lewensów* i opryszków rozmaitych... Ztąd najniebezpieczniejszą dla kupców drogą była trzymilowa przestrzeń od Zwańca do Kamieńca, tak dalece, że musieli się odwoływać do pomocy zbrojnej, całe niekiedy regimenta eskortowały karawanę. W puszczy głuchej, między dzisiejszymi Jańczyńcami i Dłużkiem, nie rzadko przychodziło do boju z opryszkami, a skutkiem tego nie mało wydatków ponosić wypadało. Mamy pod ręką rachunek kupców kamienieckich z r. 1627, oto koszta transportu towarów ze Stambułu wraz z opłaceniem fermanu i najrozmaitszych rodzajów *bakczyszu* wynosiły 8000 lewków, a cło 26,400 złotych ówczesnych, a trzeba wiedzieć, że cło, jak nas uczą „instruktarze“, wcale wielkiem nie było. Najdrożej płacono od kobierców perskich, złoty od sztuki, najtaniej od koców, dwa grosze od jednego.

Przy oszczędności i życiu skromnem łatwo się przychodziło do grosza. Wychodźcy armeńscy, pilnie i jednego i drugiego przestrzegający, wkrótce zasłynęli z wielkich bogactw, i przyznać potrzeba, że skarby swoje chętnie trzymali otworem na rozkazy dobrych królów i dygnitarzy koronnych. Tak Niemcewicz, a za nim ks. Barącz utrzymują, że Konstanty, bogaty kupiec lwowski, do „nacyi ormiańskiej“ należący, często zasilał szkatułę Zygmunta

Augusta. Bogdan Donowakowicz, osiadły z początku w Kamieńcu, potem w końcu XVI w. we Lwowie, także niejednokrotnie stawał w podobnej przygodzie Zygmuntowi III. Wnuk jego Bogdanowicz Dominik był jednym z bogatszych obywateli lwowskich; umierając w 1707 r. zostawił fortuny przeszło 250.000 zł.

Bernatowicz Krzysztof Awedyk, jeszcze stał wyżej. „Przyszedł on do takiej wziętości, że nietylko panowie przez niego załatwiali interesa, ale nawet sam król Władysław IV, w krytycznem położeniu zażądał, aby mu pożyczył 100.000 dukatów. Na oznakę swej gotowości i możności zapytał Bernatowicz króla, w jakich pieniądzach chce mieć tę sumę, srebrnych, złotych, czy miedzianych? Król chcąc go doświadczyć, odrzekł, we wszystkich trzech. Natychmiast przysłał mu bogaty Ormianin żądaną sumę trzykrotnie, w trzech wzmiankowanych gatunkach pieniędzy. To powiększyło szacunek monarchy ku Ormianom, i zjednało życzliwość ku Bernatowiczowi taką, że jego dom we Lwowie stał się odtąd gospodą królów polskich.“

Gotowość bezzwłocznego złożenia tak pięknej sumki, jak 900.000 dukatów (około 12,000.000 zł.) i to w pierwszej połowie XVII w., choć na bajkę nieledwie zakrawa, dowodzi wszakże wielkiej zamożności. Tseker Warterysowicz, kupiec brodzki, był bankierem Jana Kazimierza. Druga linia Warterysowiczów, z przydomkiem Słoniewskich, do bardzo zasobnych należała. Mikołaj, chorąży bydgoski, umierając w 1677 r., więc w epoce krytycznej pod względem finansowym w Rzeczypospolitej, oprócz majątku w ziemi, zostawił przeszło 500.000 zł. w gotówce.

Kamieniec także posiadał ludzi nie szczędzących grosza dla dobra publicznego. Chotłu-bej zbudował wspaniałą świątynię, do dziś istniejącą: sławetny Narses w początku XVII w. zostawił fundusz na sprowadzenie wody do miasta, za co go wdzięcznie wspomniały konstytucye; Krzysztofowicz Zacharyasz ofiarował 7.313 zł. na utrzymanie „armaty“ w warowni kamienieckiej, i to wówczas, kiedy warownia była bardzo zrujnowana. Już to Krzysztofowicze dobrze się

zasłużyli krajowi; gdzieindziej mówiliśmy, o stosunku, jaki łączył jednego z nich z królem Janem III, za to już syn czy synowiec jego „do klejnotu szlachectwa polskiego przypuszczony został“.

Ale oprócz handlarzy i księży, nie mało pośród Ormian i dragomanów liczono. Owi pierwiastkowi *tholmacze* t. j. tłómacze, na wielkie się nieraz narażali niebezpieczeństwa. Być dragomanem na południowych kresach w XVI, XVII, ba nawet XVIII w., to nie łatwa sprawa. Owe asystencye przy legacyach wyprawianych do Turek i Tatarów, jakże często opłacać wypadało długą niewolą! Jeden z takich dragomanów, Mikołaj Czerkies, w epoce konfederacyi barskiej żyjący, przekazał nam smutną własnych przygód opowieść.

Znajdował się on w obozie regalistów, w bezpośredniej zależności od łowczego koronnego, Ksawerego Branickiego, który używał go jako ajenta albo po prostu posłańca do baszy chocimskiego. Biedny dragoman, nie tęgi był lingwista — mowa dumnych Ottomanów nie zupełnie mu była dostępną, z czego wiele pociesznych powstawało zawikłań... Stawi się przed obliczem tureckiego gubernatora z polskiem pisaniem, basza rozkazuje mu przełożyć je, dragoman plącze się, myla, w końcu wyznaje, że umie tylko tłómaczyć z tureckiego języka na polski! Dostaje za to nie bacząc na dyplomatyczne posłannictwo palcatami, a w dodatku odpowiedź, ale po turecku wystylizowaną. Jedzie z nią do pana łowczego, z trwogą wielką przedziera się krajem, przez konfederatów zajętym, bo ci pojmawszy nie lubili żartować. Ale otóż jest na miejscu, pan Branicki odbiera dokument, naturalnie, że ani słowa nie rozumie, więc do dragomana. Biedny tłómacz jąka się, ale w końcu wyznaje, że umie tylko z polskiego na tureckie tłómaczyć... Powtarzają się więc krzyki i szturkańce — taka to dola dragomanów!...

Z początku, kiedy stosunek królewszczan z Chocimiem nie był zbyt ożywionym, odezwy baszy słał p. łowczy do króla. „Jeżeliby tam — pisze do Stanisława Augusta — kto był w Warszawie, któryby ten list turecki mógł lepiej wytłómaczyć, to go W. Kr. Mość racz kazać przetłóma-

czyć." Ale z czasem wymiana korespondencyi stawała się coraz żywszą, a niemożność jej odcyfrowania, mogła być powodem zwłoki, grożącej opłakanemi następstwami, więc pan łowczy w prośby do Stanisława Augusta. „Potrzebny mi tu jest — woła — wielce Kruta, tłómacz — ponieważ Czerkies, pisma tureckiego nie umie czytać, a do tłómaczenia ich pisma trzeba koniecznie swego mieć tłómacza, któryby mnie wiernie eksplikował"...

Nie przeszkadzało to jednak współczesnym przyozdobić laurem zasługi grób niefortunnego dragomana. Dziś jeszcze wyczytać można na skromnym ciosie wprawionym w podłogę galeryi, otaczającej kościół św. Mikołaja w Kamieńcu, następującą sentencyą: „Tu leży ciało szlachetnego Mikołaja Czerkiesa, tłómacza języków oryentalnych, zagranicznych, który Najjaśniejszym Augustowi III. i Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, królom polskim i Rzeczypospolitej, z funkcyi swej za przywilejem usługę czyniąc, lat 63 przeżywszy wieku swego dług śmiertelności w r. 1776 d. 24 grudnia w Kamieńcu wypłacił." A że z funkcyi swej usługę czynił nie tęgą — to pewna... Ale był to dragoman starej daty, bo nowi kształceni w szkole przy ambasadzie polskiej w Carogrodzie, staraniem posła Aleksandrowicza założonej, byli to ludzie i światli, i piśmienni, i należycie z przyjętemi obowiązkami obeznani...

II.

Naród ormiański, przezorny, zapobiegliwy, pracowity, i pokorny, pewnym błędom pod względem religijnym ulegał — pielęgnował herezyą, jak się wówczas wyrażano. Stało się przeto zadaniem stolicy św., wyplenić ją, i przeprowadzić unię kościelną. Zadanie nie lada, bo wręcz przeciwne przywilejom, które posiadali wychodźcy; niezgadzające się z tolerancyjnemi przekonaniami większości ówczesnego społeczeństwa polskiego.

Rzeczpospolita zapewniła Ormianom swobodę wyznania; chcieli mieć biskupa, patryarchat bowiem kijowski, czy jak chcą niektórzy arcybiskupstwo kijowskie już podówczas upadło. Kazimierz W. przychylając się do słusznych żądań kolonistów naznaczył Lwów jako rezydencyą ich pasterzy dyecezyalnych. Król nie wchodził w to, kędy sięgały granice nowej dyecezyi, czy biskup miał koadjutora, czy władza jego równała się władzy biskupów łacińskich? — bo to już należało do wychodźców. Przybysze byli wyznawcami armeno-gregoryańskiego obrządku i przynieśli ze sobą pewne przepisy uświęcone zwyczajem. Biskupowi mógł tylko udzielić święcenia patryarcha Eczmiadzyński, kapłani zawierali małżeństwa, wybór parochów zależał od gminy, a parochowie ci nie pobierali stałej opłaty lecz utrzymywali się z jałmużny. Opieka nad świątyniami ciążyła na „prowizorach“, ludziach świeckich, zasłużonych, a protektorat ten, choć

często despotyczny i uciążliwy, tak się głęboko przyjął, że zupełnie usunąć go potrafił dopiero w 19 lat po wprowadzeniu unii ks. Deodat Nersesowicz, biskup trojanopolitański, administrator lwowski, a i wówczas jeszcze naraził się „swemu narodowi“. Były i inne błędy przeciwne przepisom kościoła rzymskiego, które szczegółowo podaje ks. Galan, Teatyn, jeden z najgorliwszych unii propagatorów...

Snadno się z tego przekonać, jak wiele mieli trudności zwolennicy łacińskiego obrządku, nim się im udało dopiąć zamierzonego celu. Zabiegi ich datują jeszcze za rządów Zygmunta III, więc poczęte w chwili sprzyjającej walkom podjętym przeciw rozmaitym nowatorstwom i herezyom. Król sam był bardzo nabożnym, a Jezuici niedawno sprowadzeni do Polski, ciężar nawracania kacerzy przyjęli na siebie. Ormianie nie uszli pilnego ich oka, sprawy na południowych kresach układały się bardzo pomyślnie, bo na czele rzymskiego duchowieństwa we Lwowie stał Jędrzej Próchnicki, znany wielbiciel zakonu św. Lojoli, a i w kościele ormiańskim powstały nieporozumienia po zgonie biskupa Miezroba (Makrobjusza). Zatargi podobne miały wprawdzie miejsce i dawniej, bo Ormianie zawsze waśnili się między sobą, ale ówczesna rozterka groźniejsze przybrała rozmiary. Przybyły z Armenii patryarcha Eczmiadzyński Melchizedek, skaptowany przez stronników unii, a poprostu mówiąc, przekupiony przez nich, wyświęcił na biskupa 22-letniego księdza Mikołaja Torosowicza, choć syna wychodźcy, ale urodzonego we Lwowie, wychowanego w Carogrodzie, a wyświęcił go bez upoważnienia „starszych narodu“. Powstała ztąd zacięta walka między pasterzem i jego owieczkami; pierwszego podtrzymywało miejscowe duchowieństwo łacińskie, drugich bronił przywilej...

Ks. Torosowicz występuje w dziejach jako uosobienie poświęcenia dla idei jedności kościelnej, a czasem nawet do męczeństwa zdradza pewne aspiracye. Tak n. p. w rozmowie z Janem Kazimierzem, wówczas królewiczem jeszcze, kiedy ten go namawiał, aby Ormianom wyznającym grego-

ryański obrządek choć jeden kościół ustąpił, pasterz ten miał zawołać:

— „Proszę mię usprawiedliwić przed J. Kr. Mością, ale jako arcybiskup katolicki, nie mogę żadnego kościoła oddać w ręce schyzmatyków, proszę JM. Królowi oświadczyć, że jeźli mu się podoba, niech mnie zabić każe: będzie on Bolesławem, a ja Stanisławem!“

Pięknie to wygląda, ale że jest i odwrotna strona medalu, więc rzuca cień na owe zasługi w imię unii podjęte. Rozczytując się w pamiętnikach wydanych przez Pawińskiego, opierając się wreszcie na nielicznych źródłach pisanych, jakie mamy pod ręką, całą zasługę przeprowadzenia zjednoczenia kościołów, musimy przyznać dwom skromnym Teatynom, ks. Galanowi i Pidou, którzy obok missyjnego zapału, obok posłannictwa wysoce w nich rozwiniętego, posiadali jeszcze ową subtelną, dyplomatyczną, tylko Włochom właściwą przebiegłość. Śmiało możemy powiedzieć, że gdyby nie oni, gdyby nie Marya Ludwika pragnąca dostąpić nieba za zniszczenie herezyi, gdyby nie nuncyusz Pignatelli, ciągle straszący Ormian gniewem królewskim — a wiemy że wychodźcy uwielbiali dynastyę panującą w Polsce — zjednoczenie nie przyszłoby do skutku.

Torosowicz pośród tej walki wygląda jak maryonetka, obracana przez zręcznych Teatynów w rozmaite strony. Tytułuje się on wprawdzie dość pompatycznie w swoich listach pasterskich „z łaski Bożej i stolicy apostolskiej, arcybiskupem lwowskim ormiańskim, we wszystkiej koronie polskiej i państwie wołoskiem nacyi ormiańskiej pasterzem, kawalerem św. Michała i assystentem Ojca świętego“ — ale tak wyglądał na scenie, za kulisami zaś ulegał pewnym zmianom. Lubił płeć piękną; „trzymał u siebie z klasztoru zakonnicę wykradzioną, nowicyatkę szlacheckiego rodu, jako swoją ślubną żonę, a wielu z Polaków sądziło, że ormiańscy biskupi mogli być żonaci“. Miał z niej nawet dwóch synów, którzy nie bardzo korzystnie oddziaływali na ojca. Handlował końmi, nie zawsze godziwie, odzierał duchowieństwo, odzierał lud. Raz przybywszy do Kamieńca, kiedy mu gmina

miejscowa kosztów podróży nie wróciła, zabrał niby w zastaw wszystkie srebra kościelne, aż do lichtarzy z ołtarzów, a po otrzymaniu należytości zastawu nie zwrócił. To też później na wieść o przybyciu arcybiskupa do kresowej warowni z świątyń ormiańskich bogate sprzęty wynoszono, ukrywając je przed drapieżnością wielebnego pasterza i kawalera... Co więcej, w chwili najenergiczniejszego krzewienia unii, kiedy publicznie się za nią oświadczał, wziął jednocześnie, ale *privatissime* od Kamieńczan kilkaset dukatów, za co zobowiązał się dokumentem, że ich do „nowatorstwa“ przymuszać nie będzie...

Wszystko to nie bardzo dobrze usposobiło schyzmatyków dla krzewiciela jedności kościelnej. Kupcy lwowscy w szermierce o dogmata, która trwała lat blisko czterdzieści, zubożeli, potracili zapasy grosza. Fanatycznie przywiązani do starego porządku, zapomnieli o handlu, oddając się tylko dysputom i kłótniom religijnym, które im wypełniały życie... Rozczytując się w pamiętniku O. Pidou, podziwiać potrzeba tę zręczną obrotność missyonarzy wobec ciemnoty i zabobonu, podsycanego przez coraz nowszych ze Wschodu przybyszów. Władysław IV, przejęty zasadami tolerancyi, osłabiał ciosy spadające na wychodźców; a społeczność szlachecka przypatrywała się obojętnie tej walce. Według niej, przywileje, nadane Ormianom, nie traciły mocy obowiązującej; to też dysputy między zwolennikami unii a Gregoryanami odbywać się ostatecznie musiały wobec kanclerza koronnego, obranego na rozjemcę przez wojujące strony, i ten dopiero decydował, która z nich ma słuszność za sobą.

Po zgonie Władysława IV, rzeczy się zmieniły, to też w roku 1665 lwowska gmina ormiańska, wraz z sąsiedniemi miasteczkami Rusi czerwonej, akt zjednoczenia przyjęła i na dochowanie go uroczystą złożyła przysięgę. Z pociechą dodamy, że obeszło się to wszystko bez rozlania krwi kropli...

Zostawał jeszcze Kamieniec. Tu już sprawa trudniejsza. Powiedzieliśmy wyżej, że Kazimierz W. stanowiąc bi-

skupstwo ormiańskie, nie określił jego granic. Podola nawet wcielić doń nie mógł, bo Podole jeszcze wówczas nie należało do Polski. Z tąd pewnego rodzaju dowolność zachowywali Kamieńczanie w stosunkach z lwowską hierarchią; albo mówiąc innemi słowy, nie uznawali jej wcale. Tak np. Chotłubej w akcie fundacyi miejscowego kościoła mówi wyraźnie (w r. 1398), że oddaje świątynię parafianom „w obec księdza Jana, arcybiskupa wszystkiej Rusi i ziemi Wołoskiej, ten bowiem w obecnym czasie jest duchownym naczelnikiem naszym w wyżej wzmiankowej prowincyi.“ Może to o tym biskupie Janie Awedyku wspomina ks. Sadok Barącz, dodając, że w XV wieku rządził Kamieńcem. W spisie pasterzy lwowskich nacyi ormiańskiej nie spotykamy w tym czasu okresie ks. Jana, przypuszczamy nawet, że gdyby i Lwów należał do jego jurysdykcyi, wówczas by niechybnie przywilej o tem wzmiankował.

Wiemy zkąd inąd, że mieszkańcy kresowej warowni daleko częściej w rzeczach wiary udawali się do Suczawy niźli do Lwowa. W Suczawie obrządek gregoryański przechowywał się w całej czystości, we Lwowie ulegał pewnym zmianom. Ludność Kamieńca także się nieustannie zmieniała, zasilał ją spory poczet świeżo przybywających wychodźców, szukających tu doli i nowej ojczyzny. To też kapłani starego trzymający się porządku najłatwiej tu znajdowali zwolenników. Patryarcha Melchizedek po ucieczce ze Lwowa i wyrzeczeniu się nowatorstwa, przemieszkiwał w Kamieńcu czas krótki i umarł tu wierny zasadom gregoryanizmu. Nawet po wprowadzeniu unii kościelnej trzymał się pośród gminy kresowej dość wytrwale tak zwany „fałszywy biskup“ Jan Bernatowicz (1683) — choć nie należy zapominać, że miało to miejsce za rządów tureckich, Ottomanie nie wdawali się w subtelności sekciarskie.

Imponująco wyglądała gmina kamieniecka, do „nacyi“ tej należąca! Największy jej rozkwit i pod względem ludności, i pod względem znaczenia, i pod względem bogactwa przypada na pierwszą połowę XVII wieku. Autor pamiętnika, przełożonego przez Pawińskiego, utrzymuje, że wszy-

stkich Ormian liczono wówczas w Polsce do 3000. Jest to mniemanie błędne, toż po zaborze Podola przez Turków było ich daleko więcej. Werdum w swojej podróży, przez dr. Liskiego podanej, odbytej prawie w wigilią zdobycia Kamieńca, podaje ich 3 do 4000 rodzin a nie osób. W kresowej warowni, w epoce, którą opisujemy, liczono 1200 familii; prawda że i najludniejsza i najbogatsza była to kolonia w całej Rzeczypospolitej.

Ogromny, stosunkowo do innych narodowości, kawał miasta należał do Ormian. Dzisiejszy plac gubernatorski to ledwie mniejsza jego połowa, tak dalece, że spory budynek znajdujący się obok pałacu wielkorządzców podolskich, (wzniesionego już w niniejszym wieku), stał pośrodku rynku ormiańskiego. Była to dwupiętrowa kamienica, a w niej ratusz, gdzie się ważniejsze decydowały sprawy. Fronton jego ubrany w werandę zaopatrzoną w ławy wygodne, był rodzajem giełdy. Tutaj patrycyusze miejscowi stanowili cenę na produkta przywożone ze Wschodu, i to cenę nie dla jednego miasta, ale dla całej Polski, dla Rosyi nawet. Rynek ów podłużny, otoczony dokoła wysokiemi kamienicami i składami, zdobiły jeszcze cztery kościoły, Wniebowzięcia na zachodniej stronie, gdzie obecnie stoi dom będący własnością dra Kalińskiego, duży drewniany budynek, zniszczony podczas bombardowania miasta przez Ottomanów; na południo-wschodzie kościółek św. Stefana, obecnie posiadłość p. Kurowickiego; na wschodniej stronie rynku św. Mikołaja i mniejszy, za nim jakby wsunięty, z obszernym cmentarzem, Najśw. Maryi Panny. Księży liczono zwykle od 12 do 20, choć O. Pidou zastał już w 1686 r. tylko siedmiu. Mnichów było kilkudziesięciu, nadto 12 mniszek, które jak wyżej wspomniany autor dodaje, mniszkami są tylko z nazwiska, mało co odzieniem od kobiet świeckich się różniąc. „Żyją bez reguły, w wielkim otwartym domu, należącym do kościoła, i swojem życiem rozwiązłem, stosunkami, kupczeniem, stają się często powodem zgorszenia“. Kościół św. Mikołaja najwspanialej wyglądał. Wysunięty na niewielki plac, otoczony z trzech stron obszernym krużgankiem, pod-

trzymywanym ciosowemi kolumnami, nosił wybitne cechy stylu bizantyjskiego. Galerya jego wysłana matami, w znojne lato była miejscem schadzki sławetnych ojców gminy, i tu się rozstrzygały sprawy duchowne, a w wolnych odstępach, w chwilach odpoczynku, bawiono się nawet handelkiem.

Ciekawa jest charakterystyka Ormian w Polsce osiadłych, przez Werduma podana: „Trzymają się zdala od Polaków i innych narodów i religij, prawie zupełnie na podobieństwo Żydów, są jednak tak *génereux* i dumni, jak tamci nędzni i służalcy. Po ich krewkiej i ciemnej twarzy, z wypukłemi bezczelnemi oczami, można ich od wszystkich innych ludzi równie łatwo odróżnić jak Żydów po ich głupowatej, bladawej twarzy. Nie łatwo się kojarzą małżeństwem z obcymi, niepochodzącymi z ich narodowości, a są zarazem największymi i najprzebieglejszymi kupcami, jakich znaleźć można“.

Nie mało liczono w Kamieńcu rodzin ormiańskich, mających swoje zasługi. Do rzędu owych „krzyżaków“, albo co na jedno wychodzi, owych rycerzy, a więc najwcześniejszych na Ruś przybyszów, należeli u nas Teodorowicze i Sołtanowie. Ostatnich latorośl jedna przeniosła się na Polesie litewskie i na Litwę, i tam dała początek dość licznej rodzinie tego nazwiska. Wiadomo, że Rzeczpospolita uznawała „krzyżaków“ ormiańskich za rodowitą szlachtę. Do rzędu udarowanych indygenatem, jeszcze na początku XVII stulecia, należeli Awakowie, późniejsi Wakowscy, Seferowicze albo Szadbeje i Krzysztofowicze. Poczet poważnych mieszczan składali: Agopsowie (Agopsowicze), Attabakowie (Augustynowicze), Axentowicze, Bogdanowicze, Rospopowie, Harburazowicze, Bohosowie, Butahowicze, Janowicze, Donabiedowicze, Kieremowicze, Latynowicze, Misyrowicze, Muratowicze, Warterysiewicze, Zachnowicze, Lazarewicze, Balowicze (późniejsi Baliccy), Asłanowicze, Szymonowicze, Waskowie, Roszki, Warczykowie, Gabryelowicze i wielu a wielu innych.

Patrycyat ten wybierał z pośród siebie urzędników municypalności, których sporo było: wójt, inaczej pretor

albo prokonsul, ośmiu rajców albo konsulów, z których najstarszy *crespochan*, był jakby wiceprezesem sądów miejskich. A obok tego czterdziestu „mężów zaufania“ z marszałkiem na czele! Dodajcie jeszcze pisarza magistratu, burgrabiego a będziecie mieli pół setki dygnitarzy! Drugie tyle wybierano z pospólswa jako elektów, „dobrych, uczciwych i dobrze osiadłych z pospolitego“. Listę ich układał marszałek; oni to społem z „mężami zaufania“ wigilią św. Macieja, każdego roku przystępowali do obioru wójta i jego pomocników, prowizorów kościelnych, delegatów do tronu, do patryarchy itd. Było jednak małe zastrzeżenie; oto spis wyborców rozpatrywał uprzednio przed sejmikami prokonsul „z panami radnymi“, z prawem wykreślenia tych, którzy im się nie podobają. Decemwirat więc ustępujący z areny administracyjnej, jeszcze mógł imponować przysługującym mu przywilejem, marszałkowi i „mężom“ kierującym wyborami... Prawo to ustaliło się ostatecznie w 1635, zatwierdzone przez Władysława IV.

Raz obwołani dygnitarze rządzili i gminą i kościołem. I kościół od nich zależał; *crespochan* stał na czele prowizorów, rozporządzających funduszami, restauracyą świątyń, przygotowaniem wszystkiego, co za potrzebne uważał do powiększenia wspaniałości nabożeństwa. Do niego należała muzyka, spiewacy, i zwierzęta przeznaczone na ofiarę...

„Pop ormiański“ zwykle był żonaty, a jeden on tylko sprawował sakramenta, bo zakonnicy i doktorowie duchowni bezżenni nie mieli do tego prawa, choć znowu mnich albo uczony teolog, pojąwszy niewiastę, mógł bez trudności zostać kapłanem.

Wysoce byli szanowani w kościele ormiańskim, najprzód dygnitarze: najpierw *newirag* t. j. legat patryarchy, prawie co roku wysyłany z Eczmiadzynu. Dawał on zwykle znać przez posłańców o swojem przybyciu, i wówczas całe miasto z duchowieństwem na czele wylegało na jego spotkanie, witając podróżnego okrzykami, śpiewem, tańcami nawet, które tutaj służyły za szczególny objaw radości. *Newirag* w długich napół zakonnych szatach, z kijem pielgrzy-

mim w ręku, wprowadzony uroczyście do miasta, osiadał w jednym z domów należących do kościoła, a nazajutrz rozpoczynał rzecz od modłów, po których wychodził na plac publiczny, przebiegał ulice, wołaniem zachęcając do składania jałmużny na rzecz patryarchy. Z wschodnią przesadą, głosem płaczliwym, malował nędzę głowy kościoła, i ucisk jakiego doznaje od niewiernych, dodając że w razie niewypłacenia daniny nałożonej przez Persów i Turków, gród metropolitalny, a w nim świątynia — owe cudowne „ukazanie się promieni“ (*szogakasz*), będzie z ziemią zrównana...

Tegocześni mieszkańcy Kamieńca nie potrafią sobie wyobrazić nawet podobnego gościa na ulicach miasta! A jednak przed dwustu laty był on powszednim bardzo, skoro się z nim oswojono. Pamiętamy, żeśmy czytali w dyaryuszu pewnego szlachcica: „Przyjechał ich (Ormian) kapłan ze Wschodu, wywoływał *elimoznę* (jałmużnę)“. Datki musiały być hojne, kiedy nieraz patryarchowie, zamiast legatów, sami zjeżdżali do Polski, a dwóch nawet, Stefan i Melchizedek, wyrzekłszy się wysokich zaszczytów w ojczyznie, poprzestawali na skromnej godności biskupów lwowskich.

Po legatach zasługują na wspomnienie tak zwani *anardraci*, to jest doktorowie mniejsi, albo wiejscy teologowie. Zadaniem ich było nauczać lud w małych osiadły miasteczkach; nie przyjmowali datków pieniężnych, tylko żywność i ubranie, za co krzewili najwięcej ciemnoty, egzaltując gmin zabobonny. Oni to zwykle rozdawali amulety, tak zwany *hamaile*, albo list opiekuńczy — długą, wąską taśmę papierową albo pergaminową, upstrzoną znakami mistycznemi i rozmaitemi sentencyami. Ciemny Ormianin zawieszał je na szyi w tem przekonaniu, że uchroni się od nieszczęścia, od szatana... A trzeba wiedzieć, że szatan zbyt często dokuczał trwożliwym wychodźcom; zuchwały bies miał nawet odwagę prezentować się we własnej osobie samemu księdzu arcybiskupowi Mikołajowi Torosiewiczowi nie bacząc na to, że pobożny pasterz zawsze nosił w kieszeni palec św. Grzegorza Illuminatora! Już to, jeżeli wierzyć opisom — to djabeł kamieniecki był najkrnąbrniej-

szym, najgłuchszym na wszelkie zaklęcia... Jakże on dokuczał Jego Eminencyi w epoce pracy około zjednoczenia kościoła kresowego z rzymskim!... szczególnie znęcał się nad biednym pachołkiem czcigodnego arcypaserza, wiernym jego sługą...

Ale najwyższą godnością w kościele ormiańskim był stopień doktora teologii większej t. j. *Wartabieta*, któremu przysługiwało prawo wyklinania publicznie biskupów, bez odwoływania się do patryarchy. Wartabiet obowiązany był posiadać dar wymowy i być mistrzem śpiewu... Wschodni owi doktorowie, produkt akademii Eczmiadzyńskiej, często po ziemi polskiej wędrują, nie rzadko też zaglądają do Kamieńca. W powłoczystych, czarnych płaszczach, z kapturem (*cucullum*) ostro wykrojonym, z obnażoną szyją, z ogromnym kijem, zakończonym u wierzchu poprzecznicą, a będącym oznaką wysokiej ich godności, występowali oni w kościołach i na placach publicznych, z przemówieniami, przestrogami; opinię publiczną dzierżyli w ręku, wyzyskując lud na korzyść najwyższego kapłana. Oni to najbardziej przeszkadzali zjednoczeniu kościoła ormiańskiego z rzymskim.

Otóż o jednym takim Wartabiecie, chcemy wam krótką podać opowieść.

Było to w 1660 roku. Wychodźcy kamienieccy wybiegali gromadnie na drogę chocimską, wyglądając niecierpliwie od dawna zapowiedzianych gości, dwóch luminarzy mądrości wschodniej, Krzysztofa Szymonowicza i Jana Kirkora Muratowicza. Pierwszy, znakomity poliglota, wszystkie na świecie języki rozumiał. Drugi głośny *Wartabiet*, mistrz słowa, mistrz pieśni, bogobojny, a do wiary przodków gorąco przywiązany... Obaj powracali do rodzinnej ziemi, światło bowiem dziennie ujrzeli w Kamieńcu, w Eczmiadzynie czerpali tylko światło wiedzy...

Droga była przydługa i niebezpieczna; z miejsca tego świętego (przypominamy czytelnikom, że leży ono o godzinę od dzisiejszego Erywanu na Kaukazie), wędrowało się brzegiem Czarnego morza do Stambułu, ztąd do Rai chocimskiej z karawaną, albo pod opieką czausza wysłanego do

chocimskiego baszy... A że i karawany nie chodziły często i czauszów Dywan wysyłał dość rzadko, więc młodzieńcy skorzystali z tego pobytu w stolicy Turcyi; jeden nauczał, drugi sam się kształcił. Szymonowicz, syn ubogich rodziców, prowadzący drobny handel w Kamieńcu, żądny wiedzy, poświęcił się przedewszystkiem zbadaniu „oryentalnych“ języków. Nikt nad niego nie znał gruntowniej literatury ormiańskiej, co mu i O. Pidou przyznaje, zupełnie różnej od narzecza *(guarry)* używanego przez wychodźców w Polsce. Różnica między pierwszą a drugiem miała być taka, jaka zachodzi między łaciną a włoskim językiem, z tym atoli dodatkiem, że w potocznym ormiańskim sporo było słów perskich, tureckich, tatarskich, wołoskich, ruskich, polskich, a nawet żydowskich.

Muratowicz należał do kamienieckiego patrycyatu. Dziadek jego Sefer jeździł do Persyi dla kupna drogich kamieni dla Zygmunta III. Sprawił się z poselstwa należycie, zjednał sobie względy szacha, a tem samem i na łaskawość swego monarchy zasłużył. Brat starszy doktora był poważnym kupcem i rajcą w warowni kresowej.

W końcu września doczekali się podróżnych Kamieńczanie. Entuzyazm tak wielki zapanował z tego powodu, że chciano uderzyć w dzwony przy wprowadzeniu do miasta dwóch skromnych młodzieńców, których orszak składał się z pachołka lada jako przyodzianego, a siedzącego na mołdawańskiej *maży*, zawierającej ich ubogi dobytek... Ale prowizorowie zaprotestowali przeciw niewłaściwemu objawowi uwielbienia; dzwony milczały, a zato niewiasty, powodowane wrodzoną ciekawością, otoczyły barwnym wieńcem przybyszów, odprowadzając ich tłumnie pod gościnną strzechę pokrewnych.

Pochód ich tryumfalny przybrał cechy manifestacyi. Wyznawcy gregoryańskiego obrządku widzieli w młodych mędrcach podporę, podczas gdy skłaniający się ku unii obywatele, nie radzi odwiedzinom, starali się zmniejszyć doniosłość uroczystości. Męska połowa zachowała się biernie

i obojętnie, białogłowy zato głośnemi okrzykami radość swą okazywały.

Tak upłynęło dni kilka.

Na raz wieść gruchnęła, że Wartabiet kazać będzie w katedralnym kościele. Ciekawość dosięgła najwyższego stopnia. Wczesnym rankiem świątynia już się przepełniła ludem. Urządzona ona była wedle zwykłej ówczesnej modły przyjętej na Wschodzie. Baryera poprzeczna dzieliła nawę na dwie połowy; pierwszą od wchodu, niższą, dla kobiet przeznaczoną, drugą wyższą obok ołtarza dla kapłanów, chóru spiewaków i mężczyzn. Nabożeństwo trwało dość długo. Po mszy nastąpiło czytanie ustępu z księgi *Aismaurir* (martyrologium ormiańskie), a za tem śpiewy. Wartabiet je rozpoczął, chór mu wtórował, wdzięcznie podzwaniając metalicznemi okładkami ksiąg liturgicznych. Spiewano wyjątki z *Sciaragnues* (psalmów); wierni rozentuzyazmowani przyłączyli się do chóru, głos doktora ginął w wrzasku niesfornym, niemniej przeto utrzymywano, że ma w sobie coś od cherubów zapożyczonego.

Naraz umilkły pienia, dano znak... Wartabiet rozpoczął naukę. Zbliżył się do baryery dzielącej świątynie i napół zwrócony ku niewiastom, gestykulując namiętnie, zaczął opowiadać dzieje swojej wędrówki, opłakany stan kościoła w wielkiej Armenii; przynosił słowo błogosławieństwa od patryarchy, a zarazem prośbę, aby wytrwali w wierze i dogmatach, przez św. Grzegorza przekazanych. Była w kazaniu lekka wzmianka o aspiracyach mieszkańców Lwowa dążących do nowatorstwa, mogącego zgubnie oddziałać na dolę pobratymców osiadłych po za granicami Rzeczypospolitej itd.

Milczenie, które zaległo kościół na początku kazania, ustąpiło miejsca hałaśliwym objawom aprobacyi i zgody... Tłum sfanatyzowany, podżegany, gotów był w onej chwili na męczeństwo. Kaznodzieja jednak słabł widocznie w zapale, cytaty z pisma św. z trudnością przytaczał, mowę przerywał, był widocznie czemś silnie uderzony i wielce roztargniony. I istotnie, urzekła go para czarnych oczów

ogniście w twarz jego zapatrzonych. Tuż bowiem obok baryery stała nie młoda a poważna niewiasta, Elżbieta Seferowiczowa, przełożona „kamienieckich panien dewotek nacyi ormiańskiej“. Zakonnice, jak to już wiemy, nie posiadały *hadżgdaru* t. j. klasztoru, w ścisłem tego słowa znaczeniu. Improwizowana przeorysza otrzymała już kilka święceń mniejszych, brakło jej kapłańskiego dlatego tylko, że kościół kapłaństwa kobietom nie udzielał. Fanatycznie przywiązana do starego obrządku, całą swoją rodzinę pragnęła zaciągnąć pod jego sztandar, oddać wszystkich na służbę Bogu. Za jej namową córka starsza i dwie wnuki już habit zakonny przywdziały, młodsza zaś szesnastoletnia Dolwatka, w świeckich szatach, znajdująca się obok matki w kościele, słuchała z naiwnym zachwytem przemówienia młodego Wartabieta i jej to ciemne oczy wpłynęły tak dziwnie na prąd krasomówczych fluktów wschodniego doktora. Kazanie jednak trwało całe dwie godziny...

Po niem nastąpiła nowa, niezwykła uroczystość; obrzęd ofiary, *madag*, zapożyczony u Izraelitów. Dwóch mieszczan wprowadziło wołu do świątyni; wylękłe, olbrzymich rozmiarów bydlę miało u rogów zawieszone na jaskrawych wstęgach małe dzwoneczki, na rogach przylepione płonące świeczki woskowe, grzbiet zaś okryty kosztowną kapą, tkaną złotem, oszytą sutą frenzlą. Wół przeznaczony na ofiarę Panu, po stosownych modłach padał pod nożem, a świeże mięso jego pieczono za ołtarzem na poświęconem ogniu i rozdawano ludowi. Tym razem jednak uroczystość się nie powiedła... Jakiś swawolny urwis wystrzelił z rusznicy tuż pod kościołem — wylękły wół wyrwał się, roztrącił przerażone niewiasty, utorował sobie drogę i wypadłszy ze świątyni latał jak szalony po mieście, ciągnąc za sobą kapę po błocie... Byto to powodem wielkiej uciechy dla ruskiej i polskiej gawiedzi. Klaszcząc w dłonie wołali ulicznicy:

— Oto jest święty byk ormiański!...

Ale powróćmy do Muratowicza. Przybycie jego i częste wystąpienia obudziły fanatyzm w chwiejnych lub obojętnych

wychodźcach i spotęgowały przywiązanie do błędów ustalonych w kościele. Na czele tego ruchu stała obok Wartabieta i Seferowiczowa, posiadająca wpływ w mieście nie mały. Zaprzestano słuchać rozkazów przesyłanych ze Lwowa, a Kamieniec w rzeczach wiary zaczął się odwoływać do Chocimia, kędy przebywał biskup schyzmatycki. Malkontenci lwowscy, jak ks. Brzeski, o którym O. Pidou wspomina i kilka nieprzejednanych mnichów w kresowej warowni znaleźli schronienie i gościnne przyjęcie...

Młody doktor, jak powiadano, rozkochać się miał w pięknej Dolwatce. Piękną też była dzieweczka. Ród Seferowiczów słynął z niewiast niepowszednią krasą udarowanych, a Wartabiet miał serce do miłowania skłonne. Wzywany do przełożonej mniszek na częste narady, zawsze obok niej zastawał urodziwą dziewczynę. „Doktor — mówi ówczesny kronikarz — gotował się przyjąć święcenia kapłańskie, aby się z panienką sakramentem związać; bo bywały takie przykłady, jak starzy ludzie powiadają, że Wartabiet parochem zostawał... Już nawet pościel swoją przyniósł do kościoła, by w nim 40 dni na modlitwie przesiedzieć.“ Ale matka dziewczyny nie zgodziła się na to. Wytknęła ona sobie inną drogę; celem jej było — podnieść wiarę upadającą, walczyć wytrwale do ostatka, ani źdźbła nie uronić z dawnych zwyczajów... Pośród swoich widziała obojętność i lekceważenie dla tych według niej świętych przepisów. I fanatyzm wdowy potęgował się pod wpływem przeszkód, rósł, olbrzymiał, wkraczał w granice niezwyczajności.

Kobieta ta na tle dziejów zjednoczenia dwóch kościołów, w których więcej zużyto przebiegłości i wykrętów niźli energicznego oporu, rysuje się wybitnie, ona jedna stoi nieugięta, protestuje głośno, aż do zgonu... Miałaż córkę poświęconą Panu narażać na zgorszenie świata, na pokusy jego? Muratowicz dostał odprawę, zawsze atoli został po stronie starej fanatyczki — i kto wie, czemby się ta walka skończyła, gdyby Dolwatka nie umarła w 1662 r. Wartabiet, po jej zgonie, nieutulony w smutku, usunął się z wi-

downi sporów teologicznych. Przyjaciel doktora, ów poliglota Szymonowicz, wielki zwolennik unii kościelnej, namówił zrozpaczonego kochanka do wyjazdu z Kamieńca, i obaj udali się do Lwowa. Gregoryanie tracili w Muratowiczu dzielnego pracownika na polu dysputy, niezwalczonego dialektyka — sprawa ich od tej chwili już była przegraną...

III.

Zbliżał się czas ostatecznego ukończenia religijnych nieporozumień. Wszystkie ormiańskie kolonie Rzeczypospolitej poddały się arcybiskupowi lwowskiemu. Kamieniec także uległ, ale tylko pozornie, w gruncie bowiem rzeczy hołdował błędom dawniejszym. Miejscowe duchowieństwo łacińskie nieustannie donosiło ks. Torosowiczowi, o kacerstwach i „bałwochwalstwie“ kamienieckich owieczek. Pasterz zbywał skargi milczeniem, wziął bowiem, jak to już wiemy, spory okup za pobłażliwość, ale nie obojętnie słuchali zażaleń dwaj Teatyni, przysłani z Rzymu w celu ostatecznego umorzenia nieporozumień religijnych.

Jeden z nich O. Klemens Galan, w chwili najbardziej stanowczej, zmarł po kilkodniowej chorobie; został tylko ks. Pidou, ale ten się nie ulągł ciężaru. Po długich usiłowaniach i zabiegach zniewolił ks. Torosowicza i Kieremowicza, jego sufragana do wędrówki na kresy. W sierpniu byli już pod murami Kamieńca.

Pobożny Teatyn opowiada dzieje tej missyi, w sposób nader zajmujący.

Lud, mówi on, wyszedł na kilka mil z miasta na spotkanie biskupa; roiło się na drodze od zaprzęgów, kolas bogatych, ale i pieszych było niemało. Przemówień i oracyj było bez liku. Deputaci od kapituły łacińskiej witali przybyłych po łacinie, delegaci gminy przemawiali po turecku,

alumni z kolegium lwowskiego, wychowańcy ks. Pidou, znajdujący się w orszaku arcybiskupa, odpowiadali na powitania po ormiańsku, językiem książkowym, co wielce ucieszyło patrycyuszów miejscowych...

Dzwony katedry ozwały się głośno, w chwili kiedy pod jej sklepienia wchodził pasterz owczarni — liczny poczet śpiewaków witał go hymnem wesołym, muzyka wcale dobrze wtórowała chórowi... Gmin oznaki radości okazywał wielkie, w podskokach prawie tanecznych towarzyszył podróżnym ; kobiet tylko nie wiele zebrało się w dolnej nawie kościoła, a pośród nich ani mniszek ani Seferowiczowej nie było.

Nieszpory odśpiewano wedle rzymskiego rytuału, początek więc dobrze się zapowiadał. Ale już zaraz nazajutrz, nowatorowie napotkali przeszkody. Księża miejscowi nie chcieli odprawiać mszy „po rzymsku“, tłómacząc się nieumiejętnością. Biskup wszelako nie myślał ustępować. Po długich sporach obie strony zgodziły się na kilkodniowe zawieszenie broni. O. Pidou szczególnie się o to starał, spodziewał się bowiem lada chwila listów królewskich. I istotnie nadeszły listy, ale w nich nie było wzmianki o zachęceniu Ormian do unii. Koloniści dowiedziawszy się o tem, hardo podnieśli głowę...

Główną jednak sprężyną, pobudzającą do oporu, była kobieta...

W dni kilka po przybyciu nie bardzo lubionego arcybiskupa, w noc późną, zebrali się sławetni koloniści na naradę u konsula Waska. Gospodarz, człowiek w sile wieku, łagodnych usposobień, obojętny w rzeczach wiary, więcej oddany handlowi, ożeniony był z Suławką Seferowiczówną, córką znanej nam przełożonej „dewotek nacyi ormiańskiej“. Pośród zebranych znajdowało się kilku rajców, mianowicie Wartan Muratowicz, także kupiec, ale postępowy, zwolennik nowatorstwa, który synowi swojemu dał imię polskie Kazimierza, i kształcił go nawet w miejscowem kollegium OO. Jezuitów. Ojciec i syn reprezentowali żywioł pojednawczy; zato inni obecni „marszałek rokowy Carzyk Krzysztofowicz“,

od lat przeszło trzydziestu stojący na czele „mężów zaufania“, nadto Mikłosz Hołubowicz, Aswedur Jarosz, Isay Derabrahamowicz, Grzegorz Axentowicz, byli zwolennikami wiary ojców, ze wszystkiemi błędami i naleciałościami, nawet przez władzę w Eczmiadzynie potępianemi.

Obok poważnych mężów, radzących o przyszłości „nacyi“, znajdowało się dwóch młodzieńców, dobrze nam znanych, Krzysztof Szymonowicz i Jan Kirkor Muratowicz, słynny Wartabiet. Muratowicz zmienił się do niepoznania; zawsze smutny i milczący, więcej jednak po europejsku wyglądał. Strój nawpół zakonny go przyozdabiał, ale ani *cuculli* (kaptura), ani laski oznaczającej wysoką godność, nie używał wcale. Cztery lata spędzone we Lwowie, wywarły nań wpływ niemały, przekonał się, że unia jest tylko usankcyonowaniem dawniej przyjętych przez następców św. Grzegorza zobowiązań. Więc teraz łagodnie, ale przekonywająco jął dowodzić współbraciom, że wykraczają przeciw Bogu, stawiąc opór arcybiskupowi.

Narada była gwarna i wrzaskliwa, jak zwykle u ludzi pochodzenia wschodniego. Nieznany autor, z którego rękopisu czerpiemy, opisał ją w lat 30 potem, z całą subtelnością teologa... Nie powtarzamy jej wszakże, wątpimy, aby czytelników zajęła, tem bardziej, że nie było w niej mowy o zagrożonych prerogatywach, że w gruncie wszyscy zgadzali się na to, jako błędy w księgach liturgicznych są wielkiemi i poprawić je należy; jako święcenie rozmaitych uroczystości do pewnego porządku przyprowadzić wypada, gdyż z czasem całe życie świętowaniem się stanie... Co do jednego tylko rozchodziły się sądy, mianowicie o dolewanie wody do wina w czasie ofiary mszy świętej. Koloniści na tę ostatnią zmianę przystać nie chcieli. Treściwe atoli wywody Wartabieta już na nich oddziaływać zaczynały, nawet najtwardszy oponent Carzyk Krzystofowicz, może z wielkiego do Rzeczypospolitej przywiązania, mięknąć zaczynał, zwłaszcza kiedy doktor po wyliczeniu wszystkich *pro* i *contra* zakonkludował dobitnie, że i „król chce tego połączenia, i królowa o nie modli Boga...“

W tej właśnie chwili, drzwi izby z łoskotem się rozwarły — i na progu ukazała się postać sędziwej niewiasty... Ciężkie, ciemne zakonnne szaty, białe ubranie głowy dziwnie odbijało na tle drzwi kamiennych...

— Matka Seferowiczowa — ozwało się kilka głosów.

— A tak matka — zawołała przybyła — matka i choć nie proszona stawa przed wami, by się dowiedzieć, jak to radzicie o szczęściu narodu...

Zgromadzeni spojrzeli po sobie.

— A i ten fałszywy Wartabiet jest tutaj — ciągnęła dalej kobieta, zoczywszy Jana Muratowicza. — Heretyk w domu męża mojej córki, między prawowiernymi?...

Zięć starał się ją uspokoić, bo dla doktora należały się względy; przybył przecież w orszaku arcybiskupa, był nadto gościem... Ale nie pomogły perswazye. „Zacięta ta kacerka rozpłomieniła serca swoich współbraci... rozeszli się wszyscy w gotowości wojowania z pasterzem pasącym owce wedle przepisów śś. ojców kościoła.“

Nazajutrz po tajemniczej naradzie propagatorowie unii przebudzeni zosali hałasem. Ulice napełniły się ludem, który wołał:

— „Oto gwałtem przekształcają nam nasze obrządki i ceremonie. Świadczymy się Bogiem, że odwołamy się do króla, króla przyzywamy, króla przyzywamy!“

O. Pidou przerażony nie stracił jednak głowy, bocznemi uliczkami dostał się do polskiej dzielnicy, do mieszkania ks. Leszczyńskiego, dziekana katedralnego. Stolica biskupia wakowała podówczas, zacny ks. Zygmunt Czyżowski umarł przed rokiem, a o nowych kandydatów było nie łatwo, wiadomo bowiem, że wyżsi duchowni niechętnie przyjmowali zaszczytną ale niekorzystną i niebezpieczną godność pasterzy kamienieckich. Ks. dziekan, przychylając się do prośby wylękłego Teatyna, wezwał na naradę swego kolegę, poważanego i sędziwego prałata ks. Uldyńskiego. Ale cóż mogli pomódz? Wprawdzie punkta przedłożone przez O. Pidou rozkazali do „ksiąg wciągnąć i ku wiecznej rzeczy pamiątce w archiwum złożyć“ ale nic nadto.

Zgiełk się tymczasem wzmagał, i udzielił dzielnicy ruskiej, a i w rynku lackim lud się zaczął gromadzić. Krzyki owe i odgróżki były niezwykłem w spokojnem zawsze miasteczku zjawiskiem. A tu jak na dobitek ani jednego z wpływowych ludzi, którzy by się odważyli burzę zażegnać! Generał podolski, gospodarz i razem komendant fortecy, Stanisław Rewera Potocki, wówczas już 87-letni starzec, dogorywał w Podhajcach; wojewoda podolski Aleksander Stanisław Bełżecki mieszkał w Warszawie, gdzie zatrzymały go sprawy komissyi granicznej między Polską i Wołoszczyzną. Znajdował się wprawdzie w miasteczku kasztelan Mikołaj Bieganowski, ale ten wcale nie miał ochoty brać udziału w dysputach.

— Czegóż chcecie? — mówił — wszak odwołują się do króla, bronią przywileju, zapewnionego im przez Rzeczpospolitę?...

O. Pidou wracając z niczem do siebie dostał się po drodze między hałasujących kolonistów. „Drżałem cały, pisze, aby się nie wzmogło wzburzenie.“ Spokojni to jednak musieli być rebellizanci, kiedy księdzu nietylko włos z głowy nie spadł, ale nadto pozwolili mu jeszcze perorować, a kiedy zawołał, że się uda do Warszawy, do króla, by zdać sprawę ze swych niepowodzeń w Kamieńcu... wówczas wychodźcy, na wzmiankę majestatu umilkli i jęli go zapewniać, że „są i chcą być unitami, ale gwałtu nie chcą...“ Biedny Włoch jednak trwożny był o siebie i uspokajał wzburzonych, a „tym sposobem, dodaje, z rąk się ich wymknąłem i przybyłem do arcybiskupa“. Ale i pasterze na widok rosfyrkanych owieczek przerazili się niepomału, zażądali straży zbrojnej od podstarościego, który wprawdzie dawniej ją ofiarował, ale teraz „zamiast zastraszyć buntowników, sam wystraszony przybiegł do arcybiskupa, prosząc, aby nie drażnił, jeżli to być może, pospólstwa ormiańskiego, które w ręku swem trzyma miasto Kamieniec, miejsce tyle ważne, a tak łakome dla wrogów. Zwracał uwagę także na to, że mało w Kamieńcu przebywa Polaków, a Rusinom schyzmatykom dowierzać nie można, owszem podczas oblę-

żenia, nawet ich domów strzedz należy, aby nieprzyjaciela nie wprowadzili; że jest tego zdania, aby arcybiskup napisał do króla i nuncyusza, lud zaś ormiański obiecuje ze swej strony zrobić wszystko, jak tylko wyraźne od króla otrzyma rozkazy."

Tak pisze ks. Pidou. Wybieg kolonistów był dość zręczny — Jan Kazimierz, pomimo najszczerszej chęci, nie mógł dać rozkazu przyjęcia unii, gdyż sprzeciwiałby się przywilejom przez niego samego poręczonym. Dodamy nadto, że podstarościm i zastępcą komendanta był wówczas Alss, człowiek odważny, energiczny i przezorny. Może mu wypadało udawać zatrwożonego wobec ks. Torosowicza, nie przypuszczamy bowiem, żeby się uląkł tumultu ormiańskiego, najpotulniejszego ze wszystkich dotąd znanych tumultów. Komendant występował prędzej jako rozjemca, i za jego wstawienictwem gmina Kamieniecka wysłała dwóch deputatów do Warszawy, którzy mieli bronić wobec tronu praw nacyi. Seferowiczowa na ten cel z własnej szkatuły ofiarowała 1000 złotych, drugie tyle złożyło miasto. Arcybiskup wydelegował od siebie ks. Grzegorza Balsama, w nawiasie dodajmy — że nie dał mu nic na drogę, tak, że koszta podróży O. Pidou musiał ponosić. Jednocześnie, w wielkiej tajemnicy, pomknął wysłannik do Eczmiadzynu, z zapytaniem, jak nadal postępować należy.

Nastąpiła cisza po burzy. Obie wojujące strony w oczekiwaniu odpowiedzi zachowywały się spokojnie. Księdza Torosowicza nękał szatan, a potem atak apoplektyczny, suffragan arcybiskupa chorował także, a O. Pidou rozczytywał się w księgach miejscowych i notował w nich błędy, ku czemu mu pomocni byli Szymonowicz i Muratowicz, już teraz jawni połączenia obu kościołów zwolennicy...

Deputaci gminy kamienieckiej po przybyciu do Warszawy prezentowali się królowej, bo króla nie było w stolicy, i nuncyuszowi, którego dworzan hojnie udarowali groszem, w końcu odwiedzili kanclerza koronnego, w jego ręce składając losy sprawy i prawo zadecydowania, która ze stron ma słuszność, z zapewnieniem, że wyrokowi tak wy-

soko postawionego dostojnika poddadzą się bez szemrania... Kanclerzem był Mikołaj Prażmowski, podówczas tylko biskup łucki i opat siecichowski; prymasem i arcybiskupem został dopiero w jesieni 1666 r., choć jego poprzednik umarł jeszcze 1 kwietnia t. r. Otóż przed złożeniem pieczęci biskup Prażmowski, zajął się sprawą Ormian kamienieckich. Wobec niego, wysłańcy ich, stoczyli dysputę z ks. Balsamem, naturalnie, że ostatni wziął górę. Kanclerz znany z wymowy umiał przekonać prostaczków, więc już tylko bronili swoich przywilejów i powoływali się na ugodę zawartą dawniej z ks. Torosowiczem. Senator przyrzekł o wszystkiem pamiętać. Wygotowano odezwą do Kamieńca, królowa i nuncyusz pisali do O. Pidou.

Królowa szczególnie dyplomatycznie się znalazła. „List wasz otrzymaliśmy, mówi Marya Ludwika, i z wielką przyjemnością powzięliśmy wiadomość o postępach waszej missyi; będzie nam i nadal przyjemnie, gdy nam o niej od czasu do czasu donosić będziecie.“ Wiedziała ona, że list w licznych odpisach pomiędzy kolonistów rozrzucony zostanie, że ci nie chcąc zasmucać dobrego serca Miłościwej Pani, zrobią ofiarę z przekonań. Prażmowski do arcybiskupa i do mieszczan wystósował odezwy i zalecał „przyjąć niezwłocznie wszystkie poprawki niezbędne do św. unii z kościołem rzymskim, jakto już wszystkie inne miasta w Polsce uczyniły... Co do układów wrzekomo zawartych z arcybiskupem ormiańskim wolno będzie panom, dodawał kanclerz, przysłać mi je do Warszawy dla przejrzenia i roztrząśnienia, czyli potwierdzić je można. Co do zachowania kalendarza starego, możecie być panowie pewni, że arcybiskup w tym względzie nic nie zmieni.“ Jednocześnie i wysłannik z Eczmiadzynu powrócił. Patryarcha zalecał we wszystkiem posłuszeństwo ks. Mikołajowi Torosowiczowi!

Rzecz się zbliżała do końca. Dnia 1 października 1666, księża ormiańscy odprawili mszę według rytuału rzymskiego, a we trzy dni później zgodzili się bezwarunkowo na poprawki poczynione w ich księgach liturgicznych.

Zjednoczenie więc przyszło do skutku. Stany Rzeczypospolitej nie brały w niem udziału, kwestya religijna nie ulegała ich juryzdykcyi; przywilejów nadanych wychodźcom gotowe były bronić, ale obrona okazała się zbyteczną, nikt na nie nie podnosił ręki...

Od tej epoki życie w Kamieńcu, powoli, nieznacznie na nowe tory popchnięte zostało. Obie strony porobiły ustępstwa; arcybiskup odwdzięczając się za powolność parafian, zostawił magistratowi miejscowemu prawo sądzenia spraw duchownych, z warunkiem wszakże, aby w kwestyach kościelnych ksiądz jako delegat w sądzie zasiadał. I to już wiele, bo dotąd rajcowie stanowili o wszystkiem, wybierali parochów, usuwali ich, okładali karami i grzywnami, w kościele rozporządzali się jak gospodarze. Unia zadała ostateczny cios prowizoryatowi; odtąd nie miał on racyi bytu... Wolno też było zawierać księżom związki małżeńskie, ale i to nie trwało długo, bo już w XVIII w. bezżeństwo weszło w obyczaj, chociaż Ormianie kamienieccy i później zarówno gościnnie podejmowali u siebie kapłanów żonatych, przybywających na kresy z Armenii, tak dalece, że ostatni ksiądz, posiadający ślubną małżonkę, umarł na początku bieżącego stulecia, jak się o tem łatwo przekonać z nagrobka, który mu połowica w żalu nieutulona wzniosła, na katolickim cmentarzu kamienieckim. Arcybiskup uszanował nadto zwyczaj, mocą którego świeżo wyświęceni księża całe czterdzieści dni spędzają w kościele, gdzie spią i jedzą i głównie ewangielię czterech ewangelistów czytają. Do ostatecznego wszakże wykorzenienia błędów przyczynili się nowi kapłani, wychowani przez ks. Teatynów w kollegium lwowskiem.

Nie wszyscy atoli i nie od razu poddali się „nowatorstwu.“ Seferowiczowa wraz z mniszkami pozostała nieprzejednaną. Dla niej targnięcie się na stary obyczaj było zbrodnią. O. Pidou z wielką grzecznością zachodził drogę starej kobiecie, perswadując i starając się przekonać — nic nie pomagało; szukał więc innych może mniej godziwych sposobów. Sam nawet o tem w swoim wspomina pamiętniku. „Rozmówiłem się kilka razy potajemnie z pewną mniszką

ormiańską z Kamieńca, nazwiskiem Marya, około lat 35 mającą, która że świat cały zwiedziła, Armenię, Ziemię św. i Włochy, oprócz języka rodzinnego, tj. ruskiego i tatarskiego, mówiła także po włosku i po ormiańsku; a ponieważ często uskarżała się na nieporządne i przepisom nieodpowiadające życie innych zakonnic ormiańskich, swoich towarzyszek, o których wyżej już rzecz była, radziłem przeto biskupowi, ażeby pójść ją odwiedzić i zapobiedz wedle sił wszelkim nieprzystojnościom, które zakradać się zwykły między kobietami na ustroniu żyjącemi, zwłaszcza jeśli jak one, żadnej nie mają reguły, żadnych zwierzchników. Udał się więc arcybiskup i ujrzawszy zamęt, w jakim żyją, kłótnie i nieporozumienia, które między niemi panowały, i że wszystkie zakonnice tylko za powagą i pozwoleniem świeckich rajców zakonnicami były, nie mając pozwolenia, ani błogosławieństwa ni biskupa, ni księdza żadnego, był już niemal gotów za moją idąc radą, odesłać wszystkie do domu, dopóki nie przyjmą poprawki i reguły. Ale główna ich zwierzchniczka, niejaka Seferowiczowa, matka żony pretora ormiańskiego, zatwardziała kacerka, żadnym sposobem przekonać się nie dała."

Skończyło się na tem, że Marya musiała opuścić zgromadzenie, inne mniszki zostały, trzymając się dawnej reguły... Jak widzimy, Seferowiczowa zanadto poważną była osobistością, aby się targnąć na nią miano odwagę. Próbowała ona raz jeszcze wywołać protestacyę zaraz po wprowadzeniu zjednoczenia; namówiła współbraci, aby w święto narodzenia Najświętszej Maryi Panny, udali się tłumnie do chocimskiego gregoryańskiego kościoła na nabożeństwo. Ale komendant Alss uprzedzony o tem, kazał zamknąć bramy miejskie, nikogo za obręb wałów nie wypuścił, zamiar więc fanatycznej kobiety spełzł na niczem. Odtąd jednak do kościoła nie uczęszczała, lecz urządziła sobie kaplicę w klasztorze. Utrzymywano nie bez zasady, że jeden z księży nawróconych raz w tydzień odprawiał u niej mszę potajemnie, używając ksiąg nieskalanych poprawkami. Zabór turecki zastał ją w Kamieńcu; czy wspólnie z zakonnicami

udała się na Wschód, czyli też zakończyła żywot przed tą tułaczą pielgrzymką? źródła, które mamy pod ręką nie wspominają o tem wcale.

O. Pidou, autor zjednoczenia, opuścił Polskę w 1668 roku i udał się do Włoch; nadto nic więcej o nim nie wiemy.

Ks. Mikołaj Torosowicz po zgonie kochanki zakonnicy, którą uroczyście pogrzebać kazał we Lwowie, odmienił się korzystnie. Przestał handlować końmi, choć do końca był ich namiętnym lubownikiem, a co ważniejsza, przestał odzierać swoich parafian, nie kładł na skarby kościelne ręki, zadawalniając się datkami, jakie mu z prawa należały. Ostatnich lat kilka po powrocie z Rzymu spędził w swojej stolicy na modlitwie i pisaniu, a umarł bardzo przykładnie w 1681 r., nie doczekawszy tej późnej starości, jaką się zwykle odznaczali pasterze do tej należący „nacyi“. Zawsze atoli więcej niż pół wieku, bo lat 54, przewodził swarliwej trzodzie. Nie był to reformator z przekonania. Przypadkowo wysunięty na widownię, pozwalał sobą kierować — i w tem tylko właśnie leży jego zasługa.

Jan Kirkor Muratowicz, po upadku Kamieńca przeniósł się do Lwowa, gdzie posiada kamienicę. „Odznaczał się szczególną czystością obyczajów, a jako mąż pełen światła i oddający się ciągle naukom, przez arcybiskupa Wartana Hunaniana, mianowany protonotaryuszem apostolskim“. Więc został kapłanem? Tak skończył Wartabiet urodzony w Kamieńcu, a na dalekim wychowany Wschodzie...

Na tem urywamy nasze opowiadanie...

Ostatnia to karta z dziejów Armenii, przesiedlonej na płaszczyzny Rzeczypospolitej. Odtąd cechy odróżniające wychodźców od tubylców zacierają się coraz bardziej; kościół wyzwolony z pod ucisku prowizorów i rajców zajmuje wydatne miejsce, a związany ściśle z Rzymem, wschodnią cywilizacyę spycha na stanowisko podrzędne, nadając jej pokost zachodni. Spolszczenie się, jako następstwo tej zmiany, staje się już tylko kwestyą czasu...

Dokonywa reszty przeobrażenia zabór Podola i Kamieńca. Garstka nieprzejednanych, dodajmy — bardzo nieliczna, została pod władaniem Turcyi, większość podążyła do Polski, jako do swojej najdroższej i najukochańszej ojczyzny... W XVIII wieku nowe kontyngensy kolonistów, wkraczające małemi kupkami do Rzeczypospolitej, łatwo już przejmowały miejscowy obyczaj, polszczyły się szybko, nie przynaglane do tego przez nikogo, tak, że już następne pokolenie prócz cech zewnętrznych, przypominających wschodnie pochodzenie, niczem się nie różniło od stałych mieszkaców królestwa.

Koloniści polaczeli, powtarzamy raz jeszcze, bo dobrze im z tem było, bo nowa ojczyzna gościnnie ich przyjmowała w swoje objęcia, sadowiła przy stole przywilejów, poczestne przybyszom wydzielając miejsce, jakby serdecznością i dobrodziejstwowaniem pragnęła osłodzić im gorzką dolę tułactwa, ulżyć łzom płynącym za pożegnaną i najbliższą...

I wygnańcy pocieszyli się przekonaniem, że łaski i rozmaite nadania na powitanie im ofiarowane, były nie chwilową, ale trwałą i niewzruszoną darowizną... I przywiązali się do tej drugiej matki. Widocznie nie macocha to była, ale tkliwa rodzicielka, mająca w piersi taki zapas miłości, że stało jej na ogrzanie nietylko własnych dzieci, ale i cudzych sierot, pozbawionych dachu...

I przywiązawszy się zapomnieli o przejrzystem niebie Armenii, o biblijnie wspaniałych równinach, o niezliczonych skarbach stron rodzinnych...

I na skałach rozpiąwszy wędrowne namioty, osiedli między nami na zawsze, a tak się zespolili z tym kątem, że odtąd uboga ziemia była im droższą od dawniejszej bogatej... To też, kiedy wróg nachodził ową przybraną ojczyznę, podnosili się jak jeden człowiek ku jej obronie... I w końcu... w końcu z Ormian polskich stali się „Polakami pochodzenia ormiańskiego.“

ŹRÓDŁA.

Zbiór historyczny miastu Kamieńcowi służących, tudzież dekretów assesorskich, komisyjnych tak między Juryzdykcyami miasta Kamieńca, jako też między temże miastem a starostami, komendantami i szlachtą zapadłych. (Rękopism fol.)

Wizyty Ormiańskiego kościoła ś. Mikołaja, tudzież innych świątyń do tego narodu należących a w Kamieńcu Podolskim znajdujących się, od najdawniejszych czasów do 1804 r. (rękop. fol.).

O Uniey kościoła Ormiańskiego z Rzymskim (reszty rękopisu) przez nieznanego autora; na karcie tytułowej r. 1700.

Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVII w. Warszawa 1876 r., wydanie p. Adolfa Pawińskiego. (Szczególnie opowiadanie O. Pidou).

Sadok-Barącz. Pamiętniki dziejów polskich. Lwów, 1855, str. 3, 8, 35, 36, 37, 41.

Sadok-Barącz. Pamiętniki miasta Stanisławowa. Lwów, 1858, str. 45 i dalsze.

Sadok-Barącz. Żywoty sławnych Ormian w Polsce. Lwów, 1856 r.

Marczyński. Statystyka gubernii podolskiej. Wilno. Tom III., 1822, str. 2 i dalsze.

Archiwum Juho-zapadnoj Rossii. Akty o horodach (1432 — 1798). Kijów 1869 r. Tom I.

Volumina Legum. Petersburg, 1860, wydanie Otryski, Tom IV i VI.

Ulryk Werdum i dziennik podróży jego po Polsce w latach 1670—1672, przez dra X. Liske. (Przewodnik naukowy i literacki. Lwów, 1876, T. V. s. 420).

Plan Kamieńca dokonany przez Cypryana Tomaszewicza C. C. D. D. D. w 1672. (Szczegóły o nim p. Zameczki podolskie na kresach s. 285, dopisek 25).

ZEMSTA KOZACZA

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA.

I.

Bohdan Chmielnicki zostawił w spadku następcom ruinę i rozpasanie. Żaden z watażków, wdzierających się po nim na krwią oblany tron hetmański, nie dorównał mu ani odwagą ani popularnością. Przemocą, mordem, podstępem dostawali się na te wyżyny schłopieni synowie szlacheccy, albo uszlachceni chłopi, na to tylko, aby się chwilę rabunkiem pobawić, pomarzyć o samodzielności, umizgnąć się z kolei do wszystkich państw ościennych, a w końcu rzucić się w objęcia jednego z nich i w niem utonąć na zawsze...

Jeden Wyhowski, przekonany o zdradę, ginie na miejscu, Juraś Chmielnicki plącze się od obozu do obozu, od sztandaru do sztandaru, aż stryczek pasmo dni jego przecina. Tetera z niezatartemi pośród „zbójców ukrainnych“ tradycyami szlacheckiemi, składa buławę, za ciężką na jego zbyt sumienne przekonania, ociera pył z sandałów, wraca do Polski na dewocyę, w objęcia ks. Jezuitów, co daje powód do mniemania, jakoby watażka ukrainny, pod wpływem religijnych praktyk na umyśle szwankował. Doroszeńko, Haneńko, po kilkonastoletnich szamotaniach, nikną za Dnieprem.

Kozaczyzna upada pod naciskiem żelaznym niewoli ottomańskiej, a choć Sobieski używa wysiłku, aby ją wskrzesić i związać sojuszem z Polską, nie może podołać zadaniu. Powołani przez niego do życia nowi hetmani — to powsze-

dni łotrowie, których Chmielnicki nie podniósłby był nawet. do godności pułkowników. Rossya za Dnieprem tłumi wszelkie popędy do samodzielności; baty i „zsyłka“ spadają na karki rozpanoszonych chłopów, zarówno często jak i na dumnych bojarów, przegrywających bitwy, albo o przekupstwo pomawianych... To też tam i łatwiej i prędzej przychodzi do ładu, kiedy w Ukrainie polskiej, gmin zewnątrz podburzany, wewnątrz łagodnie traktowany, buntuje się nieustannie; czerń bowiem, jak słusznie utrzymuje Bartoszewicz, „nie rozważała spraw politycznych i nie rozumiała ich, a biegła za popędem swych namiętności, które niebezpieczne były w ludziach uzbrojonych“.

Watażkowie kozaccy, jak już powiedziano wyżej, chylą się kolejno, choć z równą nieufnością, to w stronę Rzeczypospolitej, to ku Rossyi, to ku sułtanowi; szukają pomocy i poparcia swoich zamiarów u hospodarów Multan i Wołoszy, najczęściej jednak kołaczą do chana, zkąd tatarskie czambuły prawie nieustannie się powtarzają. Orda na prawym brzegu Dniepru jest jak u siebie, ściąga kontrybucyę pieniężną, a kiedy grosza zabraknie na jej zaspokojenie, zabiera dobytek, w końcu ludzi w łyka — a co smutniejsza, zabiera niejako urzędowo, bo za pozwoleniem owych improwizowanych hetmanów...

Oto ogólny rys dziejów epoki, której jednę mamy wcielić w opowiadania dzisiejsze...

Rozpoczynamy od r. 1667, to jest od układów Podhajeckich, zawartych między Polską, Doroszeńkiem a Tatarami, i od Andruszowskiego przymierza, sklejonego na lat 13, między Rossyą a Rzecząpospolitą.

Przymierze to dzieliło ową, przez Chmielnickiego podburzoną Ukrainę na dwie nierówne połowy. Dniepr stanowił linię kresową; wszystko co za nim leżało, zabierała Rossya, stanowiąc tam hetmanów, przysyłając swoich wojewodów dla wprowadzenia porządku, wytrwale koncetrując władzę z stałą w Baturynie rezydencyą. Prowincye na prawym brzegu Borystenu powracały do Polski; car uwalniał mieszkańców od wykonanej mu przysięgi wierności, jak gdyby

królowie polscy, wcześniejsi tej ziemi posiadacze, zrzekli się jej na korzyść szczęśliwego zwycięzcy.

Polska traciła dużo; kresy jej na wschodniej rubieży wepchnięto w głąb kraju, ale przynajmniej uśmiechała się zapowiedź jakiegoś ładu, przypuszczano że nareszcie nowy *modus vivendi* się sklei, że maszyna administracyjna, acz skrzypiąc i postękując, pójdzie dalej, że nie będzie stać na miejscu, jak dotąd w ciągu dwudziestoletniej inkursyi kozackiej. Płonne to wszakże były nadzieje! Ładu brakło w samej Rzeczypospolitej, jakże miała go udzielić niesfornym i rozhultajonym poddanym! Tradycye wiążące ich z metropolą wygasły wśród długiej walki, ciemnota dokonała reszty! Siłą tylko można było imponować zdziczałym instynktom kresowców; przed siłą tylko chylili oni karki, a kiedy brakło żelaznej ręki, wówczas strona słaba, choćby miała najsłuszniejsze do władania pretensye, odchodziła z niczem.

Nic więc dziwnego, że wycieńczona wewnętrznemi niepokojami Polska, nie mogła zaprowadzić porządku w ziemiach ukrainnych, na wskróś kozaczyzną przesiąkłych. Rachunek wszakże pozostawał niezałatwiony, ostateczne jego zamknięcie spychano na barki szczęśliwszej przyszłości.

Tymczasowość trwająca lata całe, nie prowadziła do zgody, nie przyspieszała uspokojenia, którego tak żądni byli nasi statystycy i politycy.

Rzeczpospolita na kresach ukrainnych, na mapach urzędowych tego czasu, sięgała po Dniepr, bo tak było traktatami zawarowano, w rzeczy zaś samej władała temi ziemiami tylko *de nomine*. Na czele gminu stał szczęśliwy watażka, z woli ludu i pułkowników podniesiony do wysokiej godności, urągający często królowi a prawowitemu panu. Bracławskie województwo całe się wyłamało z pod władzy korony, kijowskiego odeszła większa połowa, a i podolskiego, spory południowo-wschodni kawał odpadł do nowo zaimprowizowanej polskiej kozaczyzny.

Granice Polski były tu bardzo uszczuplone. Ledwie połowa ziemi kamienieckiej po Uszycę, miasto położone nad

Dniestrem, dalej Wołyń i Polesie kijowskie do Czarnobyla nad Dnieprem; wszystko zaś niżej tych kresów, choć niby polskie, w gruncie rzeczy polskiem nie było...

Panowała tu, powtarzamy raz jeszcze, brutalua siła, gmin, żadnych organizacyjnych zdolności nie posiadający. W połowie 1648 r. z rejestru podanego na radzie senatu, dowiadujemy się, że kozacy wówczas zdobyli, a co za tem idzie, zburzyli 65 większych miast na kresach. Stan tych miasteczek był opłakany; handlu nic, ludu mało, załogi tylko kozackie w oczęstokolonych zameczkach zamknięte, a trzymające się ostro a zawzięcie. Dawne miasteczka podźwignąć się nie były w stanie i trzy jeno osady wiejskie, dotąd ubogie, teraz zakwitły na chwilę; mianowicie Kalnik o milkę od Daszowa położony, Busza i Sciana w bracławskiem województwie.

Czehryn, acz stolica Kozaczyzny, nosił cechy dorywczej, na prędce skleconej warowienki. Sąsiedztwo rossyjskiej Ukrainy, aspiracye tamtejszych hetmanów do posiadania rezydencyi „horodowych“ kozaków, nie sprzyjały wcale rozwojowi osady, a i do Siczy był to punkt najbliższy, Zaporożcy zaś stanowili ton pośród waśniących się ustawicznie pobratymców; jedni oni niezależni zupełnie, umieli zręcznie z panujących tu nieporozumień korzystać.

Kraj więc cały stał pustką; kolonizacya tak pięknie poczęta, tak bujnie kwitnąca za Zygmunta III i jego syna Władysława, zwiędła zupełnie; cywilizacya polska rugowana przez kozackich patryotów wyplenić się jednak nie dała. Starszyzna przeważnie używała języka polskiego. Nad zwłokami Bohdana Chmielnickiego wygłaszał swe żale orator kozacki, Zorko, w nienawistnej „lackiej mowie“; ludzie piśmienni „narodu ruskiego i zakonu ruskiego“, układali po polsku epitafie, satyry, chwalby wierszowane; język urzędowy zawierał wiele zwrotów właściwych naszej mowie; urzęda nosiły nazwy przyjęte w Rzeczypospolitej, słowem, pomimo starań i chęci, dostrzegałeś na każdym kroku śladów pobratymczego związku, tak nagle, tak boleśnie zerwanego... *Samowidziec*, Grabianko, a wreszcie i Wieliczko, piszący

już na początku zeszłego stulecia, są niezbitym dowodem tego, cośmy tu powiedzieli...

Za to już obrządek łaciński na wspomnianym obszarze został wypleniony doszczętnie. Kościoły leżały w gruzach, missye jezuickie, klasztory Franciszkanów, Karmelitów, Augustyanów a przedewszystkiem Dominikanów, zniesione jednym zamachem. Najwięcej ucierpieli Ojcowie kaznodziejskiego zakonu. Trzydzieści klasztorów utraciła wówczas prowincya ruska; przeszło 40 mnichów w ciągu jednego roku 1649 opłaciło życiem przywiązanie swoje do kościoła! Nie darmo papież pozwolił ich następcom na kresach, opasywać biodra pasem czerwonym — była to pamiątka męczeńskiego zgonu poprzedników. Z wizyty ks. Zygmunta Czyżowskiego, biskupa kamienieckiego dowiadujemy się, że w jego dyecezyi podolskiej, liczącej *extra muros* przeszło 40 kościołów parafialnych, zostało tylko 7 i to większa ich połowa w powiecie Czerwonogrodzkim... Inne albo zupełnie zniknęły, albo uniesione z pogromu resztki składały w katedrze kamienieckiej, dlatego to były tu ołtarze Tyneński, Szarogrodzki, Kitajgrodzki, Barski i t. p.

Ogromne prywatne dobra rozpłynęły się doszczętnie. Do najbogatszych panów polskich w tej dobie na kresach ukrainnych należeli Wiśniowieccy, Koniecpolscy, Zamojscy i Kalinowscy... Pierwszych posiadłości przeważnie leżały za Dnieprem, choć i w Bracławszczyźnie było ich nie mało. Książę Jeremi, ojciec króla Michała Korybuta, władał całą dzisiejszą Połtawską gubernią, z rezydencyą w Łubnach, a należało doń 56 miast, 40.000 gospodarzy, 423 młynów, które przynosiły 1,500.000 zł. rocznego dochodu. Jeremi stracił wszystko, „pan ogromnej fortuny, zeszedł na nędzę, ale ta nędza syna jego wyniosła do korony. Było to szlachetne wywdzięczenie się narodu“.

Koniecpolscy postradali 70 miast i 50 wiosek, a z niemi dochód roczny 420.000 zł., (6000 kamieni saletry i 2.200 wołów). Zamojscy 33 miasta i 136 wiosek, z dochodem rocznym przeszło 300.000 zł. Marcin Kalinowski, hetman polny koronny po ojcu odziedziczył owe słynne puszcze humańskie,

w skład których weszło ziemi na „siedm mil dużych dokoła“, a że sam odznaczał się zabiegliwością, do ojcowizny więc drugie tyle, jeżeli nie więcej dołożył. Z testamentu jego, złożonego w grodzie bracławskim, datowanego 24 maja 1652 r., dowiadujemy się, że należały doń okrom uroczysk humańskich jedenaście kluczów, w których skład wchodziło po kilka i kilkanaście wiosek; tak n. p. Tulczyński liczył 23.000 poddanych, Trościaniecki 15.000 i t. d. Dochód z nich roczny obliczano na 800.000 zł., nadto w stepach ukrainnych chował wojowniczy hetmae stada koni rasowych; po 600 matek bywało tam zwykle.

Obok tych wielkich majątków, wieleż jeszcze mniejszych, choć także bardzo znacznych, zniknęło! Naprzykład dobra Sieniawskich, Stanisławskich, Lubomirskich, Czuryłów Kisielów, Zabokryckich, Polanowskich, Kazanowskich, Żółkiewskich, Jabłonowskich, Potockich — szczególnie Mikołaja! Posiadłości prywatne, rozrzucone między Bohem i Dnieprem, długo, po pół wieku przeszło nie dawały żadnej intraty; ledwie wnukowie odzyskali to, co dziadom pożoga i wojna wydarły, i przychodzili do własności opustoszonej, śladów osady nie znajdując często... Piękna roślinność okryła szatą zieloną wszystkie szczerby i ruiny...

W załomach rozsypujących się murów, burze i wiatry, wraz z ziemią zanosiły krzewin nasiona, bujało to sobie swobodnie lat tyle! Sędziwa tradycya, wracając z półwiekowej wędrówki po świecie, niosła odmalowaną w pamięci osadę, o białych chatach, o obronnym zameczku... a przybywszy na miejsce, zamiast tych wymarzonych pałaców, tych idylicznych strzech wieśniaczych, zastawała tylko polanę pogiętą w garby, i wdzięczne a wiodkie drzewa, witające kolonistów rzewnym pokłonem...

Mamy przed sobą opowieść jednego z starców-kmieci. Historya to ciekawa, choć bardzo w onych czasach powszednia. Dwudziestoletni wyrostek dostał się wraz z hetmanem Potockim w łyka tatarskie (1648); w lat kilka potem wykupiony przeniósł się w okolicę Lwowa, osiadł w jednem z małych miasteczek, trudnił się kuśnierstwem, ożenił się,

został ojcem, wreszcie dziatkiem, ale z kolei wszyscy bliscy wymarli. Przyszła starość samotna, smutna; aż oto dowiaduje się, że „bisurmanin odpuszcza królowi ziemię podolską“, a panowie „na słobodę“ zapraszają!

Podniósł się starzec, przeszło 70-letni, chciał kości złożyć na ziemi rodzinnej. Z kijem, z groszem, jak na kmiecia sporym w kalecie, podążył w stolicę Baru, a z Dąbrowicy był rodem. W drodze spotkał spółbraci, opowiadał im dużo o pięknej włości, już za jego czasów przeobrażonej na miasteczko, w którem i rynek przestrony i ulice szerokie, i kupców sporo, dwie cerkwie, osadników kmieci ze 400, a wszystko to w sadach, i woda jest, i młym, i łąki...

Wędrowcy nasłuchawszy się opowiadań dziada, wyruszyli z nim do tego kąta obiecanego, tem bardziej, że Dąbrowica królewszczyzną była, więc przywilejów sporo czekało na przybyszów. Po długiej podróży stanęli wreszcie na miejscu — i zastali sady w puszcze rozrosłe, ani jednej cegiełki, ani jednego kamyka z dawnych siedzib!..

Stary oczom własnym nie wierzył, plątał się po okolicy, szukając rodzinnego sioła, a przekonawszy się, że już od wielu lat nie egzystuje, znękany, smutny, udał się do Baru, osiadł na przedmieściu i umierając odkazał fundusz swój jednej z cerkwi miejscowych. Dąbrowica nie odrodziła się już z popiołów; na uroczysku jej rozsiadł się Barek, nędzna osada założona w połowie XVIII wieku, która do dziś nie przestała być lichą wioszczyną...

Tak to doszczętnie niszczyła inkursya kozacka kraj, do którego rościła pretensye, który objęła *de facto* w swoje posiadanie. Ale Rzeczpospolita nie bacząc na omdlenie, w jakiem zostawała, pod koniec nieszczęśliwych rządów Jana Kazimierza, nie wyrzekła się praw swoich do tych prowincyi; a jakby bojąc się, żeby nie uległy przedawnieniu, wysyłała od czasu do czasu zbrojne zastępy dla przywrócenia porządku. Nawet w r. 1665 dokonano lustracyi, w części kraju przed tem przez kozactwo zalanej, a teraz zamieszkałej przez lud nieposłuszny i rozpasany na wszelką swawolę. Ciekawe są sprawozdania onych lustratorów, po-

wtarzać je w całości byłoby zbytecznem, więc kilka urywków tu przytoczymy; tak n. p. o Latyczowskiem starostwie: „całe spustoszone i zdezolowane, a to dla tego, że na samym ślaku zostawa, którym gościńcem każdy nieprzyjaciel chodzi, dlaczego ani mieszczanów ani poddanych po wsiach zatrzymać można y nadzieiey nie masz, aby dla tak częstych i gęstych incursyi, miały się te dobra prędko naprawić“. O Proskurowie i włościach doń należących jeszcze dobitniejsza wzmianka: „Mieszczanów w mieście 12, żadnego podatku nie dają, gdyż nie dawno na słobodę ześli się. Wsi dzierżawy... w nich żadnego nie masz poddanego, a zatym stawy i młyny puste, bo się zostać dla incursiey y najazdów opryszkowskich w domach swoich nie mogą“. O Salnicy czytamy toż samo, miała 200 osadników — „ale od lat kilkunastu przez nieprzyjaciela opryszków y lewensów spustoszone, tak że żadnego nie masz poddanego“. Starostwa Ułanowskie i Chmielnickie temuż losowi uległy; o Wierzbowieckiem, tak się lustratorowie odzywają: „w miasteczku i wsiach do niego należących żadnego nie masz poddanego“. Kopajgrodzkie *alias* Nowygród także świeciło pustkami itd. itd. I to wszystko w województwie Podolskiem, a cóż mowić o Bracławskiem i Kijowskiem? chyba zanotować tu smutny manifest pisarza winnickiego z 1664 r., w którym ogłasza „iż przy objęciu urzędowania, nie zastał w kancelaryi pióra i kałamarza, żadnej księgi, ani aktów, które podczas rebellii kozackiej spalone zostały“.

Ale okrom odważnych lustratorów i wojska polskie wkraczały w ten kraj odmętu i swawoli chłopskiej — nawet co dziwna, sztandar Rzeczypospolitej, na jednej z dwóch ukrainnych warowienek powiewał dość często, a w drugiej stale się trzymała załoga nasza. Mówimy tu o Barze i Białocerkwi. Bar był etapem, wypoczynkiem chwilowym, dla idących w ogień bojowników; czasem regimenta nasze ustępować musiały pod naciskiem nieprzyjaciela; od 1648 do 1665 pustką stał zameczek, ale od tej doby do pogromu tureckiego, stale chorągwie polskie tu konsystują, a kapitan od armaty Aswerus, faworyt hetmana w. kor., opatruje wa-

rownię i trzyma ją na postrach zapędzającemu się tu kozactwu. Białocerkiew, najwięcej wysunięta strażnica polska na wschodniej granicy, nabiera szczególnie wziętości po stracie Kijowa; to też w epoce będącej przedmiotem niniejszego opowiadania, bardzo się troszczono o podniesienie zameczka; komisarze wysyłani na jego rewizyę, znajdowali sporo „mankamentów“, łatali biedę jak mogli, w chwilach niedługich zgody z Doroszeńkiem pozwalali jego kozakom kwaterować w mieście, oczęstokoloną zaś forteczkę nad stromym brzegiem Rosi rzuconą dla własnego jeno trzymali użytku. W 1665 r. komendantem Białocerkwi był Stachórski h. Ostoja, potomek dawnych Stachórów, człek odważny i pobożny; umie on trzymać w karbach posłuszeństwa żołnierzy demoralizowanych przoz kozactwo i mieszczan niesfornych. Dopiero wszakże z przybyciem jego następcy, pułkownika Lebla, około 1667 r. warunki się zmieniły: nowy komendant, leciwy człowiek, bywały, z hultajstwem umiejący sobie dać radę, świadomy jego wybiegów, wcale się nie oglądał — czy handel ucierpi, albo nie na wprowadzeniu surowych przepisów; to też mieszczanie uczuwszy żelazną rękę nowego dowódcy, cichaczem się wynieśli, została tylko forteca, placówka w całem tego wyrazu znaczeniu stracona... Gdyby bowiem od chwili przybycia Lebla do końca XVIII stulecia, znalazł się w murach jej latopisiec, dzień po dniu zapisujący bieżące wypadki, od początku do końca, przez całych lat 30 górą, nicby nie miał do notowania krom szczegółów o obleganiu zamku Białocerkiewskiego... Tak tu często spływało kozactwo, Tatarzy krymscy, Tatarzy litewscy, Turcy, swawolne kupy rozpasanego chłopstwa... zamek, a w tym zamku załoga polska — były im solą w oku! I jakże znowu radośnie witały, poczerniałe jego ściany, regimenta polskie, krocząc po spiekłym stepie, śród boju i znoju, na chwilowy odpoczynek w tę stronę...

Szczegóły podane malują dosadnie stan kresów ukrainnych i ich do Rzeczypospolitej stosunek. Dziejopisowie polscy zbywają tę chwilę półsłówkami, nie ich też jest zadaniem krok za krokiem śledzić to nieustanne wahanie się

szali szczęścia to na jednę, to na drugą stronę... Walka trwa ciągle, nienawiść obopólna wsiąka w krew, przechodzi już w drugie pokolenie, nosi w sobie wyraźne zarody rozdwojenia, bogatego w tak smutne następstwa.

Ludzie bezstronni, stojący u wyżyn, łudzą się nadzieją „pacyfikacyi“, ale drobiazg rwie się do szabli, szukając w niej nie zwycięztwa ale odwetu za wszystkie krzywdy. Przeciwnik zaś bawi się w dyplomacyą, ową chłopską, schlebiającą i uniżoną, ale jednocześnie nie wypuszcza „spisy“ z ręki, bo nie wierzy w przebaczenie... Tyle nabroił, tyle krwi rozlał, że sam we własnem nie może się rozgrzeszyć sumieniu. Ztąd nieufność ztąd żądania wygórowane, na które się Polska zgodzić nie mogła, choć się zgodzić bardzo pragnęła.

Usunięcie załogi polskiej z zameczków ukrainnych (Białocerkwi i Dymira), było jedynem marzeniem kozaków, słusznie im też na to odpowiadał Sobieski:

— „Któż to kiedy odpasawszy szablę od boku, jeszcze z niepewnym wita się przyjacielem?“

Do ludu należało sentencyami trafiać, hetman w. kor. wiedział to dobrze, wreszcie gromiąc chłopstwo, najwięcej dla niego miał pobłażliwości i wyrozumienia... Wysokie poczucie sprawiedliwości w stosunkach z buntowniczą czernią, było jedną z najpiękniejszych cech późniejszego króla polskiego.

Wracając do kresów, dodamy, że w ciągu tych lat kilku poprzedzających zabór turecki, wre tu albo walka nieustanna, albo zbrojna cisza — groźne, chwilowe zawieszenie broni... Nieliczna, ale pełna ducha rycerskiego, szlachta, po dawnemu walkę tę na własną prowadzi rękę; stany nie myślą o niej, albo myślą bardzo mało, spychając cały ciężar kłopotów na barki hetmanów...

II.

Piotr Doroszeńko po wyjeździe Tetery, który bym abdykacyą nazwał, obwołany został hetmanem Ukrainy podolskiej. Do tej godności podnieśli go właśni pułkownicy; Rzeczpospolita zgodziła się na nią z pewnemi zastrzeżeniami, elektom zaś nie przyznawała tytułów, mianując ich po prostu z małoruska „horodowymi kozakami“. Miało to miejsce w 1665 r.

Nowy dygnitarz występował na scenę jako człowiek znany i z osobistych przymiotów i posiadający nawet antenatów, chłopi ci bowiem, nasiąkli tradycyami polskiemi, bardzo dbali o drzewo genealogiczne. Dziad Doroszeńki, Michał, był starszym wojsk zaporoskich; ojciec Dorofij występował razem z Nosaczem i Puszkarczukiem, jako poseł od Bohdana Chmielnickiego do Łupuła, aby przynaglić hospodara do wydania pięknej Rozandy za nieokrzesanego Tymoszka. Naturalnie, że wysłańcy wkroczyli na Multany ze sporym oddziałem, w okolicy Jass rozprószyli wojska mołdawskie, ściągnęli 20.000 dukatów okupu i wrócili z pożądaną wiadomością, że Lupuł z „przyjemnością“ przyzwala na gody weselne...

Widzicie więc, że Piotr miał w przodkach godne do naśladowania wzory. W 1660 był on już pułkownikiem czehryńskim, w rok potem Rzeczpospolita nadała mu szlachectwo, a za rządów Tetery tytułował się już *assautą.*

Został hetmanem w pełni siły, bo nie miał jeszcze lat czterdziestu. Mężczyzna piękny, śniadej cery, ruchów zgrabnych, z waszecia się nosił, okrzętnie, a nawet z pewną pretensyą. Zgrabny kołpaczek nasunięty na prawe ucho, strojny w dwa czaple piórka, przypięte kosztownym brylantem, włosy w kędziorach, nieledwie na ramiona spadające, wąsik czarny i wymuskany, na barkach kosztowna opończa, obramowana sobolowem futrem, wierzchowiec czystej krwi tureckiej, okryty kosztowną oponą, z bogatym rzędem; mieszkanie także z pewnym przepychem urządzone — wszystko po szlachecku; służby dużo, karność między dworzanami wielka, ba nawet i w pułku przybocznym nie mała.

Młody watażka cały poświęcił się polityce, wszystkie lata pochłonęła mu ona. Nie uganiał za dziewczętami, surowy był w towarzystwie niewieściem, ale za to w obec panów mołojców orator, istny typ szlachcica występującego na sejmikach! Na każdem miejscu i o każdej dobie gotów perorować; a układał swoje przemówienia zręcznie, umiał trafić do przekonania, dyalektyką chłopską, prosto zmierzającą do celu.

Piśmienny i biegły w czytaniu, a naukę wyniósł jeszcze ze szkoły kijowskiej, chwytał za serce tych ludzi stepowych pewnego rodzaju dobrodusznością słowiańską; udawał wszakże tylko — w gruncie bowiem był on dzikim, jak jego podkomendni. Spalić sioło, wyciąć w pień mieszkańców — to drobnostka! Ulegał i nałogowi zwykłemu między kozactwem — upijał się często, a wówczas zapominał o polorze i grzeczności. Wiadomo jak wysoko cenił metropolitę dyzunickiego Nelubowicza Tukolskiego, a jednak kiedy pod koniec hetmaństwa waśnić się zaczęli, watażka zwyciężony na polu dyalektyki, zakończył spór wypoliczkowaniem władyki. Pułkownika bracławskiego Drozda, którego Wieliczko dzielnym żołnierzem nazywa, zamordować kazał za drobne wykroczenie. Nie przebaczał najzdolniejszym pomocnikom, kiedy zachodzili mu w drogę, kończył z nimi rachunki, nie odkładając do jutra.

Doroszeńko marzył zawsze o niezależności Ukrainy obubrzeżnej, pod berłem własnem. Marzenia te szczególnie wybujały, kiedy go obwołano hetmanem polskim... Wówczas skorzystał z nieobecności Brzuchowieckiego, który do Moskwy wyjechał na wesele, wkroczył za Dniepr, i walka skończyła się podstępnem zamordowaniem wracającego po mieczu i po godności kolegi... Ale i Doroszeńko nie wiele wskórał; kniaź Romanadanowski, wysłany przez Rossyę, porządek zaprowadził, a watażka choć wspierany przez Ordę cofnąć się musiał do swojej rezydencyi.

Stawał więc w wyraźnej opozycyi z Rossyą. Należało dla wysondowania opinii publicznej zwołać radę. Zaraz też zaprosił na nią po swoim powrocie. Dygnitarzy zjechało nie mało, *Seredeniata*, to jest kozacy Doroszeńkowi, dzielili się na kilka oddziałów. Każdy regiment nosił nazwę miejscowości, kędy była stolica jego dowódcy, zkąd wybierano mołojców do szeregów. Oto ówczesne tytuły pułków: czehryński, kaniowski, pawołocki, bracławski, torchowicki, czerkaski humański, korsuński, białocerkiewski, kalnicki i nakaźny podolski, choć Wieliczko wspomina jeszcze o niemirowskim, a i międzyborscy pułkownicy figurowali niekiedy na liście.

Wszystko to ludzie małych zdolności — jeden tylko Białograd Humański i Kowaleńko - Kalnicki więcej mieli sprytu, inni chyba w upodobaniu do mordów naśladowali Bohdanowych pomocników. Ostatni przynajmniej głowę składali za swoje przekonania. Bohun, Nebaba, Głowacki, wbici na „pal“ na Litwie; Półksiężyca poległ pod Pińskiem, Krzywonos pod Borem, Neczaj pod Krasnem itd.

Podkomendni więc pułkownicy w liczbie jedenastu stawili się na wezwanie. Doroszeńko pytał ich, co dalej robić? O przymierzu z Rossyą nie było mowy, samodzielnie egzystować bez obcej pomocy nie podobna; wprawdzie chana krymskiego mieli po swojej stronie, bo go za rabunek łatwo kupić; szło jednak jeszcze o Zaporożców, więc posłali do nich o pomoc błagając. Niżowcy oświadczyli gotowość z warunkiem, jeżeli atąman uzna nad sobą władzę cara Ale-

ksego Michajłowicza. Doroszeńko nie przystał na to, z dwojga złego wolał mieć z Rzecząpospolitą do czynienia.

Tymczasem dojrzewało przymierze Polski z Moskwą. Król na jego zasadzie wysłał na Ukrainę komisarza Machowskiego dla uspokojenia kozaków. Sebastyan h. Abdank Machowski dobrze znał obyczaj ludu ruskiego, a z kozakami nieraz już się spotykał, urodził się bowiem w Czerniechowskiem województwie, kędy jego ojciec dzierżawami chodził, był przyjacielem domu Kalinowskich, w inkursyi utracił wszystko, bo i skromne mienie i protekcyę dobrodziejów, którzy dawno w walce z hultajstwem głowę złożyli. Wchodził tedy p. Machowski na Ukrainę, jakby do siebie, na czele dziewięciu lekkich chorągwi (w kwietniu 1667 r.). Rozpoczęła się owa gra, tak do niedawna w zaściankach szlacheckich rozpowszechniona, a zwana „ślepą babką“.

Obaj przeciwnicy wiedzieli o tem dobrze, że są przeciwnikami, ale obaj unikali spotkania. Komisarz trzymał się Baru, jak dziecko nieśmiałe fartuszka matczynego. Doroszeńko z pod Czehryna wyruszyć nie chciał, na gwałt wzywając Ordę; być wazalem polskim — mówił — zgoda, ale bez żadnych względem metropolii obowiązków... Nareszcie z Krymu pomoc pożądana przybywa; Tatarzy w asekuracyi kilku pułkowników kozackich idą na poszukiwanie Machowskiego, i rozpoczyna się prawdziwa gonitwa. Z Kalnika do Pieczary, z Pieczary do Bracławia, i tu dopiero następuje ostateczne starcie. Chorągwie polskie otoczone chmurą pohańców uległy. Machowski w łyka poszedł i musiał potem resztki fortuny poświęcić na wyzwolenie się z ciężkiej niewoli.

Tu już polityka Doroszeńki występuje w całej pełni. Sam się nie bił, Orda się biła; sam więc milczy, a tylko Adel Gerej, chan krymski, szle listy do Jana Kazimierza, płacząc na krzywdy wyrządzone kozakom:

— Mój braciszku — pisał Tatarzyn do króla — dla mocnej przyjaźni posyłam konia z kulbaką i uzdeczką. Proszę wdzięcznie przyjąć, a posłańca nie bawiąc, jak najprędzej wysyłajcie.

Czekać jednak długo na odpowiedź musiał.

Przyniósł mu ją hetman w. kor. Podążył on na kresy, bo sprawa przyjmowała groźne rozmiary i ledwie Sobieski mógł ją zażegnać swoją powagą. Szedł śmiało z garstką rycerstwa, choć czekało nań 100.000 Tatarów i 30.000 kozaków, a pan Krakowski miał z sobą zaledwie 9000 ludzi; szedł jednak, powtarzamy, bez trwogi. Czy nosił w sobie przeczucie wyższych przeznaczeń, czy wreszcie obowiązek rycerski, owe opiekuństwo zagrożonych kresów, dawało mu tę potęgę i przeświadczenie zwycięztwa?.. Dość że w listach hetmana z tego czasu ani cienia trwogi. Z małą gromadą bojowników rzuca się na rozhukane morze, kędy nań zewsząd czyhała zdrada.

Spotkanie nastąpiło pod Podhajcami. Rezultatem jego był rodzaj przymierza. Z chanem potwierdzono dawne umowy, z Doroszeńkiem nowe *pacta* zawarto; watażka dostawał tytuł „hetmana Jego Kr. Mości wojska Zaporoskiego“, to jest przestawał być „nakaźnym“; miasta w posiadaniu kozaków będące zatrzymywał, ale razem przyrzekał opiekę ziemianom polskim, którzy powrócą do zrujnowanych włości. Umowa podpisana 19 października 1667 r., obie strony rozeszły się w zgodzie, na to żeby wzajemnie sobie nie dotrzymać słowa. We dwa lata jednak później Detynicki wiózł Doroszeńce z Polski buławę, chorągiew i bębny — jako insygnia władzy najwyższej.

Andruszowskie przymierze popsuło szyki hetmanowi kozackiemu. Stracił zupełną nadzieję połączenia obu połowic Ukrainy, a jakby na dobitek nowi uzurpatorowie występować zaczęli przeciw władzy jego. Oparę zmiótł jeszcze dawniej, teraz podniósł się Piotr Suchowej, były pisarz zaporozki, człowiek energiczny i władzy żądny. „Ten Suchowej — mówi Wieliczko — był to kozak znaczny w tamtobocznej, kędy Czehryn, Ukrainie; w sprawach silny, w świeckich mowach ciekawy i w piśmie kozacko-ruskiem biegły“.

Postać ta wszakże, tak dosadnie przez kronikarza odmalowana, przesuwa się w dziejach niejasno i niewyraźnie.

Bartoszewicz losy jego łączy z losami Haneńki, pułkownika humańskiego, w którego ręce Suchowej składa władzę hetmańską, ledwie przez nieliczne kółko zwolenników uznawaną... Zkąd doszedł do tego wniosku znakomity historyograf? powiedzieć nie potrafimy, dość że istotnie od tej chwili Haneńko występuje na polityczną widownię...

Czehryn atoli nie przestaje być ogniskiem życia kozaków polskich, tutaj też załatwiają się wszelkie sprawy w tym okresie. Ludno i gwarno w stolicy ukrainnej; oprócz sędziów, pisarzy, assaułów, oboźnych, sotkików stanowiących otoczenie Doroszeńki, przemieszkuje tu metropolita dyzunicki, Tukalski - Nelubowicz, episkop lwowski Szumlański a i Michał Haneńko, domniemany uzurpator władzy nowego hetmana, gości bezkarnie w Czehrynie.

Michał Haneńko, bo się jemu słów kilka należy, pochodził z gminu, niektórzy utrzymują że ojciec jego kuśnierz, z jakąś starościanką łukawską, wyzwoloną przez niego z jassyru, zawarł dożywotni związek, że więc syn z tego małżeństwa spłodzony, był pół-Polakiem. Społeczność nasza rada sympatye tłómaczyć pewnemi przyczynami. Haneńko istotnie w początkach czepiał się Polski. Pierwszy raz występuje w czasie umowy Hadziackiej, podpisuje się na niej krzyżem świętym, bo nie władał piórem, za tem idzie szlachectwo (1661), a po szlachectwie nadania rozmaite na Ukrainie i Rusi.

Nie był to już człowiek pierwszej młodości, rodził się bowiem około 1606 r., wyszedł ze szkoły Bohdana, a co dziwna, że nie lubował się w wódce, jak jego współkoledzy; żonę wziął z gminu, ale syna chował jak szlachcica, bogaty był, więc mógł sobie pozwalać. Z tym jego synem Pawłem spotkamy się jeszcze później, teraz nam idzie o ojca. Ojciec drobnemi przysługami skarbił sobie względy Rzeczypospolitej; i tak w 1663 r. buduje most na Dnieprze pod Rzyszczowem, po którym król z wojskiem przechodzi, w rok potem w obozie Czarneckiego znajduje się w liczbie doradców. Potem znika, aż go Suchowej na widownię wyprowadza.

Doroszeńko, dyplomata, starszego od siebie kolegę kaptował łaskawością, do rady zapraszał, potwierdził dawniej nadane pułkownikostwo humańskie. Musiał się rachować z Haneńkiem, ten bowiem miał za sobą Polskę i Suchoweja a więc Zaporozców, a i pokorny Gedeon mnich, w świcie Jurko Chmielnicki, po powrocie z Malborka przytulił się w Humaniu. Zdaje się że władyka lwowski działał za jedno z Haneńkiem.

Narady w Czehrynie trwały ciągle, treść ich chowano w głębokiej tajemnicy, choć wiedziano, że tu szło o wybór protektora najpobłażliwszego, wiedziano także, że starszyzna waśni się między sobą nieustannie. W końcu rozbiegli się prawie wszyscy. Pułkownik humański utonął w stepach, ku Białogrodowi podążył; Szumlański zaczął się na Podniestrzu uwijać, burzył kozaków przeciw Doroszeńce, kupował zwolenników dla Rzeczypospolitej. *Nakaźny* pułkownik podolski Zieleński, a za nim i bracławski, obaj usłuchali władyki: Watażka zaś kozacki zaczyna się z kolei umizgać do Turcyi, prosi Porty o opiekę, chce zostać wazalem na równi z hospodarami, płacić będzie haracz z krwi braci ukrainnej i złota nkrainnego złożony.

W Polsce tymczasem Michał Korybut osiadł na tronie. Doroszeńko znowu schował do kieszeni sympatye swoje dla Padyszacha i wysłał do nowego króla listy z powinszowaniem i prośbą o sprawiedliwość dla kozaków. Skutkiem tego naznaczona komisya Ostrogska, która jednak wszystko rozstrzygnęła na korzyść Haneńki — i ten uznany został hetmamen Ukrainy polskiej.

Walka zawrzała na nowo.

Należało pomódz świeżo kreowanemu dygnitarzowi, umocnić jego władzę, zaprowadzić ład i porządek, ziemianom ułatwić przystęp do utraconych posiadłości. Po raz więc wtóry kilkadziesiąt chorągwi wyruszyło na Ukrainę. Wyprawą znowu dowodził Jan Sobieski, a uczestniczył w niej także i kasztelan czerniechowski, Gabryel Silnicki. W czerwcu 1671 r. wojska zaczęły się ściągać pod Kamieniec, potem ku Barowi. Rycerstwo polskie szło śmiało a wytrwale

naprzód; szlachta nie utraciła jeszcze wówczas ducha bohaterskiego, rwała się w ogień nie patrząc po za siebie. A trzeba przyznać hetmanowi, że umiał ludzi zdolnych wybierać; nieledwie każdy stojący na czele chorągwi, to wódz partyzancki — sam sobie zostawiony, odcięty, nie tracił głowy, przerzynał się śmiało przez nieprzyjacielskie spisy.

Drobna owa na pozór walka na kresach, zalanych przez krnąbrny gmin i drapieżną Ordę, nadaje się do bohaterskiego rapsodu. Wiele tu z jednej strony zużytkowano przebiegłości i podstępu, a z drugiej wytrawnej odwagi, stałości i heroizmu, dziś nawet obliczyć niepodobna! Szlachta ginęła bez szemrania, ginęła z zasady; nie szło jej o nowe zdobycze, nie szło o sławę nawet — tylko o spełnienie obowiązku. Dziwne zjawisko, tylko przy należytem zbadaniu charakteru narodowego zrozumiałe! U siebie, w domu, swawolna aż do obłędu, uparta aż do nierozsądku, tutaj wytrwała, karna, działająca za jedno...

Smutnem doświadczeniem nauczona, wierzyła w egzystencyę rozruchów chłopskich, choć jednocześnie prawie drwiła sobie z „Turczyna“ wypowiadającego jej wojnę; wątpiła w możność tej wojny wówczas nawet, kiedy nieprzyjaciel już stał pod Kamieńcem...

Więc o tych bohaterach słów kilka, choćby dla przypomnienia prawnukom o zasługach praojców.

Pomocnicy hetmańscy, w drugiej wyprawie na Ukrainę — to skromni porucznicy, a co najwięcej, rotmistrze. Eliasz Łącki, herbu Lis, więcej jako organizator zasłynął; pełnił funkcye jenerał-kwatermistrza obozowego. Nosił tytuł obersztlejtnanta gwardyi królewskiej. Późniejszy to, a znany ze swojej przezorności komendant lwowski.

Mikołaj Raczkowski, herbu Poraj, rotmistrz pancerny komisarz przy Doroszeńce, twardo umiał stać przy swojem, jak to mówią „okoniem“. Watażka nieustannie go oskarżał przed hetmanem i w rzędzie krzywd dodawał i tę, „że na Ukrainę z łysym niestatkiem p. Raczkowskiego, z instrukcyą przy pieczęci koronnej, na zamięszanie tejże Ukrainy“

posłano. Za to też rotmistrz dostał jako chleb dobrze zasłużony wieś Piaskary w dożywotnią a bezpłatną dzierżawę.

Pruszkowski herbu Roch, z ziemi ciechanowskiej, z dawnego rodu, jeszcze w XIV w. znanego; podupadły, na Ukrainie dorabiał się znaczenia. Ale inne to już były czasy! Rotmistrz w walce nieustannej terał siły, a zdobywał tylko rany; jednak z laty przywykł do takiego życia bez jutra. Czuwać na placówce podminowanej stało się dlań nałogiem; został człowiekiem salamandrą, w ogniu tylko przebywającym... Bez domu, bez przytułku, w namiocie wśród stepów koczował... znój czerwcowy, grudniowe zawieje niczem były dla niego, byle tylko najbliżej nieprzyjaciela. Wielkim był łowcem na Tatarstwo... podjechać i nakryć czambuł to już jego rzecz! Lat kilka nie ruszył się ztąd, aż Turcy wpychając kresowe kopce w głąb kraju, zmusili go do przenosin...

Jak Pruszkowski na Tatarów, tak znowu p. Stanisław Wyżycki herbu Gerald „łasy“ był na Kozaków. Pochodził z Krakowskiego, ale dziad jego już osiadł w Kijowszczyźnie; chorąstwo kijowskie zostawało dziedzicznem w ich domu, z ojca przechodziło na syna. Rotmistrz hussarski, nie młody już, ale sprawował się rześko, znał na palcach wszystkie wybiegi i figle *seredeniat* Doroszeńkowych, traktował ich z waszecia, z pewną dumą, jak chłopów. Dziwić się wszakże temu nie należy; wyszedł ze szkoły obozowej Mikołaja Potockiego, a ten nawet w niewoli nie uznawał „chamów“ za stronę wojującą... Taki już duch czasu był w Polsce Kazimierzowej — ludzkie przekonania nie przystawały do głów szlacheckich. Pruszkowski, po zaborze Podola przez Ottomanów, przeniósł się do Lwowa; syn jego został biskupem chełmskim, wnuk arcybiskupem lwowskim. Dom Wyżyckich, koligacił się z Zacwilichowskimi, Cetnerami, Czetwertyńskimi, Pepłowskimi, aż sam wygasł zupełnie.

Aleksander Polanowski, dowodził zwykle w odwodzie wszystką ussaryą. Spokojny był, przezorny, milczący a żołnierz go się bał ale i szanował. Używał herbu Pobóg; byli i inni Polanowscy Starykończykowie. Różnica między dwoma

domami uderzająca. Ostatni słynęli z pobożnych niewiast, które za kratą klasztorną wiodły żywot świątobliwy, Bogu się ofiarując na usługi, kiedy Pobogowie to sami ludzie rycerscy. Spływają oni do nas z Kujaw, z Polanowic, uniesieni prądem kolonizacyjnym: na początku XVII wieku już są w ziemi halickiej, uganiają za Tatarzynem, w łyka się dostając nie rzadko. Samuel Polanowski, rotmistrz, dwa razy był w niewoli, Zbigniew, brat jego wykupił się z niej sporą sumą. Aleksander korzystał z doświadczenia przodków, gorącą krew moderował przezornością; nikt tak zręcznie jak on nie składał szyku bojowego.

Łukasz Prusinowski, skromny porucznik chorągwi pancernej a partyzant znakomity. Rozczytując się w dyaryuszach ówczesnych, zawierających opowieść tych zbrojnych po Ukrainie wędrówek, dziwić się przychodzi rzutności porucznika — mil 20 ubiedz dnia jednego, było dlań niczem. Z trwogą nieraz czytelnik śledzi obroty partyzanta, przeczuwa niebezpieczeństwo, widzi jako nieprzyjaciel przeważny osacza go... zginęła chorągiew z kretesem! Aż tu naraz pan Łukasz wydostał się z matni, jakim sposobem? — to już jego tajemnica; idzie dalej po stepie z pieśnią na ustach, a hetmanowi szle suchy raport: „Byłem tam a tam, zginął ten a ten“... Sobieski bardzo Prusinowskiego lubił, pamiętał o nim zawsze, porucznik umarł jako kasztelan lubaczowski, a podobno się nawet z Potocką ożenił...

Ale nie skończyłbym, gdyby wszystkich tych kresowych żołnierzy wyliczyć przyszło. Toż jeszcze byli tu Skrzetuski herbu Jastrzębiec, z Poznańskiego, jedyny do podjazdów, Sulimierski, herbu Lubicz z Bracławskiego, pół Rusina, pół Polaka, pół kozaka, pół szlachcica; gorący, rozkochany w tej Rzeczypospolitej, gotowy piersią rozsadzić pierścień uszczuplający jej granice; był Imć pan kawaler Maltański, Hieronim August Lubomirski, był Ruszczyc, który sam po pięciu Tatarów żywcem brał do niewoli, byli tu i walczyli Miączyński, Zborowski, Nowowiejski, Wronowski i wielu, wielu innych.

Szlachta dzisiejsza w pogoni za antenatami, pragnie widzieć w poczcie protoplastów byle jednego biskupa, choćby nominata; byle kasztelana, choćby drążkowego — a nie rozumie, że to ciągłe na kresach przodków jej bojowanie, daleko obfitsze jest w zasługi niż krzesło w senacie! Skromny rotmistrz, jeżeli po długich latach walki nie został senatorem, to dla tego tylko, że się zespolił z tem życiem polowem, albo mu śmierć zabiegła prędzej drogę jak wakans w senacie..

Rozumieli to dobrze ludzie dawni, to też na kopce ukrainne ze wszystkich ziem polskich biegli, aby się dorobić znaczenia... i lud łatwiej zdobywał sobie uznanie; żadna prowincya Rzeczypospolitej nie nastręczyła tylu kandydatów do stanu szlacheckiego, ilu ich dawały ziemie ukrainne. W głębi Polski rozmaitemi drogami zdobywano sobie stanowisko uprzywilejowane, tu zaś tylko jedna zostawała — rycerska... Chrzest z miecza przedewszystkiem!

Ale wracamy do Sobieskiego. Miał on przeciw sobie dwóch Doroszeńków, bo i brat watażki, Hrehory, zjednał już sobie wówczas sławę wojownika, miał Ordę, garstkę Turków i obu hospodarów — multańskiego czekającego nad Dniestrem w okolicy Raszkowa i wołoskiego pod Mohylewem.

Hetman zjechał na lato do Żółkwi, zamyślał pić wody egierskie, niedomagał bowiem, ale dano mu znać, że nieprzyjaciel następuje. Rzucił więc wszystko, i 18 lipca był już na Podolu. Wojsko leniwo się zbierało, ale się zebrało nareszcie. Pochód był spieszny; 19 sierpnia znajdował się jeszcze „Jegomość“ — jak go dyaryusz nazywa — pod Kamieńcem, 20 ruszył „komunikiem“, a 25 już się pokładł obozem pod Pieczarą; a przecie odległość między temi miejscowościami przeszło 40 mil polskich wynosi!

To jednak dopiero początek, późniejsze obroty jeszcze gwałtowniejsze: 26 sierpnia wojska polskie znajdowały się pod Bracławiem. W mieście zamknął się Hrehory Doroszeńko, na przedmieściach Tatarzy. Hetman wyparł ich, pohańce dalejże uciekać, Sobieski za nimi w pogoń. Sie-

dział im całych dwa dni na karku, zrobił 20 mil ukrainnych, więc 40 polskich.

— „Dziwują się wszyscy Jegomości, że mógł tyle fatygi znosić“ — piszą z obozu.

A na innem miejscu:

— „Wie to każdy, jak to trudna sprawa, Tatarów gonić. Padały konie, jak Tatarom, tak i naszym, zaraz zdychając. My prawie lecieliśmy, a oni naprzód, kobylinę i inne mięsa rzucając, potem burki, wojłoki, kulbaki i inne prowianty, łubie, suknie, bachmaty. Siekli ich jednak i chwytali nasi“.

Sobieski rozumiał dobrze, że pospiech w działaniu znaczy wiele. I istotnie — niedobitki roznieśli popłoch po okolicy. Zaraz się miasta zaczęły poddawać. Z Ładyżyna wyszli uroczyście popi, w szaty cerkiewne przybrani, na czele mnogiego ludu, na spotkanie polskich chorągwi. Chleb i sól wedle słowiańskiego obyczaju ofiarowano hetmanowi, błagając o miłosierdzie. Szarogród, Rajgród, Krasne — otwarły bramy, witając okrzykami uwielbienia zwycięzców; Winnica tylko nie chciała zdać się na łaskę, więc „wycięta przez kawalera“. Jampol i Sciana także upadły.

A wszystko to w miesiąc niespełna.

Sobieski chciał zgody. Jeszcze przed zdobyciem Winnicy pisał do Doroszeńka, zapraszając go na komisyę do tego miasta, ale dumny watażka krnąbrnie mu odpowiedział wyrzutami za niedotrzymanie *pactów* podhajeckich.

Po zwycięztwach nastąpił chwilowy pod Barem wypoczynek. Dnia 23 września hetman polny koronny i wojewoda bełzki, Dymitr i Konstanty Wiśniowieccy, w sześć chorągwi przybyli do obozu. „Było *consilium;* pono czynią imprezę na Mohylów“. I istotnie w końcu miesiąca Mohilew był już w ręku naszem. Na początku października znowu hetman jest pod Bracławiem, i tu mu przybyli do pomocy Haneńko i Sierko, na czele 3000 ludzi, wracając z wyprawy nad Dunaj. O przybyszach tak się odzywa Sobieski w liście do podkanclerzego: „Co do Haneńka, człowiek bardzo dobry i życzliwy J. Kr. Mci, ale mający siła nad sobą inspekto-

rów, którym się akkomodując, jest prawie sam nie swój; dlatego musi być bardzo ostrożny, bo zdrowia swojego nie jest bezpieczen, ile że wojska przy nim nie wiele, i to głodnego, nieodzianego. Sierko człowiek bardzo cichy, skromny, rycerski i zda się bardzo życzliwy, kredyt w wojsku niżowem wielki mający". Niżej zaś o innych niżowcach dodaje: „Osadzenie fortec bardzo się im nie podoba... Owo zgoła wszystko to kozacy jedni i wiara jedna, a kruk krukowi oka nie wykłuje". Sobieski jednak rycerską otwartością skaptował Sierka dla siebie, pozostał mu on wiernym do zgonu. Nie bacząc na szemranie podkomendnych Sierkowych, zdobył Bracław, Raszków, Horodnicę, Zorniszcze, Daszów i Ilińce.

W całej Bracławszczyźnie jeden Kalnik trzymał się ostro. Pułkownik Urbanowicz zamknięty w nim na czele *seredeniat* odpierał szturmy szczęśliwie. Siedmnaście działek (12 polskich i 5 kozackich) nadto 2 moździerze nic zrobić nie mogły; szturm przypuszczano pokilkakroć w ciągu dni pięciu (od 17 do 21 października); pożar nieraz wzmagał się w miasteczku, ale go mieszkańce tłumili, wreszcie i Orda nadciągnęła na odsiecz.

Zimny i dżdżysty listopad był za plecami. Cofnęły się więc wojska polskie pod Ilińce; tutaj 30 października Sobieski doręczył publicznie Haneńce buławę i buńczuk. Jak na nieszczęście „w ten właśnie elekcyi moment" Doroszeńko przysłał gońca z uwiadomieniem, że się poddaje Rzeczypospolitej najzupełniej, „tylko zdrowia potrzebuje" (t. j. prosi, żeby mu życie darowano). Za późno. Watażka z żałością wymawiał to Sobieskiemu, żaląc się, „że biegunom, bezdomkom, przywileje, chorągwie, buńczuk, buławę... uchwalono i ustanowiono". Wyraźnie pił do Haneńki. Z naszej strony dodamy, że pojednanie to nie było szczere, z Turcyą bowiem już dawno prowadził układy, a rzekomem poddaniem się Polsce chciał tylko wymódz więcej u tamtej.

W pierwszych dniach listopada hetman powrócił do Żółkwi pod osłoną dwóch chorągwi. Wyprawa na ten raz była skończona. Wszystko się rozpłynęło z obozu. Haneńko

podążył do Humania, gdzie został przez kozaków potwierdzony jako hetman polskiej Ukrainy. Lebel i Piwo uczestniczący także w wyprawie wrócili na czele swoich oddziałów — jeden do Białejcerkwi, drugi do Dymira.

W kraju uspokojonym został wojewoda bełzki, na czele 32 chorągwi, rozkwaterowanych w 32 wioskach i miasteczkach.

Doroszeńko wystąpił w Czehrynie już jako hetman kozaków tureckich; czausowie ze Stambułu przynosili mu wieści i rozkazy Padyszacha, a w otoczeniu watażki głośno mówiono o wojnie między Turcyą a Polską, budując na niej wielkie korzyści i nadzieje...

Groźny dla Rzeczypospolitej r. 1672, rozpoczynał się ciszą złowrogą i zimą uporną a długą, o jakiej starzy ludzie nie pamiętali...

III.

Kiedy tak hetman walczy między Dniestrem a Bohem, w tym czasie, na wschodnich ukrainnych kresach, sztandar polski powiewa na Białocerkiewskim zameczku, prawo zaś polskie funkcyonuje tylko na Polesiu kijowskiem, z juryzdykcyą w Dymirze, ubogiej stolicy niegrodowego starostwa.

Dymir, dziś nędzna mieścina, wówczas jeszcze skromniej wyglądała. Rzucona na piasczystej płaszczyźnie, nad małą bez nazwy rzeczułką, smutna, opuszczona, otoczona gęstym sosnowym borem, wychylała się z puszczy nieśmiało, wabiąc niezamąconym pokojem, który o miedzę niżej, stanowił wyjątkowe zjawisko. Dymir stał na rubieży leśnej — po za nim ciemne puszcze, nieprzebyte topieliska, przed nim równina zbiegająca ku południowi, piasek tu nieznacznie przechodził w żyzną pszenną glebę — i poczynał się step, a na stepie hulało i panowało kozactwo.

Wiemy, że Chmielnicki zapędzał się daleko w swoich zwycięzkich wycieczkach. Nie przechwalał się on, choć był pijany tryumfem i wódką, rzucając komisarzom Rzeczypospolitej następujące słowa, tak upokarzające i bolesne:

— „Wywrócę was *wsiech* Lachów w górę nogami... i podepczę tak, że będziecie pod nogami. Prawda to jest, żem ja lichy, mały człowiek, ale mi to Bóg dał, żem jest jednowładcą, samodzierżcą ruskim!“...

I był nim istotnie w onej epoce. Kohorty jego zalały Ruś zadnieprową, wszystkie południowe województwa po Zamość i Lublin, Białoruś aż do granic Litwy. Olbrzymi odszar kraju świecił jedną wielką łuną pożaru, krew polska płynęła strumieniem, szlachta ginęła nie w boju, ale pod nożem i toporem zbójeckim; żony ich, siostry i córki, szły na pohańbienie, sromotą okupowały życie... Straszny to czas!

Wybuch ów płomienisty, jeżeli nie obalił Polski, to tak silnie wstrząsł jej budową, że się sklepienia zarysowały nad głowami przodków... Stopniowo jednak zaczął się on zmniejszać. Wzburzona rzeka wracała do łożyska, ferment rewolucyi chłopskiej ograniczył się na kolebce, w której go nieoględność nasza wykołysała: Zadnieprze utraciła Polska na zawsze, na Przednieprzu panowała swawola. Sąsiadujące z Ukrainą Polesie z zazdrością patrzyło na stepowców, burzyło się, wypowiadało panom posłuszeństwo, imało się nawet noża, chcąc nim rozciąć pęta zależności.

Zadaniem więc było polskich polityków, jeżeli się już przytłumić kozacze aspiracye nie dawały, ograniczyć je przynajmniej do *minimum* szkodliwości i przestrzeni. Rozumiał to dobrze hetman wielki koronny, to też zaraz po zawarciu paktów podhajeckich, kiedy Doroszeńkowi kozacy ustąpili z Czarnobyla, na Polesiu położonego, pchnął tam oddział wojska, a dowódcy Janowi Wasilkowskiemu, dał najściślejsze instrukcye: wstrzymywać burzenie się tamecznego ludu, tamować zapędy kozaków, odpierać inkursye zbójeckie. Pan Jan Wasilkowski Korczak, choć obeznany z miejscowemi warunkami, bo rodził się w Kijowszczyźnie, nie umiał sobie poradzić. Biegał ciągle wzdłuż granicy, w puszczę się nie zapędzał, do lasów miał wstręt jak Tatarzyn, więc tylko komunikacyom Poleszuków z kozakami przeszkadzał — nic nadto. Poleszucy burzyli mu się po za plecami, kozacy śmieli się w żywe oczy, ciężka dragonia w pogoni nie dorównywała stepowym junakom — sprawa upadała na kresach wschodnich, Białocerkiew bez bliskiej pomocy ostać się nie mogła. Postrzegł to Sobieski i zaraz

w połowie 1668 r. wysłał na miejsce Wasilkowskiego nowego oficera.

Tym wysłańcem był Jan z Opolska Piwo, pułkownik Jego Kr. Mości, osobiście znany hetmanowi. Służył on pod nim od lat dziesięciu, a odznaczały go wielkie przymioty, odwaga, przezorność, rzutność i surowość. Niesiecki utrzymuje, że ród Piwów rozrosły bujnie, kwitł w Płockiem, Bełzkiem i w ziemi Dobrzyńskiej, zawsze w miernym staniku, i wychyla się z zmoku dopiero w połowie XVI stulecia, a przynajmniej w tej epoce do rubryki heraldycznej został wciągnięty. Piwowie używali herbu Prawdzic, a choć pod tym znakiem przeszło 109 rodów się tuliło, ledwie z nich kilka odznaczyło się i to na rozmaitych stanowiskach. Sarbiewski jako poeta łaciński zasłynął szeroko po świecie, Arciszewski sztukę puszkarską podniósł w Polsce, a Samuel Łaszcz zjednał sobie smutną sławę wichrzyciela na kresach, w owem społeczeństwie na pół zdziczałem, które było i bardzo pobłażliwem i bardzo wyrozumiałem... Sprawdziło się więc tu owe przysłowie, orzekające, że z jednego drzewa krzyż i motyka...

Ale cofnijmy się wstecz. Wybór Sobieskiego wypadł szczęśliwie, trudno albowiem było znaleść stosowniejszego człowieka dla tak niewdzięcznego posłannictwa, człowieka, któryby gotów siebie całego poświęcić, a w ciągłych stosunkach ze zbuntowanymi kozakami nie zamarzył o samowoli, a nawet o udzielności... Przybyły dowódca obeznany był ze sposobami wojowania; jako wyrostek uwijał się na wschodniej granicy jeszcze z hetmanem Kalinowskim, teraz w pełni wieku, bo dopiero trzydzieści kilka lat liczył, a już zdobył sobie pułkownikostwo i zaufanie naczelnego w Rzeczypospolitej wodza. Podniósł się on z Żółkwi, w połowie czerwca 1668 r. na czele 500 ludzi; po mozolnych kilkunastu dniach pochodu, wędrując granicą Wołynia, spłynął do puszcz polskich, opatrzył okolicę i rozlokował się w Dymirze.

Miejsce to uznał za najdogodniejsze. Nad rzeczułką, na niewielkim wzgórku, stał zrujnowany dwór starościński,

długi drewniany budynek. Dwór ten przeobrażono na zameczek, usypano wały, dano ogrodzenie z palów, fosy głębokie za pośrednictwem prostego przyrządu napełniono wodą z rzeki, i most zwodzony stanął i cztery działka żelazne darowane przez komendanta białocerkiewskiego. Kozacy patrzyli niechętnie na wznoszenie warowni. Doroszeńko sarkał, słał listy skarżące do króla, do hetmana, a kiedy jeszcze p. Piwo zaczął się rozporządzać energicznie: za oko — oko, za ząb — ząb, to jest drogą odwetu, krzywdy sobie wyrządzone spłacać i to z nawiązką, wówczas alarm wielki powstał w Czehrynie...

Posyłano ochotnika, żeby kryjomo sprzątnął odważnego kresowca! Pułkownik tymczasem swoje robił, cicho siedział jak baron w zameczku, rozpatrując się pilnie w miejscowych stosunkach. Przekonał się, że dragonia nie nadaje się do partyzanckiej wojny, więc zamienił ją chorągwiami lekkiemi, a regiment pieszy umieścił załogą w Dymirze. Wyćwiczył swoich żołnierzy w podwójnej służbie: pieszych „skonić“, konnych zaś „spieszyć“, stało się u niego kwestyą chwili; a bez taboru puścić się w step, uganiać po nim dni kilka, zdobywając prowiant na nieprzyjacielu, igraszką wcale przyjemną. Zawarł nawet rodzaj zaczepno-odpornego przymierza ze swoim białocerkiewskim kolegą; jakoś się tak jednak złożyło, że pomocy nigdy nie potrzebował, sam zaś stawił się na jego wezwanie kilkanaście razy w ciągu pięcioletniego pobytu.

Szczególnie wszakże doskwierał kozakom w 1670 roku. Wówczas to wyciął w pień nieposłuszną Olszanę, osadę liczącą 5.000 mieszkańców. To też posłowie Doroszeńkowi, Petranowski i Taraszeńko, wydelegowani do Warszawy, w instrukcyi sobie danej obowiązani byli upomnieć się o krzywdy wyrządzone przez dymirskiego dowódcę. Komisya przy boku królewskim, wysadzona pod prezydencyą podkanclerzego, tak na zażalenia kozaków odpowiedziała:

— „Co się tknie postępku urodzonego Piwy, pułkownika naszego, ten zawołany od komendanta Lebla, na sukurs przyszedł, kiedy Łysohub z wojskiem pod Biało-

cerkiew postąpiwszy, przez dwie niedziele wychylić się z zamku, ani zboża własnego żołnierskiego zbierać nie dopuszczał; który pomieniony Piwo, jeżeli przeciwko powinności swojej wykroczył, gdyż na obronę Polesia i tamecznych krajów jest ordynowany, rozkażemy aby pod sąd hetmański podpadł".

Pod sąd nie podpadł, ale Sobieski, naglony przez Doroszeńkę, zgodził się na to, by pułkownika „zwieść z *praesidium*"; wezwał go nawet w tym celu do siebie. Młody wojownik podniósłszy się z miejsca, wprzód pobiegł pod Krzemieniec, rozgromił tam Tatarów, wrócił do Białocerkwi, odpędził z pod jej ścian kozactwo, i wraz z Leblem do Kalnika, jak to już wiemy, podążył... Po ukończeniu wyprawy przez hetmana w. kor., kiedy mu doniesiono, że Polesie burzyć się poczyna, „Jegomość pan Krakowski panu Piwie znowu zainstalować się kazał w Dymirze".

W czasie kilkotygodniowej nieobecności pułkownika, hultaje nieraz zaglądali do jego gniazda, prowiant przygotowany zabrali, koszary spalili. Trzeba lepiej opatrzeć forteczkę — pomyślał przybyły. Rozglądnął się po okolicy, doniesiono mu, że w monasterze międzygórskim znajdują się spiżowe armatki i potrzebna do nich amunicya niedawno sprowadzona z Kijowa. Niepostrzeżenie, komunikiem wyruszył z Dymiru, przypadł pod monaster, a że mu czerńcy wylękli nie okazali oporu, więc zabrał działa i na wozach przywiózł do siebie.

Z kolei wypadło poszukać prowiantu. Nowosiółka, małe miasteczko, należące także do mnichów kijowskiego „brackiego" klasztoru, leżała niedaleko, a zapasów było w niej sporo; więc 3 maja 1671 r. spada na osadę, ale zastaje ją przygotowaną do odporu. Mieszkańcy zamknęli się we dworze obwarowanym częstokołami, a na propozycyę kapitulacyi odpowiedzieli strzałami. Pułkownik po tatarsku postąpił; zdobył szturmem, załogę ze 150 ludzi złożoną wyciął, wszystkie *preciosa* z cerkwi zabrał, dobytek aż „do szerszcinki" uprowadził, a miasteczko z dymem puścił i z ziemią zrównał. Żałośną tę opowieść mnichów czytaliśmy w su-

plice, którą rozsyłali do swoich dobrodziejów z prośbą o wsparcie.

Podobnemu losowi uległy Ostrz, Macharów i Stahijczyn. Do Czarnobyla wcisnął się kozak Horodyj, mianujący się strażnikiem zaporoskim i nuż podburzać lud. Piwo stawił się natychmiast na zagrożone miejsce, buntownika pochwycił i wielką miał go ochotę powiesić, ale zapytał wprzód hetmana, co ma robić z hultajem? Sobieski kazał więźnia wolno puścić, z zastrzeżeniem, aby się nie pokazywał na Polesiu, bo go gałęź nie minie.

Napady dymirskiego dowódcy dały znowu powód do długiej a cierpkiej korespondencyi między Doroszeńką a hetmanem. Raczkowski, pośredniczący w tej sprawie, a wiemy, że jako komisarz Rzeczypospolitej wysłany był do Czehryna, nieustannie w swoich do Sobieskiego odezwach powtarzał: „*Praesidia* białocerkiewskie i dymirskie z p. Piwem aby sprowadzone były“, a gdy to nastąpi, wówczas dopiero hetman kozacki „sam *personaliter* z wojskiem pod Białocerkwią stanie obozem, i ztamtąd komisarzów do traktowania z WM. Panem ześle, rezolwując Ordę od siebie, i do hana pośle, aby żadnych inwazyi nie czynił w państwie J. Kr. Mości“.

Potem w czerwcu 1671, nowa suplika: „Aby armata, którą p. Piwo zabrał w monasterze międzygórskim, była oddana“. Doroszeńko na tem nie poprzestawał, sam zarzucał Sobieskiego żądaniami: oczyszczenia Ukrainy, niezależności, nawet pewnej daniny rocznej, bo — dodawał — i „Mnohohresznemu, hetmanowi na Zadnieprzu, z kaźni (skarbu) carskiej pewna idzie pensya“. Sobieski pragnął zgody, pracował nad tem, robił możebne ustępstwa, wiedział bowiem, że każda nowo przelana krwi kropla większy utworzy przedział między dwoma powaśnionemi, a tak do niedawna żyjącemi po bratersku szczepami... Uledz wszakże musiał konieczności...

Ale i po tem, kiedy dokonał wyprawy, zdobył kawał objętego płomieniem kraju, jeszcze tentował o zgodę. Piękny jest list naszego bohatera z tego czasu, zasługuje on, byśmy

go choć w części tu powtórzyli. Nader to ważny dokument, dowodzi bowiem, że Sobieski pragnął pojednania, poświęcał wiele dla uniknienia sporu, ztąd wniosek, że nie na Rzeczypospolitej leży odpowiedzialność za złe i jego następstwa. „Uskarżasz się — mówi Sobieski -- na p. Piwa, że znowu w polskie powrócił kraje i tam nieprzyjaciół krzyża św. gromił, i chrześciańskiego nie mało odgromił jassyra; ten już był na instancyę WM. Pana sprowadzony i nie powróciłby tam był więcej; ale kiedy szlachtę tameczną, którzy przez traktat podhajecki wolne i bezpieczne w domach swych mieli mieć mieszkanie, za szyję gęsto w niewolę wodzić, i w upominkach posłom tureckim dawać poczęto, przyszło tedy i onemu, jako już wiadomemu, na zaszczyt tamtych powrócić krajów; do czego jeśli zażył jakiej tamecznej z Manaszewa armaty, upewniam w tem WM. Pana, że onej do Polskiej nie poprowadzi, i że się w tamtym zostanie kraju, chciejmy jeno to szczęśliwe prawdziwego uspokojenia zacząć dzieło... Skarżysz się WM. Pan, że z naszej strony złamane i niedotrzymane pacta podhajeckie. Azaż wojska nasze wchodziły w Ukrainę po te czasy? Były po dwakroć pod Białącerkwią, ale najmniejszej nikomu nie czyniąc krzywdy. Jeśli się p. Piwo hałasował pod Białącerkwią, uczynił to z okazyi oblężenia tej fortecy. A tatarskich zagonów wieleż chodziło w te tu kraje, tak zimie jako i lecie, z asystencyą zawsze kozaków? racz WM. Pan porachować. Oto i teraz w niebytności nas obudwu hetmanów w tych tu krajach, gdy zostawiona była komenda JP. Silnickiemu, kasztelanowi czerniechowskiemu, i taki ordynans, aby żadnej z Ukrainą nie czynił zaczepki; cóż robił Kijaczko około Kamieńca? co zagony tatarskie z przydanym Hoholem i *seredeniatami*, wprzód pod Barem, a potem tu w Podolu? gdzie prawie pomijali wojsko, a na ostatek aż potem pod Wiśniowiec, Krzemieniec, Jampol. Gdzie jak wiele dusz chrześciańskich, nie polskich ani katolickich, którzy jeszcze daleko ztamtąd mieszkają, ale samychże ruskich w ciężką pognali niewolę, wiadomo każdemu. Musiał tedy na odgrom tak wielkiego chrześciańskiego plonu ruszyć

się z wojskiem i iść w tropy za tym bezbożnym krwie niewinnej nieprzyjacielem... A że WM. Pan rady mojej potrzebujesz, którego się masz trzymać Pana, czy przyrodzonego chrześciańskiego monarchy, do którego sobie pewne pretendujesz krzywdy i niesmaki, czyli tego, który wszystko obiecuje, aby tem snadniej ułowił WM. Pana? Ja tedy, jako dawny przyjaciel WM. Pana, i któregoś życzliwego spróbował ku sobie affektu, i wojsko całe zaporoskie skłonne chęci; radzę i przestrzegam, abyś się nie chwytał płonnych i zdradliwych obietnic, bo cokolwiek WM. Panu obiecują i obiecywać będą, naprzód upewniam, że nie dotrzymają, tylko póty, póki nie złowią WMPana: boć to cokolwiek czynią oni, nie z kochania przeciwko WMPanu czynią, ale tylko żeby nas Chrześcian by na wieki między sobą mięszać mogli, czemu końca nigdy nie radzi widzieli"...

Ile tu serca! Prośba nieledwie przebija, perswazya szczera, poczciwa, staropolska. Sobieski dyplomatą nie był, jemu tylko rycerskie rzemiosło przystało, jak rycerz więc postępował otwarcie — zachęcał do zgody, odradzał wiązanie się ze zdradliwym Turczynem...

Wracając do opowiadania, widzimy że w tym okresie (1668—1671) nazwisko pana Piwy zbyt często figuruje. Pełno go wszędzie. U swoich zdobył estymę, u najwyższego w Rzeczypospolitej wodza pochwałę i uznanie; Sobieski bowiem pisał o pułkowniku, „że przyszło onemu jako już wiadomemu, na zaszczyt tamtych powrócić krajów". A i nieprzyjaciel chciał się go pozbyć koniecznie; zawadzała mu załoga w Białejcerkwi, zawadzała i w Dymirze, ale w tem ostatniem najwięcej zawadzał p. Piwo. Był to wierny stróż kresów; prowadził wojnę na własną rękę, nie dokuczał komisarzom o prowianty i amunicyę, nie wspominał o hybernie, nie potrzebował szukać leży dla wojska, trzymał je bowiem przy boku; a chłopstwo poleskie na samą wiadomość, że powrócił do Dymiru, wnet się uspokoiło, zabierając się do mozolnej około roli pracy.

Szlachta pod osłoną zameczku bezpiecznie na swych siedziała zagonach, rozpływając się w pochwałach i błogo-

sławieństwach dla pułkownika. Używał miru wielkiego. Bywalec, gładki, pięknego oblicza, musiał się i paniom podobać i ich oczy na siebie zwrócić ciekawe. W puszczach tych panował prastary obyczaj — miękkie, umizgliwe zalecanki tak w stolicy powszednie, tu nie miały jeszcze rozgościć się czasu; ale serce niewieście, choćby spowite najsurowiej przyjętemi formami, nie umiało, nie mogło milczeć w obec przedmiotu budzącego je do życia, czy to sympatyą niewytłómaczoną, czy onem miłowaniem odwiecznem, napełniającem pierś ludzką niewysłowioną lubością... To też szlachcianki ówczesne, acz nie szczerzyły, jak wówczas się wyrażano, ząbków do młodego pułkownika, choć w obec niego twarz przystrajały wyrazem obojętności, ale rade słuchały opowiadań o popisach zaimprowizowanego regimentarza, o tej brawurze i lekceważeniu życia, słowem o zaletach, które męzką połowę w oczach słabej i bojaźliwej płci pięknej, przeobrażają na piękną i szlachetną.

A jednak pułkownik nie dostrzegał tego; całą bowiem jego uwagę pochłaniała służba kresowa. Jak zakonnik żył w puszczy; do zameczka wpadał jeno na kilkodniowy odpoczynek, opatrywał rynsztunek, zmieniał konie, jednę drugą sprawę rozstrzygnął... a potem znowu w świat daleki.

Czy przez bory spływał na Wołyń, czy przez wzgórzystą okolicę na Podole, a nawet na Ruś czerwoną kędy jego przebywała rodzina; czy brzegiem Dniepru aż pod Kijów dotarł; czy stepem pięknie ścielącym się, jak najkunsztowniejszy o tle zielonem kobierzec do Białocerkwi — wpadł, zasięgnął tam wieści o Polsce, z starym komendantem pogawędził, nasiekał przy zręczności łbów hajdamackich i tatarskich... i znowu wracał do pustego gniazda.

Tak między obowiązkiem i krótkiem wytchnieniem, płynęło życie pułkownikowi. Czasem wprawdzie samotność doskwierała, a szczególnie wieczorami, kiedy towarzysze wypraw a bracia podkomendni, po otrzymaniu ordynansów rozeszli się do swoich kryjówek, a on został sam w pustych komnatach. Przyzwyczajony do szczęku broni i wrzawy wojennej, wśród ciszy zapadającego zmierzchu, nie umiał

zdać sobie sprawy z tego smutku, który go nagle ogarniał... I wysuwał się na ganek, siadał na nim i marzył.

Przed gankiem rozścielał się bór milczący i tajemniczy, ciemne jego barwy do rzewnych usposabiały dumań; słowiańska natura rozmiłowana w domowem ognisku, w życiu familijnem, w kółku rodzinnem, brała górę nad temi koczowniczeni usposobieniami. Pułkownik snuł siatkę pajęczą zamiarów na przyszłość; na pierwszym plamie stało uspokojenie kresów, potem powrót do gniazda, żona, ale tam w Bełzkiem -- między swoimi.

Nic więc dziwnego, że szlachcianki polskie nie obudzały w nim zachwytu i pewnie by wytrwał w tem postanowieniu, gdyby mu piękność stepowa nie zabiegła drogi. A jak to było, zaraz opowiem.

Haneńko, jak to już wiemy, otrzymał pod Kalnikiem buławę i buńczuk, co znaczyło, że z ramienia Rzeczypospolitej został hetmanem polskiej Ukrainy. Osiadł w Humaniu podniesionym do godności stolicy, kiedy druga stolica, Czehryn, oddalona od tamtej o mil 15 najwięcej, w ręku Doroszeńki zostawała.

Zawiódłby się bardzo, ktoby przypuszczał, że rezydencye watażków kozackich były podobne do rezydencyj innych władców w cywilizowanej Europie. Wyglądały one jak oszańcowane obozy, posiadające cechę tymczasowości. Lud się w nich gromadził, to prawda, nawet ruchu handlowego dopatrzeć mogłeś, ale mieszkańcy tulili się w naprędce pokleconych z tarcic szałasach; szałas zaś taki olepiony gliną już znamionował zbytek, i ledwie nań zdobyć się mógł pułk cały, albo „towarzystwo“ zaporozkie.

Przekupnie trunków, najświetniejsze robiący interesa, pod odkrytem niebem rozkładali swój towar, bogatsi zawieszali nad nim płachty na czterech żerdziach rozpięte; broniły one od słońca, zimna i słoty... Sam hetman miał już lepsze mieszkanie. W Humaniu Haneńko kwaterował w zameczku zbudowanym przez Kalinowskiego, ufortyfikowanym przez Buturlina, potem z kolei burzonym przez hetmana

Potockiego Stanisława, Dewlet-Giereja, hana tatarskiego i Teterę. Pułkownik humański Białogród znowu go poprawił.

Na zamku okrom hetmana mieściła się kancelarya, pisarz generalny, sędzia, wszystka prawie starszyzna, pilnując watażki żeby nie skrewił „towarzystwu", tak, że biedny hetman w nieustannem zostawał niebezpieczeństwie życia, bo lada cień zdrady — i kula by go nie ominęła.

Haneńko miał jedynego syna Pawła, rotmistrza J. Kr. Mości i właściciela Łyszni i Niedźwiady, położonych w ekonomi samborskiej, a nadanych mu przez Michała Korybuta. Syn tedy był ziemianinem Rusi czerwonej, chorował na szlachcica. Ojciec kozak, więc chłop, cieszył się, że syn mu na paniątko rośnie, zupełnie naśladując w tem Chmielnickiego. A Haneńczycha z radości się nie posiadała na swego patrząc jedynaka, który tak się wstydził swego pochodzenia, że często nawet rodowego nazwiska nie używał, mianując się Pawłowskim od imienia.

Pawełek brał udział w wyprawach ojcowskich, a ojciec wszędzie go na pierwszy plan wysuwał, czy to w obec króla, czy w obec hetmana, czy kasztelana czerniechowskiego, czy nawet w obec Sierka z Zaporoża. Zawsze mówiąc o zasługach własnych, nie żądał za nie nagrody, prosił tylko, aby na jego pierworodnego wzgląd miano. Król się rozczulał, sypał jednę wioskę po drugiej, a prócz samborskich posiadłości, dał mu trzy miasteczka w Ukrainie; hetman zaś wielki kor. unosił się po szlachecku nad karnością Haneńki.

Synalek jednak watażki rósł na hultaja, trwonił pieniądze, uganiał za dziewczętami, bałamucił je i uwodził, pił z młodzieżą, nie myśląc wcale o przyszłości Ukrainy... Jemu się marzyły sejmiki polskie, życie na Rusi, wśród cywilizowanego świata; krew babki, starościanki owej, odzywała się w wnuku. Z kozakami był jak nie swój, więc latał do najbliższych sąsiadów, do Dymira, do Białocerkwi.

Stary Lebel traktował go z góry — „chamskiem dzieckiem" niekiedy w oczy nazywał, ale za to młody Piwo przypadł do serca Pawełkowi; wizytowali więc siebie wza-

jemnie, choć dni kilka dobrze koniem wyciągać należało, aby się dostać z jednej miejscowości do drugiej.

W czasie podobnej wycieczki, udało się Haneńce odbić z jassyru kobietę cudnej piękności...

Było to nie na długo przed zdobyciem Kamieńca przez Ottomanów.

Doroszeńko gotował się do wyprawy na Polskę; nowy pan kazał mu nad Dniestr pospieszać. Watażka zły, wahający się, niepewny protekcyi Padyszacha, zamknął się w Czehrynie, milczał, całe dnie nie przypuszczając nikogo do siebie. Jeden z pułkowników, Taraszeńko, patrząc na ten smutek atamana, przyszedł do wniosku, że tęsknica jest wynikiem samotności, że *bat'ko* kozacki żyje jak mnich, nie ma białogłowy w domu. Prawda że zawsze był obojętny na krasę niewieścią, ale gładka dziewczyna mogłaby rozweselić, rozchmurzyć czoło zasępione...

I zaczął szukać piękności, wcale do tego nieupoważniony. Znalazł biedną sierotę w jednym z futorów położonych nad Dnieprem, nie daleko Motreneńskiego skitu.

W ubogiej chacie, przy starej babce chowała się Handzia, a śliczna była jak jasne słonko w ranek majowy. Kiedy się nachylała do ruczaju, by w jego powierzchni rozpatrzeć się jak w zwierciadle i kosy ciemne ułożyć, wówczas fala niknęła z jego powierzchni, ciszej przesuwała się woda, jakby zatrzymana w biegu jej pięknością, jakby pragnąc dłużej, choć chwilkę odzwierciedlić w swoich toniach Handzi oblicze...

Głosik jej dźwięczny był — osika zasłuchawszy się go uspakajała się, listki jej drżeć przestawały; słowik milkł dnia tego, kiedy Handzia śpiewała i już nie bawił tęskną pieśnią swojej milczącej oblubienicy.

Kwiatek ów polny rósł dziko, futor biednej wdowy w rozdole rzucony, zewsząd owinięty drzew zielenią, nie stał nikomu na drodze. Taraszeńko jednak dowiedział się o tym skarbie, wykradł dziewczynę i o zmierzchu, wylękłą, na wpół przytomną, wepchnął do świetlicy, w której dumał watażka...

Cichy jęk obił się o słuch Doroszeńki, ocknął się... przed nim w milczeniu stała smutna i lękiem zdjęta dziewczyna...

— Po coś tu przyszła? — zawołał brwi marszcząc...

Odpowiedzi nie było.

— Kto cię tu puścił do mojej chaty?

Dziewczyna milczała. Łkanie tylko zamiast słów słyszeć się dało.

Hetman zaklął i klasnął w dłonie. We drzwiach stawił się Taraszeńko i opowiedział wszystko. Gospodarz nie rozgniewał się na przyjaciela, okiem znawcy rzucił na dziewczynę, kazał ją wyprowadzić. Po chwili znowu zawołał. Zbiegła się służba.

— Agę tureckiego, sotnika Lipków i asaułę mi przywołać!

Wezwani przybyli w kilka minut przed oblicze atamana.

— Jutro z sotnią swoją — rzekł do Tatara — *hajda* nad Dniestr.

— A ty — odwrócił się do asauły — poprowadzisz Lipków, drogę im wskażesz, dzień i noc pędzić, omijać miasta i sioła, aż do Raszkowa; tam przejść brod i stepem bessarabskim jechać tak długo, aż zabieleją na szlaku wołoskim namioty sułtana...

— Ty zaś ago zostajesz *czybukczym* (komendantem) wyprawy.

Turek szeroko oczy otworzył i odpowiedział:

— *Ewet Effendi!* (tak panie!)

— Powierzam ci brankę, dziewczynę — ciągnął dalej Doroszeńko — zarzucisz na nią zasłonę, by jej wiatr stepowy nie osmalił, zakażesz płakać pod grozą śmierci, a gdy staniecie na miejscu, doręczysz niewolnicę starszemu rzezańcowi, dozorcy sułtańskiego haremu, i powiesz mu, że różę tę uszczkniętą nad brzegami Dniepru, szle Najjaśniejszemu Mahometowi IV w darze wierny poddany Jego Sułtańskiej Mości a hetman Ukrainy tureckiej.

— *Ewet Effendi!* — powtórzył znowu Muzułmanin.

Na tem się posłuchanie skończyło.

Rozkaz wykonany został co do litery.

Ale wypadek zrządził inaczej.

Właśnie Tatarzy nieopodal Białejcerkwi, dążyli drogą wskazaną, kiedy na spotkanie ich wysunął się młody Haneńko, na czele sowitego pocztu humańskich kozaków. Wracał od p. Lebla do domu, i trafił przypadkiem na Lipków.

Rozpoczęła się gonitwa nie długo trwająca; Tatarzy przerażeni śmiałem natarciem pierzchnęli, branka zaś dostała się zdobywcy...

Paweł uderzony był dziwną pięknością dziewczyny; asauła uwięziony „udał przed nim, że to była Czerkieska“ w górach dalekich pochwycona, wstydził się wyznać, że wiózł duszę chrześciańską na zaprzepaszczenie bisurmanowi w podarunku.

Handzia leżała na pół martwa i nieprzytomna. Szczęśliwy zwycięzca wrócił ze swoją niezwykłą zdobyczą do Białejcerkwi, zostawił brankę u komendanta, prosząc go o czasową nad nią opiekę, i zapewniając, że rychło po nią przybędzie. Sam zaś poleciał do Humiania, aby u matki wyżebrać kątek spokojny dla nowej piękności.

IV.

Branka po kilku dniach starań przyszła do siebie. Łagodnością i urokiem swej piękności potrafiła zjednać sobie domowników Lebla, a nawet stary komendant patrzył na nią łaskawie. Powtórzyła się tu prawda dawno stwierdzona, że piękność zdobywa prawa nawet tam, gdzie ich kobiecie obyczaj odmawia.

A pamiętać należy, że płeć słaba na kresach ukrainnych w XVII. stuleciu — nie gniewajcie się miłe czytelniczki, że nazwę rzecz po imieniu — miała znaczenie towaru, przedmiotu zabawki. Gdzie ogniska domowego brakło, tam i anioł ów biały, szatą pokoju otulający przybytek rodzinny, stawał się anachronizmem, niezwyczajnością.

Lud stepowy łatwo przystęp zwierzęcym instynktom dający, zdziczał jeszcze bardziéj, ocierając się o Zaporoże i obcując z pohańcami krymskiemi, nieustannie zaglądającymi na Ukrainę. Tatarzy praw żadnych nie przyznawali kobiecie. Siczowcy unikali zetknięcia z nią, przynajmniej u siebie w domu. Ukraina polska zapożyczyła trochę zwyczaju u pierwszych, modelować się chciała na wzór drugich. „Horodowi“ jej mieszkańcy sami siebie nazywali Zaporożcami — kobietę, jak i tamci mieli w poniewierce, i często w braku pieniędzy Tatarom haracz dziewczętami płacili... Oburza się wprawdzie na to nieraz szlachcic ruski, Jerlicz, kronikarze atoli małoruscy, ludzie miejscowi, obyci z podobnym trybem po-

stępowania, obojętnie wciągali do regestru wypadków to urzędowe wybieranie jassyru.

Nieliczne załogi polskie na Ukrainie zakonny pędziły żywot. Wiecznie zagrożone stanowisko nie pozwalało im myśleć o życiu familijnem, bo i czy godziło się w wypadku przegranej, niewiastę polską narażać na srom i pohańbienie? Więc i drużyny nasze, kroczące w step pod sztandarem cywilizacyjnym, z czasem przejmowały się obyczajem miejscowym, dziczały, złe nawet narowy sąsiadów naśladując. Zdarzało się, że szlachcic walczący jeden, drugi lat dziesiątek na kresach, jeżeli się w tym czasie nie wychylił w głąb Polski dla wytchnienia, często nawet mowy ojczystej zapominał, po chłopsku rozprawiał, choć myśleć i kochać kraj swój po szlachecku nie przestawał! Może tu i przykład z góry coś znaczył; wszakże wiadomo, że Potoccy często się posługiwali mową ludową, zapożyczając u gminu rozmaitych sentencyi moralnych, ze skarbnicy przysłowiowej, stanowiącej prawdziwe ziarna mądrości a obleczonej w formę wdzięczną i zrozumiałą...

Kobieta więc na wschodnich kopcach była niczem, a ze zmniejszeniem się jej wpływów rosła tam szorstkość, brak poczucia sprawiedliwości, upadek moralny i krzewienie się opilstwa do monstrualnych dochodzące rozmiarów. Tylko bowiem równowaga dwóch połów rodzaju ludzkiego zapewnia dobrobyt danej społeczności; poniewieranie kobiety, jak równie zbytnia jej w sprawach państwowych przewaga — złe za sobą pociąga następstwa; przykładów pod tym względem sporo nam nastręcza panowanie Stanisława Augusta... I na prababkach naszych ciąży odpowiedzialność za upadek, do którego częstokroć ręki, choć niesamowiednie przyłożyły. Raz jeszcze zaznaczamy, że kobieta na kresach była mało ceniona, żadnego nigdy udziału w sprawach nie brała. Historya wspomina o jednej tylko białogłowej, która w początkach zawieruchy kozackiej, odważyła się udać wraz z mężem do Czehryna. Mówimy tu o wojewodzinie bracławskiej, Rusince Anastazyi Bohuszewiczównej z domu. Małżonek jej, Adam Kisiel, stał na czele komisarzy wysłanych do wojska

zaporozkiego. Chmielnicki niepomału był zdziwiony, dowiedziawszy się o przybyciu białogłowy, mniemał, że musi ona mieć wpływ na męża, kiedy w taki ogień pozwolił jej wyruszyć. „Zaproszony na obiad do p. wojewody, nie przyjechał aż ku wieczorowi — nie trzeźwy... Naparł się potem od p. wojewodziny do osobnej izby, gdzie *publice* perswadował jej, aby się Lachów wyrzekli, a z kozakami zostawali.“ Naturalnie, że nie potrafił przełamać niewieściego uporu. — Zato służebne panny, w powrocie z Czehryna, wraz z czeladzią zbiegły do „mołojców“. Podobało się im to życie nie skrępowane żadnemi przepisami.

I kościół często służył gwoli potrzeb watażki. Chmielnicki żył na wiarę z Czaplińską, małżonką starosty, który szczęśliwie wyśliznął się z rąk oprawcy, zostawując mu żonę własną. Jest rzeczą pewną, że Czapliński nie zginął śmiercią męczeńską, po wzięciu do niewoli obu hetmanów, jak to błędnie utrzymują niektórzy kronikarze; przeciwnie, Bohdan upominał się nieustannie u komisarzy naszych (1649), „aby mu Czapliński oddany był...“

Watażka pragnął się ożenić ze starościną, metropolita kijowski nie chciał mu udzielić sakramentu, perswadował, przekonywał o niemożności; toć jej pierwszy mąż żyje jeszcze — powiadał. Nie wiele to pomogło; hetman znalazł powolnego kapłana, a był nim patryarcha jerozolimski, „przybłęda (*expulsus, profugus, excomunicatus ob gravia sceleza,* wygnany, zbiegły, wyklęty za ciężkie zbrodnie, piszą o nim ówcześni kronikarze), ten mu dał ślub w kijowskiej Ławrze z żoną Czaplińskiego, lubo nieobecną, bo w Czehrynie była natenczas“.

I tu dumny kozak naśladował zwyczaj między panującymi praktykowany, ale zastosował go po swojemu, po chłopsku. W kilka dni potem, tenże patryarcha „i Chmielnickiego żonie do Czehryna posłał absolucyę z grzechów i ślub małżeński... a przytem i upominki: trzy świece, które się same zapalają, mleko Najświętszej Maryi Panny, *(sic)* i cytryn misę“. Gmin atoli nie bardzo grzecznie przyjął czerńca-wysłannika, a Tymoszko upiwszy się, „gorzałką brodę mu opa-

lił“. Nowa „żonka“, ex-starościna, ex-polka i ex-katoliczka, żadnego wpływu na męża nie miała, w końcu też, bez ceremonii powiesić ją kazał...

Hańdzia jednak zdobyła sobie poszanowanie i sympatyę u białocerkiewskiej załogi niezwykłą pięknością i słodyczą, tak dalece, że kiedy w kilkanaście dni potem przybył Piwo do komendanta w gościnę, wszyscy w koło o prześlicznej brance tylko mówili. Więc i on ciekawy był ją zobaczyć — a gdy zobaczył, „srodze się w dziewce rozmiłował“. Prosił p. Lebla bez ogródki, by „mu ją dał“, ale stary żołnierz tłómaczył się niemożnością — bo należała do syna humańskiego watażki, a ten lada dzień zechce ją zabrać do siebie. Piwo odjechał do Dymira markotny i użył fortelu. „Udał rękę Haneńkową“, i z listem przysłał dwóch wiernych żołnierzy do Białocerkwi, i Handzia z nimi pojechała na Polesie, do rezydencyi „lackiego pułkownika“.

Paweł Haneńko uwiadomiony o podstępie p. Piwy, miotał się wściekły, zerwał z nim stosunki, ale milczał... do czasu. Manifestu nie złożył w grodzie, bo nie było to we zwyczaju, tak jak przed laty nie wielu, ukradzenie psa nie nazywało się kradzieżą, jak dziś jeszcze niezwrócenie choćby najkosztowniejszej książki, pożyczonej u sąsiada, za występek się nie poczytuje... Gdyby Piwo zajął w stepie kilka pasących się klaczy, do syna hetmańskiego należących... coby to było gwałtu! Pozwy posypałyby się jak z rękawa, a wciągnięte do ksiąg grodzkich, figurowałyby dzisiaj jako materyał historyczny, w wydawnictwach rozmaitych *ad hoc* wysadzonych komissyi; ale że kobietę uwiózł, więc pokrzywdzony milczał, kodeks bowiem karny, będący wynikiem obyczaju miejscowego, nie przewidział tego występku...

Wreszcie jakie prawo miał Haneńko do dziewczyny? Toż ją odbił u Tatarów... dziewczyna chrześciańska z pęt uwolniona, choć nie miała prawa wyboru, chętnie jednak dała się namówić do wędrówki na Polesie, najprawdopodobniej brała udział w spisku, mającym na celu wyprowadzenie w pole starego, wcale w sercowych sprawach niepraktycznego Lebla...

Dla Piwy rozpoczynała się idylla! Wobec zbliżającej się burzy, wobec tych gromów zapowiadających się częstemi błyskawicami, spędził dni kilka, a może tygodni kilka — jak w raju... Nie widział chmur czarnych nad głową, nie słyszał grzmotów, w objęciach kochanki zapomniał o świecie.

Nawała nieprzyjacielska z nad Bosforu, wszystką uwagę rzeczypospolitej, choć niestety za późno, ku granicy wołoskiej skierowała, w Polsce zapomniauo, o oddalonych ukrainnych placówkach. Doroszeńko z „seredeniatami“ pobiegł nad Dniestr, by uderzyć czołem nowemu panu; Haneńko wysłał na jego spotkanie Perebijnosa, w końcu sam zaszedł mu drogę, ale rozprószony pod Czetwertynówką, ratować się musiał ucieczką, lizał się z ran, ściągając wylękłych kozaków humańskich...

Tymczasem sułtan zbliżał się do Zwańca, gdzie go witali po raz pierwszy czehryńscy „poddani“.

Piwo oddzielony od całej rzeczypospolitej, pustym, milczącym stepem, nic o tem nie wiedział. Trzymał Polesie po dawnemu w karbach, kochał, wierzył w szczęście, marzył o przyszłości, branka wzięta „dla chwilowej uciechy“ nad jego sercem zapanowała, odkrywał w niej z dniem każdym nowe przymioty, dopatrzył nieudanego przywiązania...

Ale z tych snów, z tych rojeń, grom go przebudził...

Kamieniec zdobyli Turcy! Wieść głucha o nieszczęściu obiegła Polskę całą... Kamieniec w ręku pogan! To droga dla nich otwarta w głąb Rzeczypospolitej, to klęska ciężka, niepowetowana, nieobliczona w następstwa!

Przedmurza zdobył wróg! Rusi Czerwonej nic już nie obroni, a tam było gniazdo rodzinne pułkownika. Wyrwał się tedy Piwo z objęć kobiety, opiekę nad zameczkiem zdał na podkomendnego oficera, a sam na czele chorągwi poleciał bronić Polski. W połowie września był już w złoczowskiej warowience, której załogą dowodził major Stryn, na czele pieszego regimentu jenerała Bokuna. Po wspólnej naradzie pułkownik usunął się w okolicę Lwowa — i to na kilka dni przed oblężeniem: „Turcy nad Złoczowem — pisze Sobieski do podkanclerzego — zabawiali się zamkiem, którego przez

sześć dni dobywali i dobyli *tandem*. P. Piwo z komunikiem wcześnie ztamtąd wyszedł".

Z kolei spotykamy pułkownika pod Gołębiem, w roli bezstronnego widza tych smutnych między drobną szlachtą a starszyzną nieporozumień, ale w grudniu już 1672 r. znowu powraca do Dymiru. Zastał Handzię tak roztęsknioną i rozbolałą rozstaniem, że wypłacając się za owe gorące przywiązanie — sakramentem ślubnym z nią się połączył. Gdyby nie klęski kraj nawiedzające, Piwo byłby najszczęśliwszym człowiekiem w świecie...

Co robił w tym czasie najścia tureckiego Haneńko? Gościł w Polsce, stał po stronie króla, zabierał się do ukarania swawoli magnatów. „Patryotyzm — pisze Bartoszewicz — wiąże jeszcze silniej tego hetmana kozackiego ze szlachtą polską skonfederowaną w Gołębiu. Szukając króla, Haneńko z kozakami swoimi był wtedy głęboko w Polsce, nawet podobno na Mazurach; trzymał stronę szlachty i króla, i lada chwila mógł skarcić panków polskich, buntujących się naprzeciw królowi, po kozacku, łupieztwem i pożarami; król rękę tę zatrzymał".

Ale kiedy watażka humański, jako miecz groźny zawieszony nad głową przeciwników majestatu, bujał po Rzeczypospolitej, Doroszeńko wówczas w asekuracyi Ordy wracał do Czehryna. Naturalnie, że szło mu przedewszystkiem o wypędzenie uzurpatora, bo tak nazywał swego przeciwnika, z ręki Michała Korybuta ustanowionego. Podpadł więc pod Humań, gdzie Białogród dowodził, a kozacy się poddali bez szemrania. Doroszeńko — zabrał Haneńkowę i Białogrodowę do niewoli, dygnitarzy zaś miejscowych wywieszał albo rozstrzelał. A wszystko to się działo w miesiącach wrześniu i październiku 1672 r.

Haneńko po powrocie z Polski zastał ruinę. Zły i markotny już z niej odjeżdzał; dano mu pięć wiosek tylko, syna król zaszczycił tylko tytułem rotmistrza, a watażka pragnął więcej. Tułając się teraz po Ukrainie ze swoim oddziałem, słał posły do Rossyi, a sam się przedzierżgnął w rabusia i opryszka. Co uszło chciwej ręki Doroszeńkowej,

to on zniszczył do szczętu, odarł i spalił. W początkach 1673 r. posunął ku Polesiowi, i niby to dobre stosunki zachowując z Białocerkwią i Dymitem, ostrzył na nie zęby; syn zaś pamiętny krzywdy, serce ojcowskie nienawiścią rozpłomieniał ku polskiemu pułkownikowi.

Piwo nic o tem nie wiedział. Hetman wielki nowy ciężar zwalił na jego barki, kazał mu sobie przysyłać wieści z za Dniepru, z Zaporoża, z Turcyi, z Moskwy nawet. Jeden tylko raport, jako ślad piśmienny po pułkowniku pozostał, datowany 18 sierpnia 1673 z Dymiru; w nim rozpisywał się komendant o Sierku, o Perejasławlu, i donosił o opłakanym stanie Białocerkwi. „*Circum circa* — pisał — ścieśniona jest od Doroszeńka, przez Czerniackiego, nakaźnego hetmana, ze wszystkimi kozakami i Tatarami Lipkami“. O Haneńce nie słyszał nic — buja po stepie...

Aż oto w kilkanaście dni potem, zjawił się ów gość niespodziewany z całym taborem, w towarzystwie syna i rozpiął namioty na płaszczyźnie pod miasteczkiem. Pułkownik Piwo zaprosił gości do siebie, podejmował ich w zamku; pułkownikowa wychodziła na ich przyjęcie. Piękna była krasą dawniejszą, niewieścim wstydem, który jej białe lica oblewał gorącym rumieńcem wobec nieznanych ludzi. Paweł pożerał ją oczami, widok kobiety, która była niegdyś jego własnością, dławił go... Ponury i milczący śród biesiady pił dużo, układając zdradę sromotną.

Stary hetman uskarżał się na niewolę żony, surowo trzymanej w Czechrynie; na biedę w Ukrainie polskiej powszechną, ale ochotniejszy był do rozmowy. Późno już w nocy wrócili do siebie i długą odbyli naradę w namiocie, a skutkiem jej było zaproszenie Piwy na ucztę obozową. Pułkownik nie przypuszczając podstępu, stawił się z nielicznym pocztem.

Wśród gwaru zasiedli do stołu — kielichy gęsto krążyły, ochota wrzała w gronie. Ku końcowi, kiedy pijane kozactwo wysunęło się z namiotu, pociągając za sobą panów towarzyszy, nagle Paweł pchnął nożem pułkownika, a tak

zręcznie, tak po zbójecku, że ofiara padła na ziemię bez jęku...

Popłoch zrobił się wielki...

Z krzykiem rzucono się na zamek; stary watażka natychmiast go opanował, a oddział polski skupić się już nie miał czasu...

Kozactwo zrabowało wszystko, dragonia ratowała się ucieczką, niosąc do Polski wieść straszną o zdradzie i morderstwie.

Hetmanowicz po dokonanej zbrodni, jął szukać kobiety, do której pałał wielką namiętnością. Małżonka jednak pułkownika uprzedzona o nieszczęściu, przeczuwając co ją czeka, w nurtach strumienia pod zamkiem przepływającego zgon przedwczesny znalazła...

Kozactwo rozsypało się po całem Polesiu, podnosząc lud kmiecy do buntu. Połowa oddziału Hanenki obciążona łupem — dostała się na Zadnieprze.

Ciało walecznego pułkownika spoczęło w niepoświęconej ziemi.

A po jego wiernej żonie, na długo została wśród miejscowego gminu legenda. Podanie o prostej wieśniaczce przechodziło od pokolenia do pokolenia; stromy brzeg, z którego się w nurty rzeki rzuciła, lud odtąd skałą Handzi nazywał.

I dziwna rzecz, jak się to pośród chat kmiecych przechowują legendy! Pamiętamy, przed dwudziestą z górą laty, pieśń lirnika wioskowego. W niej było o czarnobrewej Handzi, która pokochała lackiego pułkownika, dla niego porzuciła dawniejszego kochanka kozaka; kozak puścił z dymem dom i dobytek „Laszka“, a wietrznica z bólu i rozpaczy na dno bystrej rzeki poszła...

Jesteśmy najpewniejsi, że opowieść ta dzieje żywota dzielnego Piwy odzwierciadlała; tylko z laty, każdy lirnik, z natury improwizator, coś z niej ujął, coś dodał... Doszła więc do nas w sukience przykrojonej do tendencyjnych potrzeb teraźniejszości...

Kilka jeszcze rysów do tego smutnego obrazu brakuje.

Polska gotowała się do nowej wojny z Turcyą. Stan

jej był tak opłakany, że nietylko nie powołano Haneńki do odpowiedzialności za popełnioną zbrodnię, ale starano się oszczędzać go nawet. Oto co podkanclerzy Olszowski pisał do Sobieskiego: „Aczkolwiek Haneńko dużo nabroił, trzeba to pokryć zapomnieniem, bo w stanowisku swojem, może od tyłu szarpać Doroszeńkę, gdyby się temu zachciało pomagać Hussejnowi baszy“.

Była chwila, że podkanclerzy miał zamiar syna humańskiego watażki ściągnąć do Przemyśla z sporym zastępem kozaków, ale obawa, aby tam nie poszukiwano za morderstwo Piwy odwetu, wstrzymała go od tego. Poczciwy ks. Olszowski myślał tylko o ratunku kraju... I to jedna także z niewielu pięknych postaci, pośród tego społecznego rozstroju...

Niebawem wyruszył Haneńko w asekuracyi kilku polskich chorągwi przeciw Doroszeńce. Przysłało mu nawet pomoc Zaporoże; mołojcy siczowi przybyli pod dowództwem Makuchy i Suchoweja, „tego, który to w latach dawniejszych na hetmaństwo Hadziackie i Czechryńskie samowolnie rogi swoje podnosił“.

Spotkanie nastąpiło pod Steblowem. Doroszeńko zewsząd osaczony, już miał uledz, ale przybyła na odsiecz Orda tatarska i rozproszyła nieprzyjaciela. Haneńko uciekł na Niż. Karyera jego w Polsce była skończona, wracać do niej nie miał po co. Ale i na Siczy zbieg bezpieczeństwa nie miał. Sobieskiego stosunki i tam sięgały, więc exwatażka humański przedarł się za Dniepr, złożył buławę w ręce Samojłowicza i zamieszkał w Kozielcu.

Stary był — dobiegał lat 70 burzliwie spędzonych, prosił się tedy do Kijowa na dewocyą, przy jednym z tamtejszych monasterów, na co też uzyskał pozwolenie. Od tej chwili schodzi z areny politycznej, cicho siedzi, umiera zapomniany, na synie wygasa jego potomstwo . . . Pawełek młodo zeszedł z tego świata — zapił się. Dodajmy, że Mikołaj Haneńko, występujący później w dziejach Małorosyi na początku XVIII. w., jako sekretarz hetmana Skoropadzkiego, pochodził od brata watażki polskiego.

I Doroszeńko niebawem opuścił stanowisko, zalawszy wprzódy krwią i ogniem wszystką Ukrainę. Osadzony w Sośnicy za Dnieprem, zrzekł się buławy, potem wyjechał do Moskwy, a że miał spory majątek, więc ożeniono go z córką bojarską. Wkrótce umarł. „Awanturnik i samolub na wielką skalę, mówi Bartoszewicz, miał wszakże wiele patryotycznego uczucia. Skończył nikczemnie...“

Ukraina została pustką. Rozciągał często nad nią władzę w imieniu Rossyi hetman Samojłowicz, ale go Turcy nieustannie płoszyli. Usiłowania Sobieskiego, podjęte w celu wskrzeszenia kozaczyzny polskiej, spełzły na niczem. Hohol pułkownik bracławski, przeniósł się wprawdzie do Dymira, dał on początek nowemu szeregowi nakaźnych atamanów, którzy byli na żołdzie królewskim, a zostawili w dziejach nie bardzo świetne wspomnienie...

Ale to już nie należy do niniejszego opowiadania...

ŹRÓDŁA.

Relacye nuncyuszów apostolskich o Polsce. Berlin i Poznań, 1864. T. II. str. 389.

Michałowski. Księga pamiętnicza. Kraków. 1864. str. 158.

Grabowski. Ojczyste spominki. Kraków. 1845. Tom I., str. 174—180; t. II. str. 133—323.

Bartoszewicz. Encyklopedya powszechna Orgelbranda. Warszawa. T. VII. str. 313 (Doroszeńko). T. XI. str. 211 (Haneńko). T. XXVII. str. 338 (Wiśniowieccy).

Baliński i Lipiński. Starożytna Polska. Warszawa. 1845. str. 937 i dalsze.

Connotatio dóbr dziedzicznych JWJP. Stanisława na Koniecpolu Koniecpolskiego, oboźnego koronnego, broszura *in folio*, z końca XVII w., bez miejsca druku.

Pamiętniki o Koniecpolskich. Lwów. 1842. str. 366.

Wizyta ks. Sierakowskiego, biskupa kamienieckiego, rękopis z roku 1740, *fol.* str. 1262 (Testament Marcina Kalinowskiego hetm. poln. kor. oblarowany w Bracławiu).

Pamiatniki izdannyje wremiennoju komissieju. Kijów. 1846 in 4-to, t. II. Część I. str. 357.

Wieliczko Samuił. *Letopis sobytii.* Kijów. 1851, in 4to, str. 283. 284.

PORWANIE KRÓLA.

I.

W opłakanym była stanie Polska w zaraniu 1771 r. Wojna domowa jak zmora pierś jej uciskała, bliższe i dalsze wpływy zewnętrzne podniecały nienawiść stron zwaśnionych— o zgodzie nie było już mowy... Owe aspiracye, dążące do uspokojenia kraju czczą się stały formułką. Wcześniej jeszcze, bo we wrześniu roku poprzedniego, generalność ogłosiła akt bezkrólewia — *interregnum*. Odtąd król Stanisław August był w przekonaniu konfederacyi uzurpatorem, jak znowu związkowi w oczach regalistów uchodzili za buntowników. Prawo przestało funkcyonować, dowolność panowała wszędzie: obie strony na żadne nie zgadzały się ustępstwa. Ościenne państwa skorzystały z tego stanu.

Austrya jeszcze w połowie 1770 r. spory kawał kraju zajęła — starostwo spiskie, wraz z 500 przeszło osadami wiejskiemi, a okupacya ta nie była czasową, nowe bowiem władze administracyę tu własną zaprowadziły, a na pieczęciach których używały, znajdował się już napis: „Zarząd ziem powróconych“.

Fryderyk II zagarnął szeroki pas pogranicza do Prus przytykającego, obsadził wojskami Warmię i sąsiednie wielkopolskie województwa. Król-filozof rozporządzał się po swojemu. Wybierał rekruta, rozpisywał kontrybucye, z tą jednak różnicą, że sam płacąc często fałszywą monetą, podatek w dobrej tylko przyjmował.

„Nabrawszy ludzi, zboża i pieniędzy, jako przyjaciel ludzkości, pomyślał o weselach dla swoich walecznych żołnierzy, rozkazując z każdego powiatu stosunkowo dostawić pewną liczbę dorosłych dziewek i wyposażyć każdą pierzyną, czterma poduszkami, krową, dwojgiem świni i trzema dukatami w złocie. Z tej to sabińsko-pruskiej kontrybucyi widziano w Starogrodzie wozy pełne owych narzeczonych z musu. Rozpacz od łona rodziców i krewnych oddartych dziewic pocieszano obietnicą, że rząd pruski zajmie się dziewosłębami najspieszniej.“

Wewnątrz kraju, jak mówi rossyjski pisarz Sołowjew, rozporządzała się Rossya. Książę Wołkoński opuścił posadę ambasadora wczesną wiosną, a jako następca jego przybył w kwietniu zły i zgryźliwy Saldern. Wskutek chorobliwej draźliwości, gotów on był przecenić trudności swego stanowiska, a razem i położenie państwa przezeń reprezentowanego... Jadąc do Warszawy studyował nowy poseł Rzeczpospolitę, a osoby w niej działające podzielił na pięć następujących kategoryj: król, mniemani przyjaciele królewscy, mniemani przyjaciele rossyjscy, jawni konfederaci i skryci zwolennicy bawarskiego związku. Konfederatami nazywał wszystkich, którzy okazywali niechęć dla Stanisława Augusta, posuniętą aż do nienawiści, a takich liczono w ówczesnej Polsce prawie trzy czwarte całej ludności.

Nic więc dziwnego, że Saldern z właściwą sobie skwapliwością nerwową rzucił się na króla:

— Jesteś najjaśniejszy Panie — mówił mu — znienawidzony, trzymasz się tylko potęgą naszego oręża, więc albo przychyl się na naszą stronę, albo, jeżeli na to nie przystaniesz, cesarzowa pozbawi Cię swojej opieki, ja zaś wyjadę do Grodna, zabiorę z sobą wojsko i tam oczekiwać będę jej dalszych rozkazów!

Przerażony Poniatowski podpisał zobowiązanie, kończące się temi słowy:

— „Przyrzekam działać we wszystkiem zgodnie z wolą Jej Cesarskiej Mości, nie będę awansować naszych wspólnych przyjaciół bez Jej przyzwolenia, żadnych urzędów im

nie udzielę, w tem przekonaniu, że cesarzowa będzie jednomyślnie ze mną postępować, szczerze, z przynależnem mi uszanowaniem, czego się mam prawo spodziewać na podstawie zapewnień danych mi przez jej posła".

Zobowiązanie to miał Saldern trzymać w najgłębszej tajemnicy (co mu się wszakże nie udało), z warunkiem, że do niej przypuszczeni zostaną tylko hr. Orłów i Panin, i że wróci ową kartę fatalną Poniatowskiemu, natychmiast po uspokojeniu kraju; w końcu zaś że przyjaciół króla będzie traktować jak własnych przyjaciół, i w ciągu dni trzech zdejmie sekwestr z ich dóbr ziemskich.

Król podpisujący podobny dokument, musiał zbyt słabo trzymać się na tronie. Lekceważyły go państwa ościenne, nie lubili go właśnie poddani, pozwalając na podobne upokorzenie...

Poseł z kolei zaczął się zapoznawać z siłami, które miał do rozporządzenia. Przerażony był skargami na postępowanie wojsk rossyjskich, jakie go ze wszech stron kraju dochodziły. Wszystko to zwalał na barki Wejmarna, prosząc o przysłanie innego, a to Bibikowa albo Repnina, o którym pisał do cesarzowej:

— „Ośmielam się zapewnić, że znalazłem tu bardzo zmienione względem ks. Repnina usposobienia. Dawne uprzedzenia znikły, zastąpiło je powszechne poszanowanie, na jakie zasługuje ten zacny i szlachetny człowiek. Pragną tu nawet jego powrotu. Wszyscy których miałem sposobność poznać, tylko w przybyciu ks. Repnina, upatrują polepszenie dość draźliwych z wojskiem rossyjskiem stosunków".

I to wiele znaczący ustęp noty zgryźliwego, ale nie pozbawionego spostrzegawczych zdolności ambasadora... Chcielibyśmy wierzyć jego szczerości, gdyby... zbywało nam na dowodach, że ks. Repnin sam napierał się do Warszawy, że wzdychał do niej i tęsknił, że robił ofiarę z własnej miłości, gotów był nawet zająć poprzedniejsze stanowisko, zamiast posłem, zostać dowódzcą wojsk — byle dostać się do stolicy tej biednej i szarpanej niezgodami wewnętrznemi Rzeczpospolitej...

Wojska rossyjskiego liczono w Polsce 16.313 ludzi: 12.169 w Koronie, 3.812 w Litwie; nadto 316 artylerzystów i 74 dział. Rozpadało się ono na oddziały stałe i ruchome. Pierwsze w miastach pełniły garnizonową służbę i miały obowiązek utrzymywania ciągłej komunikacyi; oddziały zaś ruchome walczyły z konfederatami.

Wojsko nie podobało się Saldernowi. Żołnierze na leżach stawali się niedbałymi, bawili się nawet jak żydzi drobnym handlem. Rozdrażniło go to do wysokiego stopnia, układał więc nowe plany i spowiadał się z nich ciągle gabinetowi petersburskiemu.

— „Zajmę się na seryo wprowadzeniem lepszego porządku i urządzeniem lepszej policyi w stolicy i jej okolicach. Wcale mnie to nie obchodzi, czy się to podoba albo nie podoba królowi i miejscowym magnatom. Wypędzę z Warszawy werbowników konfederackich — rzecz niesłychana, a jednak od dwóch lat powtarzająca się ciągle! Nie pozwolę żeby rzucano kamieniami z dachów na patrole rossyjskie! Zuchwałość już do tego dochodzi, że niekiedy strzelają do nich. Nie będę tracić czasu na zanoszenie skarg do marszałka koronnego, znajduje on bowiem zawsze tysiące sposobów, żeby się wykręcić od oddania winnych w ręce sprawiedliwości. Prowadzenie wojny w Polsce także mi się nie podoba. Pierwszem naszem zadaniem jest zdobycie pozycyi — to jest miejscowości, kędy ważniejsze przepływają rzeki. Brak oficerów zdolnych do kierowania małemi oddziałami i ruchomemi komendami — nie do uwierzenia! Są wprawdzie między nimi ludzie odważni, ale nie stworzeni na przywódzców. Inni myślą tylko o zdobyciu grosza. Na zdolnościach i rozsądku oficerów jeneralnego sztabu polegać nie można. Co się tu robi dobrego, robi się tylko dzięki odwadze i dzielności żołnierza. Z wyjątkiem jenerała Suworowa i pułkownika Łopuchina, działalność innych dowódców na tem zależy, by od czasu do czasu dawać szczutka konfederatom. Po jednym, drugim takim szczutku, cofają się nasi ze zdobyczą, zabraną po drodze w majątkach drobnej szlachty, i powróciwszy na leże, jedzą i piją dopóty, dopóki

konfederaci nie zaczną się gromadzić na nowo. Bywały niejednokrotnie przykłady, że oficerowie rossyjscy zjeżdżali się ze związkowymi na umówione miejsce i hulali z nimi na dobre“...

Widzicie więc, że władza królewska do *minimum* była sprowadzona. Poniatowski pozbawiony przywileju rozdawnictwa, zadłużony, ubogi, nie miał poszanowania u obcych, miłości u swoich... Nigdy tak często nie płakał, jak podówczas... Z królewskości została mu tylko forma, treść przeniosła się do pałacu ambasadora.

Trochę wojska polskiego plątało się po kraju, pod sztandarem królewskim. Jan Klemens Branicki, hetman wielki koronny, dogorywający malkontent, stał po stronie ruchu. rozsyłał uniwersały, zacnęcające do protestacyi, ale już osobiście nie brał w niczem udziału; zgasł też bardzo prędko, we dwa tygodnie po klęsce pod Stołowiczami. Przyszły jego następca Franciszek Ksawery, kręcił się w okolicy Warszawy na czele 2000 ludzi, gotów rzucić się na związkowych, ale zawsze z warunkiem, by w asekuracyi kroczyły za nim sprzymierzone rossyjskie pułki.

W kijowskiem biwakował pan regimentarz Stempkowski. Sam on wprawdzie najloalniejsze żywił uczucia dla króla i jego sojuszników; tak dalece, że kiedy Rumiańców zrobił swemu rządowi uwagę, że dywizya ukraińska, rozkwaterowana na trakcie, łączącym Rossyę z zastępami walczącemi w Turcyi, może dla nich być niebezpieczną, to pan regimentarz dowiedziawszy się o tem, stawił się osobiście w obozie rossyjskim i w obec jego dowódcy, starego jenerała Essena, złożył nieledwie przysięgę wierności, dodając, że się natychmiast gotów usunąć z drogi w okolicę Chodorkowa i Brusiłowa.

Ale Stemkowski sam, w swojej osobie, nie reprezentował jeszcze całego oddziału. W wojsku brakło subordynacyi i spójni a zdemoralizowani podkomendni p. regimentarza, do wiązania się z konfederatami okazywali wielką ochotę. Na Litwie hetman Ogiński rozporządzał imponującą siłą, wahał się jednak, dawał ucho umizgom Salderna, ale też

jednocześnie lgnął do konfederatów, aż się w końcu ostatecznie *na ich stronę przychylił...*

Regaliści więc — jak łatwo z tego zawnioskować, reprezentowali w kraju mniejszość. Było to prawdziwe stronnictwo dworskie, w znaczeniu dzisiejszem, szlacheckiem. Składali się nań król i jego służba pałacowa; gorliwi dawniejsi doradcy z boku przypatrywali się wypadkom.

Najruchliwszą partyą w stolicy była owa gromada nieuczciwych handlarzy, mających własne przekonania do zbycia. Sybaryci, opoje i szulery stali teraz na pokładzie okrętu burzą miotanego... Między jedną a drugą ucztą, zwłaszcza, kiedy ta wypróżniła im kieszenie, kiedy na nową orgię brakło pieniędzy, zabierali się owi „synowie ojczyzny“ do układania projektów, jej „uspokojenie“ mających na względzie... Wśród białego dnia, z dumnie podniesionem czołem przechadzali się pośród tłumu, głosząc swoje niecne zasady. Nikt im nie oponował; obojętność, otępiałość, wywołana może brakiem wiary w możność pomyślnego rozwiązania sprawy, zamykała wszystkim usta...

Gorętsze duchy wymykały się w pole, do walki i do rady. I w polu bowiem jedni radzili a drudzy walczyli.

Rada — to generalność, a generalność — to uosobienie niesforności, kulminacyjny punkt rozprężenia. Najwyższa niby magistratura w kraju, a nawet stałej rezydencyi nie miała! Z początku pod Muszyną zawiązana, potem pod Giebułtowem zebrana, w końcu nieustannie przenosiła się do Preszowa, Cieszyna, Białej.

Członkowie jej, tułający się z miejsca na miejsce, walczyli z sobą o pierwszeństwo, o czcze tytuły, a zdobywszy je, poprzestawali już na tem, przepuszczając że marszałkostwo, czy regimentarstwo ozdobione ich nazwiskiem, zbawi sprawę, wysunie ją na widownię. Niepojętego dostrzegamy w tej gromadzie zjawiska! Każdy oddzielnie wzięty— a mówimy tu o wydatniejszych postaciach — to bohater, pełen poświęcenia — ale w zetknięciu z równymi sobie, na maryonetkę kłótliwą się przeobraża...

W końcu kobiety zaczęły brać udział w sporach, to-

czących się między członkami generalności; walka stronnicza schodziła na drogę komerażyków buduarowych, niemiłośnych wprawdzie, ale zawsze gorszących i godnych nagany. Ciągle tu spotykamy w tym czasie, w kole marszałków uwijającą się Mniszchównę, córkę Brühla, Ludwikę Cetnerową z domu Potocką, wojewodzinę bełzką; Jabłonowską urodzoną Sapieżankę, wojewodzinę bracławską i inne panie.

Generalność posiadająca swoich posłów przy niektórych doworach zagranicznych traci z kolei kredyt u obcych, traci go u swoich podkomendnych, na polu walki dobijających się swobód i niezależności.

Zobaczmyż — czy tam było więcej porządku?

Prawie wszystkie silniejsze oddziały związkowych w końńcu 1770 roku skoncetrowane były na Podgórzu. Stan się przedstawiał dość świetnie. Liczyły one przeszło 10.000 w swoich szeregach; taką cyfrę przynajmniej podaje Petrow, utrzymując atoli, że na spisach było wciągniętych 17.000. Z dowódców zjednali sobie rozgłos nie mały Kazimierz Pułaski, Józef Zaremba, Sawa Kaliński, Michał Walewski, Józef Miączyński, Szymon Kossakowski, Szyc, Mazowiecki, Lenartowicz i inni. Dumouriez przybywał z Francyi, minister tej ostatniej Choiseul sprzyjał konfederatom zasilając ich pieniędzmi.

Na początku 1771 r. należały do Barskich konfederatów Częstochowa, Tyniec, Lanckorona, Bobrek, Zamość; całe zaś prawie księstwo Zatorskie, Oświęcimskie, województwa Ruskie, Lubelskie, Sandomierskie i Krakowskie były pokryte siecią drobnych partyzanckich oddziałów.

Rossyjskie wojska podzielone były na kilka korpusów. Wejmarn bronił stolicy z przyległościami, Drewicz uganiał wzdłuż lewego brzegu Wisły, Suworow stał w Lublinie, Hejsman między Dunajcem i Sanem, Obsolewicz w Krakowie, Szyrków we Lwowie. Prócz tego małe załogi rosyjskie zajmowały Skawinę, Zator, Oświęcim, Niepołomice — w ogóle kotlinę Wisły na przestrzeni 100 werstw długiej, pasem mającym od dwóch do sześciu mil szerokości.

Walka rozpoczęta na całej linii, uwieńczona była sze-

regiem powodzeń. Nieprzyjaciel po kilkakroć kusił się daremnie o zdobycie Częstochowy; toż samo powtarzało się z innymi zameczkami, a nawet w polu miewali nieraz przewagę konfederaci.

Powoli jednak szczęście ich opuszczać zaczęło...

Pierwszym ciosem było usunięcie się Choiseula. Następca jego ks. d'Aiguillon obojętnie patrzył na ciężkie zapasy konfederatów.

Drugim ciosem było nieporozumienie między Dumouriez'em i polskimi przywódcami. Francuz, pyszałek, zarozumiały, nie pojmujący miejscowych stosunków, więcej nam szkodził niż pomagał. Intrygi jego ostatecznie rozluzowały resztę ładu między starszyzną wojującą, tak dalece, że pierwszy Pułaski dał przykład niesubordynacyi, bardzo zresztą zrozumiałej.

Naraz więc uchylała się pomoc jednej z potencyi zagranicznych, najbardziej sprzyjającej związkowym.

Poparcie z zewnątrz było nieprawidłowem zjawiskiem, ale że już raz na niem społeczność ówczesna polegać się przyzwyczaiła, brak więc tego poparcia oddziaływał niekorzystnie.

Zatem poszły i inne na polu walki niepowodzenia.

Jednem z najdotkliwszych — to rozbicie Sawy.

Józef Sawa Kaliński, syn pułkownika nadwornych kozaków, dzielny partyzant, jeszcze w 1770 roku rozproszony przez Branickiego pod Wyszkowem, w kwietniu następnego roku, został pod Szreńskiem zniesiony przez Suworowa. — Ranny, ze strzaskaną nogą, ratował się ucieczką, ale odkryty, sprowadzony do Prasnysza, a w kilka dni potem zabili go żołnierze rossyjscy (tak przynajmniej utrzymuje p. Petrow), nie mogli mu bowiem przebaczyć, że będąc kozakiem, walczył po stronie polskiej.

W maju nastąpiło rozproszenie oddziału Dumourieza pod Lanckoroną. Według źródeł rossyjskich, stracili tam związkowi przeszło 700 ludzi i kilku zdolniejszych dowódców.

Jednocześnie prawie, rozpoczęły się podjazdowe utarczki między Pułaskim i Suworowem. Trwały dni kilkanaście,

a chociaż p. Kazimierz cudów odwagi dokazywał w obrotach nieustannych, to ścigany, to znowu napadający, chociaż budził podziw rossyjskiego dowódcy, tak, że ten w raportach do władz wyższych rozpisywał się o tem — ale w końcu osłabiony, znękany, utraciwszy sporo ludzi, musiał się zamknąć w Częstochowskim zameczku.

Z kolei na widownię walki występował Szyc, na czele 600 huzarów. W czerwcu podniósł się od granicy węgierskicj z zamiarem przedarcia się na Litwę. Alianci wysłali na jego spotkanie kilka ruchomych oddziałów, z podpułkownikiem Szylingiem z pod Zamościa, z majorem Fochtem z Łucka i podpułkownikiem Stakelbergiem z Kobrynia. Szyc jednak nie bacząc na grożące mu niebezpieczeństwo, powędrował naprzód, zmieniwszy tylko pierwiastkową marszrutę. Dostał się do Krystynopola, potem do Horochowa na Wołyniu; ztamtąd, zewsząd otoczony, cofać się już zaczął.

Kilkadziesiąt mil przed sobą miał do zrobienia, by się wydostać z niebezpieczeństwa. Wszystkie przeprawy na Bugu zastał zajęte przez nieprzyjaciela, przebył jednak rzekę w Slepczu. Dziesięć razy zbliżał się na brzeg, dziesięć razy ucierał się z placówkami rossyjskiemi, nim mu się udało przezwyciężyć zaporę; stracił wszystkich niemal ludzi. Oddział jego należycie uorganizowany, rozpływał się i topniał, tak że dowódca, ledwie z garstką z kilku wiernych złożoną, wycofał się w góry węgierskie. Zejść musiał z pola; wszelkie jednak starania przeciwnika, podjęte z celem jego pojmania, nie powiodły się wcale.

Partyzancka wędrówka Szyca należała do najświetniejszych w tym roku. Jeden Pułaski górował nad nim śmiałością obrotów, rzutkością i tym szczególnym darem nie upadania na duchu w najkrytyczniejszej chwili. Szyc wygląda w raportach rossyjskich jak zwierz osaczony w kniei, od pierwszego podniesienia się z legowiska. Trudno sobie nawet wyobrazić — ile tu okazano energii, przezorności i odwagi! Ale że wszystko to było bez planu naprzód zakreślonego, więc pozostało tylko jako wspomnienie brawury i na-

daje się może do romansu, do poematu, ale związkowym nie przyniosło żadnej korzyści...

I małe oddziały Łubieńskiego, Lenartowicza i Rudnickiego rozbite zostały w tym czasie. Największą jednak klęską był pogrom hetmana Ogińskiego pod Stołowiczami, w nocy z 22 na 23 września. Kilka tysięcy wojska poszło w rozsypkę, na placu zostało 100 poległych, 500 dostało się do niewoli; nieprzyjaciel zabrał 12 dział, 50.000 dukatów i bardzo ważne papiery.

Przybycie Viomenila i 100 oficerów francuzkich, nie poprawiło sprawy, dowódca bowiem zamknął się z generalnością w Cieszynie, i ztamtąd dawał rozkazy, których nie słuchano wcale, a wskutek tego „nieporozumienia między starszyzną odżyły na nowo w całej sile; zaraz też wzmogła się niesubordynacya a nieład dawniejszy wkradł się w szeregi i spowodował znowu nowe łupieztwa, z których wojsko niepłatne nawykło się było utrzymywać. Odosobnienie zaś oddziałów porozrzucanych na znacznej przestrzeni, sprzyjało niekarności i pomnażało jedynie wszelkie wybryki i nadużycia, o których rozumiano, że już na zawsze ustały“.

Tak mówi Kaczkowski, najpobłażliwszy historyograf konfederacyi. Nazywając jednak rzecz po imieniu, wyznać potrzeba, że każdy marszałek powiatowy był u siebie nieograniczonym królikiem, każdy dowódzca oddziału hetmanem... I namnożyło się tyle Rzeczypospolitych, ile powiatów, tyle najwyższych wodzów, ile partyi wojujących. Generalność — to sejm nieustający z swarliwością najniespokojniejszym sejmom właściwą, choć pozbawiony *liberum veto;* sejm z sekretarzem, osobą nielada jakiego znaczenia — skoro Bartoszewicz nazywa Ignacego Bohusza, owego sekretarza, „opatrznością“ konfederacyi, nie bacząc na to, że się odznaczał dumą i impozycyą. Walczyć językiem było żywiołem Bohusza, drugą nieledwie naturą; przedtem z *familią* prowadził bój zażarty, potem z królem, a w końcu z marszałkami tejże generalności, przy której sekretarzował...

W takim stanie były rzeczy w jesieni 1771 r.

Nie wesoło, jak widzicie, przedstawiała się sytuacya.

Tysiące obrońców legło na polu bitwy, a w ich liczbie kilku zdolnych dowódców, jak n. p. Sawa i major Zakrzewski pod Szreńskiem, marszałkowie Sapieha i Oskierko pod Lanckoroną; innych tysiące poszły na wygnanie, a między nimi pułkownik Wessel, kapitanowie Klejst i Zieliński, Lasocki i Miączyński. Szyc się usunął z pola walki, Ogiński także chwilowo z niej zeszedł, Zaremba już się wahać poczynał.

Zostali tylko Kazimierz Pułaski w Częstochowej, Michał Walewski na Podgórzu i nieustraszony Szymon Kossakowski, uganiający ciągle po kraju. O drobiazgu nie wspominamy, bo na pamięć potomności nie zasłużył.

Każdy łatwo zrozumie, że takie położenie mogło obudzić w sercu najobojętniejszych obywateli niepokój i trwogę. Projekt podziału występował na widownię, rozprawiano o nim nieledwie publicznie. Trzeci rok już dobiegał od czasu, jak Polskę szarpała walka bratobójcza. Król nie posiadał sympatyi, większość na barki jego waliła wszystkie winy a sztandar wolności, ów sztandar republikański, chylił się ku upadkowi.

A jednak Rzeczpospolitę ratować potrzeba, choćby własnego życia ofiarą. Tak myśleli gorętsi, po swojemu też brali się do podźwignienia kraju upadającego w kilkoletniej walce.

II.

Do rzędu marzycieli rojących o ratunku rychłym a pewnym, należał i Stanisław Strawiński. Mieszkał w województwie Trockiem, w owych lasach zaniemeńskich, przytykających do granicy pruskiej, a ochrzczonych nazwą traktatu zapuszczańskiego.

Stary to ród ci Strawińscy herbu Sulima — sporo rozrośnięty, a wzniósł się był nawet na wyżyny senatorskie. Marcin kasztelanował w Mińsku (1587- 1595), Balcer był tamże wojewodą (1620—1623). Po zawarciu Polanowskiego przymierza, kiedy Czernichów, Siewierz i Smoleńsk zostały wrócone Polsce, Strawińscy przybywają na kresy, biorą urzęda Starodubowskie; a wszystko to synowie Krzysztofa, sędziego trockiego, brata tylko co wspomnianego senatora.

Błogosławił Pan domowi, sędzia miał siedmiu synów. Ojcowizna pokrajana na dzielnice nie wystarczała, należało szukać gdzieindziej szczęścia. Za Dnieprem leżała nowa ziemia na ścieżaj dla chętnych a uczciwych otwarta; na pustkowiach łatwo zdobyć i znaczenie i majątek. Jakoż synowie Krzysztofa osiadają w Starodubie i biorą urzęda powiatowe. Najstarszy Kazimierz został na miejscu, jako koniuszy trocki, ale młodsi już w Czerniechowskim kwitną. — Karol jest podkomorzym starodubowskim, pułkownikiem milicyi miejscowej, walczy z kozakami kraj zalewającymi

i składa głowę w tej walce; Zbigniew jest sędzią starodubowskim, Maksymilian stolnikiem tamże.

Wiadomo, że na mocy Andruszowskiego przymierza, Polska ustąpić musiała znowu z niedawnych nabytków. Strawińscy przenieśli się na Litwę, ale nie wyrzekli się tytułów. Wnukowie i prawnukowie Krzysztofa, mianują się, jeden chorążym starodubowskim, drugi stolnikiem, trzeci — wojskim. Stanisław praprawnuk owych na kresy wychodźców, wierny tradycyom rodu, zdobywa sobie rotmistrzostwo starodubowskie, choć miasto od którego nazwy zapożycza, już przeszło od wieku do innego państwa należy...

Strawiński wychował się i wyrósł na Litwie.

Nieprzetrzebione a olbrzymie bory litewskie, rzucone po za szlakami cywilizacyi, najdłużej pielęgnowały stare przekonania. Życie tam płynęło cichym strumieniem; nowe idee, nowe poglądy, a z niemi i nowe zepsucie, nie miały przystępu do ubogich osad, w których patryarchalny obyczaj w całej się dochował czystości.

Kmieć był stosunkowo wolniejszym, niźli gdzieindziej, broniła go bowiem przeciw ciemięztwu dziedzica głucha i tajemnicza puszcza, jemu tylko, jako dobrze z jej topografią obeznanemu, nie straszna... Prześladowany, tonął w lasach na zawsze; unosząc z sobą strzelbinę powiązaną sznurkiem, kilka garści prochu, trochę ołowiu i odłamek krzemienia z nastalonem żelazem; wstrzemięźliwy, niewybredny, wytrwały, rzucał się odważnie w zarośla, po za ubogim ogrodem jego domostwa rosnące... Puszcza go wdzięcznie przytulała do siebie, nastręczając sporo materyału do wyżywienia; ptactwo, grzyby, dzikie jagody, gruby zwierz i ryby w licznych rzeczułkach, zapewniały mu życie.

To też mieszkaniec tych leśnych ostępów, zawsze milczący, zamknięty w sobie, cichy, pokorny, do buntu nie skory, ustępował wobec przemocy, usuwał się z drogi przed gwałtem, a przyciśnięty do muru, nie bronił się nawet, w toniach raczej jeziora, na dnie jego szukając uspokojenia, którego mu ziemia nie dała. Coś z dawnej wiary w Perkuna tkwiło w jego naturze!

Kozacy Chmielnickiego nie wiele tu wskórać mogli. — Wprawdzie mieszczanie nastawiali ucha ich namowom, dawali wiarę poszeptom o wolności — ale to już więcej w osadach przez Białorusinów zamieszkanych, jak Pińsk, Czarnobyl, Mozyr, Mohylów nad Dnieprem, które były w chwilowem posiadaniu watażki ukrainnego.

Jakże inaczej wyglądał stepów mieszkaniec! Potomek dawnych Połowców i Czerkiesów, na pół dziki już z powodu ciągłego ocierania się z barbarzyńcami, wiecznie niezadowolony, wrzaskliwy, butny, z przechwałką na ustach a zdradą w sercu, burzący się przeciw Bogu samemu, kiedy się z jarzma ludzkiego już uwolnić potrafił...

Rozrzutny, ruchliwy, koczujący; przyrosły jak Arab do konia, dziś tu, jutro o kilkadziesiąt mil dalej; tradycyi ani śladu, poszanowania dla przeszłości — żadnego, teraźniejszość dla niego wszystkiem... Mściwy, podejrzliwy, gotów użyć podstępu dla obalenia przeciwnika, a obaliwszy raz, dobijał go z krwią najzimniejszą, owe bowiem wzniosłe uczucie przebaczenia nieznanem mu było wcale...

Szlachta osiadła pośród gminu, choć stan rycerski reprezentowała, mimowoli przyjmowała obyczaj i nawyknienia swojego otoczenia, bo stosować się do niego konieczność nakazywała. Burzliwy kresowiec przeniosłszy się do puszcz litewskich, musiał się nałamać do obyczaju miejscowego, musiał osiedlić się stale, wyrzec „burłaczego“ życia pod klątwą najzupełniejszego niepowodzenia, tak znowu jak Litwin zginąłby w pierwszym dniu na stepie, gdyby się nie rozstał ze swojem kontemplacyjnem usposobieniem...

W puszczy żyli ludzie inaczej — na stepie inaczej...

Tam karność płynęła we krwi. Tu swawola i nieposłuszeństwo były głównemi cechami.

Na Litwie przywiązanie do zagonu ogromne; drobne majątki szlacheckie całe stulecia trzymały się jednej rodziny; kmieć znosił biedę największą, aby tylko nie opuścić domowego ogniska.

Na Ukrainie olbrzymie fortuny kilkadziesiąt lat zaledwie zostawały w jednem ręku. Rody całe gasły, kładąc

się na wieczny na pobojowiskach spoczynek... Koniecpolscy najdłużej przetrwali, bo półtora wieku — spuścizna po Ostrogskich, owa ordynacya, w ciągu lat stu przeszła od Zasławskich do Lubomirskich, od Lubomirskich do Sanguszków. Kalinowscy wznieśli się i zgaśli w lat 80 najwięcej; Daniłowicze Żółkiewscy, w środkowych województwach Rzeczypospolitej długo kwitli, ale raz spłynąwszy na kresy, w pół wieku niespełna już ich nie było.

W przeszłem stuleciu większa część województwa podolskiego i bracławskiego należała do Potockich, mniejsza do Lubomirskich; ceniąc majątki samego Szczęsnego Stanisława, według dzisiejszej skali, wynosiły one do 200,000.000 złotych... Obecnie obie te fortuny olbrzymie rozpłynęły się zupełnie!

Tak ginęli panowie, a cóż mówić o drobiazgu?... Gasł niepostrzeżenie, fortuna *in statu quo* ledwie się kilka lat trzymała; jeżeli nie rosła, to już upadła zupełnie... Chorodowscy, Papiezcy, Dyakowscy, Bajbusowie, Gosławscy, Nowodworscy, Świerszcze, Kierdeje, Czuryłowie i t. d. wymarli jeszcze w XVII. stuleciu.

Otoczenie więc, jakeśmy to powiedzieli wyżej, oddziaływało na stan uprzywilejowany, a gmin wpływał nań tem bardziej, im bardziej szlachcic na czele gminu stojący, nie czerpał ze skarbnicy wiedzy, nie ciągnął soków pożywnych od wierzchu, słowem — im bardziej zrywał węzły łączące go ze światem cywilizowanym.

Szlachcic litewski był jak kmieć tamtejszy, zamknięty w sobie i milczący, kiedy ziemianin od kresów wrzaskliwy i w nieustannym lubujący się ruchu. Tam dzikość była wynikiem samotności, tutaj skutkiem obcowania z dziczą Samotność litewska do sekciarstwa usposabiała, a choć nowatorstwo szczepiło się tam z trudnością, to raz przyjęte, trwało długie lata, przechowało się do dzisiaj nawet. Żydzi litewscy, naród będący uosobieniem konserwatyzmu, rozpadali się na rozmaite kulty, na Karaimów „chabadników“ i t. p.

Na kresach przekonania religijne nie znaczyły nic, albo przynajmniej bardzo nie wiele. Katolicyzm, czy unia, czy

wschodni obrządek — to suknia, którą nakładano w razie potrzeby, a rzucano w kąt, kiedy do użytku już służyć nie mogła. Jan Potocki wyłożył sporo pieniędzy na akademię kalwińską w Paniowcach — zwolenników jednak nie znalazł. Lud gromadnie przyjmował islamizm po zajęciu Ukrainy przez Ottomanów; „poturmaczył się“ bez protestacyi, unia jednym podmuchem zniesioną została w 1793 — 1795 roku. Frank, sekciarz żydowski, podniósłszy sztandar nowo-izraelski, na Podolu, musiał aż we Lwowie, Lublinie, Warszawie, potem w środkowych Niemczech szukać zwolenników — tu na kresach ich nie miał.

Na Litwie możnowładca zdobywał sobie przewagę mozolnie, ale raz ją zdobywszy, mógł zasypiać na laurach, przekazać ją nawet w spadku, bo liczył na ogół. To nam tłómaczy to niezachwiane, bezwarunkowe poświęcenie drobnych ziemian dla księcia *Panie Kochanku*, który wcale nie kwalifikował się na przywódcę stronnictwa. Tak samo i z gminem; gdy się komu oddawał, to już na zawsze; toż przecie władze, pomimo ciągłych poszukiwań, nie mogły pochwycić oboźnego litewskiego Prozora, w czasie kościuszkowskiej rewolucyi, choć wiedziały na pewne, że się w kraju ukrywa, a nie mogły dlatego, że po stronie jego stały owe białe, kmiece sukmany, wytrwale a energicznie zasłaniające swego *panoczka*.

Szlachta ukrainna nie miała stałych przekonań, z łatwością przerzucała się z obozu do obozu. Wojewoda kijowski, głęboki znawca serc współbraci, skarbił je sobie wytrwale, przez całe życie; a czuwać nieustannie musiał, aby mu się te serca, z taką forsą jednane, nie wymykały. Wojewoda ruski, wielki swego czasu statysta, był tego zdania, że tylko kształcąc człowieka od dzieciństwa, można go na swoje urobić kopyto; to też miał oko na młodzież, oddawał ją do szkół, protegował, wspierał nieustannie, synowi ten plan zostawił w spuściznie i tylko tą drogą ród Czartoryskich dorobił się u nas tak wielkiego wpływu. O gminie nie ma już mowy, ten się nie dał nigdy ująć w karną gromadę, pierwszy opryszek, pierwszy lepszy zbieg z pod szu-

bienicy, więcej znaczył u niego od najuczciwszego, najhumanitarniejszemi zasadami przejętego ziemianina. Boga by nie słuchał, gdyby Bóg był jego panem...

Tych kilka rysów uważaliśmy za potrzebne przytoczyć, by należycie zrozumieć Strawińskiego. Nie piszemy powieści, nie kusimy się nawet o to, wobec tak znanego *Listopada* Rzewuskiego — chcemy tu tylko podać genezę tego zamachu, który nazwisko rotmistrza starodubowskiego przekazał potomności, tembardziej, że w powieści posiadającej wysokie artystyczne zalety, autor pozwolił sobie odstąpić od prawdy.

Pan Stanisław był mieszkańcem puszcz i razem rotmistrzem stepowym, a choć z tytułu tylko, ale z tym tytułem tradycye wyniesione z kresów przez jego antecesorów, dochowały się w nim z niepokalaną czystością...

Dwie natury zespoliły się w tym człowieku: wytrwałość litewska, przywiązanie do starego obyczaju z ruchliwością stepowca, z determinacyą ukrainną. Tylko taki człowiek mógł przyjąć na siebie pewne posłannictwo i doprowadzić je do skutku, pośród społeczności polskiej wcale nie skłonnej do dochowania tajemnicy... Otwartość bowiem aż do paplaniny, była jej cechą najgłówniejszą.

Strawiński liczył przeszło lat trzydzieści i był kawalerem; nic o jego serdecznych stosunkach nie wiemy. Posiadał małą wioskę zasuniętą w bory litewskie i żywot w niej pędził samotny, surowy, klasztorny niemal. Służył przedtem wojskowo, do konia i do trudów obozowych miał też nawyknienia niemało... Ale między pacierzem a zabiegami około roli, dużo mu jeszcze czasu pozostawało na rozmyślanie... W kraju od lat wielu ospałym i omdlewającym w nierządzie, zaczął się objawiać pewien ruch protestacyjny. Barszczanie podnieśli sztandar, a na nim obok krzyża republikanizm, obok panowania religii, poszanowanie starych form, starego porządku...

Rotmistrzowi zadrgało serce na wiadomość o tych zamiarach. Wychylił się z puszczy, nasłuchiwał... Litwa mało

jeszcze dawała oznak życia, jakby w niej brakło współczucia dla protestujących.

Dochodziły go wieści głuche, że na południu Polski, na granicy samej biją się ludzie pod znakiem Barskim. — Gdzie ten Bar?... Gdzie ci rycerze?... Nim się rotmistrz dowiedział, nim dostał języka, walka umilkła, malkontenci wyparci, poszli na wygnanie...

Aż tu znowu wiązać się zaczynają gdzieindziej! Płomień zażegnany nad Dniestrem, podnosi się na Podgórzu, rozrasta się i groźnie wybucha... Król, dwór, cała zgraja liberyjnych służalców, starała się przed powszechnością odmalować spisek barski, jako krnąbrną swawolę kilku nieprzejednanych, i udało się im to nawet od biedy, tem bardziej, że Barszczan odcięto od kraju długim kordonem wojsk „alianckich,“ przez które zbyt trudno było się przedrzeć. Ale sztandar zatknięty na Podgórzu—to co innego! W środku niemal Korony, pod samem jej sercem, bijącem tak gorąco, kochającem tak szczerze! Wesselowska organizacya już się prędko rozkrzewiła po kraju, dotarła do wszystkich Litwy zakątków, a pod samotną strzechę rotmistrza starodubowskiego zawędrowała może w zbyt przesadnych wieściach, zbyt czarno malujących przeciwników. Jak raniony odyniec, podniósł się Strawiński. Ojczyzna w niebezpieczeństwie! Dla tych ludzi gorąco miłujących, niezarażonych egoizmem, było dość tego hasła, by się oddali na usługi kraju!

Skończyć wypadało naprzód rachunki własne. Więc wioskę oddaje sąsiadowi, grosz za nią zdobyty do trzosa chowa, do bliskiego kościołka wstępuje po błogosławieństwo, może i na cmentarz, aby się na mogiłach rodziców pomodlić, i z węgrzynkiem, stanowiącym cały jego poczet zbrojny, puszcza się w świat...

Dokąd się ma udać?...

Na południe — tam się przecież biją w imię swobód starych.

Nie dziwiła sąsiadów podobna wędrówka. Społeczność patrzała na nią, jako na rzecz powszednią. Nie jeden rotmistrz starodubowski dążył na zagrożone stanowisko, i star-

szyzna litewska przedzierała się na pole popisów bojowych. Przecie Oskierko i Sapieha złożyli głowy pod Lanckoroną; ażeby umrzeć walecznie, musieli od Mozyra i Mohylewa spieszyć aż pod Kraków. Drugi Sapieha, wojewoda smoleński, leciwy już człowiek, ów przed trzydziestą z górą laty popisujący się jako elegancki kawaler na dworze rosyjskim, także dążył na Podgórze, ale i jego w drodze śmierć zaskoczyła.

Rotmistrz najprzód jechał do Warszawy. Tam się najłatwiej dowiedzieć o wszystkiem. Czem bardziej zbliżał się do stolicy, tem większą spotykał ruinę i zniszczenie. Pola leżały odłogiem, dwory ziemian stały pustką, lud wystraszony, drobiazg szlachecki tylko dotrwał na stanowisku, ale niechętny, narzekający...

— Któż sprawcą tej niedoli? — pytał.

— Król — odpowiadano mu zewsząd.

W pierwszej chwili rotmistrz nie chciał wierzyć temu. Majestat królewski, tam, w tych puszczaeh w całą wspaniałość i powagę przystrajała wyobraźnia; ogół daleko od stolicy osiadły, uważał Poniatowskiego za pomazańca Bożego, ale tutaj w pobliżu Warszawy w przekonaniu drobnej szlachty był on winowajcą, nieledwie zbrodniarzem...

— Króla nam narzucono! — wołała szlachecka rzesza — dopóty spokoju nie zaznamy, póki on będzie na tronie.

— Ale jakże się targnąć na króla?... czy prawa Boskie pozwolą?

— Kiedyż on nie jest już królem, generalność go detronizowała!

— Dawniej jeszcze — dodawali znajomi — Bierzyński, potem Dzierżanowski, potem marszałek warszawski Tressemberg, chcieli go pochwycić i przewieść do obozu konfederatów, ale im się to nie udało...

— Przy chęciach i ostrożności, może się wszystko udać — pomyślał Strawiński.

I odtąd projekt zamachu na swobodę osobistą Poniatowskiego opanował mu myśl całą i nie dał ani chwili spoczynku.

Jak monoman nosił się z nim wszędzie, nie mógł uciec od niego.

Wreszcie uwierzył, że w uskutecznieniu jego leżało zbawienie dla Polski. O sobie nie myślał wcale; wiedział, że w wypadku niepowodzenia życiem zapłaci, ale cóż to życie warte bez ojczyzny swobodnej i szczęśliwej? a swobodnej i szczęśliwej z Poniatowskim na tronie nie wyobrażał już sobie.

Rzewuski i Wojcicki utrzymują, że Strawiński doręczył akt detronizacyi Stanisławowi Augustowi i korzystając ze zręczności, ukryć się w tłumie potrafił. Nie mamy na to żadnych dowodów; pierwszemu to było potrzebne dla większego effektu, pisał bowiem romans, drugi przeniósł ten romans do historyi.

To wszakże pewna, że już na rok prawie przed zamachem, w listopadzie 1770 r., Strawiński często do królewskiego pałacu przychodził, rozpatrywał się we wszystkiem, nasłuchiwał, a raz nawet podczas takich oględzin, zwrócił na siebie uwagę Ryksa, kamerdynera Jego Królewskiej Mości. Tłómacząc się przed nim, zwalał ciekawość na biedę.

— Ubogi jestem — mówił — o wsparcie przyszedłem prosić Najjaśniejszego Pana!

Poniatowski dowiedziawszy się o tem, wysłał mu dziesięć dukatów.

I w mieście robił Strawiński poszukiwania. Warszawa liczyła wówczas 300 przeszło spiskowców, t. j. czynnych członków konfederacyi. Niechęć dla Stanisława Augusta i tu była powszechną; król przyjaciół miał mało, na prawdziwych nawet zbywało mu zupełnie. Nie mówimy tu o orszaku dworzan, który ze względu osobistych korzyści, trzymał się klamki pańskiej, a że mu z tem dobrze było, więc nie odstępował swego chlebodawcy. Rodzina zajmowała stanowisko wyczekujące. Czartoryscy, wojewoda ruski i kanclerz litewski, obaj starcy, wiekiem pochyleni, pierwszy liczył podówczas 73, drugi 74 lat, nieprzychylni w początkach związkowym, znękani, siedzieli teraz cicho, bo i ambasador rossyjski ich nie oszczędzał. Kanclerz nawet chorował ciężko i długo;

wujowie więc nie pocieszali króla w nieszczęściu, młodszy zbywał go milczeniem, starszy często dotkliwem szyderstwem. Siostry rodzone koleją wypadków dostały się do przeciwnego obozu; Izabela Branicka, doglądała dogorywającego męża, korespondowała z Mokronowskim, który w Paryżu gardłował ze związkowymi; starsza, Ludwika Zamojska, przesiadywała w Lublinie, a mąż jej wojewoda podolski, ciągle się z generalnością komunikował.

Brat cioteczny króla, generał ziem podolskich, podróżował wówczas po Europie. Żona jego mieszkała w Warszawie, a Poniatowski odwiedzał ją często, jak równie Elżbietę Lubomirską, żonę Stanisława marszałka koronnego, szukając wytchnienia po troskach i zbyt upokarzających z ambasadorem rozmowach. Druga siostra cioteczna, kanclerzanka, wówczas już *secundo voto* Ogińska mieszkała na Litwie. Z rodzonych braci, jeden Kazimierz nie opuszczał Warszawy, ale cóż po tem? Ani do tańca ani do różańca, słabą pomocą był książę podkomorzy, choć jak niżej zobaczymy, on jeden w ciężkiej chwili rąk nie opuścił.

Strawiński rozpatrzywszy się w miejscowych stosunkach, nabrał pewności, że króla łatwo uprowadzić zdoła, szło mu jeszcze o aprobatę tego kroku u władz związkowych i o pewnych wspólników.

Zaczął się więc rotmistrz starać o jedno, a szukać drugich.

Z tym celem osiadł w okolicy Zakroczymia, we wsi Boguszynie. Dzierżawca boguszyńskiego klucza, dawny znajomy rotmistrza, wyjeżdżał do Gdańska, prosił więc Strawińskiego, by doglądał gospodarstwa w czasie jego nieobecności.

Rok prawie cały spędził Strawiński w Boguszynie, robiąc ztąd ciągłe wycieczki do stolicy a jeszcze częstsze po kraju. Z materyałów, jakie mamy pod ręką, łatwo się przekonać, że zaglądał do Tyńca, do Lanckorony, do Białej i Cieszyna, gdzie generalność miała swoją rezydencyę. Chciał się może wynurzyć z projektem, ale w zameczkach zastał ludzi tylko gotowych do walki, a nie nadających się do kon-

spiracyi, w kole zaś marszałków związkowych, gadułów i krzykaczy warcholących się o czcze formułki. Traktowali oni obojętnie przybyszów, a sporo ich się tutaj kręciło — prawie bez wyjątku sami awanturnicy, o własnych tylko marzący korzyściach.

Odjechał więc z niczem.

Z Białej udał się w Wyszogrodzkie, gdzie marszałkował Ciechorowski, człowiek miękki i łatwowierny. Następnie zaglądnął Strawiński do Czerwińska i do Zakroczymia — tu znowu Zembrzuski przyjął go obojętnie, ale za to podkomendny jego Łukawski przypadł mu do serca. Czy się zwierzył przed Łukawskim z projektu już wtedy? Powiedzieć nie potrafimy; najprawdopodobniej że nie, choć odtąd ludzie ci już są prawie ciągle razem.

Szło z kolei o aprobatę.

Po długim namyśle pojechał Strawiński do Częstochowy. Na czele garstki walczących stał tam Kazimierz Pułaski. Drobiazg szlachecki a także bracia szeregowi w nim jednym pokładali nadzieję — on bowiem całego siebie poświęcił poślubionej sprawie. Po przybyciu na Jasnągórę, rotmistrz starodubowski najprzód złozył hołd Przenajświętszej Panience; długo się modlił, krzyżem leżał, nawet do spowiedzi przystępował, słowem, „czynił dewocyę“ nim się udał do komendanta twierdzy. W kilku słowach opowiedział mu rzecz całą. Obowiązywał się pochwycić króla i przywieźć go na Jasnągórę.

— Cóż tu z nim zrobimy? — zawołał Kosmowski, jeden z oficerów przytomnych rozmowie — wolałbym mu od razu w łeb wypalić.

Pułaski skarcił kolegę i tak się odezwał:

— „W obecnych okolicznościach śmierć króla byłaby nieużyteczną, a nawet niebezpieczną, bo konfederacya nie jest dość potężna, aby swobodnie tronem rozporządzać mogła“.

Potem wyszedł z izby, zostawując Strawińskiego w towarzystwie podkomendnych.

Rotmistrz zabawił w Częstochowej kilka dni, a może i po kilkakroć tam zaglądał, choć na to dowodów nie mamy —

dość, że potrafił przekonać Pułaskiego. Nastąpiły układy, naradzano się, jak zamiar przyprowadzić do skutku? Strawiński wymotywował swoje żądanie w ten sposób: Potrzebował najpierw „patentu“, który by go upoważniał do zbierania zaciągu, pieniądze zaś na ten cel posiadał własne, ze sprzedaży kawałka ziemi na Litwie. Żądał dalej ordynansu na imię jednej z sąsiednich komend; a w końcu zastrzegł sobie, aby dowódzca wystawił potrzebne placówki po drodze z Warszawy do Częstochowy, z pewną liczbą luźnych koni, dla przewiezienia i eskortowania wysokiego więźnia.

Pułaski zgodził się na wszystko.

— „Nic ci nie przepisuję — mówił przy pożegnaniu — ale jeżeli wykonasz zamysł, należy oszczędzać życie Poniatowskiego i uczciwie z nim się obchodzić“.

— „Nie mam zamiaru — odrzekł Strawiński — zabić go, bo gdybym go miał, jużbym dwadzieścia razy znalazł sposobność, ale nie chciałem dać Polsce przykładu dotąd nieznanego. Wtenczas chybaby musiało to nastąpić, gdybyśmy nie mogli z nim uciec przed pogonią“.

— W takim wypadku — przerwał mu Pułaski — posłalibyście trębacza z upomnieniem, aby was nie goniono, jeżeli król ma zostać przy życiu“.

Na tem się rozmowa skończyła.

Strawiński opuścił Jasnogórską warownię 15 sierpnia 1771 roku, zapewniony, że znajdzie pomoc żądaną.

III.

Szło teraz o powiększenie liczby współtowarzyszów.

Strawiński uderzył najprzód z ordynansem do Wyszogrodu, komenda jednak marszałka Ciechorowskiego, rozprószona przez nieprzyjaciela, nie mogła się stawić na jego rozkazy. Odwiedziny nie były wszakże bez korzyści, zapoznał się tu bowiem z bawiącym w gościnie u naczelnika związkowego, Janem Kuźmą.

Młodzian ten, raz nazywany Kosińskim, to znowu Kuźmińskim (co prawdopodobniejsze) liczył wówczas lat 29. Niegdyś masztalerz jenerała Wodzickiego, potem towarzysz kawaleryi narodowej, kolega Sawy, teraz porucznik związkowy, „plejzerowany srodze“ pod Szreńskiem, dostał się do Tyńca, zkąd wygoiwszy się z ran, przybył do Wyszogrodu. Szukał losu, a choć karyera wojskowa szła mu niesporo, o innej nawet nie marzył, umiał bowiem niewiele, gdyż ze szkół jezuickich, już i tak skąpo światła udzielających, wymknął się przed czasem. Chętnie więc przyjął propozycyę rotmistrza starodubowskiego, „człeka nigdy sobie nieznanego, z ordynansami wyższej komendy 40 ludzi, pod komendę jego oddać dysponującymi“.

Pochlebiał Kuźmie stosunek z człowiekiem wpływowym; sam przecie Pułaski polecał go marszałkom związkowym, w Wyszogrodzie, Czerwińsku i Zakroczymiu, upoważniał do robienia zaciągu; pochlebiał tem bardziej, że rot-

mistrz „przyobiecał Kuźmie szarżę w wojsku, aby tylko przy nim był i rozkazom, nie wymieniając jakim, dosyć czynił“. To też Kosiński, na mocy tej obietnicy, już w połowie września stawił się w Boguszynie.

Strawiński tymczasem próbował szczęścia w Zakroczymiu, ale go marszałek Zambrzuski jak przybłędę traktował, za to Łukawski ściślej się jeszcze z nim związał, może dla tego, żeby dopiec dowódcy, z którym w nienajlepszej zgodzie zostawał.

Walenty Łukawski, bo o nim tu słów kilka należy powiedzieć, herbu Nieczuja, pochodził z drobnej szlachty w Podlaskiem osiadłej. Młody jeszcze, dowiedziawszy się o zawiązaniu konfederacyi, rycerskim obyczajem siadł na koń, nie bacząc na to, że się ożenił niedawno z Maryanną z Mendeńskich, że mu się szczęście domowe uśmiechało. Żonę wysłał do Warszawy, a sam zaczął uganiać za regalistami; bił się dzielnie i generalność podniosła go wkrótce do stopnia rotmistrza zakroczymskiego.

Dywizya jego liczyła sto ludzi wypróbowanych i animuszu pełnych. Często gęsto brakło walczącym chleba i furażu, musieli więc z „przymusową egzekucyą“ występować, przyczem nie obeszło się bez rabunku. Komenda Łukawskiego napadła na dom Sułkowskiego, ubogiego szlachcica pod Zakroczymiem, i zabrała mu wszystko. Poszkodowany dowiedział się, że żona rotmistrza mieszka w Warszawie, nękał ją, straszył, nadchodził — tak że biedna kobieta, Bogu ducha, jak to mówią, winna, aż z domu uciekać musiała, do sąsiadek na noc się wpraszając.

Strawiński badał Łukawskiego, czy może mu dostarczyć kilkudziesięciu wiernych i zaufanych ludzi?

— Na jaki cel? — pytał go rotmistrz zakroczymski.

— Dla zabrania z Warszawy pieszej gwardyi koronnej i wcielenia jej do konfederacyi. Sporo mamy w stolicy zwolenników! Robię to z upoważnienia Pułaskiego.

I pokazał ordynans, wydany mu przez dowódcę jasnogórskiej warowni.

Trochę dziwnym wydał się ów projekt Łukawskiemu, więc do Częstochowy wysłał z zapytaniem „oświadczając wszakże... względem pierwszego ordynansu posłuszeństwo“.

Nim odpowiedź nadeszła, Łukawski zaczął głowę podnosić, kłócić sią z marszałkiem, swoim bezpośrednim naczelnikiem, lekceważyć jego rozkazy, odgrażać się, słowem, lekkoduch ten mało nie popsuł wszystkiego w zawiązku. Powaga moralna Pułaskiego była wielką, ale w generalności tyle znaczył co i Zembrzuski; obaj byli marszałkami, pierwszy ziemi łomżyńskiej, drugi zakroczymskiej...

Łukawski nie mógł się zasłaniać stosunkami z Jasnogórą, więc „za sprośne swe czyny i przechwałki przeciw panu Zembrzuskiemu, tudzież za niepełnienie, a co większa, nieuczczenie ordynansów jego“, został aresztowany i dopiero 18 września wydostał się z kozy, i to po długich staraniach i gorących Strawińskiego zabiegach. Zaraz też z „dywizyą“ przeniósł się na drugi brzeg Wisły.

W kilkanaście dni potem, przyszła pożądana odpowiedź od Pułaskiego, a w niej między innemi znajdowała się wzmianka, „że Pułaski jest informowany od urodzonego Strawińskiego, o przychylnych Łukawskiego w interesie mu wiadomym sentymentach, i że wdzięcznem przyjmuje sercem i samego jego do siebie zgłoszenie“, zapewniając „o wdzięczności i awansie, jeżeli w interesie wiadomym czynić będzie staranie“. We dwadzieścia dni później, nadszedł nowy list od dowódcy warowni Częstochowskiej, zalecający rotmistrzowi zakroczymskiemu bezwarunkowe rozkazom posłuszeństwo.

Z wszelką pewnością twierdzić możemy, że Łukawski wówczas już, a nawet wcześniej jeszcze podczas aresztu, więc w pierwszej połowie września, był wtajemniczony we wszystko, że przywódca spisku odkrył mu prawdziwy cel wycieczki do Warszawy.

Narady odbywały się w Boguszynic. Zastanawiano się długo nad wyborem ludzi, których miała dostarczyć dywizya Łukawskiego, a snać liczby potrzebnej ściągnąć nie mogli, kiedy okrom szeregowców, wcielili jeszcze dwóch ubogich

przybyszów, nie walczących nawet dotąd pod znakiem związkowych.

A ci dwaj — to Peszyński i Frankenberg *vel* Offenberg.

Walenty Peszyński był przedtem dozorcą u księży kanoników regularnych w Kromnowie, potem leśniczym w Boguszynie, właśnie w epoce, kiedy Strawiński doglądał tam gospodarstwa. Z rozkazu jego jeździł po kilkakroć do Warszawy, zatrzymując się zwykle na nocleg w stajni należącej do ks. Dominikanów.

Bogumił Frankenberg, ślusarz z Cybulic, także pod Zakroczymiem, dyssydent, używany był przez Łukawskiego „do naprawiania broni“; wisiał też przy jego komendzie, i z nią razem, mimowolnie, jak sam potem utrzymywał, wziął udział w zamachu.

Otóż i cały komput spiskowców. Na czele jego stało trzech: Strawiński, Łukawski i Kuźma; podkomendnych było 27, skaptowanie ciężyło na Łukawskim, z czego się ten należycie wywiązał.

Ale cóż robić z królem po jego porwaniu?

Naturalnie że odstawić do Częstochowy. Powszechnie utrzymują, że Pułaski miał zamiar postawić Stanisława Augusta na czele konfederacyi. Trochę to nielogicznie, bo przecież konfederacya króla nie uznawała, przeciwnie, ogłosiła tron wakującym; znalazła śmiałków, którzy akt detronizacyi doręczyli Poniatowskiemu, a teraz miałaby go podnosić tak wysoko? Zanadto naiwne przypuszczenie! Najprawdopodobniej chciano go uwięzić, wymódz na nim formalne zrzeczenie się tronu — nic nadto. I gdyby się zamach udał, pewni jesteśmy, żeby najmniejszego wstrząśnienia nie wywołał w kraju.

Że jednak o królobójstwie nie myślano, za dowód posłużyć mogą posterunki, rozstawione po drodze do Częstochowy: jeden w Rawie pod Zarembą, który wszakże nie należał do rzędu wtajemniczonych, drugi w Wolborzu, po 150 każdy, dla eskortowania „oddziału z Warszawy“.

Pułaski nawet dzień porwania oznaczył. „Projekt twój — pisał do Łukawskiego — powinien być 3 listopada wykonany,

a jeżelibyś nie mógł dnia tego, to nic nie przedsiębierz nie rozmówiwszy się ze mną. W razie niebezpieczeństwa zbierz ludzi i przyjdź do Częstochowy“.

Chwilę tę uważał Pułaski za stosowną dlatego, że wojska rossyjskie podążyły w Krakowskie, resztę zaś pozostałą starał się Pułaski wywabić z miasta w kierunku Radomia, na południo-wschód od stolicy, kiedy spiskowcy stroną połnocno-zachodnią mieli się z jeńcem koronowanym wynieść z Warszawy.

Wieczorem 31 października 1771 roku przywódcy zebrali się w Nowej wsi pod Zakroczymiem. Tutaj przyciągnęła niebawem stukonna komenda Łukawskiego pod wodzą porucznika Modzelewskiego, z której wybrał Strawiński 27 ludzi z wachmistrzem Janem Gołyńskim na czele.

Wykonali oni natychmiast przysięgę na dochowanie tajemnicy i ślepe posłuszeństwo rozkazom starszyzny.

Na drugi dzień zebrali się w lesie pod Głuskiem, gdzie już czekały fury z sianem przywiezionem z Boguszyna. W sianie tem ukryli broń i siodła, szeregowcy postroili się w świty kmiece, inni za flisaków, i tak przebrani udali się do stolicy.

Kuźma, Peszyński i Antoni — węgrzynek Łukawskiego, uprzedzili wszystkich, do nich bowiem należało przygotowanie noclegu w stajni OO. Dominikanów na Nowem mieście. Starszyzna wjechała o zmierzchu do miasta. „Łukawski — czytamy w późniejszej jego obronie — robi się fornalem, wiezie swoje i komendanta swojego życie do Warszawy, swoje na ofiarę głębokiego posłuszeństwa i uroczystej przysięgi, a zaś komendanta na los niepewnego hazardu“.

Wieczorem byli na miejscu. Ordynans surowo zalecał nie wychylać się do miasta, to też straż przystawiona u bramy stajennej czuwała nad ścisłem jego wykonaniem.

Nie stosował się on tylko do przywódców.

Łukawski nie mógł przemódz na sobie, by się z żoną nie widzieć — toć już może po raz ostatni! A szczerze był przywiązany do niej, chciał jej zapewnić szczęście — a gotował katusze.

Wieczorem w sobotę dnia 2 listopada, w asystencyi swego kucharza Jana, udał się na Nowy świat, gdzie p. Łukawska mieszkała. Nie zastał jej w domu, bo uciekając od prześladowań Sułkowskiego wprosiła się była na noc do sąsiadki.

Z trwogą powitała męża, wymawiała mu nawet, że się naraża na niebezpieczeństwo, pytała w końcu o powód przybycia. Zbył ją krótko.

— Broni potrzebujemy, więc dla jej zabrania odkomenderował mnie marszałek.

Po chwili udali się do siebie.

Nastąpiły znowu pytania. Może biedna kobieta czekała czulszego słówka, przypuszczała, że zatęsknił do niej; z jakąż grozą posłyszała następującą odpowiedź:

— „Po króla Jegomościę, z liczbą więcej tu przybranych przyjechaliśmy“.

Łukawska skamieniała ze strachu, potem w płacz. Wyrzekać i lamentować zaczęła, zgubę przepowiadała mężowi, hańbę wieczną dzieciom; bo targnąć się na Majestat — to jak na samego Boga... Bóg miłosierny może przebaczyć świętokradztwo... ale od ludzi przebaczenia nie masz...

Rotmistrz uspokajać ją zaczął:

— Chciałem cię wypróbować, mówił, żartowałem — i tulił do siebie zatrwożoną kobietę.

— Uwierzyła łatwo — bo kochała prawdziwie...

Rozmowa trwała długo. Pan Walenty dobrej myśli, wesoły, żartował nawet. O 6 godzinie rano pożegnali się, a mąż przyrzekł, że ją jeszcze odwiedzi wieczorem, ale nie w jego już mocy było danego słowa dotrzymać.

Strawiński nie tracił czasu. Obojętną dlań była stolica; a zresztą przypuszczamy, że gdyby miał tu nawet najdroższą osobę — najpewniejby do niej nie poszedł. Celem niejako życia jego stało się dopełnienie misyi przyjętej; wiemy, że z fanatyzmem monomana cały się jej poświęcił... Uwijał się tedy w koło zamku, wytrwale, cierpliwie, póki nie dostał języka. Któryś z dworzan powiedział mu, że król dnia tego

(3 listopada), nie będzie w teatrze, a natomiast uda się do chorego kanclerza litewskiego o zmierzchu.

Kanclerz, u którego król był na wieczorze, mieszkał w pałacu Radziwiłłowskim.

Spiskowcy wieczorem zajęli stanowiska w około rezydencyi ks. Michała Czartoryskiego. Kilku stało po rogach ulic, reszta podzieliła się na trzy oddziały — dwa na Miodowej, jeden na Kapitulnej. Rotmistrz Strawiński miał zatrzymać orszak królewski, Kuźma przyjął na się obowiązek aresztowania Stanisława Augusta, a Łukawski powinien był odciąć tylną straż od karety i torować drogę uciekającym.

Wszyscy mówili po rossyjsku.

Otoczenie Poniatowskiego składało się z kilkunastu ludzi. Król wyruszył od kanclerza o godzinie pół do dziewiątej.

Przed powozem jechało dwóch konnych z pochodniami, kilku oficerów służbowych i podkoniuszy. W karecie obok króla siedział jenerał adjutant, u drzwiczek dwóch paziów, za karetą dwóch hajduków i dwóch lokajów pieszo.

Noc była ciemna, chmurna i mglista — jesień w całym tego wyrazu znaczeniu. Stolica we śnie pogrążona, ulice puste zupełnie.

Strawiński zabiegł pierwszy drogę orszakowi.

— Król jedzie — zawołał podkoniuszy, myśląc że ma do czynienia z patrolem rossyjskim.

Rotmistrz usunął się na bok, ale wówczas przyskoczyli na czele swoich oddziałów Kuźma i Łukawski.

Dworzanie królewscy Ośmiałowski i Bachmiński pierwsi dali ognia, spiskowcy im odpowiedzieli strzałami. Pochodnie zgasły. „Padł Jerzy Bützow (hajduk) dwoma kulami przeszyty, drugi Mikulski Szymon, cięciem pałasza powalony na ziemię. Obaj wyżej wzmiankowani dworzanie, tudzież dwaj lokaje — lekko ranni, a paź z konia został ściągnięty“.

Adjutant nie dał dowodu odwagi — schował się pod karetę...

Przy błyskach spalonych podsypek poznano go, a wyciągnięty za kołnierz, wolno puszczony pan generał umknął chyżo z placu. Spiskowcy jednocześnie przekonali się z trwogą

o ucieczce króla. Istotnie, korzystając z zamętu, wysunął się Stanisław August z tłumu, dobiegł do bramy pałacu Radziwiłłowskiego i zaczął mocno kołatać.

Ale tem zdradził się właśnie. Poskoczył doń Kuźma, wystrzelił mu przed samą twarzą z pistoletu, aby się przekonać o tożsamości osoby.

Strawiński usłyszawszy strzał przypadł i zawołał:

— „Nie ociągaj się, królu, trzeba z nami jechać, powóz czeka".

Wówczas to jeden ze sprzysiężonych, wachmistrz Gołyński, ciął Poniatowskiego lekko w głowę, nie wiedząc nawet o tem, że ma króla przed sobą. Oddano Stanisława Augusta Kuźmie. Dziesięciu szeregowców stanowiło eskortę, a dowódzca zaczął od tego, że zabrał więźniowi zegarek, pieniądze i kosztowną gwiazdę św. Stanisława na fraku przypiętą, potem go wsadził na konia i wszyscy ruszyli galopem...

Przebiegli ulicę Długą, Miodową, obok arsenału, niepostrzeżeni przez nikogo.

Łukawski, Frankenberg i kilku podkomendnych, wymknęli się wcześniej z miasta. Najpewniejsi byli, że Poniatowski poległ, słysząc, że tyle padło strzałów.

— „Król musi być zabity — odezwał się w końcu Łukawski do Frankenberga, bo ja sam dwa razy do karety strzeliłem".

Strawiński został w tylnej straży, a jeńca ukoronowanego wyprawił naprzód.

Misya jego na pół była spełniona, teraz chciał się przekonać, czy nie będzie pogoni, bo i powóz i dworzanie dawno się już udali w stronę królewskiego zamku... Pilnie nasłuchiwał, ale cisza panowała dokoła, podążył więc zupełnie spokojny do lasku bielańskiego, na miejsce umówione. Zastał tam rotmistrza Łukawskiego, ale ani Kuźmy, ani króla nie było.

Kuźma tymczasem spieszył ku wałom. Koń, na którym jechał Poniatowski, ugrzązł w błocie, przeniesiono więc go na innego, ale wówczas zgubił futro i trzewik. Dano mu natomiast płaszcz i but żołnierski. Akt oskarżenia utrzymuje,

że eskorta w chwili tej właśnie chciała rozsiekać uwięzionego, ale go Kuźma „odbijając ciosy“ obronił.

Dziwna mięszanina nienawiści i troskliwości, wcale dla nas nie zrozumiała! Oto, spiskowcy podnoszą broń na jeńca, dowódca eskorty powstrzymuje zażartość podkomendnych, i zamiast cięć śmiertelnych, ofiarują mu płaszcz i obuwie! Jeden z tych nienawistnych „królobójców“ zrzuca z własnego grzbietu okrycie, aby niem otulić więźnia, drugi but swój oddaje — wszystko to w czasie nocy zimnej, listopadowej, przejmującej do kości?.. Więc jedno z dwojga — albo targnięcie się na życie króla wymyślane dla efektu, albo dowody miłosierdzia nie miały miejsca? Bo proszęż zważyć: chcą Stanisława Augusta zamordować i jednocześnie boją się, by nie uległ zaziębieniu...

Ale idźmy dalej.

Kuźma po wielu usiłowaniach dostał się za wały miejskie z swoim oddziałem. Pustka i cichość ich ogarnęła, straż rozbiegła się, aby znaleźć drogę wskazaną. Poniatowski skorzystał z chwili, i zaczął z swoim dozorcą rozmowę. Jak długo ona trwała? — nie wiemy; pierwszy potem zbyt się chwalił, drugi milczał uparcie... choć niepodobna zaprzeczyć, że Stanisław August miał dar kaptowania serc ludzi do niego się zbliżających.

Rezultat wiadomy — spiskowiec dał się przekonać, z dozorcy stał się opiekunem: „resztę pocztów od siebie oddalił i sam z królem w lesie po Nawiślu został“.

Obaj zakołatali do młyna w Burakowie. Wylękły gospodarz, dowiedziawszy się, jakich gości wypadek mu sprowadził, przygotował posłanie dla koronowanego przybysza. Nie odjechał do Warszawy, aż król zasnął, a Kuźma z szablą w ręku stanął przy nim na straży.

Obrazek bardzo wdzięczny, dla nas jednak z tego już względu ważny, bo dowodzi, że Stanisław August sam nie wierzył w owe królobójstwo, tak przez siebie później rozgłaszane. Człowiek znajdujący się pod grozą śmierci, stara się ile możności wynieść z poza obrębu grożącego mu niebezpieczeństwa. Buraków i Bielany nie były zbyt oddalone

od siebie, spiskowcy nie doczekawszy się jeńca, mogli rozpocząć poszukiwania w okolicy. Poniatowski jednak najspokojniej spać się kładzie, tuż pod bokiem „złoczyńców!..“

Dziwili się później i zwolennicy królewscy tej odwadze króla, on zaś tłómaczył ten krok nieoględny zupełnem sił wyczerpaniem... Instynkt jednak zachowawczy nie pozwala myśleć o zmęczeniu w chwili samego niebezpieczeństwa... Życie ma urok dla człowieka, dla Stanisława Augusta życie w koronie miało jeszcze więcej powabu; nie mógłby zasnąć spokojnie z myślą, że może się już nie przebudzi więcej... Nawet wiara w opiekę Kuźmy nie nadałaby się do uspokojenia, gdyby istotnie widział w nim Poniatowski człowieka, co przed godziną godził na jego życie...

A jednak powtarzamy — król spał smacznie... Blady płomień palącego się łuczywa oświecał oblicze jego piękne, Kuźma zaś w teatralnej pozie, z szablą w ręku czuwał u drzwi chaty, której gospodarz z kartką Najjaśniejszego pana adresowaną do generała Kokceja, spieszył do stolicy. W kartce było polecenie, aby się generał stawił z gwardyą dla jego zabrania. „Cudem uszedłem rąk morderców“, pisał w niej Poniatowski.

Zaimprowizowany kuryer, z zachowaniem wszelkich ostrożności spieszył do stolicy...

W zamku tymczasem alarm był wielki — trwożni dworzanie przeczuwali bezkrólewie.

Kanclerz litewski dowiedziawszy się o zamachu, kazał bramę mocniej zatarasować i zasiadł z domownikami spokojnie do wieczerzy.

Jeden tylko książę podkomorzy krzątał się i zwijał, jeden on myślał szczerze o ratowaniu ukoronowanego brata.

Zakołatał najprzód do Salderna.

— „Mam ja co innego do roboty“ — odpowiedział zgryźliwy poseł, i drzwi zamknął przed natrętnym dygnitarzem.

Więc do Wejmarna z kolei się udał, o pogoń i ratunek prosząc.

— „Jeżeli Waćpanowie chcecie, poszlę — mówił generał — ale to będzie jedno, co narazić życie króla“.

Drugi dowódca rossyjski, Bibikow, wymówił się brakiem ludzi; dwustu ich miał tylko pod ręką.

Wówczas dopiero pomyślano o gwardyi koronnej... „Ale gwardya zaopatrzona w zepsute przez starość ładunki, nie mogła być zaraz użytą“.

Podkomorzy powrócił do pałacu zrozpaczony... Dworzanie na widok jego załamywali ręce, chcąc tem okazać boleść z powodu nieszczęścia, które ich chlebodawcę spotkało. Zabierano się do opieczętowania papierów królewskich; ruch niezwykły w koło panował, komnaty oświecone, na dziedzińcu pochodnie, bieganina, krzyki, nawoływanie, płacz i klątwy — wszystko to kontrast stanowiło z miastem usypiającem spokojnie...

Aż tu nowa trwoga. Z ulicy Miodowej przyniesiono zakrwawiony kapelusz królewski; idąc dalej śladami, na okopach podniesiono pańskie futro kulami przeszyte.

Obawy doszły do szczytu.

W sam czas zjawił się młynarz z karteczką.

O brzasku wjeżdżał Poniatowski do swojej stolicy, otoczony gwardyą, witany z uniesieniem przez pochlebców. Wyglądał wcale nie po rycersku — choć prosty płaszcz żołnierski na ramiona miał narzucony.

W orszaku jego znajdował się Kuźma, ponury i milczący.

Nieliczna gromadka przebudzonych mieszkańców z oburzeniem i groźbą patrzyła na Kuźmę... za to, że króla uwięzionego oswobodził... Tak przynajmniej Wójcicki utrzymuje...

Łukawski i Strawiński doczekali ranka na miejscu umówionem. Chwilowa radość w smutek wielki się zamieniła; spółspiskowcy się rozbiegli, a więźnia jak nie ma, tak nie ma. O świcie wyruszyli na rozgląd okolicy; nieostrożnie trafili na patrol kozacki. Przyszło do utarczki. Łukawski ranny niebezpiecznie, stracił przytomność, padł jak nieżywy na miejscu, Strawiński przerznąć się potrafił.

Ruszył nie do Częstochowy, ale na Litwę — do puszcz zaniemeńskich.

Posłannictwo jego było skończone, życie złamane... Ale co tam życie wobec ciężkiego zawodu? W drodze doszły go wieści pewniejsze. Mówiono już wszędzie o porwaniu króla, o jego cudownem ocaleniu, zawsze atoli z pewnym przekąsem i naigrawaniem...

IV.

Monarchowie ościenni wystąpili z objawami współczucia dla uratowanego króla. Cesarzowa Marya Teresa winszowała; Fryderyk II pisał, „że cała Europa winna się połączyć na pomszczenie przykładne tej sprawy“.

Dodamy nawiasem, że zdarzenie to ani na chwilę prac podziałowych nie powstrzymało, jak równie ani na chwilę ich nie przyspieszyło.

Rządy wymogły na generalności, aby się wyrzekła wspólnictwa ze spiskowcami — co uczyniła ona z wielką godnością. Gabinety berliński i wiedeński zapowiedziały, że Pułaskiego w wypadku zjawienia się jego w granicach Prus i Austryi ścigać będą i odstawią do Polski.

Król się bawił w męczennika. W kółku poufnem szeroko opowiadał o swoim wpływie na Kuźmę, i żałował nawet, że się do Częstochowy nie dostał, pewny, że nieprzejednanego malkontenta Kazimierza Pułaskiego, potrafiłby tak samo skaptować.

W gabinecie królewskim nie było mowy o królobójstwie, ale za to w listach rozpisywał się o niem król wcale nie po męzku, a z udaną skromnością wdzięczącej się, dobrze wyćwiczonej w zalotach kokietki.

Najprzód p. Geoffrin, stałą swoją przyjaciółkę mieszkającą w Paryżu, zaszczycił (9 listopada), krótkim bilecikiem takiej treści: „Właśnie dzisiaj powtórzyć mogę: cier-

pliwości i odwagi! Odtąd mam niepłonną nadzieję, że wszystko zmieni się ku lepszemu jak dla mnie tak i dla mojej ojczyzny. Rekonwalescencya idzie pomyślnie, jak tylko mogą sobie życzyć ludzie, równie dla mnie jak Pani, życzliwi. Nie wolno mi jeszcze dużo pisać, dla tego kończę, ściskając Was serdecznie".

Potem wystylizował następującą do koronowanych sąsiadek odezwę:

— „Najjaśniejsza Pani, siostro moja! Tylko com uniknął rąk zbrodniarzy; spieszę uwiadomić Waszą Cesarską Mość o sprzysiężeniu, które zamyślało pozbawić mnie życia. Napadu na moją osobę dokonało 40 ludzi konnych, śród ulicy, 3 listopada, między 9 a 10 wieczorem. Zbity i ranny, uwieziony za miasto zostałem. Pięć godzin błądziłem z nimi. Uratowany cudem, przez samego dowódcę spiskowców, z łaski Bożej znajduję się po za niebezpieczeństwem. Rany (pisał w mnogiej liczbie, choć miał tylko jednę) dotąd nie zagrażają mojemu życiu"...

Podobny list, z tąż samą datą poszedł do Wiednia, a dodano w nim na końcu prośbę o wypędzenie z granic cesarstwa „rady konfederatów", która rozkaz na pochwycenie króla wydała.

Katarzyna ze współczuciem odpowiedziała, ale chcąc okazać nieukontentowanie, list przez sekretarza gabinetowego ułożony, podpisem tylko zaopatrzyła.

Bardzo to dotknęło króla.

— „Poniatowski — donosi Saldern Paninowi — płakał z tego powodu, że Najjaśniejsza Pani nie przysłała mu własnoręcznego pisma, a w. ks. Paweł powinszowania z racyi chybionego zamachu"...

Prosi więc Saldern Panina o kilka słów od cesarzewicza dla króla, „z którego rzewliwości podżartowują sobie wujowie". Była to ostroga dla kanclerza — wujów królewskich nienawidził, więc już dla tego samego gotów był przychylić się do żądań ambasadora... I uczynił też im zadość z wielką skwapliwością!..

Król płakał nie nad dolą swoją, nie nad ranami swojemi — doli swojej nie rozumiał, rany nie bolały... Bolała obojętność kobiety...

Wobec istotnego na życie zamachu, możeby mu ona nie tyle dolegała...

Ale wróćmy do Warszawy.

Tutaj rozpoczynało się długie, nużące śledztwo, trwające prawie dwa lata.

Pierwszym uwięzionym był Kuźma.

Drugą ofiarą, Maryanna Łukawska, żona rotmistrza.

Naturalnie, że głównym oskarżycielem został nawrócony obrońca królewski. „Z całą naiwnością podał on listę spiskowców. W rzędzie przywódców wyliczył Pułaskiego, Strawińskiego i Łukawskiego. Do podrzędniejszych należeli: wachmistrz Jan Gołyński, Taszyński, Majewski, Tubałowicz, Słończewski, Cybulski, Zboiński, Michalski, Saczyński, Wierzchowski, Bielawski, Wasilewski, Biernacki, Trojanowski, Zwoliński, Sokołowski, Falkowski, Rybicki, Leńkiewicz, Siemiętkowski, Ostrowski, Gnatowski, Zarzycki, Konopka, Ordyński, Stepański, Gadomski, Drozdowski, Peszyński, Frankenberg i Antoni, węgrzynek rotmistrza zakroczymskiego.

I z nich kilku dostało się za kratę więzienną. Tubałowicz i Słończewski, zaraz w początku pochwyceni, że się jednak z ran otrzymanych przy napadzie na orszak królewski nie wyleczyli jeszcze, a w więzieniu nie bardzo troskliwie ich doglądano, pomarli więc nie doczekawszy się wyroku.

Frankenberg aresztowany w grudniu 1771 r., Cybulski, towarzysz kawaleryi narodowej, i Peszyński, leśniczy, w czerwcu następnego roku.

A główni sprawcy zamachu?

Strawiński znikł bez śladu...

Pułaski został w Częstochowej. W pierwszej chwili chciał w manifeście całą wypowiedzieć prawdę... ale go wstrzymali od tego przyjaciele i przyjaciółka. Dla dobra sprawy namówiono marszałka ziemi łomżyńskiej, aby się wyparł solidarności ze spiskowcami.

W rzędzie tych doradców wyszczególnić należy Paca, wtajemniczonego o ile się zdaje w całą sprawę, księdza biskupa Krasińskiego (a była chwila, że i jego pomawiano o udział w zamachu), dalej Antoniego Lubomirskiego i... księżnę kurlandzką.

Ostatnia posiadała wpływ niemały na p. Kazimierza. I bohaterowie nie są wolni od słabości! Księżna zaś pomimo wielkiej sympatyi dla tradycyi, przejęła się zasadami monarchizmu, może dlatego, że ją dynastya saska przez całe życie spychała ze stopni tronu; o tronie tu nie było nawet mowy, a tylko o zajęciu przynależnego w jego otoczeniu miejsca... Snać „królewiczowa", bo tak ją powszechnie nazywano, z niedawnej przeszłości czerpała wzory do naśladowania. Toć Jakób Sobieski, kiedy go po zgonie ojca ominęła korona, zamiast zostać szlachcicem, wolał się bawić w królewskość, zapożyczoną u pyszałkowatych książątek niemieckich; utworzył dwór, zachowywał surową etykietę, a sztywny i wyciągnięty, całe życie na straży tych form zmarnował. Widział w nich treść!.. Śmieszniejszem wszakże od wszystkiego, jest to jego nieuznawanie małżeństwa młodszego brata Konstantego z Wesslówną, takąż dobrą, jak i on szlachcianką, a już najśmieszniejsze są zabiegi Maryi Józefy, znanej pod nazwą „królewiczówny Konstanty", i to zabiegi kilkonastoletnie, o zdobycie uznania czczego tytułu od nieuznanego królewicza Jakóba, choćby w końcu przyszło za nie dużo wysypać grosza...

Księżna kurońska, powtarzamy, czerpała przykłady z przeszłości. Na wskróś była ona Polką, a w naturze polskiej leżała i leży próżność. Garnęliśmy się i garniemy do wyższych progów, ztąd też hrabiów u nas więcej jak gdzie indziej... choć jako żywo, lepszy jest herb stary szlachecki niż niejedna korona o dziewięciu perłach...

Pułaski więc uległ namowom kobiety. Gromy po gromach spadały na jego głowę. Wywołaniec z kraju, stygmatem zbrodniarza w ościennych napiętnowany państwach, zamknął się w Częstochowy pod opieką Najświętszej Panienki.

Gazety zagraniczne powtarzały jego nazwisko klątwą obrzucone, obrońcy uwięzionych uczestników zamachu, nieustannie zarzucali mu królobójstwo. Jeden z oratorów w zapale krasomowczym wykrzykuje.

— „Wy królobójcy, potomstwo wściekłych cyklopów, zbiorze najwszeteczniejszych łotrów, gwałciciele praw najświętszych, nie macie działu w społeczności ludzkiej!“...

Inny znowu chcąc metaforycznie odmalować udział Pułaskiego w zamachu, tak się wyraża:

— „Częstochowa, która dawniej była miejscem przesyłania do Boga modłów ludu polskiego za królem, stała się przez złość wyuzdaną, z pohańbieniem świętego miejsca siedliskiem zazdrośnych życia królewskiego zbójców, a placem niegodziwych ułożeń skrócenia jego!“...

Instygatorowie koronni i litewscy Jan Ośniałowski i Franciszek Przeuski, powoływali się na prawa Boskie i ludzkie, a gdy im tego było za mało, u Seneki i Owidyusza szukali dowodów na potępienie zbrodni...

Cóż więc zostawało Pułaskiemu?.. Albo milczeć albo uciec się do politycznego kłamstwa i wyprzeć się wspólnictwa. Generalność nalegała, ks. biskup Krasiński rozgrzeszył, kobieta molestowała; do czaru słabości serdecznej, plątała się niby konieczność — zrobił więc z siebie dla dobra związku ofiarę największą, na jaką się uczciwy człowiek zdobyć może...

I oto szereg manifestów, nacechowanych owem Piotrowem zaprzaństwem, ujrzał światło dzienne. Wójcicki, który wielki zamęt do dziejów tej chwili wprowadził, przytacza w swojem opowiadaniu w treści te dokumenta. O trzech z kolei wspomina: pierwszy najwcześniejszy, bez daty (z końca listopada 1771 r.?), dwa inne pod d. 18 grudnia tegoż roku.

Z jednym z ostatnich spotykaliśmy się po kilkakroć; snać rozrzucony w licznych po kraju egzemplarzach, skwapliwie był przez szlachtę czytany.

Powtarzamy go tutaj w całej rozciągłości.

— „Nie czyni mi by najmniejszego zadziwienia, iż czyhająca na upadek polskiego narodu zapalczywość nieprzyja-

źnych, tam zawsze zmierza, gdzie widzi tamę od swych nieporuszoną impetów. Wybór polskiego rycerstwa to niepochlebne na sobie nosi nazwisko, którym umysł najokrutniejszy nieprzyjacielski wstrętu nie czyni.

...W poślubionej raz Bogu ofierze między temi i ja będąc zaszczycony komendą, za pierwszy cios nieprzyjaźni na mnie wspartych żalić się niepowinienem. Ten bowiem termin był przed oczyma zawsze, im gorliwiej rozważałem stan Rzeczypospolitej, a moją ku jej ratunkowi troskliwość. Ukazował mnie to przeznaczenic rok dwudziestu pierwszy, w którym młodzieniec zwykł swobodnie przepędzać chwile, mnie zaś każdy moment zapalał do zemsty nieprzyjaciół.

...Najlepiejby był zaświadczył ojciec mój, marszałek związkowy, który w tem dziele dokonał życia swego; powiedziałby ile przez własne chęci miał ze mnie powodów, rady moje w granicach Polski wyryte, niewzruszonej są znakiem stałości. Nie zastraszyła mnie krew brata mojego, w oczach moich na placu wojennym wylana, brata drugiego pęta niewolnicze, spokrewnionych mnie znaczna także liczba. Współziomków śmierć i niewola bynajmniej mnie nie trwoży; owszem — zachęca do wiecznego ojczyźnie patryotyzmu.

...Nie inaczej podobno sam nieprzyjaciel może tłómaczyć tę troskliwość otwartą, jak okazują gazety publiczne, jakobym był autorem prywatnej w Warszawie konspiracyi. Zamilczałem tak lekkomyślnej pogłoski, doświadczając, że kogo nieprzyjaciel prędko orężem pokonać nie zdoła, tego mu piórem ucisnąć podoba się.

...Aliści wzorem idąc uniwersału do Stanów skonfederowanych, czynię to publiczne oświadczenie: Iż lubo bronią dobytą za honor Boga, narodu, wetować zwykłem, na ten raz piórowi pozwalam. Protestuję się przed Bogiem, Rzecząpospolitą polską i przed wszystkimi Stanami, iż serce moje dalekie od zbrodni, nie do tej myśl moję obracam, jak tam, dokąd mnie wiedzie cnota obywatelska; nie byłem więc nigdy porywczy na powagę osoby, jakimkolwiekbądź sposobem w kraju panującej, i tę prześladować chyba w boju złączoną wraz z głównym nieprzyjacielem; bo tę szczerość

moją mam najdoskonalej zaświadczyć w czasy potomne; że samem obywatelstwem tchnący przy tych dwóch punktach wiary i wolności, koniec życia mojego zakładam"...

Wójcicki przytacza jeszcze jeden nader ciekawy dokument, mianowicie oryginalny list Pułaskiego z d. 22 sierpnia 1772 r., więc po poddaniu się Częstochowy pisany. W nim szczegółowo opowiada swoje ze Strawińskim spotkanie i zawsze utrzymuje, że nie brał udziału w jego projektach. Toż samo i w późniejszej protestacyi drukowanej w Paryżu: *A la republique de Pologne.* — Wyżej wspomniany autor, następujące ztąd wyprowadza wnioski: ...„Znając całą szlachetność charakteru narodowego, a który w nieskażonej dziewiczej czystości zachował Pułaski, wierzę pełnej jego godności obronie; wierzę, że gdyby tym napadem kierował, nigdyby się go nie wyparł i z całą otwartością rycerską objaśnił nas, dlaczego go przedsięwziął".

Na poparcie wszystkiego, p. Wójcicki podaje skandaliczną historyjkę o królu, która krążyła po Warszawie jeszcze w początkach bieżącego stulecia. Nie wiemy czy ją znacie, więc treść jej w kilku zamkniemy słowach. Stanisław August umizgał się do żony hajduka Bützau, a mąż zazdrośny ranił go w czasie jednej ze schadzek. Poniatowski korzysta z tego, spieszy do ambasadora, i społem układają komedyę, pod tytułem: zamach na życie królewskie. Kuźma należy do tego oryginalnego sprzysiężenia, przyjmuje w niej urząd reżysera, zręcznie ją wystawia na scenie, zaciągnąwszy kilku wałęsających się konfederatów. Bützau z góry skazany na śmierć, ginie w tej walce i tajemnicę skandalu do grobu z sobą zabiera... Treść do romansu gotowa dla przyszłego autora *a la* Born, który go ochrzcić będzie musiał głośno brzmiącym tytułem: *Tajemnice dworu polskiego w drugiej połowie XVIII wieku.*

Ale romans a historya — to dwie różne rzeczy — a przecie p. Wójcicki w swoim *Cmentarzu Powązkowskim* gromadził do dziejów materyały!

Co do nas, jesteśmy najmocniej przekonani, że Pułaski brał udział w zamachu; dowodzą tego oryginalne jego

listy, do Strawińskiego i Łukawskiego. Wyparcie się udziału ze strony marszałka łomżyńskiego, było krokiem wysoce niepolitycznym. Targnął się na swobodę detronizowanego króla, jako członek generalności, konfederacya bowiem nie była buntem, ale związkiem usankcyonowanym przez obyczaj, często się w ciągu ostatnich wieków powtarzający.

Ale zaściankowi politycy, zatrwożeni krzykiem płatnych gazet, inną drogę wskazali Pułaskiemu. Wyparła się generalność solidarności ze spiskowcami, więc się i Pułaskiemu wyprzeć jej kazano. Powody do tego bardzo zręcznie sformułowano. Oto p. Kazimierz był marszałkiem, więc członkiem związku, a Łukawski i Strawiński nimi nie byli; był szczęśliwym partyzantem, szanowanym nawet przez nieprzyjaciela; ciągłą, nieustającą zbrojną protestacyą zdobył sobie sławę niemałą; Zaremba; Kosakowski, Szyc, Walewski, po kilku szczęśliwych utarczkach, rozproszeni, usuwali się z widowni, a on ani na chwilę nie schodził ze stanowiska... I nagle ten widomy wódz konfederacyi, ten marłszałek, ten uwielbiany Pułaski, miałby królobójcą zostać wobec Europy!.

Domorośli politycy — pod naciskiem tych wyrzekań, podtrzymywanych przez regalistów, zmusili marszałka łomżyńskiego do fałszywego kroku... Uległ pod naciskiem starszyzny — dla dobra sprawy, uległ, bo ślubował w sprawie tej życie swoje, honor swój...

To są właśnie okoliczności łagodzące.

W taki naturalny sposób najłatwiej da się wytłumaczyć ten szereg manifestów...

Ale zkąd powstała ploteczka w najlepszej wierze przez p. Wójcickiego powtórzona?..

I to zrozumieć nietrudno.

Drobiazg szlachecki szczycił się Pułaskim, bo z niego on wyrósł, był jego krwią i kością. Nieraz z pewnego rodzaju tryumfem pod niską powtarzano strzechą, że Pułaski podniósł rękę na uzurpatora, z tronu go ściągnął wierny rozkazom generalności! A drobiazgowi nie można było wyperswadować, że generalność w tym udziału nie brała... bo

krok ten śmiały uważał on za proste następstwo ogłoszonego przez nią *interregnum!*

Mimowoli przypomina się nam historyjka, która dosadnie rzecz samą przedstawi.

Jeden z wioskowych posiadaczy na Podolu, nieuznający w Poniatowskim króla, na zasadzie właśnie manifestu wydanego przez konfederacyę Barską, nie chciał się w jedenaście lat później prezentować Stanisławowi Augustowi, kiedy ten zjechał na kresy:

— Ba, wielka mi figura, pan stolnik litewski!

— Czcigodny mieczniku — moderował go podkomorzy Lipiński — toć Radziwiłł nawet takiej protestacyi nie pozwala sobie!

— I Radziwiłł uzna w nim monarchę — wołał zaperzony miecznik — ale dla mnie zawsze on uzurpatorem zostanie.

I istotnie, książę wojewoda wileński pojednał się z królem, a on, szlachcic kresowy, umarł nieprzejednany.

A takich było dużo po wszystkiej Polsce.

Nawet manifest Pułaskiego tłómaczono sobie na jego korzyść.

— Wielki widzę polityk ten pan marszałek łomżyński — pisał pewien szlachcic — jak to on kunsztownie protestuje: „nie byłem nigdy porywczym na powagę osoby, jakimkolwiekbądź sposobem w kraju panującej“; i rzecz jest, i myśl jest; zda się nie powiedział nic, wszakoż powiedział wiele.

A drobiazg ten szlachecki w łonie swojem przechowywał tradycye, nosił się z niemi po świecie, powtarzał nieustannie, a powtarzając przerabiał, poprawiał, dowolnie zmieniał wypadki. Pułaski bliskim był serca jego, jako uosobienie charakteru narodowego: rzutki jak Lisowczyk, dumny i niepoddający się rozkazom, jak kresowiec odwykły od prawa.

Takim go znali współcześni, takim powędrował na tułactwo... Zapomniano wreszcie o człowieku, pamiętano tylko o jego czynach; wieść że popłynął do Ameryki, że walczy w imię swobody ludów, nie wiele obudziła współczucia,

w kraju bowiem podówczas spodziewano się jaśniejszej przyszłości, a król zjednał sobie większość narodu...

Ale kiedy wzniesiona przez sejm czteroletni kunsztowna ale wątła budowa runęła, podcięta wcale nieopatrznościową ręką kilku pyszałków, kiedy społeczność znękana widząc wokoło gruzy, w braciach zaczęła podejrzywać zdradę, wówczas współcześni, chcąc myśl znękaną pocieszyć, oderwać oczy od mrocznej teraźniejszości, cofali się wstecz szukając tam ludzi godnych wspomnienia. Wtedy Pułaski został wywołany na widownię i słusznie mu się to należało... Ale w charakterze polskim, skłonnym do ostateczności, urósł on na półboga, został nieomylnym, jasnym jak słońce! Tymczasem były skazy — więc je co prędzej poczęto zalepiać, i gwoli takiej zasady — nuż przekręcać fakta, nawet wszystkie drobne usterki spychać z bark bohatera na inne, słusznie albo niesłusznie klątwą obrzucone osoby...

Oto geneza opowieści p. Wójcickiego. Posłuchał fantazyi pod wpływom bólu powstałej i sumiennie spisawszy wydrukował, z mocną wiarą w jej prawdziwość. Ale wiarà w podawany fakt, nie poparta dowodami, nie znaczy nic; szepty i półsłówka dworzan ważą niewiele... I biedny król miał swoje dobre strony. Dotąd potomność widziała w nim dużo słabości, gdyby zaś wypadło przyjąć nieodwołalnie opowieść Wójcickiego, wówczas żadna nazwa zelżywa nie byłaby dlań niezasłużoną...

Tyle o tem. Może za dużo, ale szło nam przedewszystkiem o sprostowanie faktów.

Wracamy do opowiadania.

Do liczby owych mniemanych królobójców, ujętych przez władze, przybył najpóźniej rotmistrz zakroczymski, Walenty Łukawski... Dziwna dola tego człowieka... Rozpoczynał lekkomyślnie, teraz nieszczęścia miały go srodze ukarać.

Ranny śmiertelnie pod Warszawą, pamiętnej nocy listopadowej, podniesiony przez Strawińskiego, po wyzdrowieniu stawił się w Częstochowy, już po ogłoszeniu manifestów Pułaskiego — w końcu grudnia 1771, albo na początku stycznia 1772. Sam Pułaski o tem nadmienia w swoim liście,

dodając że chciał go nawet aresztować, ale się wstrzymał od tego kroku, aby „nie odstręczyć Strawińskiego“, miał bowiem niepłonną nadzieję, że on także zakołata do bram warowni jasnogórskiej, a wówczas naczelnika spisku wraz z współwinnymi będzie sądził...

Nie doczekał się jednak wyglądanego gościa, co więcej, nie przeszkodził Łukawskiemu wyruszyć do generalności. Łukawski jechał tam, aby się tłómaczyć; tłumaczenie musiało zadowolić starszyznę w Cieszynie przebywającą, skoro przesłała ordynans komendantowi Częstochowej (z datą 27 stycznia 1772 roku), w którym wyraźnie pisano, że rotmistrz zakroczymski odtąd zwać się ma pułkownikiem Nieczują, i że przybędzie razem z Zembrzuskim, regimentarzem zakroczymskim pod fortecę.

Jakoż istotnie stawili się obaj... Było to w chwili największej wrzawy przez regalistów podjętej, której przedmiotem był Pułaski... Co tu robić? Chyba dla uspokojenia opinii publicznej aresztować Łukawskiego? I rotmistrz niby aresztowany został; w marcu jednak ratował się ucieczką — po to tylko, aby wpaść w ręce przeciwników. Nie pomogła mu nowa zmiana nazwiska (Witkowski). W sierpuiu 1772 r. zakuty w kajdany, siedział już w więzieniu w Warszawie.

V.

Smutnej pamięci konstytucye sejmowe z 1773—1775, przechowały rozporządzenie stanów, polecające, aby w ciągu limity „wisząca sprawa *criminis lesae majestatis*“ odsądzoną została.

Sąd miał zawyrokować, kto winien?

Pociągnięto do odpowiedzialności wszystkich uczestniczących w zamachu. Władze miały w ręku: z przywódców Jana Kuźmę i Walentego Łukawskiego; z podkomendnych tylko Józefa Cybulskiego. Dwaj inni pomarli w więzieniu. Z biorących udział w napadzie: leśniczego Walentego Peszyńskiego i ślusarza Bogumiła Frankenberga. Nareszcie osoby pomówione o to, „że wiedząc nie wyjawiły spisku“: Maryanna Łukawska i Walenty Zembrzuski, regimentarz zakroczymski.

Sąd rozpoczął czynności 7 czerwca, ale po kilku posiedzeniach na wniosek obrońców odroczył się do 12 lipca.

Wcześniej jeszcze, bo 9 kwietnia, pojawił się manifest Strawińskiego w grodzie wileńskim. Była to niejako odpowiedź na ogłoszenie sądu, wzywające oskarżonych. Manifest streszczał w sobie obalenie protestów Pułaskiego; Strawiński „wynurza w nim żal swój, że ów wieczór, który miał być zbawiennym dla ojczyzny, stał się dla niej zgubnym, wskutek chybionego usiłowania“...

Zdumienie było ogromne! Zbrodniarz nieujęty znajdował się w kraju; jakim sposobem mógł wpisać swoje tłómaczenie w aktach grodzkich? Najpilniejsze jednak poszukiwania nic nie wykryły, urzędników więc skazano na 12 niedziel wieży.

W końcn lipca i Pułaski złożył listy i dokumenta, chcąc niemi przekonać sędziów o swej niewinności. Sędziowie wszakże nie poprzestali na tem, zażądali albo osobistego stawienia się winowajcy, albo przysłania pełnomocnika. Marszałek ziemi łomżyńskiej propozycyę tę zbył milczeniem.

W sierpniu otwarto posiedzenie na nowo.

Król prosił, by uwięzionym życie darowano, a szczególnie bronił Kuźmy.

— „Moja-by była hańba — wołał — mój żal nieukojony, gdybym ja niechcący stał się przyczyną zguby takiego człowieka, który mię od śmierci ratował kilkakrotnie, i który mi dał dowód tak wielki swojego o mojej rzetelności szacunku“.

Niewiele pomogły słowa Poniatowskiego.

Sąd sejmowy dnia 2 września, wydał wyrok, który grozą swoją przeraża!

Kraj omdlewa w niedoli, a pierwsi dygnitarze tego kraju, zamiast radzić o zapobieżeniu nieszczęściu, pod miecz katowski dają głowy winowajców.

Prawda to od dawna stwierdzona, że najsurowszymi sędziami są ludzie, sami na tę karę zasługujący...

Im rozsiadającym się na krzesłach senatorskich, na chwilę, na drobne może mgnienie, głos sumienia postawił przed oczy cały szereg przeniewierstw, nieuczciwych zabiegów, przekupstwa...; lica „owych ojców ojczyzny“, prędzej „nienawistnych ojczymów“ pobladły z trwogi, od samej śmierci straszniejszej... Na stos złoczyńców! — zakrzyczeli wszyscy, chcąc w sobie zagłuszyć niepokój...

I dwie głowy znękane upokarzającą inkwizycyą, więzieniem ciężkiem — spadły z rusztowania brocząc bruk stolicy...

Spadłoby ich więcej, ale w tym rozstroju społecznym potrafiły ukryć się pośród tłumu, nie na obczyźnie, a we

własnej po większej części ziemi; i nie znalazł się donosiciel, któryby je wydał w ręce sprawiedliwości... Dowodzi to, że powszechność ówczesna była innego o zamachu zdania...

Spieszno nam do końca, dzieje ludzi tych zbądźmy choć kilku słowy.

Wszyscy z wyjątkiem kilku tylko zostali na śmierć skazani.

Pułaski — *qua principalis*, Strawiński i Łukawski — przez ucięcie głowy, rąk, i przybicie ich na słupach, w miejscach publicznych, a potem — na spalenie...

Inni do komendy Łukawskiego należący — na ścięcie...

Reprezentantem pierwszych był rotmistrz zakroczymski, drugich biedny Józef Cybulski. Wyrok na tamtego da się jeszcze usprawiedliwić, choć w tej smutnej epoce wcale był niepotrzebny. Gdyby go ścięto zaraz po pojmaniu... ha, rozumielibyśmy jeszcze — ale męczyć delinkwenta więcej jak rok w więzach i potem wyprowadzić na rusztowanie?.. Powtarzamy, że śmierć ta była nieużyteczną, nikogo nie nauczyła, nikogo nie zbudowała...

Łukawski był jednym z przywódców. Ludzie stojący na czele sprzysiężenia, odpowiadają zwykle najsrożej za krok chybiony; inni zaś pod ich komendą, użyci w akcyi, ponoszą już mniejsze kary...

I tu wprawdzie zachowano pewne stopniowanie: tenże sam mistrz sprawiedliwości ścinał głowy obudwu, ale nad tułowiem pierwszego, już pozbawionego życia, miał prawo się pastwić, kiedy ciało ostatniego zostawiał w spokoju... Pociecha to niewielka! oba bowiem zarówno, pozbawieni byli czci, majątek ich skonfiskowano, dzieci skazano na utratę szlachectwa...

A przecie różnica wykroczenia była wielka! Łukawski strzelał do karety królewskiej, i dowodził jedną z placówek w czasie napadu, kiedy Cybulski nie brał w nim wcale udziału, zostawał bowiem w stajni OO. Dominikanów na straży, a dowiedziawszy się o zamachu powrócił do komendy. Służył w dywizyi porucznika Modzelewskiego, potem u p. Zembrzuskiej, wszyscy o nim zapomnieli, sam się odezwał

prosząc o „liberacyą“, która go na rusztowanie zaprowadziła... To też i na rusztowaniu zachował się jako smutny figurant...

Łukawski zostawił testament czytany przez ogół z wielkim udziałem, a wyprowadzony na miejsce kaźni, przemawiał do ludu, Cybulski zaś patrzył na długą litanię nazwisk towarzyszy, wypisanych białemi literami na czarnej tablicy pod pręgierzem umieszczonej, patrzył może nie rozumiejąc, a może śniły mu się utarczki konfederackie, życie bez jutra, którego kres skończyć się miał za chwilę, na tym oto pieńku, pod cięciem miecza, trzymanego przez mistrza sprawiedliwości...

Zamknięty, jakby w obręcz żelazny strażą starościńską, na podwyższeniu mającem ledwie kilka kroków średnicy, przed sobą widział każącego człowieka — sen to czy jawa! Człowiek ten, niegdyś jego dowódca, uosobienie siły i energii, dziś starzec siwobrody... A tam za mundurami, za połyskującą bronią wojska, massy ludu ściśnione, milczące, spokojne... Obok smutny i poważny kapłan, posępny i niemy kat... Chwila nad wyraz ciężka, bo pozbawiona nadziei!

Łukawski przemawiał do tłumu, a tłum ten, nie był to ów dziki, wyjący rzymski gmin, żądny krwawych widowisk, ale cichy, pobożny, pełen skruchy i słowiańskiego poszanowania dla nieszczęścia...

— IMć pan zakroczymski wielkiego animuszu człowiek — pisał do p. Mytka Wereszczatyńskiego jeden z przytomnych egzekucyi — słuchali go z uwagą wszyscy, cicho było jak makiem posiał, jak to onego czasu w Barze, kiedy ks. Marek nauczał...

I my dodamy, że wielkiego animuszu człowiek. Toż obok, na stopniach rusztowania stała jego ukochana żona, której za karę kazano asystować przy wykonaniu wyroku, stał także ponury, a milczący Kuźma... Rotmistrz umilkł, dał głowę pod topór. Zbliżył się z kolei do pnia Cybulski, nie mówił nic, wyjął tylko z zanadrza szkaplerz, przeżegnał się, pocałował go i ukląkł...

Krwawy dramat był skończony...

Gdy padły głowy winowajców, zaczął się nowy w tejże chwili. Pośród tłumu rozległ się jęk przenikliwy, żałośny, jakby z głębi pękającego serca powstały... Z jękiem tym upadła na ziemię biedna Łukawska... Nieprzytomna, w konwulsyach, podniesiona z placu, we dwa dni dokonała żywota...

Po wszystkie czasy — pięknie umiały ginąć nasze niewiasty... Palił je ofiarny płomień przywiązania, zabijał cios bliskie przeszywający serce; rozpacz podcinała życie, kiedy nadzieja umierającą powoływała do niego...

Biedna męczennica spoczęła w jednym grobie z małżonkiem na cmentarzu ks. Dominikanów...

Kuźma poszedł na wygnanie, opatrzony przez króla, od którego po 300 dukatów rocznie pobierał. Legioniści zastali go we Włoszech, ale stronili od ponurego starca. Za rządów pruskich wrócił do Warszawy, chociaż w wyroku było powiedziano, że jeżeli kiedykolwiek odważy się stanąć na ziemiach Rzeczypospolitej — śmiercią karany będzie. Ale Rzeczpospolita już nie egzystowała. Umarł Kuźma w stolicy, doczekawszy późnej starości (w czerwcu 1822 r.).

Zembrzuski musiał odprzysięgać — rok jednak przesiedział za kratą.

Peszyński i Frankenberg skazani na dożywotnie więzienie w warowni kamienieckiej, przywiezieni zostali na kresy w początku 1774 r. W małych, do dziś jeszcze dobrze zachowanych celkach, obok fortyfikacyj, znanych pod nazwą Ruskiej Bramy, przepędzili oni lat wiele...

Doprawdy, trudnoby wynaleźć stosowniejszy kąt na odsiadywanie kary! z okienek bowiem mały plac, pusty zawsze, widzieć tylko mogli, za placem rzekę mętną i brudną, za rzeką brzeg skalisty, opuszczony, nigdzie krzewinki, nigdzie listka zielonego!

Burze przegrzmiały nad krajem...

Sztandar Rzeczypospolitej strącony z wierzchołków warowni kresowej, na jego miejsce zatknięty inny... a więźniowie zawsze zostawali pod kluczem! Nic dziwnego, komendantem Kamieńca był stary barszczanin Złotnicki; nie brakło mu odwagi na wypuszczenie Grabowskiego, choć mu tem

wielkiej nie wyświadczył przysługi, bo uwolniony, trafił w Warszawie na znane rozruchy, a lud na nim doraźny wyrok śmierci wykonał... Nie brakło komendantowi odwagi na oswobodzenie z więzów frankistów — a towarzyszów dawnych zostawił, nie chciał się przyznać, że kiedyś walczył z nimi pod jedną chorągwią...

Król przywieziony do Grodna, jako zwykły śmiertelnik, choć jeszcze w koronie, ale już bez królestwa, przypomniał sobie związkowych, którzy go niegdyś chcieli tronu pozbawić. Dziwna ironia losu! Stanisław August już tronu nie posiadał, a oni zawsze w niewoli jęczeli. Wśród samotności i ciszy wygnania, stawały przed wzrokiem jego duszy ubożuchne postacie, prostaczkowie biedni, leśniczy i ślusarz — królobójcy... Pod wrażeniem tem pisał on do ks. Repnina w lutym 1795 r.

— „Wiesz mości księże, jak mnie obchodzi los nieszczęśliwych, którzy zostali skazani na wieczne więzienie do Kamieńca jeszcze w 1774 r. Starania moje o ich uwolnienie zawsze były daremne, nigdy nie chciano zrozumieć, że cierpienia ich zatrują ostatnie chwile mojego życia. Prosząc o łaskę tę u Jej Cesarskiej Mości, błagam cię mości księże, byś się wstawił o ich oswobodzenie. Nazwiska skazanych — Peszyński i Frankenberg“.

Choć list został bez odpowiedzi, zawsze atoli jest pięknem świadectwem dobrego serca króla. Dopiero cesarz Paweł, po wstąpieniu na tron, rozlewając swe łaski na wszystkich nieszczęśliwych, nie zapomniał i o nich. Generał-gubernator podolski pod d. 4 grudnia 1796 roku, następujący lakoniczny rozkaz otrzymał: „Więźniów Frankenberga i Peszyńskiego w Kamieńcu osadzonych, za udział w porwaniu króla polskiego, uwolnić natychmiast i pozwolić im udać się, kędy zapragną“.

Rozkaz cesarza wykonany został 1 stycznia 1797 r. Zaznaczamy tu słowa ukazu: „za udział w porwaniu“, o królobójstwie nie ma mowy, i cesarz musiał nie wierzyć w to królobójstwo, pomimo bowiem najwznioślejszych dowodów

miłosierdzia, jakie złożył, nigdyby królobójców nie udarował wolnością, wysoką bowiem czcią otaczał majestat...

Biedni więźniowie stanu, po 23 latach ciężkiej niewoli wyruszyli w świat. Pośród swoich na tułaczy wyglądali, wnieśli za kratę obraz dawniejszego stanu kraju, przez długi przeciąg zamknięcia obraz ten ich nie opuszczał; teraz zastali dawny porządek wywrócony, nowe granice, nowe państwa. Dola tych ludzi — to ciekawy do powieści materyał; dla przyszłego jej autora dodamy, że obaj w kwiecie wieku dostali się za kratę — a wyszli już jako starcy zgrzybiali...

Tyle o losach główniejszych winowajców ujętych przez władzę. Teraz o nieujętych.

Do tych należał Strawiński. Po ogłoszonym manifeście w grodzie wileńskim, już o nim nie słychać — utonął na zawsze w tłumie. Wójcicki dający posłuch legendom, utrzymuje, że pod zmyślonem nazwiskiem udał się do Rzymu, wstąpił tam do duchownego stanu, jako kapłan wrócił do Polski, był długo proboszczem w jednej z parafii w Augustowskiem, że dożył lat sędziwych i zostawił pamiętnik, w którym opisał szczegółowo udział swój w konfederacyi... Ile w tem prawdy, to już do p. Wójcickiego należy...

Inna starszyzna związkowa rozprysła się na liczne grupy. Nie weźmiecie mi za złe, że dzieje pojedynczych osób, występujących w niniejszem opowiadaniu, zamknę tu w krótkiem wspomnieniu.

O poległych na pobojowisku mówiłem wyżej; ze zmarłych o jednym Joachimie Czernym pośle do Carogrodu wzmiankować należy.

Niektórzy przed upadkiem konfederacyi opuścili ją haniebnie. Mianowicie: Michał Dzierżanowski, ów słynny awanturnik, tytułujący się królem Madagaskaru, w wiele lat później, w wielkiej biedzie, skończył w Wiedniu (1809) utrzymywany kosztem hetmana Rzewuskiego.

Józef Zaręba, dzielny partyzant, potem przeniewierca, osiadł pod rządem pruskim, kołatał ztamtąd do Salderna i do Stanisława Augusta, bezskutecznie. Dożył on zupełnego upadku kraju.

Inni poszli na wygnanie i wytrwali *usque ad finem* pod sztandarem protestacyjnym. Kazimierz Pułaski, poległ w Ameryce pod Savannah 9 października 1779 r. Michał Pac, marszałek konfederacyi litewskiej, z Wiednia udał się do Strasburga i tam dokonał żywota 1775 r. Józef Miączyński, zabrany do niewoli pod Lanckoroną, wydostawszy się z niej osiadł we Francyi, dosłużył się stopnia jenerała wojsk rewolucyjnych — zginął pod gilotyną. Michał Granowski, wojewoda rawski, także złożył głowę na wygnaniu. Marcin Jerzy Lubomirski, syn Antoniego, starosty kazimirskiego, marszałek związku krakowskiego, awanturnik, godny następca Łaszcza, bo „rozbijał sobie dla przyjemności po drogach i siedział za to w Kamieńcu...“ Pozostał wiernym dawnym nawyknieniom, ugrzązł w Niemczech, zakochał się w córce Franka, sekciarza żydowskiego, nawet podobno ożenił się z nią i zamieszkał przy nowej (trzeciej?) połowicy w Offenbachu.

Tyłu nieprzejednanych.

Drudzy, po kilku latach tułaczki, wracali na dawne urzęda, trzymając się atoli zawsze na boku, jakby w ostatniej walce stracili wszystką wiarę w pomyślność kraju. — Byli między nimi i tacy, którzy umierali w zapomnieniu, a do tych należy Teodor Wessel, podskarbi koronny, twórca konfederacyi na Podgórzu; po jej upadku ustąpił z urzędu, sprzedawszy go Ponińskiemu za 300.000 złotych. Zgasł w ustroniu, rodzinę zostawił w wielkim ubóstwie.

Adam Krasiński, biskup kamieniecki, jeden z najczynniejszych agitatorów, „złamany niepowodzeniem sprawy, zadarłszy z całem społeczeństwem Stanisława Augusta, zupełnie podupadł na duchu. Miał jednak tę szlachetną ambicyę, że nie kłaniał się wzorem innych na dworze królewskim, o łaski nie żebrał. Dlatego i biskupstwa wyższego nie dostał“. A i stratę kamienieckiej stolicy przeżył, umarł w ziemi ciechanowskiej, w Krasnem, w podeszłym wieku (liczył 88 lat). Brat jego Michał Hieronim, podkomorzy rożański, równie się nie odezwał już więcej po upadku Barszczyzny.

Regimentarz Joachim Potocki, długo się tułał po Turcyi, zwątpił — ostatni. Osiadł w Morafie położonej w województwie bracławskiem, o kilka mil oddalonej od granicy multańskiej; poświęcił się cały gospodarstwu, starając się o polepszenie bytu włościan. Michał Kazimierz Ogiński, hetman w. litewski, wędrował po Europie przez lat wiele, ale z hetmaństwa nie ustąpił. Muzyk to był zawołany — zręczniej władał smyczkiem niż buławą. Zostawił potomności smutne wspomnienie przegranej pod Stołowiczami, kanał jego nazwą uczczony i kilka polonezów... i za to Bóg zapłać! Dopiero w 1792 r. wyrzekł się władzy nad wojskiem, odtąd mógł już grać — i grał też aż do zgonu... Może muzyką chciał zagłuszyć jęki współbraci, ginących pod zapadającym się gmachem państwa? Bóg go stworzył na kapelmistrza, a ludzie kazali mu być hetmanem, czyż on winien, że hetmanić nie umiał?...

Jeden może Jędrzej Mokronowski, jenerał-lejtnant wojsk Rzeczypospolitej, rąk nie opuścił. Marszałkował na sejmie (1776), otrzymał w końcu i krzesło w senacie — a na trzy lata przed zgonem (1784) został wojewodą mazowieckim. Z drobniejszych dowódców, tylko pułkownik Kazimierz Lenartowicz brał udział w wypadkach z czasów Kościuszki; potem kiedy w 1806 r. Francuzi weszli do Polski, sztyftował własnym kosztem pułk huzarów. Umarł 1809 r. w Dąbrowie, dziedzicznej włości położonej w Sieradzkiem...

Ze smutkiem na końcu przychodzi nam wspomnieć o trzeciej grupie konfederatów, którzy utonęli w Targowicy.

Przez długich 20 lat przechowywali oni tradycyę ruchawki barskiej, jakby nie rozumieli tego, że naród postępować musi, że zatrzymany na miejscu, już tem samem cofa się, opóźnia w swoim pochodzie... Marzyli o „złotej wolności“ — a doprowadzili do niewoli... wyobrażali sobie, że są dobroczyńcami kraju — a oparli się pod pręgierzem; śniło im się, że nazwiska ich, jako wybawców, wdzięczny naród umieści w Westminsterze polskim i błogosławić będzie ich wspomnieniu, a doczekali tego, że naród nazwiska

te obrzucił wzgardą i złorzeczeniem... Koniec był zbyt smutny po tak obiecującym początku.

Szymon Kossakowski, ów świetny partyzant 1768—1772 roku, zaraz po Pułaskim pierwsze między bojownikami zajmujący miejsce, dla którego było niczem przerżnąć się z jednego krańca Korony w drugi kraniec Litwy, który w oczach nieprzyjaciela był prawie jednocześnie na Podgórzu, robił szczęśliwe zasadzki w Wielkopolsce, zachęcał do ruchu w Inflantach, najniespodziewaniej spadał z puszcz litewskich na równiny polskie — ów Kossakowski tak się w 1792 r. rozswawolił i rozpasał, tyle nąbroił, że... się haniebnej śmierci doczekał...

Michał Walewski, marszałek krakowski za Barszczyzny, chwilowy przed przybyciem Dumourieza naczelnik sił zbrojnych związkowych, jedyny człowiek, którego głosu słuchali przybrani dowódcy oddziałów partyzanckich, statysta — był zastępcą marszałka w Targowicy. Usunął się rychło w skutek nieporozumień — i któż po nim zasiadł na opróżnionem miejscu? Oto Antoni Pułaski, dzielny niegdyś starosta czereszyński. Ojciec jego i brat złożyli głowę za barski związek, brat drugi poszedł na wygnanie nieprzejednany. I on dobrowolnie nie opuścił dawnego sztandaru, dostał się do niewoli i długo gorzki chleb tułactwa pożywał... A teraz rozpierając się na krześle marszałkowskiem, sam własnej urągał przeszłości.

Rzewuski Seweryn, z krwi i kości przesiąkły zasadami barskiej konfederacyi, dlatego tylko nie brał w niej udziału, bo z ojcem podzielił wygnanie w Kałudze — został jednym z twórców konfederacyi Targowickiej.

Tomaszewski, jej sekretarz, jeden z głównych aktorów, a przecież dawniej bił się pod dowództwem Zaręby, wzięty do niewoli cały w ranach, ledwie na wielkie prośby króla z więzów oswobodzony został... Nie chciano go wypuścić — bo szaloną śmiałością i odwagą dał się nieprzyjaciołom we znaki.

Złotnicki rotmistrzował w Barze — konsyliarzuje w Targowicy, rabunkiem się bawi, szlachtę odziera, a kiedy mu

wyrzucają niecne postępowanie, z śmiechem cynicznym powtarza, że tak samo radzono sobie i za barskiej konfederacyi.

Rudnicki na Podgórzu trzymał się długo (1769—1772). Choć często rozpraszany, zawsze wiązał swoją komendę, w groźny dla regalistów zastęp. Bez gaży, bez zapasów żywności, bez furażu, znękany i głodny, szanujący jednak własność cudzą, nie bawił się w owe „egzekucye“ — osłaniając dowolność i rabunek... Teraz był wodzem naczelnym sił zbrojnych w Targowicy. Ten, prędzej od innych poznał. że zbłądził i oszalał z rozpaczy!

I wszystko to starszyzna, a cóż mówić o drobiazgu? sumaryczny spis byłby za długi, a nam tchu braknie już przy układaniu pierwszej jego pozycyi...

Więc poprzestajemy na tem. Powiemy jeno, że z upadkiem konfederacyi poczętej pod sztandarem Maryi, kończył się stary porządek. Kto z barszczan nie poszedł na wygnanie, a głuchy na potrzeby kraju, nie umarł dla życia publicznego — ten odżył w Targowicy.

Nieubłagana to logika faktów. Nie myślcie wszakże, bym obie stawił na równi. Między niesfornością szlachecką, dążącą do utrzymania nierządu, w kraju nie grzeszącym porządkiem, a pyszałkowatą chęcią cofnięcia wstecz losów narodu, przychodzącego do ładu — leży przepaść nieprzebyta.

Konfederacya przed reformami była swawolą, po ich zaprowadzeniu stawała się zbrodnią.

To też aktorów pierwszej wdzięczna potomność w legendowe szaty ubrała, pieśniarze w bohaterskich rapsodach unieśmiertelnili jej czyny...

Dla sprawców zaś drugiej, najpobłażliwsze uczucie ledwie się zdobyć na wzgardliwe milczenie potrafi...

ZRÓDŁA.

Lelewel. Panowanie króla polskiego Stanisława Augusta. Bruxella. 1847. str. 77 i 195.

Bartoszewicz. Panowie niemieccy na dworze Stanisława Augusta. Warszawa. 1852 r. Art. pod tytułem: Karol Kokiej.

H. Schmitt. Dzieje Polski XVIII. i XIX. w. Kraków. 1867. str. 11, 331 i 425.

Kaczkowski. Wiadomość o konfederacyi Barskiej. Poznań 1843. str. 230 i dalsze.

Bartoszewicz. Barska konfederacya (Encyklopedya powszechna. Warszawa. 1860. II. 927).

Sołowiew. *Istoria padienia Polszy*. Moskwa. 1863. Rozdz. V. str. 114 i dalsze.

Petrow. *Wojna Rossii z Turcieju i z polskimi konfederatami*. Petersburg. 1874. III. 257. (Wyciągi z archiwum państwowego w Moskwie).

Ferrand. *Histoire des trois demambrement de la Pologne*. Paris 1820. II. str. 160 i dalsze.

Rulhiere. *Histoire de l'anarchie de Pologne*. Paris. 1808. III. str. 265—275.

Correspondence du roi St. Auguste Poniatowski et de Mme Geoffrin. Paryż. 1875. str. 415.

Stanisław August w Grodnie. (Przewodnik naukowy i literacki. Lwów. 1875. Zeszyt I—V).

Murray. Pamiętniki wydane przez H. Schmitta. Lwów. 1857. str. 255.

Wójcicki. Cmentarz Powązkowski. Warszawa. 1856. I. str. 235 i III. str. 40.

Replika z strony U. Instygatora... w sprawie przeciwko obwinionym *de Criminae Laese Majestatis*.

Odpowiedź ze strony Walentego Łukawskiego przy złożeniu Inkwizycyi... d. 27 miesiąca lipca R. P. 1773 uczyniona.

Sprawa urodzonego Walentego Zembrzuskiego dnia 29 miesiąca lipca 1773 r.

Odpowiedź ze strony Józefa Cybulskiego.

Obrona urodzonej Maryanny Łukawskiej d. 29 m. lipca 1773 r.

Indykta ze strony Jana Kuźmy.
Duplika ze strony Jana Kuźmy.
Siedm wyżej poszczególnionych tytułów, stanowi tyleż broszur *in folio*, nienumerowanych, bez miejsca druku; są one zapewne wyjątkiem z dzieła *Processus judiciarius*... Warszawa, 1774 r., wspomina o niem w dopisku p. Wójcicki, nie znamy go wcale.
Manitest Kazimierza Pułaskiego, marszałka ziemi Łomżyńskiej— rękopis — ze zbiorów po ś. p. Adolfie Dobrowolskim, niegdyś sekretarzu ks. Adama Czartoryskiego; część tych zbiorów jest obecnie własnością p. dra Karola Przyborowskiego w Kamieńcu podolskim.
Archiwum Mytka Wereszczatyńskiego, paczka listów prywatnych od 1765 do 1775 r.; udzielona mi przez dra Władysława Rudnickiego.

NIEDOSZŁE LEGIONY.

Opowiadanie z przeszłego wieku.

I.

Po wcieleniu prowincyj polskich, pierwszym podziałem odciętych, myślała Rossya o zużytkowaniu ludzi do klasy uprzywilejowanej należących, a na nowo zdobytym dziale ziemi polskiej osiadłych. Wprawdzie prawa państwowe nie obowiązywały szlachty do służby wojskowej, w cesarstwie atoli służba ta weszła w obyczaj. Mieszkańce jednak „zakordonowego kraju“ trzymali się na uboczu; tradycyą i sympatyami lgnęli oni ku dawnej ojczyźnie, od której zostali odcięci. Możniejsza klasa radziła sobie jak mogła, to wymykając się do Rzeczypospolitej, to rolnictwu oddana, zakopywała się na wsi, albo honorowe a drobne piastowała na miejscu urzędy; mniejsza jej połowa osypana zaszczytami, kręciła się w Petersburgu przy dworze. Jeżeli więc o tę zamożniejszą warstwę szło rządowi, to niemniej gorąco obchodził go gmin szlachecki, owi osadnicy zaściankowi, których tak dużo liczono na Białorusi.

Ale zdobywcy musieli najprzód radzić o uorganizowaniu kraju pod względem administracyjnym: wypadało na gruzach dawnego porządku zaprowadzać nowy. Zadanie było niełatwe. Podział prowincyj na namiestnictwa, utworzenie nowych biór, obliczenie ludności, opodatkowanie jej, ocenienie produktów miejscowych, pobór wojskowy, a w końcu rozpatrzenie się w przywilejach, rozgatunkowanie ich, należyte zbadanie usposobień ogółu i jednostek z wciągnieniem do

pewnych pozycyj i t. d. — to wszystko było do zrobienia tylko przy żelaznej wytrwałości, stworzonej rozkazem z góry, udało się w ciągu lat kilku jako tako wszystko uporządkować, potworzyć oddzielne grupy i dojść do pewnego wyniku reprezentowanego przez cyfry.

Ks. Potiemkin Taurydzki, który się opiekował wszystkiem, co dawniej należało do Polski, a nawet wchodziło w skład tej ostatniej, który tak lubił dysputy z księżmi łacińskiego obrządku a przedewszystkiem z Jezuitami, że aż go w końcu zaczęli pomawiać o aspiracye do chwiejnego i wielce podówczas nieponętnego tronu Jagiellonów — ks. Potiemkim pierwszy zwrócił uwagę na bezczynność szlachty białoruskiej, i przypuścić nawet się godzi, że był on twórcą projektu utworzenia chorągwi polskich w prowincyach pierwszego zaboru. Jakoż jemu to Katarzyna II. zleciła uorganizowanie zaciągów.

Czy ukaz wszedł w życie? Nie umiemy na to z pewnością odpowiedzieć. Ukaz wydany jednak został 1 marca 1784 r. i wniesiony do ogólnego zbioru praw rossyjskich. Wolą było cesarzowej, aby książę wysztyftował sześć chorągwi — cztery ze szlachty zaściankowej osiadłej w Mohylowskiem, a dwie w Połockiem namiestnictwie. Okrom nich stanąć miała jeszcze siódma, cesarska, ze znakomitszej szlachty złożona; żołnierze w niej pełniący służbę otrzymywali stopnie oficerskie, dowódzcy na równi z generałami uważani być mieli.

Każda chorągiew dzieliła się na dwie kompanie, a kompania na dwie brygady. Pierwsza kompania, pierwsza brygada składała się z dwudziestu poruczników, porucznik winien był mieć poczt z trzech ludzi złożony. Ci pocztowi otrzymywali od rządu gażę, prowiant, ubranie, broń, amunicyą i furaż dla koni. W pierwszej kompanii, drugiej brygadzie także 20 poruczników, ale już tylko po dwóch pocztowych na każdego. W drugiej kompanii, pierwszej brygadzie 20 chorążych i po żołnierzu na chorążego. Nakoniec w drugiej kompanii, drugiej brygadzie dwudziestu młodszych chorążych, ale bez pocztów. Na nich ciężyła służba ordy-

nansowa przy dygnitarzach, jak znowu obowiązkiem chorągwi cesarskiej było pełnienie warty honorowej przy osobach, do panującej należących rodziny, w czasie ich pobytu na Białorusi.

Owi porucznicy i chorążowie, byli to dawniejsi towarzysze, gaży nie pobierali żadnej. Starano się, jak widzimy, zachować organizacyę polskich chorągwi, rząd widocznie wiele liczył na tradycyę. Mundur towarzyszów papuziego koloru z malinowemi i srebrnemi potrzebami; a pocztów granatowy z karmazynowym jak w kawaleryi, do której cały ten korpus wcielono.

Chorągiew cesarska składała się z 80 towarzyszów i 120 osób, werbowanych w zaściankach z grona szlachty czynszowej; inne chorągwie liczyły także po 200 ludzi, a sumując wszystko, przekonamy się, że stan uprzywilejowany dawał 1400 szeregowców zdolnych do noszenia broni. Jak na ziemie odcięte pierwszym zaborem było to niewiele. Powtarzamy jednak po raz wtóry, że ie wiemy, czy z całą ścisłością ukaz wykonany został. O towarzyszach ordynansową pełniących służbę, nieraz spotykaliśmy wzmianki w pismach rossyjskich. W skład ich wchodzili tylko Polacy i tylko mieszkańcy Białorusi, chociaż z czasem i z ościennych prowincyj Rzpltej wolno było do tych honorowych oddziałów wstępować.

Przechodzimy do drugiego podziału kraju. Spore wówczas zastępy wojska polskiego zostały do rossyjskich szeregów wcielone. O przeprowadzeniu tego wcielenia i o losach żołnierzy pod nowym sztandarem słów kilka powiedzieć należy. Wiadomo, że podział dokonany w 1793 r. przynosił Rossyi w zysku ziemie ukrainne. Rzeczpospolita uszczuplona traciła w tej stronie podolskie, bracławskie i kijowskie województwa. Na przestrzeni tej kwaterowało 14 do 16.000 wojska polskiego rozmaitej broni, rozrzuconego w małych oddziałach, nietylko ze sobą niepowiązanych, ale owszem, otoczonych regimentami rossyjskiemi. Główne jądro jego sta-

nowiła dywizya pod dowództwem generała Lubowidzkiego, z kwaterą w Nowym Chwastowie; garnizon kamieniecki z marszałkiem targowickiej konfederacyi, Antonim Złotnickim na czele.

Generał Kreczetnikow, obejmujący władzę nad świeżo zagarnionym krajem, miał sobie poleconem namówienie wojska polskiego do przyjęcia służby u cesarzowej. Stał on w Łabuniu; między tym ostatnim a Nowo-Chwastowem ciągle kursowali wysłańcy wielkorządcy rossyjskiego. Przedmiotem aspiracyi był naturalnie generał-porucznik Lubowidzki. Nie miał on zachowania w wojsku; słabej głowy, podejrzanego patryotyzmu, wszystko był winien okazałej powierzchowności, a ztąd szczęściu u kobiet, które go popychały na drodze karyery wojskowej. Zabór zastał go kawalerem obu orderów polskich, nadto właścicielem miasteczka Nowo-Chwastowa z przyległościami, które wziął po żonie, starościance Czarneckiej, czyli raczej nabył za jej posagową sumę. Począł karyerę od rotmistrzowstwa, kupionego za pieniądze starościny Szujskiej, która go, jak utrzymuje Bukar, nie bez przyczyny protegowała. Dostał się do Warszawy, trzymał się dworu, eskortował króla w czasie jego do Wiśnicza podróży (1781), zwrócił nawet wówczas na siebie uwagę Najjaśniejszego Pana, a zawdzięczał to „czaprakowi“ przyozdabiającemu jego wierzchowca. W ogniu nie był, w pojedynku zabił przeciwnika, to mu zjednało opinię odważnego.

Taki to człowiek stał na czele wojska polskiego w prowincyach ukrainnych. Do ugody łatwo przyszło; dnia 17 kwietnia 1793 r. otoczony starszyzną, udał się do Łabunia i dnia następnego wykonał przysięgę na wierność wraz z całym sztabem, poręczając, że w ślady jego pójdą wszyscy podkomendni. Nie umiał nawet korzystać z chwili, ledwie sam za dowody „lojalności“ otrzymał order Aleksandra Newskiego, inni zaś koledzy jego nic nie wskórali, nie wrócono im nawet kosztów poniesionych na kupienie szarż oficerskich. Jednocześnie wstąpili z Lubowidzkim do wojska rossyjskiego generałowie: Podhorodeński, inspektor kawaleryi; niefortunny bohater Judycki, Wielowiejski, Szwejkowski, Poniński, Stemp-

kowski, Malczewski i Miączyński; brygadyer Kraszewski; pułkownicy: Poniatowski, Pomorski, Jerlicz, Czajkowski i Tomaszewski. Dywizya otrzymała nazwę ukraińskiej, pozostawiono jej dawnych dowódzców, komendę polską, zmieniono tylko felcechy, dając złote z czarnym jedwabiem, zamiast barw narodowych. Jeden batalion tej dywizyi kolejno obowiązany był pełnić służbę przy głównej kwaterze rossyjskiej.

Wkrótce poddała się i twierdza kamieniecka Derfeldenowi 2 maja. Stojące tu garnizonem pułki, jako niekompletne, zostały wcielone do rozmaitych innych pułków: jeden tylko pieszy grenadyerski, przedtem szefostwa ks. Lubomirskiego, a potem Józefa Witta, nie rozprószony, został nazwany Mohylowskim. Oficerewie twierdzy otrzymali na żądanie dymisye, rząd im zapewnił zwrot funduszów wyłożonych na kupno posad wojskowych, co zawarowali sobie jednym z punktów kapitulacyi. Hasłem ówczesnej chwili było — myśleć tylko o sobie. Złotnicki mianowany został generał majorem i komendantem, a wykonali z nim jednocześnie homagium: brygadyer Dzierżek; pułkownicy: Hanicki, Korytkowski, Luboński i kilkunastu niższych oficerów. Wówczas to i Szczęsny Potocki otrzymał tytuł generała *en chef*, a Moszczyński generał-majora.

Dla uzupełnienia spisu dodać należy jeszcze kilku obywateli polskich, którzy wcześniej, między r. 1788 a 1792, wstąpili byli do szeregów rossyjskich. Byli to mianowicie: Lubomirski Aleksander, który dowodził pułkiem kawaleryi; jenerał Józef Witt, wówczas już *Graff*, który komendantował w Chersonie, a któremu się wszystko udawało szczęśliwie. Szarżę jeneralską przedał Szczęsnemu za 6000 dukatów, dla Ojrzyńskiego nabytą, Ojrzyński nie korzystał z tytułu, umarł wkrótce, a Potocki musiał zapłacić, choć się długo opierał... Wracając do listy rozpoczętej, dodamy, że ormianin kamieniecki, Krzysztofowicz dowodził pułkiem piechoty Sofijskim, a Kossakowski Szymon, hetman za Targowicy, dostał pod Oczakowem brygadę. Oto jak o tym awansie pisze p. B. Zaleski: „Generał Kossakowski przed wstąpieniem do

służby rossyjskiej, umiał wmówić Potemkinowi, że awans ominął w Polsce jego i Pułaskiego za to, że byli przyjaciołmi Branickiego, a więc i Rossyi. Koncept udał mu się, bo Potemkin wynagradzając to, Kossakowskiemu dał stopień jenerała!..

Inni dygnitarze cywilni, otrzymali wysokie tytuły radców tajnych i rzeczywistych, nadto dekoracye Aleksandra Newskiego. Działo się to wszystko w pierwszej połowie 1793 r.

Znalazła się jednak garstka nieprzejednanych. Pierwszy do protestu dał hasło brygadyer Suchorzewski. Namówił on oddział swój, rozkwaterowany w okolicy Dniestru, do przejścia na brzeg przeciwny rzeki i rozłożył się obozem pod Chocimiem, na polach tylekroć dla nas pamiętnych świetnemi zwycięstwy. Za nim w ślady podążył Ksawery Łaźniński, który najpierw sam się stawił u kolegi, a wkrótce i większa połowa jego podkomendnych. Na początku kwietnia opuścili oni ziemię rodzinną, rok cały w biedzie przebyli; już bowiem ostatnich dni maja donosiły ówczesne polskie dzienniki, że Suchorzewski stoi pod Chocimiem, że żołnierzom jego broń odebrano, że są w nędzy i muszą „się najmować u chłopów na robotę, a dowódzcę Turcy mają na oku“, że wielu szeregowców ucieka i t. d. Nie bacząc jednak na brak żywności garstka owych „dobrowolnych dezerterów“ utrzymała się dzielnie a dowódcy świecili przykładem. Na nieszczęście nie wiele wiemy o przeszłości Suchorzewskiego, za to o Łaźnińskim już więcej szczegółów posiadamy. Pochodził z Wielkopolski, a dom jego to dom wspólny z Zamojskimi herbu Saryusz. Młody chłopiec został paziem na dworze Stanisława Augusta; pod opieką wojewodziny podolskiej, a siostry królewskiej, awansował szybko, w 1792 r. już jako brygader stał na leżach w Bracławskiem województwie. Uczęszczał tu do domu miecznika koronnego, Grocholskiego, ożenił się z jego córką Teklą. A „Teklunia to złota“ była rzadkim typem kobiety; wychowana w zbytkach, po zgonie ojca, w sku-

tek wyjątkowych okoliczności pozbawiona majątku, uboga, staje się przecież opatrznością oddziału, czekającego na spiekłym stepie chocimskim lepszej doli i lepszej przyszłości... Jak młoda niedoświadczona niewiasta, nie rozumiejąca życia, naraz przedzierzgnęła się w gospodarnego komisarza zaopatrującego żywnością blisko 1000 ludzi — pozostanie to dla nas zagadką, którą chyba wielka miłość rozwiązać potrafi... Kraj zubożały i zrujnowany, o zdobycie grosza tak trudno, że ludzie wielkiego uzywający kredytu, oddają na własność dobra ziemskie, za długi nieprzynoszące w szczęśliwe lata połowy rocznego z nich dochodu — i nie znajdują kupców!.. A ośmnastoletnia kobieta w obec takiego stanu rzeczy, posiada sposoby karmienia sporej gromady wygnańców — i to w ciągu roku całego! To też przedaje żydkom, wyprawę, bogate sukienki, bo „ich nosić nie wypada w czasie takiej kraju nieszczęśliwości", potem kosztowne a drobne pamiątki, powozy, w końcu wierzchowce p. brygadyera i t. d.

Z czasem i młodzież przybywa do obozu. Oficerowie niższych stopni cisną się tutaj, a spotykamy pośród nich Chłopickiego, późniejszego dyktatora, dwóch Aksamitowskich, którzy to w legionach i za królestwa kongresowego zdobyli sobie słuszną sławę zdolnych artylerzystów, buńczucznych braci Rożnieckich, synów pułkownika i posła na sejm ostatni, dwóch Czerwińskich, skromnie, bez próżności a z godnością pilnujących czci sztandaru, Rozwadowskiego, Turskiego, Hurkowskiego i wielu a wielu innych.

Gwarno więc i wesoło było w namiotach pod Chocimiem, a że tradycya Barszczyzny między Turkami zawsze była świeża, ztąd i o sympatye baszy nie było trudno. Naciskany przez władze „zakordonowego kraju" odpowiada Basza wymijająco, zapewnia że pisać nie omieszka do wezyra zapytując go, jak ma postąpić z „gośćmi", a choć przepisy Koranu zalecają mu podejmować ich sercem całem, rozkazy wszakże Dywanu wykona z całą ścisłością. Duszą wygnańców jest p. brygadyer Łaźniński. Suchorzewski jakby na drugi plan zepchnięty, pilnuje porządku, podczas gdy tamten podtrzymuje energię i zachęca do wytrwałości... Teklunia

zaś jego, chcąc być bliżej męża, z pod Winnicy, kędy jej bracia mieszkali, przeniosła się do Morafy i ztąd już ciągle komunikowała się z obozem, oddalonym tylko o mil kilkanaście.

Tymczasem w Polsce i w prowincyach od niej odciętych, nowych zmian dostrzegamy. Jenerał-gubernator Tutolmin otrzymał od cesarzowej rozkaz wypłacenia ks. Dołgorukiemu, dowódcy południowej armii 1,000.000 złotych, zabranych z skonfiskowanych majątków, na utrzymanie dywizyi ukraińskiej i w ogóle żołnierzy polskich, wcielonych do wojsk Najjaśniejszej Pani. (Ukaz z d. 2 sierpnia 1793 r.) Po sejmie Grodzińskim Katarzyna dała polecenie zredukowania wojska w Rzeczypospolitej; ambasador jej Siewers robił starania, aby spadli z etatu szeregowcy, przyjęli służbę w pułkach rossyjskich. Cesarzowa z tego powodu rozkazała jenerał-gubernatorowi południowych prowincyj „powróconych od Polski“, by miał o tych wolontaryuszach należytą pieczę i „zapewnił im prawem dozwolone wygody“. (Ukaz z d. 29 sierpnia 1793 r.).

Nie wielu wszakże żołnierzy w ten sposób zdołano przyciągnąć. Regiment Działyńskiego, kwaterujący w Warszawie, na rozkaz Igelstroma, przysłał mu tylko 16 szeregowców, utrzymując, że tyle tylko nad komplet przepisany posiada; brygada Madalińskiego rozrzucona nad Bugiem, oparła się umniejszeniu i tem dała hasło do wybuchu...

Naturalnie że 900 rozbitków z pod Chocimia podniosło się zaraz na wieść o insurekcyi. Łaźniński połączył się około Połańca z dywizyą Kołyski i bił się do końca. Ale i inni wojskowi ze swojemi komendami jęli się garnąć pod sztandar polski. Wyszkowski na czele 10 szwadronów opuścił zimowe leże pod Starym Konstantynowem, rozproszył czterotysięczny pułk Bułhakowa, zabiegający mu drogę, zabrał i zagwoździł działa nieprzyjacielskie i przez Galicyę wkroczył do Rzeczypospolitej. Brygadyer Kopeć podniósł się w okolice Dubna na czele kilku regimentów i złączył się szczęśliwie z Zajączkiem. „Rossyjscy dowódcy, mówi p. Kostomarow, widząc że imię Kościuszki przyciąga ku sobie wojsko polskie (mowa

tu o dywizyi ukraińskiej) zaczęli je dezarmować, i żołnierzy rozsyłać do pułków rossyjskich. Ale Polacy i ztamtąd dezerterowali; niektórym z nich udawało się po wielu trudnościach dotrzeć do Kościuszki; innych pojmanych, pociągano do odpowiedzialności. Sądy postępowały z nimi nieubłaganie. Szczególnie surowo karano stawiących opór. Tak w moc wyroku wydanego w Kijowie w sierpniu 1794 dwiestu ośmdziesięciu zbiegów wpleciono do koła, ciała ich pozostały na miejscu kaźni. Innych wieszano. Mniej winnych po ochłostaniu sędziowie wysyłali w głąb państwa na służbę".

Powstanie Kościuszki upadło, dowódzca jego dostał się do niewoli. Polska jako państwo przestała istnieć. Resztki wojska, które walczyły pod sztandarem rewolucyjnym, najrozmaitszym uległy losom. Część ich poszła na wygnanie, część została w kraju z przyrzeczeniem, że już więcej przeciw nowym władcom nie podniesie oręża. Starszyzna albo w więzieniach, albo na tułactwie pędziła żywot.

O losach kilku wojskowych mających związek z opowiadaniem niniejszem, wspomnieć tu się godzi. Kopeć został jeńcem pod Maciejowicami, wysłany do Kamczatki, uwolniony przez Pawła, dokonał żywota w niniejszem stuleciu. O Wyszkowskim nic pewnego — Józefa spotykamy w 1812 r. jako szefa wydziału trzeciego dyrekcyi generalnej popisów wojskowych, w r. 1817 jest on pułkownikiem sztabu kwatermistrzowstwa, oznobionym krzyżem wojskowym polskim. Był w emigracyi i drugi Wyszkowski Franciszek (1794—1800), czy więc ten ostatni, czy pierwszy stał na czele regimentu pod Konstantynowem tego rozstrzygnąć nie jesteśmy w stanie... Suchorzewski znika także z widowni. W spisach wojskowych 1817 r. figuruje Tadeusz jako dowódzca drugiego pułku strzelców konnych, kawaler krzyża wojskowego polskiego, urzędnik legii honorowej i orderu św. Anny klasy 2 z brylantami. Czyżby po 24 latach służby, zamiast awansować miał stać niżej o jeden stopień? Franciszek Łaźniński dosłużył się w ostatniej wojnie szlifów generalskich, poszedł na wygnanie, mieszkał w Wenecyi, nie brał udziału w ruchach konspiracyjnych. Po zgonie Katarzyny II, na mocy

amnestyi wrócił do kraju (1797), osiadł w starostwie Chruszlinieckiem pod Winnicą; ostatnie lata spędził w Warszawie, gdzie umarł (1829) powszecnnie szanowany.

Tutaj, nim do dalszej przystąpię opowieści, winienem powiedzieć, co wam daję? Oto — daję nie obraz, nie szkic ale skromne sylwetki z przeszłości... Aż nadto rozumiem, że z profilu wykrojonego z czarnego papieru, i to nie zawsze wprawną ręką, trudno się wnukom domyśleć o życiu, jakie w piersiach ich dziadów tętniło... Ale kiedyż bo zbywa nieraz na barwach, kunsztmistrze bowiem z owej epoki, porwani gorączkową dziejów koleją, zapadli w grób, nie wypowiedziawszy o ludziach obok nich walczących ostatniego słowa. Ztąd o niektórych poprzednikach naszych mamy za wiele szczegółów, o innych znowu za mało. Zbieramy więc pojedyńcze rysy, nim zniszczy je pleśń wiekowa do szczętu. Z utartej ścieżki opowiadania o losach uorganizowanego państwa, schodząc do dziejów narodu pozbawionego reprezentacyi, mimowoli czuje się dreszcze trwogi, na myśl, że nie jedna cicha a wielka zasługa zapomnieniu ulegnie, nie jeden czyn niesłusznie mianem zbrodni napiętnowany, przejdzie takim na karty historyi, wlokąc nazwisko uczciwe przed sąd potomności. I prawnukowie rozpatrując się w czynach praojców, z rumieńcem wstydu na czole złorzeczyć im będą... A jednak ludzi ówczesnych podług dzisiejszej skali mierzyć nie można. Wykolejeni gwałtownie, rozbiegli się na wszystkie strony świata, unosząc w sercu grozę upadku i zniszczenia! Budynek od podwalin aż do stropów runął, rozsypał się w gruzy, mieszkańcy jego oparli się pośród rozmaitych ludów, krwią własną znaczyli swój pochód, a zatrzymując się w wędrówce, przypatrywali się temu co się w koło działo! Na syberyi, wśród śnieżnej zawiei, z szamanami o przyszłych losach gwarzyli; w skromnych i flegmatycznych państewkach niemieckich, wykładali słowiańską sztukę kulinarną jasnowłosym córom Germanii; we Włoszech, w Hiszpanii wbrew

przekonaniu walcząc pod zaborczym Francyi sztandarem, podnosząc rękę na wolność ludów, które im rzadnej krzywdy nie wyrządziły, w odstępach między jednem a drugiem zwycięztwem, pięknym dziewicom Italii szeptali czułe słówka miłości, a serca namiętnych Hiszpanek podbijali szkaplerzami i modlitwą; w Turcyi wiązali się w konfederacye — bo Dywan tylko tę formę protestacyi rozumiał... I stał się zamęt wielki pośród synów jednej ziemi; oddziaływały bowiem na nich najrozmaitsze prądy i teorye... Mieliśmy naraz wyznawców starych szlacheckich przekonań, *sodalisów* hołdujących Najświętszej Panience, rewolucyonistów trochę jakobinizmem zarażonych, demagogów, propagatorów despotyzmu carogrodzkiego i t. d. Nie dziwić się przeto, że po kilku latach tułaczki, zebrawszy się w jedno kółko już siebie zrozumieć nie mogli, ztąd gorszące waśnie, ztąd tak częste w ówczesnych pamiętnikach zarzuty zdrady ciskano w oczy przeciwników... A ja wam powiadam, że zdrajców w owej epoce porozbiorowej pośród nich nie było — a tylko ludzie rozmaitych przekonań, fanatycy nowo poślubionych teoryj, do ustępstw najmniejszych nie zdolni...

Ale słuchajcie i sądźcie sami, znowu wracam do opowiadania. Po upadku Polski prowincye wcielone do Rossyi, nowym zmianom uległy. Powtórnie tworzono w nich gubernie i stanowiono władze. Na Litwie gospodarował ks. Repnin, w południowych niegdyś województwach generał Tutolmin. W „kraju zakordonowym“ znajdowało się sporo wojskowych, którzy pędzili żywot smutny, pozbawieni funduszu — a więc środków do życia. O legionach włoskich jeszcze mowy nie było. Detronizowany król pamiętał o nieszczęsnej doli dawnych żołnierzy, to też w memoryale posłanym Katarzynie w końcu listopada 1795 r. tak pisze „Niech mi wolno jeszcze będzie, wypowiedzieć przed Tobą Najjśniejsza Pani, zdanie moje co do zachowania społecznego porządku i spokojności. Przeszło tysiąc polskich oficerów, kupiło stopnie wojskowe, obróciwszy na ten cel cały swój majątek! Naraz a niespodzianie tracą oni wszystek kapitał i pensyę, która służyła do ich utrzymania. Ludzie ci rozsypani są po pro-

wincyach przyłączonych do Rossyi i w ziemiach zdobytych przez Waszych sąsiadów; bieda i nędza pociąga rozpacz za sobą. Racz więc Najjaśniejsza Pani skomunikowawszy się z Waszymi wysokimi sprzymierzeńcami, obmyśleć środki dla zaradzenia złemu; środki, od którychby zależało nie tylko ich uspokojenie, ale śmiem dodać, wyratowanie od głodowej śmierci. Stosownie do ceny stopniów oficerskich, odpowiadającej czteroletniej gaży, przypuszczam, że 400.000 dukatów wystarczyłoby dla zadośćuczynienia wszelkim pretensyom".

Czy propozycye królewskie uwzględnione zostały? wątpimy bardzo. Pomimo pilnych poszukiwań, przekonaliśmy się, że cesarzowa przed otrzymaniem memoryału Stanisława Augusta, nabyła od Malczewskiego regiment jego szefostwa za 600 dukatów dożywotniej pensyi; nadto drobniejsze stopnie u 23 oficerów załogi kamienieckiej; po otrzymaniu zaś odezwy z Grodna, na tej samej zasadzie pobierali rocznie do zgonu, jenerał-porucznik Miączyński 600 złotych holenderskich, a Mikołaj Światopełk Czetwertyński, rotmistrz kawaleryi narodowej 200 zł.

Rząd jednak rossyjski, zaczął odtąd znowu myśleć o zużytkowaniu siły, jaką miał pod ręką. „Żołnierzy, wzmiankuje szef Drzewiecki, wzywano do służby, oficerów przyjmowano jednym stopniem niżej, mówiono o formacyi pułków nowych pod nazwiskiem dawnych województw, i w nich nas pomieścić obiecywano. Iliński, później senator, a którego pamiętniki z tych czasów na szczególną by zasługiwały uwagę, przynosił te obietnice". W jednym z listów prywatnych z wzmiankowanej epoki, czytaliśmy dużo o projekcie milicyj wojewódzkich, noszących nazwy nowo kreowanych gubernii: podolskiej, bracławskiej, mińskiej, izjasławskiej (żytomirskiej, późniejszej wyłyńskiej), litewskiej i słonimskiej. Miał to być rodzaj lekkiej kawaleryi, ze szlachty polskiej złożonej, przybranej w barwy wojewódzkie. Ochocki utrzymuje, że ziemianie zamierzali powierzyć Bartłomiejowi Giżyckiemu dowództwo chorągwi wołyńskiej. Więc i ubiór oficerów od nich zależał? Ale i te nowe formacye dziedziny projektu nie przekroczyły.

II.

Wiemy, że po rozgromieniu Kościuszkowskiego powstania garstka ludzi, nie chcąc pogodzić się z nowym rzeczy porządkiem, poszła na wygnanie. Najwięcej emigrantów skupiło się w Paryżu, Wenecyi i w Carogrodzie. Ruś Czerwona i Krakowskie pokryte zostały siecią stowarzyszeń z głównem ogniskiem we Lwowie, powiązanych z jednej strony z Warszawą, ztąd szły odpryski na Litwę i do południowych prowincyj, z drugiej z Paryżem, kędy najgorętsza garstka wychodźców, łapiąc się na jedwabne słówka rządu rewolucyjnego, zaczęła zagartywać w swe dłonie władzę, ową niewidomą, nie przez wszystkich uznaną, ale dość silną, bo mającą odwagę uważać się za narodową reprezentacyę. I to dziwić nie powinno — wszyscy ich odpychali, jedna Francya złudnemi karmiła nadziejami, jedna ona pozwoliła publicznie odzywać się w imię praw Rzeczypospolitej. Rząd rossyjski posiadał szczegółowe wiadomości o projektach wygnańców, miał swoich agentów w Warszawie i we Lwowie, w ostatniem mieście niekiedy po trzech jednocześnie. Najenergiczniejszy z nich, Hłasko, szczególnie był czynnym, ale też nienasycony, ciągle się upominał o nagrody pieniężne, ciągle wyliczał swoje zasługi. Rozczytując się w jego korespondencyach, istotnie przyjść można do wniosku, że gorliwość swoją za daleko posuwał; on to po uformowaniu legionów włoskich przesyłał listy wszystkich oficerów, z wyszcze-

gólnieniem ich stanowiska, stosunku do kolegów, do osób w kraju pozostałych i t. d. Nawiasem dodamy, że są one nieocenionym materyałem do historyi tej epoki. W Carogrodzie Zdanowski zdawał raporta Koczubejowi, ambasadorowi rossyjskiemu, o wszelkich ruchach w kółku emigracyi miejscowej. Niemniej był czynnym Seweryn, konsul rossyjski w Bukareszcie. Przytaczał on w sprawozdaniach swoich nietylko prawdziwe, ale i zmyślone nazwiska tych wiecznie koczujących tułaczów naszych, zarażonych demokratyzmem francuskim, rozmiłowanych w spiskowaniu, ale nie zdolnych wyrzec się dawnej buty szlacheckiej i powściągnąć nieoględnego gadulstwa, nawet w chwili największego poświęcenia!

Nie mamy zamiaru pisać dziejów owych konspiracyj — niewesołe i nieciekawe; warcholstwo główną ich podstawę stanowi... Mściwy Bóg przeobrażając bogatych niegdyś obywateli w tułaczy i żebraków, jako symbol wiecznej wędrówki dał im kostur pielgrzymi do ręki, jako symbol nędzy sakwę zawiesił na plecy, a jako klątwę, ziarno niezgody rozsiał po drogach kędy kroczyli... W waśniach a wzajemnych obmowach upływało im życie... nie dotkniemy więc dziejów tych konspiracyj, chyba o tyle tylko, o ile mają związek z naszem opowiadaniem.

W Paryżu wychodźcy zastali Franciszka Barsa, Lubelczyka, który bronił praw polskich w obec konwencyi. To im nie wystarczyło, więc się sami związali w komitet, który składał się z 20 członków (między nimi tylko co wzmiankowany Bars, a z wydatniejszych osobistości Franciszek Wyszkowski, Józef Wybicki, Karol Prozor i Ksawery Dąbrowski). Miało to miejsce w sierpniu roku 1791, we wrześniu podobny komitet powstał w Wenecyi z 7 innych członków, między którymi był generał Kołysko.

Ku końcowi 1795 r. punkt ciężkości przeniósł się z zachodu na wschód. Francya zamyślała o podburzeniu Turcyi przeciw Rossyi, a wysłannicy jej Verninac, a potem Aubert de Bayet, działali w tym duchu. Wygnańcy zaczęli spływać do Jass i Bukaresztu, łącząc się z tą odrobiną wychodźców, którzy zaraz po rewolucyi Kościuszkowskiej tutaj

przybyli, a rozkwaterewani w Filipowcach pod Chocimiem utrzymywali nieprzerwane z Galicyą stosunki. Kraj nie przestawał zasilać tej garstki. Wówczas to rozpowszechnioon dwuwiersz, następującego skromnego układu:

Kto kocha ojczyznę,
Niech rusza na Wołoszczyznę.

Jako objaw manifestacyjny wierszyk ten rozrzucany był w prowincyach południowych dawnej Polski, przylepiano go na domach, wrzucano przez okna do pomieszkań, rozsyłano w listach bezimiennych pragnąc tym sposobem rozbudzić otępiałe wśród trosk i zawodów poczucie.

Trzy osobistości w tym okresie wystąpiły na widownię nowych aspiracyj, wykwitających pod opiekuńczą Turcyi osłoną. Jeden dyplomata, o dyplomacyi nie mający najmniejszego wyobrażenia, jeden szlachcic starego autoramentu, bawiący się wojaczką, gorący i serdeczny, ale nierozważny, i trzeci, do nowej już szkoły rewolucyonistów należący. Domyślicie się łatwo, że mówię tu o Michale Ogińskim, Joachimie Denysce i Ksawerym Dąbrowskim, nazywanym przez niektórych pisarzy, nie wiemy wcale, na jakiej zasadzie, Dombrowskim.

Kilka słów każdemu z nich poświęcić należy.

Michał Klemens Ogiński, synowiec hetmana w. litewskiego, przeciwnik konstytucyi 3 maja, już po jej upadku został podskarbim litewskim. Niepowodzenia ostatniej rewolucyi wyparły go z kraju. Młody, pełen siły, nie liczył bowiem więcej nad lat 30, szukał pola popisu i całe życie przerzucał się z obozu do obozu. Rewolucyonista, senator rossyjski za panowania Aleksandra I., włóczył się po dworach europejskich niby to w interesach Polski, właściwie szukając doli i znaczenia, aż we Florencyi złożył skołataną głowę (roku 1833). W chwili, którą opisujemy, występuje Ogiński jako agent dyplomatyczny polski w Carogrodzie (w listopadzie r. 1795). Zaliczony w poczet członków ambasady francuskiej, wichrzy i miota się nieustannie; przez całe

miesiące nie otrzymuje żadnych instrukcyj od komitetu paryskiego — ztąd wniosek wyraźny, że nie wiele przywiązywano do jego posady znaczenia. Konferencye Ogińskiego z Moruzim, Stamatim, konsulem francuskim w Bukareszcie i z renegatem Ibrahimem zdradzają naiwność, jeżeli już nic więcej... Rok cały prawie (do listopada 1796) przepędził w Konstantynopolu, potem przez Multany udał się do Galicyi; po drodze, w Bukareszcie, spotkał cały zastęp emigracyi niecierpliwie oczekującej chwili stanowczej, wzniecił między nimi nieporozumienia, naraził się na karczemną awanturę z Dąbrowskim — i tem zakończył swoją misyę dyplomatyczną. Kontuszowy ten bohater z demokratycznym pokostem, należał do kategoryi ludzi już wówczas nie używających wziętości... Awanturnik *sui generis;* zostawił pamiętniki, z których z wielką oględnością korzystać należy.

Joachim Denysko, posiadacz niewielkiej wioski w południowem generał-gubernatorstwie, nabiera rozgłosu w czasie Kościuszkowskiej rewolucyi. Konspirator to domorosły, wierny tradycyom, podniesiony do stopnia brygadyera, wysłany był z Liberadzkim dla podniesienia Wołynia. Misya mu się nie powiodła, choć miał przy boku zręcznego pomocnika w osobie wice-brygadyera Drzewieckiego. Po nieszczęśliwym pogromie pod Maciejowicami, Kościuszko wzięty do niewoli, wieziony był przez Łuck i Zasław do Kijowa. „Podjazd Denyski na Wołyń wysłany, pisze p. szef w pamiętnikach, przebywał w swym marszu bliskie okolice; wieść się rozniosła, że huzarów formowano z przybywającej majętniejszej młodzieży, a gwardyą naczelnika nazywano, że ta z wielą ochotnikami przebijała się uwolnić go pragnąc. Zdaje się, że takie wieści przechodem Denyski podniecone, były rzetelną, większych względem nas ostrożności, pobudką“.

Po niefortunnych popisach wyniósł się p. brygadyer zwyczajem ojców na Wołoszczyznę. Człowiek to, powtarzamy, gorący, szczery, jakby żywcem wykrojony z czasów Barszczyzny, z odwagi podobny do owych rycerzy Maryi, ale naiwniejszy od dziecka, gotowy niebo i ziemię poruszyć w imię

sprawy, którą poślubił... Z takim więc hałasem szlacheckim poczyna sobie, że alarmuje obóz przeciwny, zaprząta swoją osobą uwagę ościennych wielkorządców, ba nawet dyplomatów rosyjskich uwierzytelnionych w Wiedniu i Stambule — i to zaprząta w ciągu całych kilku miesięcy. Bez środków, bo uniósł z kraju ledwie kilka dukatów w kieszeni, zakłada główną kwaterę w Filipowcach, niedaleko okopów św. Trójcy, i komunikuje się nieustannie z komitetem w Galicyi funkcyonującym. Ogiński utrzymuje, że Verninac użył go do zniesienia się ze szlachtą, która podpisała akt konfederacyi krakowskiej (6 stycznia 1796 r.) i zdania jej sprawy z czynności podjętych w Turcyi przez rząd francuski. Ale Denysko nie stworzony na polityka i dyplomatę, krzyczał na wszystkie strony. W maju 1796 r. tak głośno o nim mówiono, tak zdala groźnie prezentowała się postać burzliwego brygadyera, że generał-gubernator Tutolmin zjechał aż do Kamieńca ze Słucka, by dostać o nim pewnego języka. I, wyrażając się tegoczesnym stylem, posypał się, jak z rogu obfitości, cały szereg not i zapytań, a we wszystkich figurowało nazwisko krzykliwego szlachcica. Rozpoczął tę szermierkę listowną tylko co wzmiankowany Tutolmin odezwą do ks. Repnina, generał-gubernatora Litwy (22 maja): „Denysko w sąsiedztwo przysłał (na Podole) zaprosiny do malkontentów tułających się bez zajęcia, jako to: uwolnionych ze służby oficerów polskich, towarzyszów i szeregowców, przygotowując i mieszkańców tutejszych do powstania; nakłania ich, przedewszystkiem zaś drobną szlachtę do pomagania mu w podźwignieniu ojczyzny i sławy narodu. Dotąd wszakże więcej skorzystał w Galicyi niźli u nas, kędy ex-wojskowi polscy i nieosiadła młodzież szlachecka gromadzi się z racyi łatwiejszych z Denyską stosunków. Niemniej przeto powodzenie jego w tych złośliwych zamiarach nie może być dla nas przyjemnem“.

Pod naciskiem wieści o Denysce, zawiązał Tutolmin korespondencyę z baszą chocimskim, który przysłał do Kamieńca deputacyę ze 150 Tatarów złożoną. Deputacya winszowała generał-gubernatorowi przybycia na dawne kresy.

Ostatni to raz Lipkowie prezentowali się w murach Kamieńca. Tutolmin skorzystał z uprzejmej słuszności sąsiada, i „otworzył“ uroczyście gubernią podolską. Na ten akt zjechało szlachty niemało, a nawet kobiety sproszono. Drzewiecki, obecny wówczas w Kamieńcu, dodaje, że wysłańcy baszyńscy, odarci i niechlujni, pilnie się przypatrywali paniom w salonach pałacu generał-gubernatora zebranym, najmocniej przekonani, że należą one do haremu wielkorządcy...

Ale wracając do Denyski, nadmienić musimy, że ks. Repnin otrzymawszy list od Tutolmina, natychmiast wysłał odezwę do Razumowskiego, ambasadora rossyjskiego w Wiedniu. Zwracał w niej uwagę posła, „że Galicya jest gniazdem niebezpiecznych tendencyj, że wolno tam mówić o wszystkiem głośno, a nawet komunikować się z pewnym p. Denyską, przywódcą stronnictwa rewolucyjnego, zamieszkałym blisko granicy cesarstwa austryackiego...“ W kilka dni potem (6 czerwca), znowu Tutolmin uwiadamia ks. Repnina o rokowaniach z baszą chocimskim. „Miały one, pisze, przynajmniej ten skutek, że basza zabronił Denysce jawnie przebywać w Chocimiu, gdzie go nawet teraz nie ma z pewnością“. Ale i tego za mało! I Tutolmin i Repnin jednocześnie pisali do hr. Koczubeja, ambasadora rossyjskiego w Carogrodzie. Poseł z kolei interpelował w. wezyra, a dygnitarz turecki odpowiedział (w połowie lipca) z godnością, że uważałby to za sprawę nikczemną, używać Denyski dla wywołania niepokojów w ościennem mocarstwie, i że rozkaże baszy, by go od granicy oddalił. Koczubej w końcu sprawozdania z rozmowy mianej z w. wezyrem, bardzo słuszną robi uwagę: „Sam Denysko nie może być niebezpiecznym, brak mu bowiem i pieniędzy i zdolności i kredytu; ale czyli jest narzędziem w ręku innych buntowników, o tem nic pewnego powiedzieć nie mogę“.

Hałaśliwy szlachcic, i jako taki przeszedł do dziejów... Schmitt nawet go nazywa „jednym ze znakomitszych wychodźców w Multanach...“ W sierpniu udał się Denysko do Bukaresztu, tu go pilnie studyował konsul rossyjski Seweryn. W jego raportach podobnych raczej do notatek doraź-

nych, jakże żywo maluje się brygadyer! Wpada z wrzaskiem do miasteczka, prawdziwie po Polowsku „szastu, prastu“, ugania po brudnych uliczkach, pyta o ludzi najpodejrzańszych w opinii dygnitarza rossyjskiego, odwiedza ich nie inaczej, tylko konno, wierzchowca masztalerz trzyma przed kwaterą, gdzie gości przybysz, gawiedź się zbiega, patrzy bezmyślnie — w tem wychodzi brygadyer i przemawia do tłumu, prawi o wojnie, o niesprawiedliwości, o swojej odwadze... a Mołdawianie z otwartemi usty słuchają, nie rozumiejąc ani słowa... Z Bukaresztu jedzie niespokojny szlachcic do Konstantynopola, w towarzystwie Francuza, Emila Gaudin. Koczubej wiedział o jego przybyciu i doniósł zaraz swemu rządowi, że Denysko wskórać nic nie może u Porty, i że ledwie zgodzono się na wypłacenie mu skromnej pensyi. I istotnie Ogiński to potwierdza, dodając nadto, że z wielką trudnością udało mu się wyrobić pozwolenie dla przybysza na pobyt w stolicy państwa ottomańskiego. W początkach listopada wspólnie opuścili oni Carogród, a ku końcowi roku rozstali się z sobą; brygadyer został w Filipowcach, a exagent pojechał dalej. Wówczas to udało się Denysce skupić w koło siebie nieliczną garstkę zagorzalców... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Wypada nam wprzód odmalować choć pobieżnie Franciszka Ksawerego Dąbrowskiego, najwybitniejsze podówczas zajmującego stanowisko na Wołoszczyznie. Nie łatwe zadanie! Człowiek ten bowiem, jak z jednéj strony budził uwielbienie, tak z drugiej znowu pogardę. Zwolennicy nazywali go prawdziwym patryotą, przeciwnicy — zdrajcą... Dość tu przytoczyć pamiętniki Kosmowskiego i Ogińskiego jako przykład owych rażących sprzeczności... W każdym wypadku, nie powszednia to osobistość. Urodził się on w 1772 r. w Łęczyckiem, wstąpił na widownię bardzo wcześnie bo w 16 roku — jako chorąży łęczycki i delegat od województwa prezentował się królowi w 1788 r. Rychło jednak musiał

nabrać wziętości, a Kosmowski go umieszcza w liczbie niewielu doradców królewskich, zachęcających Stanisława Augusta, „aby wyjechał do wojska i nie poddawał się Rossyi“ (1792). Rewolucya zastała go pułkownikiem, Kościuszko podniósł młodzieńca do stopnia jenerała i polecił mu zrobienie „insurekcyi“ w Łęczyckiem, z czego Dąbrowski miał się bardzo świetnie wywiązać. „Wziął szturmem Koło, gdzie złączyło się z nim powstanie łęczyckie. Młody ten, lecz w regularnej służbie będący oficer umiał korzystać z okazyi, zebrał chłopów z kosami do 2.000 i przeszło 400 konnicy, i dowiedziawszy się, że Prusacy prowadzą jeńców polskich z pod Warszawy, zrobił zasadzkę w borze pod wsią Chojnami, i raptownie tak napadł na Prusaków, którzy jeszcze o rewolucyi nie wiedzieli, że tych po małej utarczce zabrał do niewoli, 1.700 polskich jeńców uwolnił, których część przebrawszy w mundury pruskie, na całą noc poszedł do miasta Konina, tam bez wielkiej przeszkody wszedł rano, bo Prusacy rozumieli, że to ich wojsko szło, miasto opanował i powstanie urzędownie ogłosił“. Po upadku rewolucyi trzymał się do grudnia nad Wartą. Aresztowany przez władze pruskie, wymknął się z więzienia, z wiosną 1795 roku znajdował się w Paryżu, gdzie wszedł w skład komitetu polskiego. W rok później spotykamy go na Wołoszczyźnie, gdzie stoi główną kwaterą w Bukareszcie, i prowadzi, niezależnie od Ogińskiego, politykę na własną rękę. Ztąd też nienawiść agenta polskiego do młodego republikanina z demagogicznym odcieniem. Jenerał, trzeba o tem wiedzieć, wychowany w zasadach konstytucyjnych 3 maja, po przybyciu nad Sekwanę wpadł do kółka rewolucyonistów czystej wody — z przekonania, a nie z musu, albo z mody. Młody umysł łatwo się przejął zasadami i marzył o przeszczepieniu ich na grunt swojski, nie zastanawiając się należycie nad tem, czy to, co dobrem okazało się dla Francuzów, równie korzystnem będzie dla społeczności polskiej.

Ale społeczność ta pozbawiona była wszelkich praw w owej chwili, należało je wywalczyć... Dąbrowski przypuszczał, że zadaniu podoła, tem bardziej, że Francya pod-

trzymywała nadzieje w emigrantach. Powtarzamy raz jeszcze, był młody, wierzył, zanadto brał na własne barki. Jenerał odznaczał się ujmującą powierzchownością i ogładą, znał języki gruntownie, „mówił po francusku jak rodowity Francuz, po niemiecku, po łacinie, i dość zrozumiale po turecku i po mołdawsku“; był nadto odważny, energiczny, rzutki — wszystkie te zalety wypchnęły go na plan pierwszy. Przybywał do Bukaresztu opatrzony w instrukcye, a pośród grona wychodźców rozsianych po Wołoszczyźnie, najwyższy stopień wojskowy posiadał, nic więc dziwnego, że w koło niego zaczęli się grupować inni oficerowie, uznając przewagę Dąbrowskiego nad sobą. Obowiązek konsula francuskiego piastował podówczas Stamati, jenerał Cazza St. Cyr później już zajął jego posadę. Gromadka tułaczów wkrótce obwołała Dąbrowskiego naczelnikiem, a że Turcya niechętnie patrzyła na kupienie się polskich zbrojnych zastępów, bojąc się, aby nie wywołały protestów państw ościennych, więc już dogadzając Dywanowi, wojskowi utworzyli związek i ogłosili Dąbrowskiego „marszałkiem konfederacyi jeneralnej Rzeczypospolitej polskiej“. W pierwszej chwili na liście wyborczej podpisało się tylko 200 do 300 osób, inni zaś później pojedyńczo robili „akcesa“ tak, że z czasem liczba ta do poważnych urosła rozmiarów... Uspokojona Porta nie żądała nic więcej, na marszałka i jego podkomendnych patrzyła obojętnie; kwatery, żołd i żywność dawała Francya uznając w Dąbrowskim przywódcę. Z jej to polecenia, udawał się on w misyi poufnej do Paswan-Oglu, znakomitego baszy Widdynu. Z czasem uformował się rodzaj rady przy naczelniku, a w skład jej weszli pułkownik Krynicki, podpułkownik Kosmowski, major Tremo i porucznik Melfort.— Rząd Rzeczypospolitej francuskiej zapewnił, że wkrótce powoła wychodźców, zaczęli więc myśleć o uzbrojeniu. Dąbrowski oddał na ten cel własne brylanty, niektórzy dygnitarze multańscy darowali siodła i trochę koni, z Galicyi przysłano sukna. Mundury były bardzo skromne — „jasno szaraczkowa wołoszka z czerwonym kołnierzem, czapki konfederatki białe z kokardą francuską“. W końcu 1796 roku,

liczono w korpusie polskim 1840 żołnierzy i 50 oficerów (Ogiński wszystkiego podaje 1870 ludzi). Oto spis starszyzny w tym niedoszłym legionie, zapożyczony u Kosmowskiego, choć niedokładny, ale jedyny, jaki mamy pod ręką. Wykluczamy z niego pięciu wyżej wspomnianych, mianowicie naczelnika i jego radę przyboczną. Pułkownicy: Jabłonowski i Sułkowski; wicebrygadyer Denysko; podpułkownik Korycki; majorowie Marchocki i Brodziszewski; kapitanowie Kochanowski, Żurawski, Turski, Brzozowski, Kornatowski, Stokowski, Jastrzembowski; porucznicy Bogdanowicz, Klicki, Mochnacki, Pieniążek, Radoński, Ostrowski, Sokolnicki, Działyński, Ziemecki, Skotnicki, Sieńkiewicz, Zabiełło, Kirkor, Dobrzański, Kąsinowski, Morawski, Biernacki, Węgrowski, Dembiński, Gurowski, Radzimiński, Bilski, Szymanowski, Cielecki, Kicki, Grabiński, Sosnowski, Mielżyński, Wojniłowicz, Jeliński, Lipski, Zarzycki, Gąsiorowski, Zakrzewski, Morski, Wiśniewski i Majewski. Rozkwaterowani byli w okolicy Bukaresztu; a za wiedzą konsula francuskiega (Cazza St. Cyr) naczelnik ściągnął cały oddział pod Filipowce, odbywał pilnie przeglądy, oświadczył nadto podkomendnym, „że wkrótce będą walczyć za sprawę wolności".

Ogiński dowodzi, że Dąbrowski nieprawnie ogłosił siebie marszałkiem konfederacyi, choć sam na innem miejscu utrzymuje, że forma konfederacyi, wywołana była z grobu jedynie gwoli rządu tureckiego... Prawie śmiesznie to wszystko wygląda... bo kto o prawności myślał w tych czasach? — Równie nielegalnym był komitet polski w Paryżu, który wysłał expodskarbiego, jako agenta do Turcyi, a nielegalnym był już choćby dlatego, że nie większość reprezentantów narodu powołała go do życia, ale odłam nieliczny rozbitków... Że jednak około 2.000 podkomendnych uznawało w Dąbrowskim przywódcę, a Ogińskiego tylko 20 członków komitetu paryskiego, w których liczbie zresztą figuruje i podpis tegoż Dąbrowskiego, za swego agenta dyplomatycznego... ztąd wniosek oczywisty, ze wybór pierwszego był legalniejszym od wyboru drugiego... Śmiesznie, powtarzamy, wyglądają zarzuty Ogińskiego przeciw czynnościom ludzi

pod innym stojących sztandarem. W pamiętnikach swoich nieustannie alarmuje czytelnika, jakby obawiając się, żeby ten samemu ich autorowi nie zarzucił jeżeli nie niepraworości to co najmniej nieprawności w postępowaniu... A jednak nieledwie co dnia autorowie historyczni czerpią pełną ręką z jego literackiej spuścizny i to z najgorętszą wiarą, lepszej sprawy godną...

Wracamy do rzeczy. Legion więc egzystował, skoncentrowany o ile na to okoliczności pozwalały w jednem miejscu, i czekał hasła do wymarszu... Naraz rozniosła się wieść, że Bonaparte zawarł z arcyksięciem Karolem zawieszenie broni. Skutkiem tego były preliminarya traktatu spisanego w Leoben (18 kwietnia 1797) i w końcu sam traktat w Campo-Formio (17 października 1797 r.). Wcześniej atoli, bo na początku 1797 r. konsul francuski w Bukareszcie otrzymał rozkaz rozpuszczenia konfederacyi. „Dlatego powinien polecić, by zebrani Polacy na Wołoszczyźnie, zdjęli kokardy i znaki francuzkie i rozeszli się, bo Francya robiąc generalny pokój, nie chce się przez jawne tych protegowanie kompromitować“.

Rozpacz wychodźców była wielka. Jedni podążyli w głąb Europy, garstka z Dąbrowskim na czele pozostała na miejscu. Dąbrowski jął się pilnie rozglądać po świecie. W Francyą nie wierzył, na Austryę i Prusy nie mógł liczyć... zostawała Rossya, a z Rossyi tej dochodziły dziwnie pocieszające i ponętne wieści.

III.

Po zgonie Katarzyny II. (w listopadzie 1796 r.), wstąpił na tron Paweł. Był to człowiek najszlachetniejszych popędów. Moroszkin w następujący sposób maluje przekonania cesarza. „Przeciwnik doktryn podówczas kiełkujących, starał się prześladować je wszelkiemi zależnemi od niego sposobami; uważał siebie za moralnie obowiązanego, utrwalić w Europie monarchiczne pryncypia, podkopane w ostatnich czasach. Stronnictwo „łacinników“ w ogóle i jezuickie w szczególności, korzystało z tych usposobień Pawła, dla dopięcia swoich zamiarów. Ludzie do tego należący obozu, pracowali nad utrwaleniem w cesarzu przekonania, że organizacya rzymskiego kościoła i jezuityzm, są właśnie najodpowiedniejszą formą dla podtrzymania zasad, którym hołdował...“ Ztąd taka łaskawość dla katolicyzmu i wyznawców jego w ziemiach rossyjskich. Wszystko się składało po temu; Paweł, w czasie podróży po Europie, jeszcze jako w. książę zwiedził Rzym, poznał Piusa VI. wywiózł z pobytu w wiecznem mieście najprzyjemniejsze wspomnienia. Zaraz też po włożeniu korony dowiódł, że pamięta owe gościnne przyjęcie; zgodził się na przybycie nuncyusza do Petersburga; Siestrzencewicza podniósł do godności metropolity, powiększł liczbę dyecezyi łacińskich; Trapistom wypędzonym z Francyi dał przytułek na Litwie; kawalerów maltańskich przygarnął do siebie, a w końcu się ich wielkim mistrzem ogło-

sił... Odtąd krzyż maltański przez cały ciąg jego panowania był oznaką największej zasługi, zawieszał go cesarz na piersiach dygnitarzy, archerejów i metropolitów... Znane są także sympatye rossyjskiego władcy dla upadłej dynastyi Burbonów.

Najwięcej wszakże miłości i wspaniałego miłosierdzia okazał Polsce. Czy był to wynik jego serca wysoce w sprawiedliwości rozmiłowanego? Nie będziemy badać pobudek; fakta aż nadto są wymownem świadectwem łaskawości Pawła wobec narodu, który utraciwszy byt niezależny, z sierocą swą dolą nosił się wśród ludów podminowanej rewolucyą Europy.

Już samo przemówienie do Kościuszki zawierało w sobie niejako program postępowania cesarza. „Długo nic dla was uczynić nie mogąc, jak tylko nad losem waszym ubolewać, szczęśliwym się sądzę, że dając wam dzisiaj wolność, choć po części nagrodzić wam mogę wszystkie cierpienia wasze. Jesteś wolnym; chciałem wam przynieść sam tę wieść pocieszającą“. Ale Kościuszko był przedmiotem podziwu jeszcze i za panowania Katarzyny. Premier-major Titow, dozorca jego, z rozkazu wyższego pisał dziennik, w którym zdawał drobnostkowo sprawę z moralnego i fizycznego stanu więźnia; ustępy tego dziennika podał p. Sołowiew... Mógł więc i cesarz znajdować się pod wrażeniem, jakiemu ulegał ogół w stosunku do „naczelnika“. Słowa wyżej przytoczone podał Niemcewicz; Gagaryn nadaje ostrzejszą barwę przemówieniu władcy rossyjskiego do uwięzionego wodza polskiego, nacisk tam na niesprawiedliwość przeszłości większy. Rozmowa z Ignacym Potockim także godna zastanowienia, w niej bowiem w całej pełni maluje się usposobienie Pawła.

Naraz więc wszyscy główni aktorowie ostatniej rewolucyi odzyskali wolność. Ukaz ogłaszający wiernym poddanym ów akt łaski, podpisany 26 listopada 1796 r. (więc we 20 dni po zgonie matki) opiewał jak następuje: „Jego Cesarska Mość raczył udarować wolnością jenerał-porucznika Kościuszkę, hr. Potockiego, Wawrzeckiego, hr. Mostowskiego, Zakrzewskiego, sekretarza Niemcewicza, adjutantów Fiszera

i Hoffmana, nadto Kapostasa i Kilińskiego“. Dalej nastąpiły ukazy o losie innych więźniów politycznych; „wysłani na Sybir, a znajdujący się tamże w liczbie 12,000, zostali ogłoszeni wolnymi i mogą wracać do domu“. Ambasadorowie rossyjscy w Wiedniu, Berlinie i Carogrodzie, otrzymali rozkaz uwiadomienia Polaków tam przebywających, że prowincye dawnej Rzeczypospolitej do Rossyi wcielone, stoją dla nich otworem. Nie było więc żadnego wyjątku; wszystkim zarówno przysługiwało dobrodziejstwo korzystania ze swobody osobistej...

Wiadomo, że Katarzyna II. skonfiskowała wiele majątków, inne uległy sekwestrowi, a jednocześnie odebrane i starostwa, nadane na sejmie 1775 r. prawem emfiteutycznem. Cesarzowa rozdała je dygnitarzom rossyjskim, którzy położyli pewne zasługi w walce tak orężnej jak dyplomatycznej, w epoce trzech pierwszych rozbiorów. Wprawdzie pod koniec jej panowania niektóre dobra sekwestrem objęte, zostały wrócone dawnym właścicielom, a i na prawo władania starostwami władze miejscowe rozkazały składać dowody. Dopiero wszakże Paweł rozstrzygnął ostatecznie tę kwestyę na korzyść poszkodowanych.

Oto jest suma dobrodziejstw przez niego wyświadczonych. Wywołały one powszechne i słuszne uwielbienie wszędzie, gdzie się tylko garstka polskich rozbitków zebrała. — Nawet p. Urszula Tarnowska tak skąpa w pochwały, w pamiętniku swoim pod r. 1796, takie uwagi o władcy rossyjskim umieściła: „Znaczną uczynił redukcyę dworu swego, stoły dworu zmniejszył, wynoszące tu depansy do 5.000.000 rubli. Księcia Galicyna wysłał do Wiednia, donosząc o swem wstąpieniu na tron, z deklaracyą, że nie chce należeć do koalicyi, pragnąc w pokoju zostawać... Pokonfiskowane dobra w polskim kraju i rozdarowane, rozkazał oddać właścicielom. Dla wszystkich emigrantów Polaków ogłosił pardon, z wolnem powróceniem do swych własności. Gwałtowne w Litwie i Polsce, mianowicie na Ukrainie, dozwolone przez szyzmatyków z probostw unickich wygnanie duchownych, rozkazał zaniechać a probostwa im powrócić...“ Ważne to

świadectwo — bo spółcześnie, pod wrażeniem chwili kreślone... Pani ta przytacza i czterowiersz francuski bardzo podówczas rezpowszechniony — „na pochwałę Pawła“:

Son regne a commencé par des jours de clemence,
Deja l'humanité renait sous sa puissance,
Il pense en citoyen, quoique il agisse en roi,
La justice est son sceptre, et la bonté sa loi...

Towarzystwo polskie w Petersburgu było podówczas i dość liczne i dobrze widziane, a panie polskie trzymały domy otwarte. Do ich rzędu należały hetmanowa Ożarowska i Zabiełłowa, obie wdowy po — żywych jeszcze małżonkach, Działyńska (z domu Woroniczowa), Józefina Potocka, żona Szczęsnego i wiele a wiele innych. Przybycie Stanisława Augusta z Grodna do Petersburga wraz z licznym orszakiem, z całą gromadą krewnych i przyjaciół znacznie powiększyło kolonię polską nad Newą, a zatem i jej wpływy.

Na festynach dworskich chętnie przyjmowano dawnych dygnitarzy Rzeczypospolitej i osoby do pierwszych rodzin należące w Polsce. Bywali tu stale ks. Radziwiłł, ostatni wojewoda wileński; hr. Józef August Iliński, tajny radca i senator, szybko posuwający się na drodze zaszczytów i dostojeństw; wojewoda bełzki Teodor Potocki; rzeczywisty radca stanu i senator Seweryn Potocki; ks. Adam i Konstanty Czartoryscy, wówczas młodzi oficerowie gwardyi; Stanisław Poniatowski, starosta bohusławski i korsuński; Jerzy Wielhorski marszałek dworu, ożeniony z panną Matiuszkinówną. Moroszkin do tej liczby zaciąga hr. Manucciego czy Manuzziego, i następujące o nim podaje szczegóły: „Ojciec Manucciego był Włochem naturalizowanym w Polsce, z żebraka i obszarpańca, stał się on milionowym panem i najbogatszym posiadaczem ziemskim (?) w naszych zachodnich guberniach. A wszystko to zawdzięczał niecnemu rzemiosłu; pełnił bowiem funkcye szpiega przy Potemkinie. — Wspaniały książę używał Manucciego w wielu wypadkach dla dopięcia swych celów; za jego to pośrednictwem dowiadywał się o wielu tajemnicach w Polsce i w guberniach za-

chodnich. (Alež nazwa ta administracyjna nie egzystowała za życia księcia Taurydzkiego?) Marząc nieustannie o zostaniu królem polskim, badał stan umysłów w Rzeczypospolitej i przez niego starał się wpłynąć na jej mieszkańców... Sowicie też za to opłacał książę Włocha... Szlachetna ta profesya i stosunki z Potemkinem, odkryły awanturnikowi nie jedną tajemnicę księcia, obcą nawet Katarzynie. Syn Manucciego, znający nienawiść Pawła do wszystkiego, co miało jakąbądź styczność z księciem Taurydzkim i obawiając się zemsty cesarza, odkrył mu tajemnicę rzemiosła swojego ojca (już wówczas zmarłego) a z nią i wszystkie sekreta księcia, za co zjednał sobie zaufanie władcy rossyjskiego — a ztąd i wpływ wielki przy dworze. Żona Manucciego występuje w liczbie bardzo nie wielu osób wybranych, na wieczorach dawanych przez cesarza". Nie przyjmując na siebie odpowiedzialności za ten niepochlebny i zapewne przesadny wizerunek, dodamy, że widomy dowód łaski Pawła dla Manucciego znajdujemy w ukazie z d. 5 grudnia 1796 roku, brzmiącym jak następuje: „Po rozpatrzeniu dowodów przedstawionych nam przy najpoddańszej prośbie przez hr. Mikołaja Manucciego, o prawach jego na starostwa Opskie i Domaszskie (Opeskie i Domaszewskie), i spadkowy majątek, miasteczko Koziany (liczące 466 dusz m.) uznawszy za słuszne, rozkazujemy zwrócić mu je natychmiast, a generałmajorowi Isajewu, któremu te dobra nadane były w 1795 r. wydzielić odpowiednie w tejże gubernii Mińskiej.

Był to istotnie dowód łaski — ale powszedni za panowania Pawła. Tutaj cesarz oddawał, co się słusznie należało — nic nadto. Inni nasi rodacy dostawali nawet upominki w dobrach; tak Iliński miał sobie nadane trzy starostwa, między któremi figurowało ogromne Ułanowskie, Ludwik Tyszkiewicz dostał na własność Lubaczowskie, Złotnicki Radomyślskie i t. d.

Oprócz wyżej wspomnianych dygnitarzy polskich, kilku jeszcze, przy Stanisławie Auguście piastujących wysokie urzędy, nagrodził stopniami. Zostali rzeczywistymi tajnymi radcami ex-marszałek litewski hr. Ludwik Tyszkiewicz,

z prawem marszałkowania szlachcie gubernii litewskiej, nadto marszałkowie koronni Fryderyk Moszyński, Michał Jerzy Mniszech i podstoli litewski Stanisław Poniatowski, (we wrześniu 1797 r.). Obudwu Czartoryskich awansował na generał-majorów — starszy z nich Adam został adjutantem przy w. ks. Aleksandrze, młodszy Konstanty przy w. ks. Konstantym (rozkaz dzienny z 4 czerwca 1797 r.). Jednocześnie jenerał b. wojsk polskich Morawski, stary konfederat barski, czynny podczas Kościuszkowskiej rewolucyi, przyjęty został w tymże stopniu do służby rossyjskiej (rozkaz z 7 czerwca). Komendę trzech pułków huzarskich oddano jenerałom Godlewskiemu, Borowskiemu i pułkownikowi Bartłomiejowi Giżyckiemu, z prawem wybrania zdolnych oficerów z pośród byłych wojskowych polskich. Czy wszyscy skorzystali z tego, nie wiemy; Giżycki jednak zastosował się do rozkazu, przyjęci zostali do jego pułku z stopniem podpułkowników Jotowicz i Czorba; jako majorowie zaś Baka, Giżycki i Jurkowski; jako rotmistrze Kasperski, Rusiecki, Sabo i Suchodolski; jako porucznicy Janowicz i Pruszanowski; jako podporucznik Suchodolski młodszy (rozkaz dzienny 18 maja 1797 r.). W tymże prawie czasie, do Rostowskiego piechotnego pułku kwaterującego w Mińsku, awansował cesarz ośmiu synów szlachty miejscowej na chorążych (rozkaz dzienny z 2 czerwca)...

Z drugiej atoli strony niektórzy polscy wojskowi, i to dawniej, za poprzedzającego panowania przyjęci, usuwali się z szeregów, może zastraszeni wymaganiami cesarza. Na wspomnienie tu zasługują generał-major Krzysztofowicz, dowódzca sofijskiego piechotnego pułku, w listopadzie 1794 r. Wcześniej jeszcze, bo 24 paźdz. wziął dymisyę komendant Chersonu Józef Witt, wiele mając do tego pobudek. Naprzód zamiar sprzedaży żony ciągnął go na Podole, powtóre był przez Potemkina protegowany. I Antoni Złotnicki zgrabnie się z komendantury kamienieckiej usunął. Zaskarbił sobie nawet łaskę u Pawła. Jeszcze w 1793 roku, kiedy się stawił w Petersburgu dla złożenia powinszowania cesarzowej z powodu nabytków, drugim zaborem spowodowanych, nie

omieszkał zaprezentować się i w. księciu. Dowiedział się dowcipny Złotnicki, że następca tronu nie ma zdolnych trębaczy przy swojej gwardyi gatczyńskiej; dowiedział się i o tem, że potężny podówczas Zubów lubi służbę z małych i zwinnych kozaczków. Zaraz więc po powrocie do domu, wybrał w garnizonie kilku zdolniejszych waltornistów, opatrzył ich w instrumenta srebrne, a z Demszyna, wioski dziedzicznej, czterech chłopców wydresował należycie i wszystko to razem przy najpokorniejszych listach wysłał do Petersburga. Paweł nie zapomniał wyświadczonej sobie usługi, i po wstąpieniu na tron udarował Złotnickiego pięknym ziemi kawałem; ale pomimo to wszystko tak zastraszył p. Antoniego rygor wojskowy, że prosił o dymisyę, która mu z wszelką udzielona została skwapliwością. Inni niedomyślniejsi zostali usunięci z wojska przez cesarza. Mianowicie generał-lejtnant ks. Aleksander Lubomirski, dowódca pułku piechoty (rozkaz dzienny 4 czerwca 1797) i generał-lejtnant Lubowidzki, znany nam dobrze z niniejszego opowiadania, któremu najprzód odebrano dywizyę ukraińską, tak, że został tylko szefem pułku kirasyerów nieżyńskich. Dnia 27 października 1797 roku otrzymał naganę „za złe utrzymanie pułku, niewłaściwe rozporządzanie się oficerami i nieumiejętne kierowanie podkomendnymi, którym nie potrafił należycie wytłumaczyć nowego wojennego regulaminu“. Nagana równała się dymisyi, jakoż na drugi dzień otrzymał ją generał. Wyjechał natychmiast z Petersburga na Wołyń, do Iskorostu, położonego nad Uszą, który nabył od Chodkiewicza jeszcze w 1780 roku. Tutaj zbudował piękny pałac i osiadł stale, bawiąc się po cichu w „malkontenta“ do zgonu, który w r. 1806 nastąpił.

Najwięcej jednak niechęci okazywał cesarz dla Szczęsnego Potockiego. Nie podobał mu się on dawniej, kiedy jako hrabia du Nord wracając z zagranicy, zatrzymał się w Wiśniowcu. Już to ponury, milczący i wcale nie giętkiego karku „królik Rusi“ nie obudzał sympatyi. W lat kilkanaście potem, kiedy po rozwiązaniu Targowicy prezentowany był w. księciu jako nowy poddany rossyjski, Paweł nie po-

dał mu ręki do ucałowania, co było jawnym dowodem niełaski. Zostawszy cesarzem, jakby zapomniał o exmarszałku; żadne odznaczenie go nie spotkało. Siedział cicho w Humaniu, syna tylko Jerzego wysłał do Petersburga, a i ten syn zawdzięczał posadę przy dworze matce. Paweł wkrótce wydalić go kazał ze stolicy, gdzie sporo długów narobił (1799), a ojcu dostała się wymówka z zastrzeżeniem, aby synem się nadal troskliwiej opiekował. Zastraszeni wierzyciele zaczęli wnosić prośby do cesarza. W liczbie ich był baron Maksym Springport z Moskwy, który upominał się o 210.000 rubli (1,400.000 złp.), *chevalier* d'Arbinie rościł pretensyę do 100.000 r. (666.000 złp.), szewcy, krawcy, stolarze, cukiernicy, pasztetnicy po 10 i 15.000 rubli. Wszystkie te pretensye Paweł odesłał ojcu utracyusza, a od siebie dał surowy nakaz miejscowemu generał-gubernatorowi, aby bezzwłocznie egzekwował należytość. Trochę wcześniej rzecz poszła o kozaków dworskich; Szczęsny trzymał ich przeszło 300. Śniło mu się jeszcze smutnej pamięci marszałkostwo i milicya dla ochraniania jego osoby; ale Paweł państwa w państwie nie znosił. Kozakom najprzód broń odebrano, a potem ukaz następującej treści otrzymał generał-gubernator Gudowicz (21 sierpnia 1799): „Ponieważ nikomu z posiadaczy ziemskich wojska utrzymywać nie wolno, więc i Stanisławowi Szczęsnemu Potockiemu zabraniamy mieć milicyę nadworną, tembardziej, że oddział jego kozaków stanowi rodzaj lekkiej poczty, rozwozi korespondencye i tem pozbawia departament pocztowy słusznie należnych mu dochodów". Po długich staraniach i zabiegach pozwolił nareszcie cesarz trzymać Potockiemu nieliczny poczet kozaków, ale tylko dla potrzeb ekonomicznych.

Niemniej w sprawie Niemirowskiej Paweł dał wyraźny dowód niechęci dla możnowładcy tulczyńskiego. Sprawa ta dość interesująca, a że maluje czasy pod względem finansowym, więc ją tu pokrótce opowiem. Właścicielem Niemirowa z przyległościami był Wincenty Potocki, wujeczny brat Szczęsnego, matka bowiem ostatniego Anna i ojciec pierwszego starosta kołomyjski byli rodzeni brat i siostra. Wincenty

około 1790 roku zaciągnął dług u bankierów holenderskich, i obowiązał się wypłacić go w 1793 r. Dług ten wynosił razem z odsetkami 787.000 guldenów. W terminie jednak uiścić się nie mógł z powodu zamieszek krajowych, bankierowie wnieśli tedy prośbę o pomoc do rządu. Kazano wyznaczyć komisyę, sprawa ciągnęła się lat kilka, wznowiono ją w 1799 r. Paweł surowo zalecił zadośćuczynić słusznym żądaniom wierzycieli. Pan Antoni Dembowski, szambelan Stanisława Augusta, udał się wówczas do Petersburga z projektem, według którego przyjmował administracyę na siebie i w ciągu następnych lat 10 obowiązywał się wypłacić całą sumę z procentami. Guldeny przeliczone na ruble rossyjskie wynosiły okrągłą sumę 1,062.816 (albo 7,085.530 złp.); rocznie więc wypadało płacić 106.281 r. (czyli 708.530 złp.). Z drugiej strony Szczęsny Potocki proponował za zgodą brata nabycie majątku i dług przyjmował na siebie. Paweł jednak przychylił się do planu Dembowskiego, i dopiero po zgonie cesarza klucz niemirowski w 1802 r. przeszedł w posiadanie ex-marszałka ostatniej konfederacyi.

Widzimy więc, że Targowiczanie i ich przyjaciele, czy to w skutek prostego zbiegu okoliczności, czy też osobisych przekonań Pawła, schodzili z areny. Młode, niepokalane stronnictwo grupowało się w koło cesarza i jego synów; ex-król polski doznawał szczególnych względów od panującej rodziny. Czyliż więc dziwić się będziemy, że Dąbrowski zniechęcony zawodami, zostając pod urokiem opowiadań o wspaniałomyślności władcy rossyjskiego, zamarzył o powrocie do kraju, o służbie choć pod obcym sztandarem, zawsze atoli w Polsce i zawsze dla Polski? Dola tego człowieka zaiste godna politowania. Ogiński niechętny młodzieńcowi za przewagę, jaką pośród swoich na Wołoszczyźnie posiadał, nazwał go zdrajcą. „Papiery ważne wydał rządowi rossyjskiemu“, woła Ogiński, a za nim okrzyknął także generała demagogiem autor *Kroniki domowej Dzieduszyckich*;

w końcu p. Schmitt żywcem cały ustęp wyjął z pamiętników ex-podskarbiego litewskiego, uwierzył temu plotkarzowi na słowo, chociaż jako poważny i sumienny historyk powinien był oględniej rzecz tę traktować. Naraz więc odsądzono od wszystkiego marszałka konfederacyi zawiązanej w Multanach, nawet od nazwiska. Dambrowskim go ochrzczono; byli wprawdzie i Dambrowscy w Polsce, znani jeszcze w XVI stuleciu, ale generał za Prutem przebywający nazywał się Ksawery Dąbrowski. Mamy przed sobą jego własnoręczną korespondencyę francuzką z podpisem Xavier Dombrowski, a tak go nazywają również urzędowe rossyjskie papiery, tak go wreszcie nazywa Kosmowski, nieodstępny w ciągu lat kilku towarzysz. Ale idźmy dalej. Henryk Schmitt utrzymuje, „że zdrada niegodziwego Dambrowskiego“, który oddał rozmaite korespondencye władzom i poodkrywał osoby „stała się powodem nowych prześladowań, a oraz bardzo licznych uwięzień“. Zkąd czerpał autor te dowody, nie wiemy, bo źródeł nie wykazuje, to tylko pewna, że represye w Galicyi miały miejsce po napadzie Denyski, a uwięzienia na Litwie nastąpiły w kilka miesięcy później; to tylko pewna, że były one stosunkowo nieliczne, i że w rzędzie aresztowanych znajdował się i sam Dąbrowski, który, oprócz listy oficerów polskich, gotowych powrócić do Rossyi, żadnego innego dokumentu nie przedłożył cesarzowi.

Aby dokładniej rzecz uwydatnić, opowiedzmy cały przebieg tej sprawy od początku. Emigracya wołoska miała się ku rozsypce. Była wielce zrażona do Francyi, szczególnie kiedy ta odmówiła opieki wychodźcom zebranym w Filipowcach. Optymiści wajwięksi tracili wiarę w szczere chęci narodowej konwencyi. Wprawdzie Henryk Dąbrowski po długich usiłowaniach zawarł z rządem francuzkim ugodę (9 stycznia 1797 r.); a Rzeczpospolita upoważniała go do formowania legionów we Włoszech; wprawdzie na mocy tej ugody „legion miał mieć komendę polską, oficerów samych Polaków, mundur z ostatnich w Polsce czasów, barwy i szandary polskie, organizacyę francuską“. Ale owa Rzeczpospolita cysalpińska przedstawiała się żołnierzowi z wygnania multań-

skiego, widzącemu nieledwie granicę ziemi rodzinnej, tak daleką, tak za rzekami i górami położoną, że nie miał odwagi o głodzie i biedzie przedzierać się na koniec świata, kiedy tutaj blizko, po kilku latach zaszczytnej a smutnej tułaczki mógł wrócić do siebie. To też emigracya multańska dostarczyła legionom we Włoszech bardzo nielicznego kontygensu przynajmniej w pierwszych latach. Z pięćdziesięciu osób wyszczególnionych przez Kosmowskiego ledwie cztery nazwiska (majora Grabińskiego, kapitanów Tremy i Klickiego, nadto porucznika Stokowskiego) spotykamy w spisie oficerów legii włoskiej, a lista z której czerpiemy jest bardzo dokładną i wyszczególnia pochodzenie, początkową służbę, późniejszy jej przebieg, miejsce zamieszkania rodziców albo krewnych legionisty, majątek ziemski, jeżli go posiada, ze ścisłem oznaczeniem miejscowości i t. d. Słowem krótka to biografia.

Co się więc stało z dwutysięcznym prawie zastępem wychodźców na Wołoszczyźnie i z ich starszyzną? Ksawery Dąbrowski zawsze uważał siebie za przywódcę, za takiego uważali go i podkomendni. Sprosił ich do siebie na naradę, której skutkiem było wysłanie listu do Stanisława Augusta (w początkach kwietnia 1797 r.). W liście tym generał wyłuszczywszy szlachetne powody, jakie jego i innych Polaków na Wołoszczyznę sprowadziły, prosił, ażeby król wyjednać raczył u imperatora „zabezpieczenie osób i przyjęcie ich do służby“. List doręczony został konsulowi rossyjskiemu w Bukareszcie p. Sewerynowi, a przyzwalająca odpowiedź nadeszła we dwa miesiące. Wówczas Dąbrowski z kilku oficerami, z Kosmowskim, Brodziszewskim, Marchockim, Jastrzembowskim i Bogdanowiczem udał się do Petersburga, dla przekonania się, czego się można spodziewać, na co liczyć.

Na Wołoszczyźnie został Denysko i dodany mu do pomocy porucznik Melfort, bardzo zdolny oficer. Po wyjeździe już Dąbrowskiego, 26 czerwca, brygadyer zrobił szalony napad na Bukowinę na czele 150 ludzi. Szaleńcy ci zastali granicę należycie obsadzoną, piętnastu z nich padło na miejscu, czternastu, a w ich liczbie Melfort, dostało się do

niewoli i wszyscy zostali powieszeni. Odtąd polityczna rola Denyski była skończona. Złożył dowody wielkiej nieudolności, wycofał się z Multan za pośrednictwem przyjaciół i kolegów już wówczas nad Newą przebywających. Paweł pozwolił mu wrócić do kraju, a wezwawszy do Petersburga, kazał stopień wojskowy zamienić na cywilny. Denysko od tej chwili został radcą stanu, w zamian zaś za dobra skonfiskowane dostał kawał ziemi w okolicy Bałty, mianowicie Hetmanówkę i Strutyńce, gdzie też w kilka lat potem dokonał żywota...

Dąbrowski tymczasem robił zabiegi celem utworzenia wojska polskiego pod protektoratem Rossyi. Początek był wiele obiecującym. W rozkazie dziennym wydanym przez cesarza 17 (28) czerwca 1797 r. czytamy: „Generał-major polskiej służby Ksawery Dąbrowski, w tymże stopniu zostaje przyjętym do kawaleryi; polecamy mu uformować pułk dragonów z Polaków, zwerbowany w odebranych Polsce guberniach“. Ukaz późniejszy wydany na imię podolskiego, wołyńskiego i mińskiego generał-gubernatora dosadniej rzecz tłómaczy. Nosi on datę 5 (16) września 1797 roku i mówi: „W skutek rozkazu Jego Cesarskiej Mości generał Dąbrowski upoważniony został do formowania pułku konnego, w Litewskiej gubernii, złożonego z samych Polaków, a że mu łaskawie dozwolono werbować wolnych ludzi (t. j. do pańszczyzny nie obowiązanych) nie tylko na Litwie, ale i w ościennych guberniach, przeto jeżeli oficerowie z ręki generała pomienionego przybędą do prowincyi pod zarządem JWPana zostającej, wówczas macie nietylko im nie przeszkadzać w werbunku, ale owszem zależnej od was nie odmawiać pomocy“. Jednocześnie temuż generał-gubernatorowi przesłano z Petersburga spis oficerów polskich, ręką Ksawerego Dąbrowskiego pisany, którzy przebywają na Multanach i oświadczyli gotowość służenia Rossyi. Lista zawiera 28 nazwisk. Zgłaszali się mianowicie kapitanowie Kochanowski i Biernacki; porucznicy Kamiński, Brzozowski, Jeżewski; podporucznicy Knobenhofen, Przedpelski, Sieńkiewicz, Morawski; chorążowie Szulc, Repelowski, Cybulski, Iliński; na-

miestnicy Lasota, Zawadzki, Lisiecki, Chobrzyński; towarzysze Modzelewski, Ramoszyński, Bujalski, Korczyński, Sawicki; bombardyerowie Bohdanowski i Iwanowski; podoficerowie Popowski, Sawicki, Sozański i Komarnicki. Dodawszy do tej liczby sześciu, którzy się wraz z Dąbrowskim udali do Petersburga — wszystkich będziemy mieli 34. Co zastanawia w tym spisie, to że figuruje w nim 5 tylko nazwisk podanych przez Kosmowskiego, zkądby wnosić można, że korpus oficerów na Multanach przebywający był daleko liczniejszy, wynosił bowiem nie 50, ale co najmniej 80 osób. „Nie podaję tutaj, kończy Dąbrowski, zamykając listę, nazwisk szeregowców, ci bowiem wszyscy bez wyjątku powrócić mogą i wiernie służyć będą“.

Werbunek szedł pomyślnie. Kosmowski utrzymuje, że stawiło się ochotnika na 10 pułków, właściwie zaś pod bronią stanęło 15 szwadronów z główną w Wilnie kwaterą. Pułk miał komendę polską, barwy dawnej dragonii w Rzeczypospolitej czyli t. z. wojska cudzoziemskiego autoramentu. Już 23 października znajdujemy w rozkazie dziennym długą listę oficerów przyjętych „do dragońskiego generała Dąbrowskiego pułku“, a mianowicie byli to następujący: podpułkownik Kosmowski; majorowie Kamiński i Brodziszewski; rotmistrz Bronikowski; sztabrotmistrze Boniakowski, Owsiański, Kunicki, Klicki i Gedrojć; porucznicy Bagłaj, Gliński, Zabiełło, Stankiewicz, Niesobędzki, Mochnacki; chorążowie Kozłowski, Kazimirski, Wróblewski, Rymkiewicz, Morski, Świda, Krywkowski, Wysocki, Lipski, Iwaszkiewicz, Frejlich, Kowalewski, Osiecki, Piotrowski, Daszkiewicz, Mejer, Pilichowski, Pichelsztejn, Podolski. Porównywując tę listę z podaną przez Kosmowskiego, widzimy że tylko 6 oficerów z Wołoszczyzny do nowego pułku wcielono; reszta pochodziła z miejscowych żywiołów, najwięcej młodzieży z byłego wojska polskiego, która kraju wcale nie opuszczała.

IV.

Tak pomyślnie poczęta organizacya zwichniętą została już w samym początku. Uwagę cesarza zwróciła inna sprawa, mająca związek z przyszłemi losami legionów polsko-rossyjskich. Oto generał-gubernator litewski, ks. Repnin, doniósł Pawłowi o odkryciu tajnego towarzystwa w prowincyach niegdyś polskich. Pierwszą wzmiankę o niem czytamy pod d. 9 listopada 1797 r.: „Sprzysiężenie zawiązane w Wilnie miało stosunki z tajną agencyą w Łucku, a regent kobryńskiego ziemskiego sądu Siestrzewitowski, namówiony przez ks. Dąbrowskiego, przeora beresteckiego Trynitarskiego kościoła, udawał się z sekretnemi papierami do „centralizacyi“ (centralności) we Lwowie; przeprawę zaś przez granicę ułatwiał mu pewien szlachcic Werbiński, mieszkający w Smoławie o pięć mil od Łucka“. Tyle też tylko znajdujemy szczegółów w korespondencyach urzędowych ościennych generał-gubernatorów Repnina i Bekleszowa, reszta zaś wypełniona nazwiskami uwięzionych i raportami o ich odstawieniu do Petersburga do „tajnej ekspedycyi“ (w styczniu 1798 r.). Pociągnięci zostali do odpowiedzialności wysyłający agenta do Lwowa, sam agent i ułatwiający temu agentowi przebycie granicy rossyjskiej; obok tych głównych winowajców poformowały się zastępy współuczestników; wszystka jednak masa poszlakowanych stanowiła 2 grupy, wileńską i wołyńską. Ostatnia składająca się z 11 osób, osądzona

i zadekretowana została już 15 lutego 1798 r. Mianowicie skazano do robót ciężkich w kopalniach Nartowskiego i Dłuskiego; osiedleni zostali w Syberyi Werbiński, pisarz ze wsi Smolawy, Piegłowski, sekretarz ks. Lubomirskiego, Skomorowski, Urbanowski, Morożek (Morożko?), Jukowski, Lenkiewicz, komisarz ziemski, Bargielski, rządzca dóbr i Sokołowski. Inni poszlakowani, jako to: Śnieżko, generał Zagórski, hr. Olizar i Godebski zupełnie uwolnieni od odpowiedzialności. Zostawała jeszcze grupa więźniów wileńskich, ks. Trynitarz Dąbrowski, ks. Ciecierski, przeor Dominikanów, ks. Ziołkowski, Benedyktyn, uznani za najwinniejszych, nadto Józef Czerniawski, kapitan Sebastyan Ciecierski, Judycki, syn znanego generał-porucznika wojsk polskich (ostatni trzej do robót ciężkich), dwaj bracia Siestrzewitowscy (jeden z nich regent kobryńskiego sądu, drugi pisarz tegoż sądu), Grabowski i akademik Kondratowicz (ostatni czterej na osiedlenie za Uralem).

Jakiej to natury było sprzysiężenie, dowiedzieć się niepodobna. Ks. Ciecierski zostawił pamiętniki, z których się pod tym względem niczego nauczyć nie można, niewiele też i z motywów wyroku. Co do nas jesteśmy najmocniej przekonani, że żadnego sprzysiężenia nie było. Grupę poszlakowanych o niezadowolenie osób połączono sztucznie w jedną całość, trwoga pociągniętych do odpowiedzialności osób dokonała reszty. A jednak Moroszkin inaczej tłómaczy tę sprawę, dodając jej barw groźnych. Mówi on tak: „W końcu 1797 r. nastąpił „wybuch“ w prowincyach przyłączonych od Polski do Rossyi; buntownikami albo przewódzcami, jak się tego spodziewać należało, byli trzej księża; zaburzenia przytłumiono (?), główni wichrzyciele pochwytani, przywiezieni do Petersburga i osadzeni w fortecy“. Senat trzech księży skazał na śmierć, a wyrok w rzędzie innych podpisali dwaj senatorowie Polacy, Seweryn Potocki i Józef August Iliński. Z tego to powodu kolega ich, znakomity poeta rossyjski Derżawin, miał mowę godną zastanowienia, pełną współczucia dla obżałowanych, i dodał w końcu, że tylko łagodnością można przywiązać podbitych. Cesarz zmienił

wyrok śmierci na wieczne wygnanie do kopalń syberyjskich. Szło o zdjęcie święcenia kapłańskiego, więc nuncyusz papiezki Litta, przebywający podówczas w Petersburgu, zażądał sprawozdania z przebiegu procesu. Oburzony Paweł posłał Kurakina do Siestrzencewicza, a metropolita uczynił zadość rozkazowi cesarza, i w towarzystwie ks. Dederki i Dydyńskiego uroczyście odbył smutną ceremonię 24 listopada 1798 r.

W przekonaniu monarchy skłonnego do podejrzeń Polacy stracili niemało. Odtąd powtarzały się od czasu do czasu uwięzienia i wygnania. Główną winą skazańców była „obraza majestatu“; za nią też odpokutowali Strzelecki z Podola wysłany do Berezowa; Kamiński z Latyczowskiego, porucznik wojsk polskich, na osiedlenie tamże; podporucznik Baranowski do twierdzy kijowskiej; szlachta Ludwik Wiszniewski, Leopold Jaśniewski, Jan Chmielowski, księża Kaczyński i Paszyński do twierdzy kamienieckiej.

Cesarz polecił pilnie przestrzegać, aby się legioniści włoscy nie dostawali do kraju. Po prostu wracano ich od granicy; wszakże jeden z nich, Downarowicz, w maju 1798 r. był pochwycony na Litwie, drugi, Doganowski, zatrzymany w lipcu 1799 r. na Podolu. Otóż po pilnem rozpatrzeniu dokumentów z epoki panowania Pawła, widzimy, że wszystkich Polaków uwięzionych za polityczne wykroczenia liczono 31, żaden z nich jednak z winy Dąbrowskiego nie dostał się za kraty; dowodzenie więc Schmitta, jakoby generał stał się powodem wielu aresztowań, samo przez się upada. Co więcej, Ksawery Dąbrowski nietylko że nie był donosicielem, ale sam popadł w niełaskę. Już jego nazwisko źle usposabiało cesarza, nosił je bowiem dowódzca legionów włoskich, nosił je pryncypalny aktor „mniemanego buntu“ na Litwie, przesadnie odmalowanego w raporcie ks. Repnina. Odtąd o pułkach „formowanych z Polaków“ ani wzmianki nie ma w rozkazach dziennych, a ów świeżo powstały nazwano dragońskim. Nie wiemy nawet, gdzie pod koniec swojej karyery stał główną kwaterą szef jego, to tylko pewna, że w południowem generał-gubernatorstwie, bo oto pod dniem 6 listopada 1798 r. czytamy następującą znaczącą odezwę

do wielkorządzcy Gudowicza: „W skutek rozkazu Jego Cesarskiej Mości wysłany został p. Makarew (z Petersburga) do generał-majora Dąbrowskiego, dla dokonania pewnego śledztwa, władze więc miejscowe powinne mu okazywać pomoc w każdej chwili“ i t. d. Makarew był zaś wysłannikiem nielada! Rzeczywisty radca stanu i kawaler, jeden z młodszych policmajstrów stolicy, przytem agent „tajnej ekspedycyi“, niedaremnie przedsiębrał tak daleką wycieczkę, kogo zaszczycił swą wizytą, ten pewnie dostawał się za kratę. I Dąbrowski znikł także, a pułk jego zreorganizowano. Kosmowski więc albo nie znał całej sprawy, albo popełnił tendencyjne kłamstwo, utrzymując, że legion polski na Litwie rozpadł się dopiero ze zgonem Pawła; przeciwnie egzystował on tylko tylko rok z małym naddatkiem wynoszącym kilka tygodni.

Rewizya u Dąbrowskiego nic nie wykryła. Utrzymywano, że cesarz miał być uprzedzony, jakoby generał sztyftował pod jego opieką pułki polskie, aby się na czele ich przedrzeć do Włoch, do swego imiennika, i to stało się powodem niełaski i uwięzienia młodego dowódzcy w rygskiej warowni.

Słów kilka tylko dodać jeszcze mamy. Źródła, z których korzystaliśmy, urywają się, albo raczej nie przedstawiają nic ciekawego do zgonu Pawła. Cesarz Aleksander I. poprzedza swoje wstąpienie na tron amnestyą. Pouczający ten i bardzo ważny pod względem historycznym dokument dziś już należy do osobliwości bibliograficznych, choć lat 75 liczy zaledwie, podpisany bowiem został 17 marca 1801 r. Zawiera on listę wszystkich politycznych przestępców, ukaranych „z powodu spraw wytoczonych im przez tajną ekspedycyę“. Skazańcy podzieleni na cztery kategorye. Pierwsza najważniejsza. Jest to spis 28 osób, pozbawionych praw stanu, z wykazaniem gdzie się obecnie znajdują; w tej liczbie znajduje się 13 Polaków: Ludwik Doganowski w szlis-

selburskiej warowni, Baranowski w kijowskiej; ks. Dąbrowski, Ciecierski, Ziółkowski, Judycki i porucznik Ciecierski w Nerczyńsku; Grabowski, Czerniawski, dwaj Siestrzewitowscy, Kondratowicz i Pozdyrski (?) w Tobolsku.

Druga kategorya, zawierająca spis uwięzionych i wysłanych na wygnanie bez pozbawienia praw stanu, składa się z 64 osób, między niemi 17 Polaków. Oto ich nazwiska: Lubowicki i Snarski w Szlisselburgu; generał-lejtnant Ksawery Dąbrowski w rygskiej warowni; porucznik Wojczyński w wyborgskiej; Kozłowski w kigsholmskiej; Dłuski w Nerczyńsku; major wojsk polskich Koroza w petersburgskim „rathauzie"; wreszcie w tobolskiej gubernii jako osiedleńcy: Strzelecki, Kamiński, łowczy Skomorowski, Urbanowski, Werbiński, Jukowski, Leńkiewicz, Piegłowski, Bargielski i Sokołowski.

Trzecia kategorya zesłańców nienależących do klasy uprzywilejowanej, obejmuje osób 41; między niemi trzech Polaków, mianowicie księża uniccy Jermołowicz i Kiriad, obaj w Szlisselburgu i Jeleński w sołowieckim monasterze na Białem morzu; jedyny to Polak tam osadzony. Dodamy nawiasem, że do kategoryi tej wciągnięci emigranci francuzcy w liczbie 10.

Czwarty nakoniec spis zawiera listę osób znajdujących się „pod nadzorem tajnej ekspedycyi" w liczbie 22, a między nimi jeden tylko Polak, dymisyonowany pułkownik Czaplic, w powiecie sejneńskim zamieszkały. Nie zawadzi pamiętać, że pozycya ta za panowania Katarzyny II była daleko świetniej reprezentowana.

Widzimy więc, że poszlakowanych politycznie liczono w całem państwie w chwili zgonu Pawła 155 osób, między któremi tylko 24 Polaków. Zaznaczyliśmy wyżej, że manifest wzmiankowany jest bardzo ważnym dokumentem, jak bowiem z jednej strony służy za niezbity dowód łaskawości nowego monarchy, rozpoczynającego rządy przebaczeniem, tak znowu z drugiej obala zarzut pomawiający Pawła o zbytnią surowość. Cesarz ten nie został jeszcze należycie a sumiennie oceniony przez historyków rossyjskich. Postać władcy

tego wychyla się z dziejów owiana mrokiem niedoli. Nieszczęśliwy był od kolebki, a jakieś półcienie, tajemnicze półszepty otaczają tron jego. Zanadto gwałtownie łamał dawny porządek, zanadto lekceważył sobie ludzi protegowanych przez matkę, aby mu to łatwo zapomnieć mogli, ztąd tyle kolców spotykał na niedługiej drodze. Najlepszych chęci, najszlachetniejszych popędów, urodził się i zapóźno i zawcześnie: zapóźno, aby bronić sztandaru monarchizmu, podminowanego przez rewolucyę francuzką, zawcześnie, aby się rządzić w polityce sercem i sprawiedliwością...

Wracamy po raz ostatni do przedmiotu. Dąbrowski uwolniony w marcu 1801 r., jako generał-lejtnant przeszło dwa lata spędził w rygskiej warowni, liczył zaledwie 30 lat podówczas, do służby wojskowej jednak nie wstąpił. Dlaczego — to już dla nas tajemnicą pozostanie.

Porównywując spisy 140 oficerów polskich podanych w tem opowiadaniu, z listą imienną legionów polskich ułożoną przez Luxa, przekonać się snadno można, że 46 z nich należało do oddziałów formowanych na Wołoszczyźnie, a potem na Litwie.

Kwestya pułków polskich pod zarządem rossyjskim upadła odtąd zupełnie. Raz ją wprawdzie podniesiono jeszcze w końcu 1811 roku, o czem Ogiński, któremu zostawiamy całą odpowiedzialność, tak wspomina: „Cesarz nakazał hrabiemu de Witte i księciu Kazimierzowi Lubomirskiemu ułożyć plan organizacyi armii ośmiu województw polskich, połączonych z cesarstwem“. Plan nie przyszedł do skutku i słusznie, zbliżała się bowiem wojna Francyi z Rossyą, a w wojnie tej spotkaliby się byli Polacy ze sobą w dwóch przeciwnych obozach.

ZRÓDŁA.

J. Drzewicki. Pamiętniki, wydane przez Kraszewskiego. Wilno 1858. str. 53 i dalsze.

M. Ogiński. Pamięt. Poznań 1870. T. II. s. 61—248; III. s. 52.

S. Bukar. Pamiętniki. Drezno 1871.

St. Kosmowski. Pamiętniki z końca XVIII w. Poznań 1860.

Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich. Lipsk 1868 r., część II. rozdział X. i XI.

Pamiętniki z XVIII w. (Rozmowa imperatora Pawła z Tadeuszem Kościuszką przez Gagaryna) str. 307. Poznań 1860.

Pamiętniki damy polskiej z XVIII w. (Ruch Literacki 1875. Nr. 25. str. 394).

Pamiętnik ks Ciecierskiego. Lwów 1865 r.

Korespondencya krajowa Stanisława Augusta z lat 1784 do 1792. Poznań 1872.

H. Schmitt. Dzieje porozbiorowe Polski. Lwów 1868. rozd. I. §. V.

Kostomarow. *Poslednie hody Rieczypospolitoj polskoj.* Petersburg 1870 (szczególnie cz. V. rozd. V. str. 751).

Moroszkin. *Jezuity w Rossii.* Petersburg 1867. T. I. str. 271—313, 371 i dalsze.

Kronika domowa Dzieduszyckich. Lwów 1865. str. 354—373.

Zbornik Imperatorskaho Russkaho istoryczeskaho obszczestwa. Petersburg 1875. T. XVI. zawiera dużo szczegółów z tej epoki, szczególnie zaś str. 400, 419, 437, 448, 456, 506.

Polnoje sobranie zakonów Rossijskoj Imperii. Nr. 18.248 (O buntownikach w prowincyach przyłączonych od Polski); Nr. 15.944 (O formowaniu chorągwi ze szlachty białoruskiej), nadto *Russkij Archiw.* Moskwa 1863. T. I. str. 580 (o temże).

Manifest cesarza Aleksandra I. wydany 17 marca 1801 r., fol. bez miejsca druku (w typografii senatu?) z pięciu półarkuszy złożony.

Cmentarz Powązkowski. Warszawa 1858. III. (Lista imienna oficerów legionów polskich i t. d. dodatek od str. XVI do str. XXXVI).

Korespondent krajowy y zagraniczny. Warszawa 1793 r., miesiące marzec, kwiecień i maj.
Kalendarz krakowski Gröbla na r. 1812. str. 107.
Rocznik wojskowy Królestwa Polskiego na r. 1817. str. 11 i 36.
Imiannyja Ukazy Ekatieryny II, dannyje heneralu od infanteryi Totolminu s 1793 po 1796 hod. Rękopism ze 106 dokumentów złożony. Obchodzi nas przeważnie Nr. 2, 4, 5 i 19.
Archiwum generał-gubernatorów podolskich, wołyńskich i mińskich; föl. z lat 1796—1801, rękopis z 20 przeszło ksiąg złożony (resztki), zawiera w sobie rozporządzenia administracyjne, rozkazy dzienne do wojska, ukazy, nadania, rozporządzenia sekretne i t. d.
Archiwum Rodziny Łaźnińskich. Zbiór listów i dokumentów z ostatniego dziesiątka lat XVIII stulecia.
Remanifest A. Złotnickiego — rękopis, folio, własność biblioteki Kórnickiej w W. X. Poznańskiem.
Sołowjew. *Istoria padienia Polszy.* Moskwa 1863. Rozdział XII (ostatni) i dodatki.

KONIEC.

